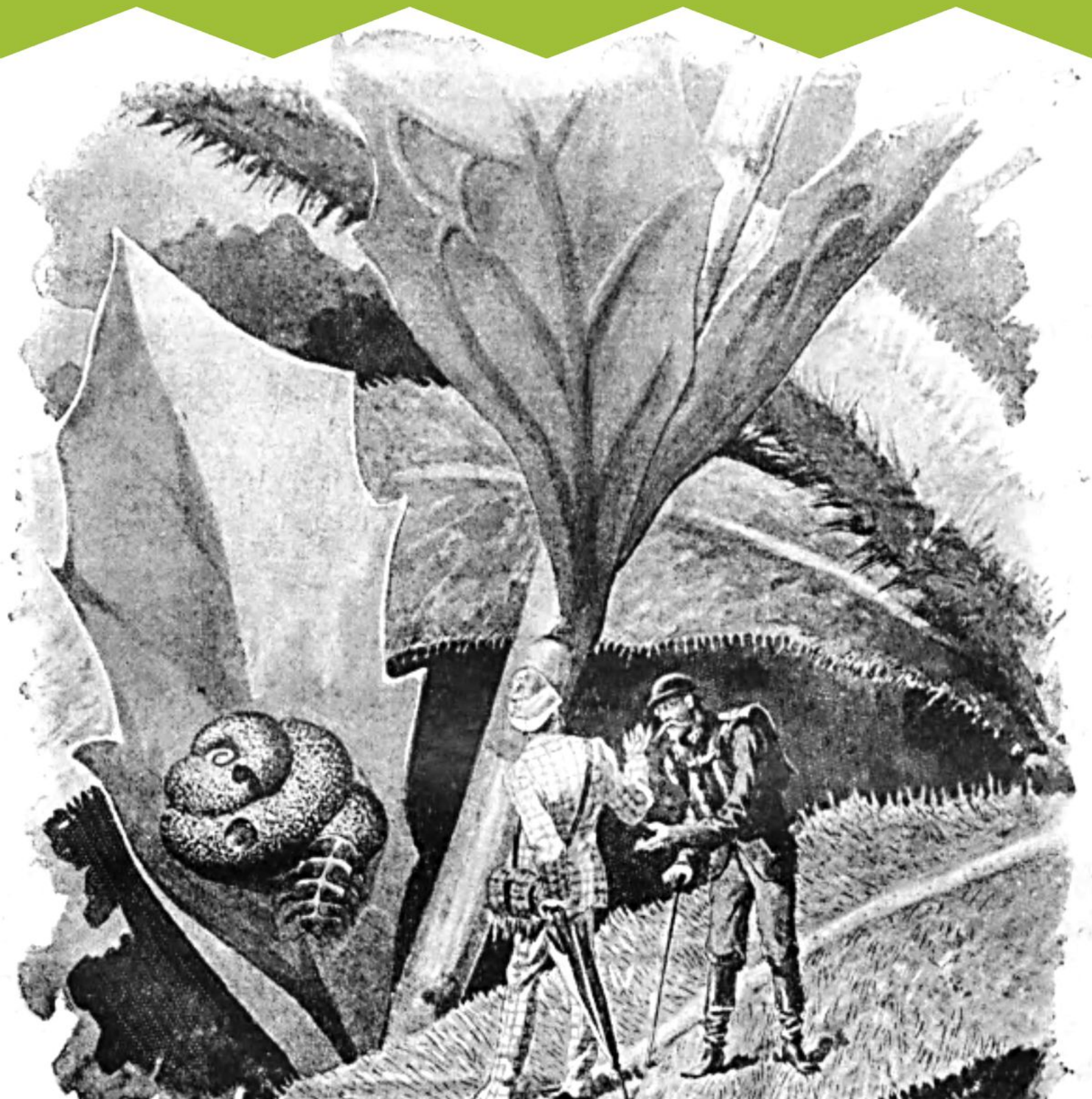


Doktor Muchotański



ERAZM MAJEWSKI

Doktor Muchotałapski

FANTASTYCZNE PRZYGODY W ŚWIECIE OWADÓW

I. ZAGINIONY TURYSTA

W jednym z numerów czerwcowych „Poczty Karpackiej” — pisma węgierskiego, poświęconego sprawom letnich gości tatrzańskich — zamieszczono artykuł pod nagłówkiem: „Zaginiony turysta”. Czytamy w nim, co następuje: „Mamy do zanotowania tajemniczy i niezwykle w kronice życia naszego wypadek. Tydzień temu jeden z przewodników i dwóch jego pomocników przybyli do kancelarii Węgierskiego Towarzystwa Tatrzańskiego¹ w Szmeksie² z oświadczeniem, że zgubili turystę, Anglika. Przed kilku dniami udali się oni z podróży przez Polski Grzebień na Żabie Wierchy³. Nieznajomy okazał się w drodze wytrwałym i doświadczonym turystą. Ponieważ wzięto namiot, na pierwszą noc rozłożono się obozem u stóp Litworowych Wodospadów, w pobliżu niegościnnego, bo zawsze zamkniętego schroniska Salomona⁴.

O świtaniu podróżny oświadczył, że pragnie przyjrzeć się górcom o wschodzie słońca, i oddalił się w kierunku Białej Wody. Nie przeczuwając nic złego, towarzysze oczekiwali cierpliwie na powrót jego do godziny dziewiątej rano. Dopiero wtedy, zaniepokojeni, czy powierzony ich pieczy nie zbłądził, rozbiegli się na wsze strony.

Kilkugodzinne wszakże nawoływania nie wydały żadnych rezultatów. Wtedy udano się aż do Roztoki, ale w schronisku Pola odpowiedziano, że od dwóch dni nikt tam nie zaglądał. Podobnie niepomyślną odpowiedź otrzymali przewodnicy w Jaworzynie i w Zakopanem, gdzie nikt opisywanego Anglika nie zauważył.

Wyczerpawszy wszelkie sposoby odszukania zaginionego cudzoziemca, strapieni przewodnicy powrócili do Szmeksu, meldując władzy o zagadkowym zniknięciu.

Węgierskie Towarzystwo Tatrzańskie, przypuszczając nieszczęśliwy wypadek, zarządziło ścisłe poszukiwania, ale i teraz na najmniejszy choćby ślad zaginionego nie natrafiono. Co więcej, nazwisko jego pozostało tajemnicą, gdyż nieszczęśliwy przybył bez bagaży i nie nocował w żadnym hotelu. Widziano go tylko dwa razy w jednej z pierwszorzędných restauracji. Jedyną torbę podróżną, którą przy nim zauważono, zabrał ze sobą; zresztą, wszystkie potrzebne do wycieczki przedmioty i namiot zakupił na miejscu, płacąc hojnie.

Jedni przypuszczają, że był to desperat, który w tajemniczy sposób odebrał sobie życie, inni domyślają się w nim jakiegoś przestępcy, którego celem było zmylenie śladów pogoni”.

¹Węgierskie Towarzystwo Tatrzańskie — powieść napisano pod koniec XIX w., kiedy tereny ob. pld.-wsch. Polski i Słowacji, w tym Tatr, należały do Królestwa Węgier, stanowiącego część monarchii austro-węgierskiej. [przypis edytorski]

²Szmeks (z niem. Schmecks) — ob. Stary Smokowiec, miejscowość u podnóża Tatr Wysokich na Słowacji. [przypis edytorski]

³Żabie Wierchy — grzbiet górski Żabia Grań w pln. części Tatr Wysokich oraz jego szczyty, w szczególności Żabi Szczyt Wyżni (2259 m) i Żabi Szczyt Niżni (2098 m). [przypis edytorski]

⁴Schronisko Salomona — dawne tatrzańskie schronisko na Polanie Pod Wysoką w Dolinie Białej Wody, postawione przez ówczesnego właściciela terenu, węgierskiego hrabiego Aladára Salomona; klucze do schroniska można było uzyskać tylko od zarządcy włości. [przypis edytorski]

II. Tajemnicze poszukiwania

Na schodach jednego z domów przy ulicy Miodowej w Warszawie umilkła nagle trzepaczka pana Antoniego.

— Dobry wieczór, panie Grzegorzu — powitał przybyłego kolegę z przeciwka, wymierzając ostatni cios w sam środek perskiego dywanu. — A cóż tam u was słyszać?

— Źle, panie Antoni, źle z moim starym!

— Co? Może zbuntował się przeciwko panu Grzegorzowi?

— Et! Gorzej jeszcze...

— Więc niezdrows?

— I nie to...

— No, to chyba tej zguby szuka jeszcze od wczoraj?

— Nie inaczej! Obiadu nawet nie tknął i ciągiem⁵ czegoś upatruje.

— Musi to być jakiś klejnot drogi, kiedy się tak dla niego mizeryje⁶?

— Gdzie tam! Mój pan nie dba o takie rzeczy, a przy tym ziarno piasku już by chyba znalazł, a tu nic i nic!

— Więc cóż to może być?

— Nie mogę zmiarkować⁷, ale zły to znak, jeśli kto szuka jakiegoś pisania w szparach podłogi, gdzie nawet szpilki by nie ukrył, i każe zbierać garściami prochy z ziemi, aby je pod szkiełkiem przebierać. W tych prochach nie ma ani kruszyny papieru, a przecież sam mi wyraźnie powiedział, że szuka jakiegoś pisania, co je zgubił przy biurku. Wczoraj, przynosząc obiad, patrzę, pan leży na podłodze jak długi i zagląda przez szkiełko w szparę między deskami. Ani przerwał roboty, choć mnie usłyszał, tylko końcem ołówka przewracał każdy proszek i kruszynkę. Każdy szmatek śmieci otrząsał i odłożył osobno. Sapał biedaczysko, obcierał pot, aż żał mi się go zrobiło, a nie było końca tej robocie...

— A to ciekawa historia! Ja myślę, panie Grzegorzu, że wasz stary... — i nie dokończył zdania, wskazując wymownie palcem na czoło.

— Co znowu! Taki uczony człowiek!

Pan Antoni zaśmiał się po raz wtóry⁸ swym śmiechem rubasznym, który niemile dotknął Grzegorza.

— Dobry sobie pan Grzegorz! A cóż to, nie wiadomo, że właśnie uczenie najwięcej rozum odbiera? My na przykład, nie przymierzając, ludzie jak się należy, nie bylibyśmy z pewnością tacy, gdyby nam kazali patrzeć w te szkła i książki jak waszemu albo rozbijać fortepiany, jak to praktykuje mój, od wieczora do rana. W głowie by nam się przewracało od tej mądrości i muzyczności ciągłej. Przecie mój to już niedługo powędruje do Jana Bożego⁹ razem z innymi. Jak ci co dzień zacznie bić po klawiszach, a słucha ci ich czasem ze sześciu, to tłucze, że niech ręka boska broni, ani ładu, ani składu, a oni siedzą jak trusie, żeby chociaż który nogą ruszył. Jeden patrzy w sufit, drugi w but, trzeci oczy zamknie, głębię rozdziawi i kiwa głową i godzinę ci tak, jak lunatyki, przesiedzą... niech ręka boska broni! — I splunął.

— Et! Zwyczajna rzecz, słuchają bez grzeczność, inaczej nie wypada, ale co innego z moim panem...

Nie dokończył, bo doszedł go okrzyk radości, jaki się rozległ z gabinetu, okrzyk o tak niezwykłym brzmieniu, że zapominając rozpoczętego zdania, pan Grzegorz rzucił swemu towarzyszowi krótkie: „Muszę lecieć!” i znikł we drzwiach przedpokoju.

Widok, jaki go czekał, był oryginalny. Rozpromieniony pracodawca trzymał na dłoni jakiś bardzo drobny przedmiot. Zbliżywszy się do biurka, złożył go na czystej ćwiartce papieru z ostrożnością, jakby to był kwiat paproci¹⁰, potem zatarł ręce i uśmiechnął się triumfująco.

⁵ciągiem (gw.) — ciągle, bez przerwy. [przypis edytorski]

⁶mizeryować się — doprowadzać się do mizernego stanu, wycieńczać się. [przypis edytorski]

⁷miarkować (daw.) — zauważać, orientować się. [przypis edytorski]

⁸wtóry (daw.) — drugi. [przypis edytorski]

⁹szpital Jana Bożego — dawny szpital dla psychicznie chorych w Warszawie, zlokalizowany przy kościele św. Jana Bożego. [przypis edytorski]

¹⁰kwiat paproci — wg podań ludowych kwiat paproci ma zakwitać przez chwilę tylko raz do roku, w Noc Świętojańską (noc Kupały), i przynosić szczęście i dostatek. [przypis edytorski]

— A więc mam cię nareszcie, nieszczęsna odrobinko, coś mi zatrula trzy dni życia, coś mi przez trzy noce nie pozwoliła zamknąć znużonych powiek! — zawołał z uśmiechem, stojąc przed biurkiem i wpatrując się w biały proszek. — Za chwilę więc rozstrzygnę dręczące mnie niepewności... Odetchnę pełną piersią i przekonam się, czy nie jestem wariatem! Grzegorzu, podajcie mikroskop!

Grzegorzowi, który wysłuchał monologu, stanął przed oczami jak żywy pan Antoni z palcem u czoła.

— Ot, nowa bieda! A ja myślałem, że się już utrapienie skończyło. Może by odłożyć robotę — zaczął nieśmiało. — Czas na obiad... pan głodny...

— Dajcież mi spokój z waszymi obiadami! Czyż mógłbym teraz myśleć o jedzeniu? Jestem na drodze do niesłychanego odkrycia!

Biedny sługa podrapał się w głowę.

— Proszę pana, do czego to podobne? Na wszystko pora... O! Po obiedzie podam mikroskop, co tu pilnego!

— Masz tobie! Znów mi się sprzeciwia! Grzegorzu, co się wam stało?

— Ależ, panie, szósta godzina!... z czego będą siły?

— Nie będę nic jadł! Proszę o mikroskop!

Cóż było robić? Grzegorz, choć zawsze był góram, tym razem poczuł, że nic nie wskóra. Postawił więc na stole narzędzie, skierował lusterko na szkło przedmiotowe i oddalił się, zlorzeczając zapewne wynalazcom drobnowidzów¹¹. Pan tymczasem gotował mu większe niespodzianki.

Skoro tylko proszek znalazł się na szkiełku, a odpowiednio zbliżone soczewki pozwoliły obejrzeć badany przedmiot, nasz uczony nawet dla mniej wprawnego obserwatora przedstawiał niezwykle widowisko. Zerwał się gwałtownie od stołu, chwycił oburącz za głowę; przetarł oczy, spojrzął w szkła i nareszcie zwrócił się do sługi:

— Słuchaj, Grzesiu, czy nie wyglądam czerwono?

— Gdzieby zaś...

— Uszczypnij mnie mocno w rękę!...

Grzegorz spełnił polecenie z ostrożnością i niedowierzaniem.

— Mocniej!

— Nie mogę...

— Zobacz puls! Podaj mi wody!

Biedny Grzegorz zwijał się jak mógł, kiwał strapioną głową, a głośnie upewniał pana, że zdrow zupełnie. Niespokojny, myślał już tylko nad tym, jak by co prędzej sprowadzić lekarza.

Pan tymczasem usiadł przed mikroskopem i nie ruszył się już aż do późna w nocy.

Źle mówię, bo był ciągle w ruchu. Przewracał kartki słownika, zapisywał coś ustawicznie i spoglądał co chwila w mikroskop.

Grzegorz nie zmrzył oka. Był już pewny, że pan zachorował. Przemyślał tylko, co począć rano i kogo zawezwać. Tak doczekali obaj brzasku dziennego. Kiedy niekiedy nasz uczony wstawał i chodził gorączkowo po pokoju, wymawiając niezrozumiałe zdania.

Nareszcie leżał nad ranem w ubraniu i przespał do dziesiątej. Ledwie się zbudził, Grzegorz, oczekujący nań od dwóch godzin ze śniadaniem, otrzymał polecenie upakowania walizy podróźnej.

— Wyjeżdżam dziś za granicę, przygotować mi wszystko na trzecią godzinę — brzmiało krótkie rozporządzenie.

Potem wręczył Grzegorzowi list zapieczętowany, z poleceniem oddania go panu Janowi, ale nie wcześniej, aż się sam zgłosi, i nie rzekłszy nic więcej, wyszedł na miasto.

Ze świeciło się coś nadzwyczajnego, poznał Grzegorz po tym, iż pan wyszedł w obuwiu nieparzystym¹², a na popielniczce zostało trzydzieści niedopałków zamiast zwykłych pięciu lub sześciu wypalanych podczas bezsennych nocy.

III. MÓJ WUJ. KSIĘGOZBIÓR MEGO WUJA

Uczony, którego czytelnicy przed chwilą poznali, jest moim wujem.

¹¹drobnowidz (daw.) — mikroskop. [przypis edytorski]

¹²nieparzysty — tu: nie do pary. [przypis edytorski]

Takiego wuja z pewnością żaden z moich czytelników nie posiada. Najprzód trzeba państwu wiedzieć, że jest on sławną w świecie osobistością, po wtóre — wielkim oryginałem.

Tytuł „znakomity” nie stanowi wprawdzie osobliwości w naszym obfitującym w wielkich ludzi społeczeństwie, ale gdy dodam, że bohater mój jest prawie najważniejszym działaczem w niniejszej opowieści, mam nadzieję pozyskać dla niego odrobinę uwagi i pobbłażania.

Jest on znakomitym zoologiem i jako taki mógłby być przyjemny, a nawet pożądany w towarzystwie, gdyby nie posiadał nieszczęśliwej żyłki nawracania każdego, kto mu się nawinie, do swej ulubionej nauki.

Nie zapomina ani w dzień, ani w nocy o owadach, a skoro się zapali, wychwalając uroki i rozum napowietrznych istot, najlepiej wtedy zejść mu z oczu, staje się bowiem nudny, a nawet okropny.

Ta słabość do ulubionego przedmiotu nie tylko mnie, ale wszystkim znajomym mocno dała się już we znaki. Wujaszek nie umie literalnie o niczym innym mówić, jak tylko o owadach i entomologii¹³. A jak cudnie i ogólnie przemawia!... Gdyby nauka o owadach była religią, mój wuj z pewnością w liczbie jej kapłanów pierwszorzędne zajmowałby stanowisko.

Ale dosyć! Zaczynam obmawiać zamiast przedstawić łaskawym czytelnikom szanownego męża, bo pewno nie domyślacie się jeszcze, o kim mówić zamierzam.

Jakkolwiek brzydko to nie znać własnego zoologa, którego szanuje świat cały, nie dziwię się wam jednak wcale. Sława nie bez przyczyny jest rzeczownikiem rodzaju żeńskiego, gdyż jest to rzecz bardzo kapryśna, zupełnie jak cała piękniejsza połowa rodu ludzkiego.

Są więc u nas sławni ludzie, którzy nie zasługują na to, są nieznani, którzy powinni być sławni. Gdyby mój wujaszek pisywał wiersze drukowane w kurierach¹⁴, znalazłbyście bez wątpienia jeśli nie dzieła, to już przynajmniej nazwisko jego, a podobizny oblicza „znakomitego męża” ozdabiałaby zarówno wystawy księgarskie, jak i wasze albumy fotograficzne. Ale że jest sobie tylko przyrodnikiem, który ani jednego nie wygłosił odczytu, nic dziwnego, że nie znają go szerokie koła naszej inteligencji.

Pocieszać się jedynie może starym przysłowiem łacińskim: „*Nemo propheta in patria sua*”¹⁵ oraz tym, że zwykle o ludziach, których szanuje cały świat uczony, najbliżsi wiedzą najmniej lub to tylko, czego tamci nie wiedzą.

Mój wuj, Jan Muchołapski, jest doktorem rzeczywistym Wszechnicy Jagiellońskiej, a doktorem *honoris causa*¹⁶ uniwersytetów w Oksfordzie, Heidelbergu i Jenie.

Aby wam dać pojęcie, jak ciężkiego to kalibru uczony, dość będzie, gdy powiem, że przyjaciele nieboszczyków Agassiza¹⁷ i Darwina¹⁸ — Milne-Edwards¹⁹, Schiner²⁰ i Löw²¹ zostawali w naukowych stosunkach z moim wujem, z obecnie zaś żyjących dipterologów²² tacy jak baron von Osten-Sacken, Wiktor Roeder, Mick, Bigot, Meade i nasz Dziedzicki²³ prowadzą z nim stałą korespondencję.

Jest on czynnym członkiem wszystkich chyba zoologicznych i entomologicznych towarzystw, a zarazem korespondentem mnóstwa czasopism specjalnych. Napisał między

Sława, Kobieta

¹³entomologia — nauka o owadach. [przypis edytorski]

¹⁴kurier (daw.) — gazeta. [przypis edytorski]

¹⁵*Nemo propheta in patria sua* (łac.) — nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie. [przypis edytorski]

¹⁶doktor *honoris causa* — doktor honorowy; tytuł przyznawany ze względu na zasługi, bez wypełnienia wymagań akademickich niezbędnych do uzyskania tytułu doktora od danej uczelni. [przypis edytorski]

¹⁷Agassiz, Louis (1807–1873) — amerykański przyrodnik i geolog szwajcarskiego pochodzenia; przeciwnik teorii ewolucji sformułowanej przez Darwina. [przypis edytorski]

¹⁸Darwin, Charles (1809–1882) — brytyjski przyrodnik i geolog, twórca teorii ewolucji. [przypis edytorski]

¹⁹Milne-Edwards, Henri (1800–1885) — francuski lekarz i zoolog, dyrektor paryskiego Muzeum Historii Naturalnej. [przypis edytorski]

²⁰Schiner, Ignaz Rudolph (1813–1873) — austriacki przyrodnik-entomolog, zasłużony badacz muchówek, rzędu owadów obejmującego m.in. muchy, komary, meszki. [przypis edytorski]

²¹Löw, Hermann (1807–1879) — niemiecki przyrodnik-entomolog, zasłużony badacz muchówek. [przypis edytorski]

²²dipterolog — dipterologami są naturaliści [tj. przyrodnicy; red. WL.] poświęcający się wyłącznie studiom nad owadami dwuskrzydłymi, czyli muchami. [przypis autorski]

²³Dziedzicki, Henryk (1847–1921) — polski przyrodnik, wybitny badacz muchówek, członek Towarzystw Entomologicznych w Petersburgu, Berlinie i Wiedniu. [przypis edytorski]

innymi ogromną rozprawę *O porównawczych badaniach nad gębą owadów*²⁴ i dwutomową monografię łowików (*Asilidae*)²⁵.

Ta ostatnia praca zjednała mu w młodym już wieku europejską sławę, ale zarazem tak zaciążyła w życiu, że nasz uczony odtąd z największą odrazą spogląda na te muchy i prosi przyjaciół, aby mu ich nie nadsyłali.

Przyczyna tej niechęci rzadko komu jest znana, bo doktor nigdy drażliwego przedmiotu nie porusza, ale sługa wasz zna tajemnicę i wkrótce się nią z wami podzieli.

Pomimo wszystkiego, com powiedział o swoim wuju, nie znacie go jeszcze wcale.

Aby człowieka poznać, najlepiej jest pono rozpatrzyć się w jego otoczeniu. W myśl tej maksymy zamiast mówić o nim, zaprowadzę was do gabinetu „znakomitego” męża.

Jest to duży pokój wypełniony książkami i zbiorami. Na ścianach pełno rysunków, o tyle dla wuja wymownych, o ile dla nas niezrozumiałych.

Kilka szaf przy ścianach, na środku duże biurko zarzucone stosem książek i papierów, obok biurka stolik — ot i wszystko, reszta bowiem umeblowania nie zasługuje na uwagę.

Na stoliku króluje mikroskop, otoczony światłą szczypczyków, flaszeczek, nożyków i szpilek.

Skromny ten i cichy przybytek wystarcza memu wujowi za świat cały. Nie uczuwa on tutaj samotności, otacza go bowiem liczne i dobrane towarzystwo, ukryte w szafach. Pełno tu znakomitości, z którymi rozprawia, kiedy chce, a one, zawsze cierpliwe i poważne²⁶, niosą wujowi uczoną pomoc o każdej porze dnia, a nawet nocy.

Przez szyby biblioteki błyszczą pstre szeregi książek dużych i małych, cienkich i grubych, okazałych i niepozornych, nowych i starych. Zupełnie to jak ludzie, z postaci i wewnętrznej wartości rozmaici.

Jeden tom wyświeżony, niby modny elegant, inny zaniedbany, w wyszarzanym odzieniu, zaledwie śmie sąsiadować ze strojnym jegomościem.

W bibliotece wuja są bowiem i książki zniszczone, o podartych grzbietach, pozałamanych kartach, na których pełno dopisków. Niepozorne aż strach! Ale mimo to z tymi obdartusami jest mój wuj w najściślejszej zażyłości i w wytartym, znoszonym odzieniu są mu one miłsze i droższe aniżeli inne, sztywne i eleganckie tomy.

Z tamtymi jest na stopie etykietalnej, z tymi, jak z dobrymi przyjaciółmi, obcuje bez ceremonii i szczerze.

I tak jak ludzie, niejedna z owych niepozornych, bibulastych książek wartością stokroć przewyższa okazałe dzieła, drukowane na welinie²⁷, a oprawne w safiany²⁸ i złoto.

Ale miałem was zapoznać z towarzystwem wuja, a zabawiam się filozofowaniem!

Otóż zaczynam od górnej półki, na której spoczywa siedmiotomowe dzieło Meigena²⁹ o muchach europejskich. Rozglądałem się pewnego razu w tym dziele, opisującym mnóstwo gatunków much leśnych, polnych i ogrodowych, ale pomimo złudnych pozorów gruntowności znalazłem³⁰ je wielce niedokładnym.

Pojmiecie łatwo, szanowni czytelnicy, moje zgorszenie, gdym spostrzegł, że ten niby wyczerpujący autor ani słówkiem nie wspomniał o muchach zamieszkujących nosy i noski ludzkie, których (much ma się rozumieć, nie zaś nosów) jest przecież niemała ilość na świecie. Gruntowne studium nad tą kategorią much byłoby ze wszech miar ciekawe i pouczające.

Obok tej monografii stoi na półce inna powaga w kwestii much. Jest to praca Schinera. Jakkolwiek prócz tych dwóch znakomitych autorów pisało o muchach jeszcze bardzo wielu innych przyrodników (nie obawiając się przesady, powiem, że przynajmniej było

Książka

²⁴*O porównawczych badaniach nad gębą owadów* — jak można dawać podobne tytuły! Toż daleko ładniej brzmi nazwa: *O porównawczych badaniach nad buzią owadów*. [przypis autorski]

²⁵*łowiki* — jedna z rodzin muchówek. [przypis edytorski]

²⁶*one, zawsze cierpliwe i poważne* — nie zawsze tak bywa z żywymi. [przypis autorski]

²⁷*welin* — luksusowy papier, cienki i gładki a. skóra cielęca, dokładnie wyprawiona, używana dawniej do pisania lub druku. [przypis edytorski]

²⁸*safian* — barwiona miękka skóra kozła lub barania, używana do wyrobu drogiego obuwia, galanterii, opraw książek, obić mebli itp. [przypis edytorski]

²⁹*Meigen, Johann Wilhelm* (1764–1845) — niemiecki entomolog, autor pionierskich prac o muchówkach, m.in. 7-tomowego systematycznego opisu europejskich owadów dwuskrzydłych: *Systematische Beschreibung der bekannten europäischen zweiflügeligen Insekten* (1818–1838). [przypis edytorski]

³⁰*znaleźć coś jakimś* (daw.) — zobaczyć, że coś jest jakieś; uznać coś za jakieś; ocenić jako. [przypis edytorski]

ich paruset, a z dzieł ich można by złożyć bardzo okazałą bibliotekę), to jednak, rzecz szczególna, wszyscy zostawili odłogiem najwdzięczniejszą gałąź dipterologii i żaden nie dotknął nawet słówkiem kategorii dwuskrzydłych pasożytów nosa.

Powinniśmy wszakże spodziewać się, spoglądając na dowody niewyczerpanej energii, jaką ujawniają koledzy mego wuja w poszukiwaniu nowych gatunków, że niezadługo uda się im wyjaśnić tajemniczą kwestię: dlaczego wspomniane muchy najchętniej gnieźdzą się w mniejszych noskach, gdy przecież wygodniej i przestronniej by im było lokować się w dużych nosach. Przydałoby się także myślącemu ogółowi wyjaśnienie zagadkowego faktu: dlaczego przedkładają one zgrabne noski nad brzydkie? Czyżby muchy znały się na estetyce, i to w ludzkim jej pojmowaniu? Są to, jak widzicie, czytelnicy, bardzo interesujące pytania, porzućmy jednak, jako nieentomologowie, tyle ciekawe, ale zarazem specjalne kwestie i wracajmy do biblioteki, której przegląd jeszcze nieskończony.

Ze wspomnianymi dziełami sąsiaduje dziewięciotomowa monografia Hahna³¹, zajmująca się stworzeniami nader znienawidzonymi przez człowieka. Z powodu samej nazwy ciąży na nich taka niełaska estetyków, że obawiam się piorunów z ich Jowiszowej³² ręki za wymówienie samego nazwiska, sprawiającego niemiłe wrażenie nie tylko na filozofach, ale i na gospoiach miłujących schludność i spokój, a przede wszystkim spokój podczas snu.

Domyślacie się zapewne, że chcę wspomnieć o... pluskwach (przepraszam za wyrażenie!). Nie potrzebuję chyba dodawać, że mam na myśli tylko te dyskretnie stworzonka, które przepędzają żywot swój z dala od siedzib ludzkich i zadowolają się podziwianiem cudów bożych, szczerze rozsianych wśród pól i lasów.

Co się tyczy zwierzątka pobudzającego ród ludzki do... porządku, stanowi ono tylko jeden rodzaj w tym licznym pokoleniu³³. Jest to gatunek najskąpiej we wdzięku uposażony, prawdziwy rodzaj pariasa³⁴. Nie mogąc widocznie dobić się wśród swoich żadnego uznania, a nie chcąc cierpieć wzdury od współbraci, powziął niepraktyczną myśl oddania się pod opiekuncze skrzydła ludzi. Trafił jednak zapewne z deszczu pod rynnę, boć³⁵ trudno nazwać żywot pluskwy domowej wesołym. Powymyślano dla niej mnóstwo środków „ekspulsyjnych”³⁶ i w proszkach, płynach, torturach, a nawet pod... pantoflem codziennie miliony ich giną śmiercią męczeńską. Na pochwałę pluskwy trzeba jednak dodać, że mimo najsroższych prześladowań reszta mężnie, a nawet z podwojoną ostrożnością broni siedzib, w których od prababek wiecie swój ciężki żywot, pełen zdrad i walki.

Obok tylko co wyliczonych klasyków przyrodoznawstwa rozpiera się wspaniałe dzieło Toussaint de Charpentiera³⁷, zawierające opisy i wizerunki ważek, łutek i panien³⁸, nadobnych³⁹ mieszkanki brzegów strumieni i rzek.

Prawdziwe to boginki, nimfy i rusalki⁴⁰, o tyle nadobne, o ile drapieżne.

Niżej błyszczą złotymi literami na bieluchnej cięłej skórze siedemnaście razy wybite na tyłuż tomach imię głośnego de Candolle’a⁴¹. Tomy te zawierają treściwe opisanie stu

³¹Hahn, Carl Wilhelm (1786–1835) — niemiecki przyrodnik; autor pierwszej niemieckiej monografii poświęconej pająkom oraz m.in. pierwszych trzech tomów monografii *Die Wanzenartigen Insecten*, poświęconej pluskwiakom, której kolejne sześć tomów opublikował Gottlieb August Wilhelm Herrich-Schäffer (1799–1874). [przypis edytorski]

³²Jowisz (mit. rzym.) — najważniejszy z bogów, władca nieba, bogów i ludzi, pan piorunów, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

³³pokolenie — przen.: ród, szczepek, plemię; tu o pluskwiakach jako tworzących odrębny rząd (kategorię) owadów. [przypis edytorski]

³⁴parias — członek najniższej kasty w Indiach; przen. najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]

³⁵boć (daw.) — bo przecież. [przypis edytorski]

³⁶ekspulsja (z łac.) — wyrzucenie, usunięcie z posiadłości. [przypis edytorski]

³⁷Charpentier, Charpentier von (1779–1847) — niemiecki geolog i entomolog; autor książki *Libellulinae europaeae descriptae et depictae* (Opisy i wizerunki ważek europejskich, 1840). [przypis edytorski]

³⁸ważki, łutki i panny — różnego rodzaju ważki; łutki to ważki równoskrzydłe, które w spoczynku trzymają skrzydła złożone wzdłuż ciała lub uniesione do góry, w odróżnieniu od tzw. dawniej ważek właściwych, różnoskrzydłych, które mają cały czas rozpostarte skrzydła; pannami nazywano żyjące nad wodami pływające równoskrzydłe ważki świtezianki, o dużych, gęsto użyłkowanych, metalicznie lśniących skrzydłach, zwykle zielonych lub granatowych. [przypis edytorski]

³⁹nadobny (daw.) — powabny, urodziwy. [przypis edytorski]

⁴⁰nimfy i rusalki — mityczne boginki wodne. [przypis edytorski]

⁴¹Candolle, Augustin Pyramus de (1778–1841) — botanik szwajcarski; twórca jednego z pierwszych systemów naturalnych klasyfikacji roślin; autor pierwszych 7 tomów dzieła *Prodromus systematis naturalis regni vegetabilis*,

pięćdziesięciu tysięcy roślin całego świata. Szkoda, że po łacinie, bo można by tę lekturę polecić cierpiącym na bezsenność. Z pewnością pozamykano by fabryki morfiny⁴² i niektóre teatry, gdyby książka ta była dla ogółu dostępna.

Usypiające to dzieło sąsiaduje z tomami, na których czytamy imiona Réaumura⁴³, Burmeistra⁴⁴, Latreille'a⁴⁵ i innych najznakomitszych entomologów. O każdym z nich dałoby się tyle przynajmniej powiedzieć, co się pisze o nowej farsie lub komedii, ale ponieważ czytanie sprawozdań z dzieł uczonych jest rzeczą niemożliwą, pewno by niektórzy z mych czytelników, jak od de Candolle'a, zasnęli, odłożę więc ten przedmiot do czasów, gdy zasypianie nad naukowymi sprawozdaniami stanie się modnym sportem.

Nie chcę już nużyć swoich czytelników wyliczaniem zawartości drugiej szafy, bo pełna jest cienkich i suchych broszurek. Są to najważniejsze monografie⁴⁶ entomologiczne. Nie ma tak błahego pozornie przedmiotu, którego by nie dotknęły obszernie pióra zoologów. Dają oni w traktatach swoich dowody takiej cierpliwości z jednej strony, a przenikliwości z drugiej, że mogliby zająć wśród powag śledczych najpierwsze stanowiska.

Trzecia i ostatnia szafa mieści czasopisma i tygodniki. „Benchty”, „Bulletiny” i „Memoiry” najrozmaitszych akademii i uczonych towarzystw znajdują się tu w dziwnie przykładnej, bo milczącej zgodzie. Z ich pomocą dr Muchołapski, nie ruszając się z pracowni, wie, co się dzieje w świecie naukowym, z taką samą dokładnością, z jaką każdy prenumerator kurierów powiadamiany bywa o najświeższych połamaniach nóg i rąk, o pożarach, pobiciach itp. najciekawszych wydarzeniach świata.

Te ostatnie, jako żywotniejsze, słusznie bliżej nas obchodzą, tłumaczyć też nie trzeba, co za olbrzymie korzyści z karmienia się podobną „lekturą” spływają na ludzkość w ogólności, a na małoletnich w szczególności.

Nie trzeba dowodzić, jak potężnie rozwijają się młodociane serca i umysły na kronice spraw kryminalnych, na rubryce „najbardziej skandalików” i „dowcipnych figlów” „rycerzy kunsztu” złodziejskiego, które podaje się zwykle czytelnikom w możliwie najbarwniejszej i lekkiej formie; jak kształci się ich styl na górnobrzmiących sprawozdaniach artystycznych, przepełnionych „ekspresjami”, „modulacjami”, „interpretacją” „egzekucjami”.

Zważywszy, ile milionów ludzi zaspokaja duchowe potrzeby w tej krynicy, dziwić się należy, że jeszcze i tak za dużo papieru zadrukowuje się sprawozdaniami i odczytami naukowymi, które powinny nazywać się raczej „nieczytami”, bo wszak ich żaden szanujący się mecenas prasy brukowej nie czytuje.

IV. MUZEUM. SMUTNA HISTORIA ŁOWIKA

Obejrzelśmy nieoszacowane skarby, jakie mieści biblioteka dr. Muchołapskiego.

Pozna je on z niej liczną menażerię kuli ziemskiej i dobrze mu z tym. Kto zaś chciałby łatwiejszym i przyjemniejszym sposobem zawrzeć znajomość z zoologią, może zwiedzać smutne lazarety⁴⁷ i domy katuszy, zwane „ogrodami zoologicznymi”. Tam oprócz widoku anemicznych małp, zakatarzonych lwów i zreumatyzmowanych lampartów może napać się wonią wcale nieprzypominającą dziewiczych lasów podzwrotnikowych. Wuj mój z politowaniem odzywa się o tych szpitalach i nie bywa w nich wcale.

Jego ogrodem zoologicznym jest kraj nasz cały, a gdzie stąpnie, może obserwować najrozmaitsze i najciekawsze zwierzęta na wolności.

którego kolejne 10 tomów wydał jego syn *Alphonse Pyramus de Candolle* (1806–1893), również botanik. [przypis edytorski]

⁴²*morfina* — psychoaktywna, odurzająca i uzależniająca substancja pochodząca z opium, wysuszonego soku maku lekarskiego; dawniej wykorzystywana jako środek nasenny, obecnie stosowana jako silny środek przeciwbólowy. [przypis edytorski]

⁴³*Réaumur, René Antoine Ferchault de* (1683–1757) — francuski fizyk i przyrodnik, pionier entomologii. [przypis edytorski]

⁴⁴*Burmeister, Hermann* (1807–1892) — niemiecki zoolog i entomolog. [przypis edytorski]

⁴⁵*Latreille, Pierre-André* (1762–1833) — francuski entomolog i arachnolog (badacz pajaków). [przypis edytorski]

⁴⁶*monografia* — praca naukowa omawiająca jedno zagadnienie. [przypis edytorski]

⁴⁷*lazaret* (daw.) — szpital polowy. [przypis edytorski]

Ma on przy tym w swym pokoju coś lepszego niż szpitale zoologiczne, bo prawdziwy cmentarz, nie gorzej pewno utrzymywany od katakumb⁴⁸ paryskich.

Cmentarz ten, założony przez wuja, droższy mu jest od biblioteki może dlatego, że zajmuje w nim wszystkie posady, poczynając od grabarza, a kończąc na nagrobkarzu. Co więcej, był nawet głównym medykiem wszystkich lokatorów wspomnianych katakumb. Sądzę, że najznakomitszy nawet lekarz, gdyby zbierał wszystkich pacjentów, którym ułatwił wyemigrowanie z tego padolu nędzy doczesnej, jeszcze by nie zdołał zgromadzić tak okazałej kolekcji.

Nieduża szafa mieści na swych półkach przeszło 20 000 owadów, schwytanych, zabitych i upozowanych własną doktora ręką.

Dwadzieścia tysięcy egzemplarzy! Ileż to pracy i czasu pochłonęło samo zgromadzenie takiej liczby!

Ale igraszką jest chwytanie, mordowanie i przenoszenie do zbioru wobec trudności rozpoznawania zdobyczy. Dr Muchołapski, przyjmując nowego gościa do swego zbioru, pragnie poznać jego imię i nazwisko, ale że biedne owadki obywają się bez biletów wizytowych, trudno więc idzie z przedstawieniem się gospodarzowi. Filozof nasz jest jednak wyrozumiały; bierze po kolei każdego lub każdą pod lupę, a niekiedy pod mikroskop, i po mozolnej pracy, trwającej czasem kilka godzin, odszukuje imię gościa przy pomocy ksiąg genealogicznych, których pełna jest jego biblioteka.

A iżby nadal go nie zapomniał, zapisuje je na kartce zdobiącej szpilkę, na której tkwi lokator jego muzeum. W ten sposób zameldowani goście, wśród których znajdzie się wielu dygnitarzy owadziego świata, są, przyznacie sami, miłsi i drożsi od niemeldowanych. Muzeum doktora posiada i tych ostatnich sporą ilość, a są to wszystko niedawno pomordowane osobniki, z którymi jeszcze nasz zoolog nie miał czasu zawrzeć bliższej znajomości. Mieszczą się one w osobnych pudłach, pomieszczone bez względu na dostojność i pochodzenie. W tym miejscu czasowego spoczynku oczekują cierpliwie na... sąd szczegółowy, po którym każdy z nieboszczyków przenosi się, stosownie do zapadłego wyroku, z grobu jeneralnego⁴⁹ do grobów rodzinnych, a tam już stałe otrzymuje pomieszczenie.

Niekiedy, ale to bardzo rzadko, zdarza się, że badany co do imienia i nazwiska owad nosi cechy niezgadające się z żadnym rysopisem. Gorliwość w poszukiwaniach mego wuja rośnie wtedy w zastraszający sposób. Gorączkowo przegląda wszystkie rodowody i metryki owadzie, a jeśli mimo wszelkich starań pomyślnym skutkiem nie zdołał uwieńczyć poszukiwań, dochodzi do przekonania, że obserwowany owad nie ma dotąd metryki. Wtedy oblicze szanownego męża rozjaśnia się niebiańskim blaskiem, a z całej jego postaci bije uroczysty nastrój; czuje on, że mu przypada w udziale zaszczyt zostania ojcem chrzestnym nowego gatunku!

Dnie uwieńczone podobnymi rezultatami należą do najszczęśliwszych w życiu każdego faunisty. Tylko prawdziwi ojcowie zdolni są odczuć radość i dumę, jaka rozsadza w tak uroczystych chwilach pierś zoologa.

Sama myśl, że ma prawo nazwać jakim mu się spodoba imieniem nowo narodzony dla wiedzy nabytek, zdolna jest spędzić sen z najbardziej znużonych powiek. Jeżeli dodamy do tego okoliczność, że jako ojciec chrzestny uwiecznia przy nowym imieniu owada własne jeszcze nazwisko, nie będziemy się dziwili gorliwości systematyków w zdobywaniu dla wiedzy coraz to nowych, nieznanych dotąd gatunków.

Nawiasem dodam, że jeśli tak dalej pójdzie, jak szło dotąd, liczba gatunków za lat dziesięć podwoi się, za dwadzieścia potroi, a za sto lat, kto wie — może tyle będzie już gatunków, ile osobników?!...

Wuja mego namiętność do ojcowania owadom drożej raz kosztowała, niż to przypuszczać mogą piękne czytelniczki moje.

⁴⁸*katakumby* — system połączonych ze sobą podziemnych korytarzy z wnękami lub komorami grobowymi, pełniący funkcję cmentarza; *katakumby paryskie* to rozległa sieć podziemnych korytarzy w Paryżu, w dawnych kamieniołomach, do których w XVIII w. przeniesiono zwłoki ekshumowane z paryskich cmentarzy; w XIX w. mieszkańcy miasta często odwiedzali katakumby, ob. częściowo dostępne dla turystów. [przypis edytorski]

⁴⁹*jeneralny* (daw.) — generalny; ogólny, powszechny. [przypis edytorski]

Było to już dawno, ja tego nie pamiętam; wuj zachowuje o tej epoce głębokie milczenie, ale są dobrzy ludzie, co pamiętają wypadek, po którym wstręt do łowików (*Asilidae*) pozostał wujowi na całe życie.

Doktor Muchołapski studiował przed laty z młodzieńczym zapałem tę rozbójniczą rodzinę much. Nie było wówczas dla niego ani bąkowatych (*Tabanidae*), ani bujankowatych (*Bombyliidae*), ani kobyliczek (*Rhagionidae*); za nic miał wszystkie długorożkowe muchy, zwane komarami, a także krótkorożkowe (*Brachycera*)⁵⁰, stanowiące razem ogromną rodzinę much właściwych. Dla niego istniały tylko drapieżne muchy o wysmukłych ciałach i bystrym locie, posiadające prócz wielkiej siły potężnie rozwinięte tylne nogi, którymi chwytają w powietrzu inne muchy oraz owady i żywią się ich sokami.

Poza dwuskrzydłymi rozbójnikami z tej rodziny wuj mój nic w lesie i przy drogach nie widział, na żadnego by najzwinniejszego bekasika (*Rhampomyia*)⁵¹ i wujka (*Empis*) nie spojrzał.

Mogła mu nawet śliczna garbatka (*Hoplocyrtoma*), o karmazynowych oczach, porwać sprzed nosa choćby piękną hemileę (*Hemilea dimidiata*) — rzadki bardzo gatunek much, jakiego nie miał dotąd w zbiorach — obie nie obchodziły go zupełnie. Dopiero gdy pojawił się zuchwały jaki żbiczek (*Dasygogon*)⁵², albo chudzik (*Leptogaster*)⁵³, dr Muchołapski ścigał go zapamiętale dopóty, dopóki nie schwycił zucha i nie obejrzał z bliska, co za jeden. Jeśli to był pospolity śmiertelnik, puszczał go na wolność, skoro zaś zdobył rzadko przytrafiający się okaz, wracał z tak rozpromienioną twarzą do domu, że przechodnie na ulicy widząc go, zapytywali: „Azali⁵⁴ to nie ten, co wygrał główny los w ostatnim ciągnięciu?”.

Choć całą myślą zatopiony w krainie much, miał jednak dr Muchołapski serce i był młody.

Serce to zabiło raz żywiej nie do rozbójki włochatej (*Laphria gibbosa*)⁵⁵, ale do ślicznej dwurękiej istotki, która nawzajem nieobojętnym rzuciła oczkiem na młodego naturalistę⁵⁶.

Pomimo perswazji znajomych, zapewniających, że żaden naturalista, zakochany w muchach lub motylach, nie może być dobrym mężem, przyszło do porozumienia. Oznaczono dzień ślubu, ukończono przygotowania i wszystko poszłooby zwykłym trybem, gdyby między dwoje zakochanych nie wmieszał się piękny łowik.

Marna mucha zerwała małżeństwo, a jak to się stało — w trzech słowach opowiem.

Dzień, w którym nasz naturalista miał poprowadzić do ołtarza piękną narzeczoną, był jasny, pogodny i bezwietrzny. Zupełnie taki, jakiego było potrzeba do ekskursji⁵⁷ na muchy. Dr Muchołapski jednak, ubrany już we frak, nie myślał o dwuskrzydłych istotach. Pociągnięty jedynie śliczną pogodą i przyzwyczajeniem, postanowił ostatnią wolną godzinę spędzić w Łazienkach Królewskich⁵⁸. Idąc, rozmyślał nad szczęściem przyszłego pożycia, gdy naraz przed rozmarzonym wzrokiem jego mignęła się jakaś dwuskrzydła istotka. Spojrzał i stanął jak wryty. Miał przed sobą łowika, ale takiego łowika, jakiego jeszcze nigdy nie widział! Serce zabiło mu jak młotem. Zataił dech i zbliżył się do listka, chcąc dokładnie obejrzeć osobliwy okaz, tymczasem ostrożny owad, pozwoliwszy upewnić się, że jest rzeczywiście niezwykle gatunkiem, uleciał sobie na dalszą gałązkę. Nasz naturalista, nie tracąc go z oczu, zbliżył się na palcach, ale łowik, nie w ciemności widać bity, oddalił się w porę. Powtórzyło się to kilka razy i rozbawiona mucha zaprowadziła go na drugą stronę klombu. Przyrodnik tracił ją z oczu i odnajdywał ciągle i tak grali sobie w chowanego, a czas leciał i leciał. Nadeszła godzina ślubu, gdy łowik ulokował się

⁵⁰długorożkowe muchy (...) a także krótkorożkowe — obecnie: długorogie i krótkorogie lub długoczułkie (długoczułkowe) i krótkoczułkie (krótkoczułkowe). [przypis edytorski]

⁵¹bekasik (*Rhampomyia*) — obecnie: grabierka. [przypis edytorski]

⁵²żbiczek (*Dasygogon*) — obecnie: niżbik. [przypis edytorski]

⁵³chudzik (*Leptogaster*) — obecnie: schuda lub okrutniczka. [przypis edytorski]

⁵⁴azali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

⁵⁵rozbójka włochata (*Laphria gibbosa*) — obecnie: wierzchołówka włochata. [przypis edytorski]

⁵⁶naturalista (daw.) — badacz natury, przyrodnik. [przypis edytorski]

⁵⁷ekskursja (daw.) — wycieczka, wyprawa. [przypis edytorski]

⁵⁸Łazienki Królewskie — znany park warszawski, ulubione miejsce przechadzek; nazwa pochodzi od dawnego pawilonu Łaźni, zbudowanego na sztucznej wyspie na stawie, przebudowanego później na pałac. [przypis edytorski]

bardzo wysoko, tak wysoko, że aby go nie stracić z oczu, trzeba było wleźć na drzewo. Nie było czasu do namysłu.

Autor monografii łowików, lubo⁵⁹ we fraku, znalazł się na gałęzi i czołgając, zbliżał się jak tygrys do ofiary. Był cały wzruszony. Rozgrzany oporem, powiedział sobie, że muchę musi posiadać. Wobec takiej determinacji łowik z pewnością tragicznie by skończył, gdyby nie wmieszała się w całą sprawę „siła wyższa” w postaci brata narzeczonej.

Zaniepokojony nieobecnością pana młodego orszak wysłał gońców do mieszkania naturalisty, a tymczasem brat panny, który wypadkiem dowiedział się o jego spacerze w stronę Łazienek, udał się do parku, gdzie ślepy traf doprowadził go na miejsce łowów.

Tu, na widok przyszłego szwagierka, ulokowanego na stanowisku zupełnie nieodpowiednim ważności chwili, skamieniał z podziwu⁶⁰.

— A pan co tu robisz? — wykrzyknął zdumiony. — Wszyscy czekają, szukamy pana! „Także wybrał się w porę — pomyślał nasz bohater, nie spuszczać oczu z łowika. — Gotów mi spłoszyć zwierzynę!”

Pełen więc troski, dał ostrożny znak ręką, aby mu nie przeszkadzano, i kocim ruchem posunął się na wyższą gałąź.

Tego było za wiele dla osłupiałego druzby.

— Co pan, u diabła, robisz na tym drzewie? — zawołał.

— Ciszej, ciszej! — szeptał zapalony naturalista. — Ciszej, bo go pan spłoszysz...

— Kogo mam spłoszyć, u licha? — krzyknął młody człowiek, tracąc zimną krew. — Złazże co prędzej!

— Uważasz pan, spotkałem pysznego⁶¹ łowika, zaraz go uchwycę... — brzmiała przytłumiona odpowiedź — tylko nie krzycz pan tak głośno, bo mi ucieknie.

Brat panny młodej patetycznie załamał ręce i wzniosł oczy do nieba, jakby wzywał je na świadka.

— Narzeczone czeka i goście także, a ten jak małpa za robakami po drzewach łązi! — zawołał wreszcie, odzyskując zamarły z oburzenia głos.

— Zapominasz się pan! — odezwał się głos z góry. — Ja pracuję dla nauki i nie zrzeknę się tej służby za żadne skarby świata!

— Ależ nauka nauką, a tam moja siostra czeka; słyszysz pan?! — zawołał podniesionym głosem gorący młodzieniec.

— Powiedziałem, że w tej chwili nie zejść, a za małpę zdasz mi pan rachunek! — rzucił mu rozogniony dr Muchołąpski i utkwiał na nowo wzrok w łowika.

Na takie *dictum*⁶² niedoszły szwagierek uniósł się jeszcze większym gniewem, ale i to nie poskutkowało. Doprowadzony do ostateczności przyszedł szwagier nazwał Muchołąpskiego skończonym wariatem i zaklął się na honor, że siostra nie zniesie podobnego lekceważenia, że od dawna cała familia⁶³ i on sam odradzali jej związek z podobnym idiotą, a następnie, nie czekając odpowiedzi, pobiegł rozwścieczony w stronę miasta.

W czasie tej awantury łowik, zgorszony widocznie tonem dyskusji, dyskretnie przeniósł się na inne drzewo. Koniec końcem nasz bohater łowika nie schwytał, prędko przytomniał i przybiegł do kościoła w podartym fraku, ale po to jedynie, aby się dowiedzieć, że rozjechano się i ślubu nie będzie. Od progu zaś narzeczonej odprawiono go oświadczeniem, że panna spazmuje i widzieć go nie chce, rodzice zaś radzą, aby skandaliczne zerwanie małżeństwa na drugi raz lepiej umiał upozorować niż polowaniem na łowika. W dodatku brat panny za despekt⁶⁴ wyrządzony jego rodzinie wyzwiał zoologa na rękę⁶⁵ i o mały włos nie zabił. Przeciął mu żyłę nad ramieniem.

Biedny męczennik nauki srodze odczuł zawód miłosny, jaki w niego ugodził, i po sąsiedztwie o nędzną komedię; ale zbyt dumny, aby to okazać, wyrzucił tylko łowiki ze zbiorów, wyjechał za granicę na lat kilka, przebolewał i wrócił, postanawiając nigdy się nie żenić.

⁵⁹lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

⁶⁰podziw (daw.) — zdziwienie, zdumienie; dziś: zachwyt, uznanie. [przypis edytorski]

⁶¹pyszny — tu: wspaniały. [przypis edytorski]

⁶²dictum (łac.) — stwierdzenie, wypowiedź. [przypis edytorski]

⁶³familia (z łac.) — rodzina. [przypis edytorski]

⁶⁴despekt (daw.) — obraza. [przypis edytorski]

⁶⁵wyzwać na rękę (daw.) — wyzwać na pojedynek. [przypis edytorski]

„Dwóm ideałom służyć nie można” — powiedział sobie i oddał się niepodzielnemu entomologii.

Od tego czasu sporo lat upłynęło.

Stał się sławny, odkrył ze sto gatunków much, ale rana, choć zabliźniona, odzywa się niekiedy. Wtedy zagorzały naturalista traci zapal, który go ożywia, posępnieje, czoło jego okrywa się fałdami, a tęskne oczy, wpatrzone gdzieś w dal, ścigają różowe obrazy przeszłości...

V. SKUTKI WYRZUTÓW SUMIENIA

Ilekoć wuj dowiadywał się o odkrytych przez swych kolegów nowych gatunkach, tyle razy tęsknym wzrokiem obejmował swoje pudełko, zawierające niedeterminowane⁶⁶ jeszcze okazy, i wzdychał głęboko. Twierdził, że do robienia odkryć trzeba mieć specjalne szczęście, jak do wygrywania w loterię, a tego szczęścia niebo mu odmówiło. Zaledwie kiedy niekiedy uda mu się odkryć mizerny gatunczek, gdy mniej pracowici koledzy liczą nowe zdobycze na setki. W takim nastroju ducha z najwyższym zapałem przegląda nowe zdobycze, bo ktoś wie, czy nie kryją osobliwości, jakie nową chwałą mogą opromienić imię Muchołapskiego.

Pomimo że może się to dziwne wydać, muszę wyznać, że przyczyniłem się i ja do wzbogacenia zbiorów wuja, a tym samym powiększenia zoologicznych jego nadziei.

Stało się to tak:

Powróciwszy w tym roku z krótkiej wycieczki do Zakopanego, przywiozłem wujowi w upominku pudełko własnoręcznie zebranych owadów, owoc paru zoologicznych wycieczek w uroczę zakątki tatrzańskie. Nie sądzicie, abym uczynił to z podejrzaną chętką przypodobania się wujowi. Broń Boże! Pobudki moje były czyste, chciałem jedynie wymazać z pamięci przykrości, jakie sprawiałem chłodnym traktowaniem gorących jego zapalów.

Pocziwiec nie domyślał się, na jak opoczysty⁶⁷ grunt padają ziarna jego wymowy, i nieraz w chwili, gdy mniemał, że mnie olśnił i rozgrzał, gdy zdawało mu się, że zwyciężony padnę w jego objęcia, wołając: „Wuju, bądź moim mistrzem!” — przerywałem milczenie tak prozaicznym zarzutem, iż wuj, osłupiały, tracił z oburzenia mowę i załamywał ręce.

Przyznaję, że żal mi się potem robiło wyrządzonej mu przykrości, że w końcu sprawdziło się na mnie przysłowie o dzbanie i o uchu.

Tknięty wyrzutami sumienia, postanowiłem choć w części wynagrodzić wujowi doznane zawody, a sposobność prędko się nadarzyła.

Z chwilą gdy wuj dowiedział się, że wyjeżdżam w końcu maja do Zakopanego, wręczył mi śliczną siateczkę do łapania owadów i pudełko z przyborami do konserwowania, prosząc o przywiezienie choćby najmniejszej kolekcji much. Prośbę swą poparł racją, że z tak wczesnej pory much tatrzańskich jeszcze nie posiada.

Bez wahania przyjąłem godło zoologa, ani domyślając się wtedy, jak niezwykle następstwa mieć będzie moja ofiara, co za awantury wywoła i że narazi kochanego wujaszka na niebezpieczeństwo utraty życia.

Tak jest! Nad dr. Muchołapskim zawisło szczególne fatum⁶⁸ entomologiczne. Niegdyś łowik pozbawił go narzeczonej, tym razem znowu inna mucha wtrąciła go w tarapaty, z których cudem tylko wyszedł cało.

Ale nie uprzedzajmy wypadków i wracajmy do rzeczy.

Nigdy nie zapomnę radości, jaką sprawił wujowi skromny mój dar. Przyjmując pudełko z muchami, pocziwiec z niedowierzaniem spoglądał kolejno to na mnie, to na podarunek, jaki trzymał w ręku. Nie mógł uwierzyć, abym został nawrócony. Dopiero gdy otworzył pudło i dostrzegł jego zawartość, uściskał mnie gorąco i czule.

⁶⁶niedeterminowany (daw.) — tu: nieoznaczony, taki, którego jeszcze nie zidentyfikowano. [przypis edytorski]

⁶⁷opoczysty (daw.) — skalisty, kamienisty; od *opoka*, tj. skała. [przypis edytorski]

⁶⁸fatum (łac.) — przeznaczenie, los; nieubłagana, tajemnicza siła wyznaczająca z góry bieg wydarzeń, szczególnie jako przynosząca nieszczęście. [przypis edytorski]

— Dziękuję ci serdecznie za twoją ofiarę, złożoną na ołtarzu wiedzy! — przemówił drżącym ze wzruszenia głosem. — Sprawileś mi wielką i bardzo przyjemną niespodziankę.

Potem włożył na nos okulary i począł się owadom uważnie przyglądać. Snadź⁶⁹ przegląd wypadł pomyślnie, bo oko wuja zabłysnęło wesołym ogniem.

— Brawo, mój chłopcze! — zawołał. — Widzę, że będziesz kiedyś tęgim⁷⁰ entomologiem; spisuj się tak dalej, a zostaniesz chlubą naturalistów.

Szczegółowe oględziny ofiar miały nastąpić w najbliższej przyszłości. Tymczasem wuj ograniczył się do skonstatowania⁷¹, że wszystkie były wzorowo nakłute i wybornie przewiezione! Jeden tylko egzemplarz, z połamanymi nóżkami, sfałdował zmarszczką niezadowolona rozjaśnione czoło uczonego, a inny, z mocno uszkodzonym gorsetem⁷², wywołał nawet okrzyk zgromy.

— Tej muchy już nigdy nie zdeterminuję! — zawołał z żalem. — Zatarłeś najważniejszą jej cechę, gorset ma zupełnie zgnieciony!

Doprawdy, gdybym sto razy przyglądał się tej kalece, jeszcze bym nie zauważył swej niezręczności. Zbyt mało mnie muchy i ich gorsy obchodzą.

Nie potrzebuję zapewniać, że pochwały wuja sownie wynagrodziły mi przykrości, jakich doświadczyłem, znajdując się w upokarzającej roli „myśliwego na owady”.

Gdyby to można było wybierać się na motyle i muchy z fuzją i torbą myśliwską przy boku, o! chodziłbym z przyjemnością dni całe i nosiłbym głowę wysoko. Nie unikałbym spotkań ze znajomymi, jak to czyniłem, uzbrojony jedynie w zieloną siatkę osadzoną na kijku długim jak *Potop* Sienkiewicza.

Ale gdym wędrował z saczkiem⁷³, powiewającym niby chorągiewką ulicznika za każdym podmuchem wiatru, zdawało mi się, że góry śmieją się ze mnie, że mi urągają wiatr, drzewa i cała przyroda. Rumieniłem się, spotykając pocziwych górali i tych wszystkich, co mi z dziwnym uśmiechem życzyli obfitego połowu. Co bym ja wtedy dał za to, aby tych faryzeuszów⁷⁴ przynajmniej osy dotykalnie przekonały, że i one coś znaczą w gospodarstwie natury!

*

Skromny dar zjednał mi na nowo życzliwość wuja i stał się zaczynem przyjaźni i serdeczności.

W ciągu kilku dni wujaszek nagle aż do zbytku spoufalił się ze mną, a co gorsza, począł mnie traktować jak swego kolegę.

Poufalskość zagorzałego naturalisty nie należy wcale do tak miłych rzeczy, jak się na pozór wydawać może, bo wobec kolegów uczony wuj łatwo wpada w zapal oratorski, a gdy znajdzie się w tak miłym usposobieniu, najlepiej wtedy ratować się ucieczką.

Wypróbowałem już na sobie potęgę jego słowa i wierzajcie mi, że tylko silnej kompleksji⁷⁵ zawdzięczam szczęście, że mogę porozmawiać z wami, obywając się bez pomocy mediów⁷⁶, spirytystycznych ekier i wirujących stolików. Mimo to, ilekroć zastaję wuja w zapale, lękam się zawsze o swoje nerwy, parę razy bowiem zdarzało się, żem wychodził z gabinetu na wpół żywy, z bólem głowy zakrawającym na migrenę i ze wzrokiem tak obłąkanym, jaki się spotyka chyba u wracających z deklamacyjno-muzycznych rautów.

Wirowały mi w głowie kołatki (*Anobium*) i różne inne sześciogonie potworki. Pamiętam, że szybki jedynie ratunek, jaki sobie zaordynowałem (bo ja się znam i na medycynie praktycznej), kupując bilet na operetkę, przyprowadzał do równowagi mój umysł prawdziwie skołatany.

⁶⁹snadź (daw., gw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

⁷⁰tęgi (daw.) — mocny, dzielny, dobry w swojej dziedzinie. [przypis edytorski]

⁷¹konstatować — stwierdzać jakiś fakt. [przypis edytorski]

⁷²gorset (biol.) — ciało muchy składa się z głowy, gorsetu [tj. tułowia] i odwłoka. Nóżki wyrastają z gorsetu. [przypis autorski]

⁷³saczek (daw.) — mały sak, woreczek. [przypis edytorski]

⁷⁴faryzeusz — członek staroż. żydowskiego stronnictwa polityczno-religijnego; przen.: obłudnik. [przypis edytorski]

⁷⁵kompleksja (daw.) — budowa ciała; konstrukcja psychiczna. [przypis edytorski]

⁷⁶medium — osoba pośrednicząca w rozmowie z duchami a. przywołująca je. [przypis edytorski]

Wypadek ten nauczył mnie na przyszłość ostrożności w obcowaniu z wujem i odtąd, skoro ujrzę wuja w kaznodziejskim nastroju (a poznać to po nim łatwo), wymykam się przerażony, ani minuty nie zwłóczęc.

VI. NIEZNANA MUCHA. ZAPĄŁ WUJA. TAJEMNICZA KRUSZYŃKA

Pewnego dnia, a było to w kilka dni po zawarciu nowego przymierza, zastałem wuja strasznie rozpromienionego. Cofnąłem się do drzwi w nadziei, że jeszcze znajdę ocalenie, ale zabrzmiało mi nad uchem powitanie:

— Jak się masz, drogi Jasiu! Doskonale, że przybywasz. Siadaj, pogadamy!

To „pogadamy”, wiedziałem, jak ocenić.

— Witasz mnie, wuju, jakby po kilkuletniej rozłące lub jakbym przybywał prosto z krateru wybuchającego Wezuwiusza.

— Ależ bynajmniej! Witam cię tylko jako swego dobroczyńcę. Przyjmij jeszcze raz, kochany chłopcze, moje podziękowanie.

I na policzki moje spadły ogniste pocałunki.

Stało się! Musiałem wysłuchać uroczystego podziękowania, niedobrze jeszcze rozumiejąc, za co mnie to szczęście spotyka.

— Jesteś dzieckiem szczęścia! — ciągnął dalej straszny wujaszek. — Wyobraź sobie, wziąłem się wczoraj do twoich owadów i zaraz na wstępie spotykam przepyszny okaz *Phthiria gaedii*! Pierwszorzędna rzadkość w naszym kraju! Wszyscy mi będą zazdrościli tej zdobyczy...

— Przyjemnie mi, kochany wuju, że mimo woli sprawiłem ci radość...

— Ale to jeszcze nie! — przerywa mi dr Muchołapski. — Słuchaj dalej i ciesz się wraz ze mną! Zaledwie się załatwiłem z phtirią, od razu zauważyłem w twym pudełku jakąś interesującą kobyliczkę. Na razie⁷⁷ zdawało mi się, że to będzie *Leptis tringaria*, kobyliczka rdzawa, ale po bliższym zbadaniu wiesz, co się okazało? Znalazłeś nowy, zupełnie nieznany gatunek!!! Postanowiłem go nazwać twym imieniem. Należy ci się to z prawa, bo komuż, jak nie tobie nauka zawdzięcza odkrycie!? Niech zaszczyt, jaki cię spotyka, stanie się zachętą do dalszych trudów na niwie⁷⁸ krajowego przyrodoznawstwa. Nie ustawaj na tej drodze, na którą cię sama Opatrzność popycha itd., itd.

Gdy już wypowiedziane zostało wszystko, co w tej materii dało się wypowiedzieć, wuj wziął mnie pod ramię i pociągnął do stolika, na którym stały flaszeczki i pudełka.

— Chodź zobaczyć swoją zdobycz! — wołał patetycznie. — Zdobycz, jaka uwieczni twoje nazwisko na kartach księgi wiedzy. Pierwszy twój debiut powiódł się znakomicie! Winszuję ci z przepełnionego radością serca i witam w tobie obiecującego przyrodnika.

— Co nie daj Boże, amen! — mruknąłem półgłosem, w przekonaniu, że wuj ukończył swoją przemowę.

Omyliłem się jednak, był to tylko mały przystanek w celu zacerpnięcia nowego zapasu sił, po czym, jak lokomotywa zaopatrzona w nowy zapas wody i węgla, sygnął iskrami wymowy...

Zrezygnowany na wszystko, nie przerywałem już i słuchałem w milczeniu wuja, który jak pochodnia na wietrze rozgorzał szlachetnym zapąłem. W toku przemowy postanowił mi okazać egzemplarz, który go tak ucieszył. Zrozumiałem, że niełatwo przyjdzie ugasić tę pochodnię, posłuszny więc, poszedłem obejrzeć nieszczęsną muchę, która odtąd miała nosić nazwisko swojego mordercy.

O ironio! Jakie czasem płatasz figle!

Lekkomyślny zabójca poczuł głębokie współczucie, ale zarazem i żal do ofiary, za-
tkniętej i zeszywniałej na szpilce.

„Czemużeś wleciała do mej siatki, nieszczęsna mucho?! Żyłas sobie spokojna, szczęśliwa i wesola. Żaden uczony i żaden pajak o tobie nie wiedział... a teraz! skończyły się piękne dni twoje... Staniesz się przedmiotem ciekawości i rozmów; wizerunek twój, jak złoczyńcy jakiego, rozesłą po szerokim świecie; będą cię mierzyli i oglądali; będą szukali

⁷⁷na razie — tu: początkowo, z początku. [przypis edytorski]

⁷⁸niwa — pole, ziemia uprawna; na niwie: przen., podniosłe: w dziedzinie (danej działalności ludzkiej). [przypis edytorski]

wszędzie, szpiegowali: czy i co jadasz, wiele i kiedy pijasz, co robisz, gdzie latasz — jednym słowem — zginęłaś, biedna mucho! Zatrują ci żywot, dotąd spokojny i cichy... I to ja, ja jestem mimowolnym sprawcą twego czarnego losu!...”

Wpadłem w ponurą zadumę.

Przypomni mi się nieszczęśliwy komar, którego tragiczny zgon tak wymownie opisał Brodziński⁷⁹:

Oj! gruchnęło w ciemnym borze:
Komar zleciał z dębu stary,
Krwi się nassał w nocnej porze,
Sen mu psuły widma, mary,
Na korzenie padł dębowe
I zgruchotał sobie głowę...

Ten komar nieszczęśliwy wydał mi się szczęśliwszy od mej biedaczki muchy. Przynajmniej się nassać mógł ciepłej krwi w nocnej porze, a ty, biedna, na czczo możesz poszła na pal.

Wreszcie do komara:

Mucha z chaty wyleciała,
Rzewnie nad nim zapłakała,

biadając:

Ach, komarze, kumie miły,
Gdzież cię zanieść do mogiły,
Twoją starość uszanować?...
.....
Oj, komarze nieboracze!
Któż nad tobą nie zapłacze?!

Po tak tkliwej i żalostnej przemowie mógł przynajmniej komar ostatnią swą wolę wygłosić. Rozporządził też uczciwie pogrzebem:

Zanieście mnie w las głęboki,
Tam wykopcie grób szeroki,
Na nim będą rósć szalwije,
Macierzanka go pokryje...

⁷⁹ Brodziński, Kazimierz (1791–1835) — polski poeta epoki preromantycznej, przedstawiciel sentymentalizmu; cytowany wiersz nosi tytuł *Zgon komara*. [przypis edytorski]

⁸⁰ *komar, którego tragiczny zgon tak wymownie opisał Brodziński* — naśladował on ludową piosenkę, bardzo powszechną w całym kraju i znaną w rozlicznych wersjach. W kaszubskiej wersji np. brzmi jak następuje:

Raz też komór z dębu spadł
Złamał sobie v łepku gnat,
Hej! hej! ha! ha! złamał sobje v łepku gnat.
Połamał i paluszkj — o dębowe koruszkj,
Hej! hej! ha! ha! o dębowe koruszkj.
Połamał też golenje, o dębowe korzenje,
Hej! hej! itd.
Dovjedzjała się mucha, że już komór bez ducha,
Przilecjała do niego. — pozdrovjła mjłego,
Hej! hej! itd.
Ach mój mjłi komorze — już nje będziem żyć w parze!
Hej! hej! itd.
I zalała się łzamj — nad kochanka mękamj.
Hej! hej! itd.
Ach nje płacze, sjostrziczko — zotrzymasz po mnje vszitko.
Hej! hej! itd.
Zotrzymasz po mnje rogi — także też i ostrogj.
Hej! hej! itd.

(Cenôva, *Sto frantovek*, s. 5). [przypis autorski]

I stało się, jak chciałeś, nieszczęsny komarze, ale ty, biedaczko!... Twoich zwłok ani macierzanka, ani żadne ziola nie pokryją...

Zatknięta na żelaznym drągu, będziesz za szkłem sromotnie wystawiona przez długie lata na ciekawe, a często bezmyślne spojrzenia ludzkie... gdy tyle milionów sióstr i braci twoich, uczciwie oraz zgodnie z waszymi zwyczajami i przeznaczeniem pochowanych, nie lęka się ciekawych i niedyskretnych spojrzeń.

Po tych refleksjach po głowie mojej poczęły chaotycznie krążyć czarne i szare myśli. Zadawałem sobie pytania: po co żyje na świecie tyle gatunków? Dlaczego ludzie zajmują się nimi i co to może być za przyjemność — zamiast bawić się — przepędzać pół życia na studiach w samotnym gabinecie, i to nad owadami?

Wszak jeśli już kto został mizantropem⁸¹ i stroni od rumianych i uśmiechniętych twarzy, mógłby sobie przynajmniej inaczej urozmaicać godziny samotności.

Dlatego na przykład mój wuj ugrzązł wśród much i nie zatęsknił do innego świata? Przecież warto choć kiedy niekiedy spojrzeć w niebo gwiaździste i zastanowić się nad tajemnicami niewidzialnych sił międzycząsteczkowych, magnetyzmu i elektryczności...

Wszak zagadek i cudów na każdym kroku pełno, a wszystkie wielkie, ciekawe i tajemnicze!...

Zakomunikowałem wujowi moje myśli.

— Oj, ty zapalona głowo — przerwał mi z uśmiechem. — Czyż nie wiesz, że aby dziś z pożytkiem dla nauki pracować, trzeba być specjalistą? Minęły czasy, gdy przyrodnik zajmował się całą naturą. Dziś nawet wśród zoologów jeden musi się poświęcać pająkom, drugi rakom, inny zajmuje się samymi węzami i tak dalej.

— Zlituj się, wuju! Ależ taki system to tortura! Suche badania w jednej dziedzinie mogą wykolejać tylko umysły i tworzyć owych rabinów, co to uczeni na Talmudzie⁸², są w życiu naiwni jak dzieci. Weźmy za przykład naukę o owadach. Czyż te nikłe stworzenia zasługują na tyle uwagi, ile im poświęcacie? Czy nie przeceniacie ważności tych istot?...

— Dosyć, dosyć! Wstrzymaj się, nieszczęsny, w swym krasomówczym zapędzie, bo cię unosi na manowce! — zawołał wuj, păsowiejąc z oburzenia. — Wątpisz, czy marny owadek spotkany na twojej ścieżce posiada jakieś znaczenie w gospodarstwie natury? Wątpisz, nieszczęsny, bo ci oczy zasłoniła szalona pycha i wielkość twoja, a raczej pięciopudowa⁸³ waga twego ciała; bo cię już niańka nauczyła brzydzić się i pogardzać nędnymi „robakami”. Lecz zrzuć bielmo z oczu swoich, porzuć wstręty i wniknij choć raz uważnie w objawy życia rozsianego po całej ziemi, a ogarnie cię zdumienie na widok potęgi, jakiej nie domyślałeś się w tych pogardzanych istotach. One są najgorliwszymi naszymi, choć źle płatnymi sługami. Zaledwie zwierzę jakie wydało ostatnie tchnienie, już całe legiony⁸⁴ tych stróży porządku publicznego pracują nad oczyszczeniem powietrza i nad śpiesznym usunięciem zgnilizny lepiej aniżeli cała sieć naszej tak długo wyczekiwanej kanalizacji⁸⁵. Gdy ta rola owadów nie wystarcza ci, dowiedz się, iż jest ona tysiäczną zaledwie częścią ważnej działalności owadziego społeczeństwa. Pomyśl, ilu ludzie mają wśród owadów przyjaciół, a ilu nieprzejednanych wrogów. I jedne, i drugie gospodarują wszechwładnie i nic prócz ślepych żywiołów nie umie im stawić czoła. Oto, gdzie się kończy osławiona nasza potęga! Jesteśmy tylko pyszałkowatym towarzystwem wzajemnej adoracji, które nareszcie uwierzyło w szumne pochwały, jakich sobie przez liczne wieki nie szczędziło!... Króle i Panowie Stworzenia — mówił dalej z zapalem — zabrońcież marnej filokserze⁸⁶ niszczyć korzonki krzewu winnego! Wszak tu chodzi o miliony, jakie corocznie na jej apetycie tracą właściciele winnic. Spróbujcie wytępić termyty! Wytrujcie w lasach wa-

⁸¹mizantrop — osoba czująca niechęć do ludzi, unikająca towarzystwa innych. [przypis edytorski]

⁸²Talmud — religijna księga żydowska, obszerne dzieło stanowiące podsumowanie doktrynalno-religijnego pobbiblijnego dorobku judaizmu. [przypis edytorski]

⁸³pud — dawna rosyjska jednostka wagi, równa ok. 16,5 kg; pięć pudów to ok. 82 kg. [przypis edytorski]

⁸⁴legion — podstawowa i największa jednostka taktyczna armii rzymskiej, licząca 5000–6000 żołnierzy; przen.: wielka liczba, mnóstwo ludzi lub innych istot. [przypis edytorski]

⁸⁵długo wyczekiwanej kanalizacji — do końcówki XIX w. nieczystości w Warszawie sphywały otwartymi rynsztokami; plan skanalizowania miasta prezydent Warszawy przedstawił mieszkańcom w roku 1879, a w 1886 zakończono budowę nowoczesnych wodociągów i kanalizacji. [przypis edytorski]

⁸⁶filoksera winiec (*Daktulosphaira vitifoliae*) — mszyca, groźny szkodnik winnic; ok. 1850–1860 przywieziona przypadkowo do Europy przez botaników z próbkami odpornych na nią winorośli amerykańskich, spowodowała wielkie zniszczenia w europejskich winoroślach. [przypis edytorski]

szych korniki, kołatki i pustosze! Wszak to mizerne owady tylko! Albo szarańcza! Samo jej imię wywołuje paniczny przestrah w mieszkańcach Azji i Afryki. Okrzyk „szarańcza!” znaczy „głód i morowe powietrze”. Gdzie padnie, tam jeden listek nie zostanie. Zostają tylko widmo głodowej śmierci i straszne wyziewy z gnijących pokładów martwej szarańczy...

— Ależ, kochany wuju, uspokój się. Nas, Europejczyków, ani termity, ani szarańcza nie napastują; znamy je zaledwie z rycin.

— To nasze wielkie szczęście, mój chłopcze, bo inaczej nie znajdowalibyśmy się bez wątpienia na dzisiejszym stopniu cywilizacji. Ale i bez niej inne gatunki owadów wyrządzają nam nieobliczalne szkody. W starej książce do nabożeństwa spotkałem raz wymowną suplikację⁸⁷: „Od Turka, owadów i robactwa leśnego zachowaj nas, Panie!”. Dziś, po trzech wiekach, przy całej wiedzy naszej na nic skuteczniejszego zdobyć się nie umiemy.

— Więc powiedzże mi, drogi wujaszku, na co się zda ludzkości twoja i twych kolegów wiedza? Co komu przyjdzie z waszych opisów i biegłości w rozpoznawaniu owadów?

Dr Mucholąpski uśmiechnął się, pokiwał głową i wyjął szufladkę z motylami.

— Oto, kochany chłopcze, dwa okazy — tu wskazał ręką na dwa niepozorne motylki. — Nieprawdą, że podobne są do siebie? Powiedziałbyś, że to jeden gatunek i tak rzeczywiście mniema większość ogrodników, a tymczasem jeden jest niewinnym motylkiem i żyje na chwastach, drugi niszczy ogroduwinę. Gdyby ogrodnik wiedział o tym, zawczasu by złemu zaradził, a że się nie uczył entomologii, więc gdy mu szkodnik pożre plony, mści się później na niewinnych ofiarach podobieństwa, pozwalając przez nieświadomość pierwszemu znów się mnożyć. Zbyt często człowiek bierze prawdziwych szkodników za niewinne stworzonka, tępiąc pożyteczne lub obojętne. My właśnie podpatrujemy naturę, poznajemy obyczaje owadów między innymi i w tym celu, aby znaleźć broń najskuteczniejszą przeciwko nieprzyjaciółom — bo tylko znając dokładnie wroga, możemy go pokonać lub uczynić nieszkodliwym. Iluż kosztownych pomyłek uniknęliby ziemianie⁸⁸, gdyby z naszej wiedzy umieli korzystać! Ileż szkodników dlatego tylko rozmnożyło się lub zaaklimatyzowało z innych krajów, bo nie odróżniano ich i nie tępiło, gdy były nieliczne. Przykładów mógłbym ci tysiące przytoczyć. Popołniają i popełniają błędy nie tylko prostaczki, ale nawet i koronowane głowy. Pewnego razu uwaga moja została zwrócona na kępki uschłej trawy, w których sterczały kije obwieszone szmatami dla odstraszenia ptactwa. Obejrzawszy trawę, spostrzegłem, że korzenie jej były zjedzone przez pędraki pewnego chrząszcza, a ptaki owadożerne przylatywały i wydobywając swą zdobycz, powyrywały tu i ówdzie kłaczki trawy. Poczciwe ptaszka za swe usługi zostały poczytane za przyczynę zła i mądry gospodarz postawił straszidła, aby nimi odpędzać swych najlepszych przyjaciół. Podobnego w skutkach czynu dopuścił się Fryderyk Wielki⁸⁹, który mniemał, że będąc szczęśliwym władcą, może swe kaprysy narzucać nawet przyrodzie. Jako wielki amator wiśni postanowił otoczyć opieką te owoce na piaskach Brandeburgii. W tym celu wydał rozkaz, aby łapano, strzelano i mordowano wróble, które zbyt często wyręczają właścicieli w konsumowaniu tych smakowitych owoców. Niszczono więc wróble z całą energią chciwości, bo rząd płacił za każdego po sześć fenigów⁹⁰. I cóż się okazało? Oto rząd stracił kilkanaście tysięcy talarów⁹¹, a w następstwie po ogrodach nie tylko wiśni, ale nawet listka nie zostało. Wszystko pożadały gąsienice. Fryderyk Wielki cofnął poniewczasie niefortunny rozkaz i musiał znów płacić za wróble, które z dalekich krajów sprowadzano. Odtąd nakazał je szanować. Zabawna ta historia doskonale ilustruje ludzką mądrość w poprawianiu urządzeń natury...

W taki to gorący sposób rozwodził się mój wuj nad pożytecznością najnudniejszej pod słońcem nauki i nad potęgą oraz wdziękami szkodliwych larw, chrząszczy, bąków i Bóg wie jakich skrzydlatych potworków. Deklamacja na ten miły temat ukolysała myśli moje bardzo prędko.

⁸⁷suplikacja — religijna pieśń błagalna. [przypis edytorski]

⁸⁸ziemianin — właściciel posiadłości ziemskiej. [przypis edytorski]

⁸⁹Fryderyk II Wielki (1712–1786) — król Prus (od 1740), które pod jego rządami stały się jednym z najpotężniejszych państw w Europie. [przypis edytorski]

⁹⁰fenig — dawny drobny pieniądz niemiecki o wartości 1/300 talara, a po zastąpieniu w 1873 talarów markami równy 1/100 marki. [przypis edytorski]

⁹¹talar — dawna duża srebrna moneta o stosunkowo dużej wartości. [przypis edytorski]

Przy towarzyszeniu miarowych słów wuja, niby przy szemraniu górskiego strumyka, popłynęły moje marzenia w świat daleki...

Myśli splątały się, znikł z oczu gabinet szanownego wuja, znikły muchy, znane i nieznanne, znikł wreszcie i świat cały...

Naraz zerwałem się. Nad uchem zabrzmiał mi głos dr. Muchołapskiego podniesiony do najwyższej potęgi.

— Szczęśliwy śpiochu! Dziś skończę przegląd twych owadów. Czuję, że w twoim rogu obfitości⁹² znajdują się jeszcze ciekawe rzeczy.

Z tymi słowy sięgnął wuj do pudełka, ponownie wyjmując i oglądając okazy.

„Cóż mnie to może obchodzić?” — pomyślałem, usiłując powrócić do zaczarowanego rajy marzeń. Nie chcąc wujowi przeszkadzać w zachwycaniu się wdziękami dwuskrzydłych ładnotek, połyśnic, pstroczek⁹³ i Bóg wie jakich tam rusalek, usadowiłem się, jak mogłem najwygodniej, do... marzeń; wtem o uszy moje obił się nowy okrzyk, tym razem okrzyk podziwu o niezwykle brzmieniu.

Spojrzałem na zapalonego muchołapa. Cała jego postać znamionowała teraz najwyższy stopień zdumienia, a drżąca ręka trzymała jakąś muchę zatknietą na szpilce.

„Masz tobie! — pomyślałem. — Pewno jakiś nieznany gatunek. Dziwne mam szczęście do owadów. Same osobliwości wpaszały się do mej siatki!”

Pytam o powód wzruszenia, ale żadnej nie otrzymuję odpowiedzi. Wuj jakby ogłuchł, skupiwszy całą duszę w zaiskrzonym wzroku.

— Co to jest? Co to jest?! — wołał, zmieniając co sekunda pozycję i obracając muchę na wszystkie strony.

Naraz pochwycił gorączkowym ruchem lupę i spojrzał przez szkło na zdobycz. Patrzał przez kilka sekund nieruchomo, potem wyprostował się jak automat, a szkło wypadło mu z bezwładnej ręki, rozbijając się z hałasem na posadzce.

Skamieniałem z podziwu. Musiało się stać coś nadzwyczajnego. Zerwałem się z wygodnego siedzenia i podbiegłem do wuja, który stał jak wryty.

— Słuchaj, Janku... — zawołał nagle, poczuwszy moje ramię — ja chyba zmysły postradałem!

— Ależ co znowu? — uspakajałem. — Nie trzeba się tak przejmować; siadaj, wuju, i proszę, opowiedz, co cię tak wzruszyło. Pewno nowy gatunek; to przecież dla wuja rzecz powszednia!

— Ależ nie... nie! Wcale nie to!... Popatrz ty sam, może ja się mylę!... — wołał, oddając mi szpilkę i wydobywając chustkę dla otarcia czoła.

Zal mi się zrobiło fanatyka wiedzy, więc wziąłem machinalnie szpilkę, myśląc, czym by uspokoić nagle rozdrażnienie, jakiemu zapewne uległ od zbytku pracy.

W tej samej jednak chwili przebiegła mi po głowie myśl, która mnie od razu uspokoiła.

Pewno mucha jest potworkiem! Niezawodnie ma dwie głowy albo cztery skrzydła... albo zamiast sześciu tylko cztery nóżki i to naszego przyrodnika tak szalenie wzruszyło. A może też sparaliżowało biedną muchę i wykręciło który członek w odwrotnym kierunku?! Wszak nie tylko ludzie cierpią na tym świecie. „Oj, ci naturaliści!” — pomyślałem, oglądając okaz, który pozbawił dzielnego wujaszka umysłowej równowagi. Szukałem jednak na próżno jakiegokolwiek nienormalności. Znam się przecież cokolwiek na naturalnych kształtach muszyc i wszystko znalazłem w porządku. Mucha była sobie jak setki innych.

— Janku, wszak dobry masz wzrok? — zawołał nagle dr Muchołapski. — Zaklinam cię, powiedz, czy nic nie dostrzegasz przy biodrze lewej nogi drugiej pary?

— Owszem, zauważyłem jakieś przylepione białe ziarenko.

— A więc to prawda! — podchwycił z gorączką wuj. — Więc i ty to widzisz?

— Widzę, ale cóż tu osobliwego?

— Jak to? I jeszcze pytasz? Przyjrzyj się lepiej i mów, co dostrzegasz, mów jak na spowiedzi, bo to przechodzi wszelkie pojęcie!...

Teraz zacząłem się serio obawiać o zdrowie kochanego wujaszka. Widocznie był nieprzytomny.

⁹²*róg obfitości* (fraz., książk.) — źródło niekończących się dóbr; w mit. gr.: odłamany róg kozy Amaltei, nieustannie napieniający się płodami ziemi, symbol niewyczerpanego źródła dostatku i dobrobytu. [przypis edytorski]

⁹³*ładnotki, połyśnice, pstroczki* — *Callicera, Psila, Ocyptera*. [przypis autorski]

„Otóż to skutki przeciążenia umysłowego — pomyślałem sobie. — Umysł pracuje, wysiła się, aż coś w nim pęknąć musi niby zbyt naciągnięta sprężyna. Kilka kropel krwi w mózgu za dużo i naraz cały kunsztowny aparat zepsuty... Oj, ta nauka!”

Te i tym podobne uwagi czyniłem sobie w duszy, przyglądając się z niepokojem płaskiej okruszynie wielkości dwóch ziarenek maku, wiszącej na cienkim niby pajęczyna włosku. Powiedziałbym, że ją ktoś naumyślnie tam zawiesił.

Aby coś rzec, zakomunikowałem wujowi moje spostrzeżenie.

— I mnie się tak zdaje — odrzekł — ale czy nie dostrzegasz na białym tle prążków, niby wierszy? Pod lupą dokładnie je odróżniłem... To jest pismo ludzkie!

— Pismo?... — powtórzyłem przeciągle, a obawa o rozum wujaszka wzrosła w tej chwili.

Twarz moja musiała wyrażać zdziwienie połączone z niedowierzaniem, bo wuj dostrzegł to i zawołał niecierpliwie:

— Wszak wzrok mam dobry! Czarne prążki zdają się być wierszami pisma!

— Ale skąd pismo na tej odrobinie? Jaka ręka zdolna je była nakreślić? — zawołałem zrozpaczony.

— To prawda! Jestem więc w gorączce.

— I ja tak sądzę... — odparłem nieostroźnie, a poprawiając się, począłem przekonywać, że to złudzenie, że to jest jakiś pasożytek uczipiony u zwłok muchy na pajęczej niteczce, przypadkiem namotanej na jej nóżkę. W duszy zaś, silnie zaniepokojony eks-cytacją wuja, postanowiłem jak najprędzej sprowadzić lekarza.

Dr Muchołapski ochłonął jednak z pierwszego wrażenia i ponownie wziął interesujący okaz do ręki. Spojrzał i nowy okrzyk wyrwał się z jego piersi. Tym razem brzmiał żalem i zawodem.

— Nie ma już okruszyny! — zawołał.

— Odpadła pewno.

Obaj schylili się nad biurkiem, gdzie położył szpilkę z owadem, szukaliśmy, ale na próżno. Białe ziarenko przepadło gdzieś bez śladu.

Przeszukaliśmy skrupulatnie każdy cal⁹⁴ podłogi i biurka; odpocząwszy, szukaliśmy powtórnie, aż w końcu znużeni, wyperswadowaliśmy sobie cały wypadek, jak należało, złudzeniem, a uśmiewszy się z całej przygody i dziwnych przypuszczeń, rozstaliśmy się w najlepszej harmonii...

VII. NADZWYCZAJNA PRZYGODA LORDA PUCKINSA. 50 OOO FUNTÓW SZTERLINGÓW NAGRODY

Na drugi dzień raz już tylko, i to na chwilę, odwiedziłem wuja. Odjeżdżałem bowiem do Heidelbergu w celu obronienia rozprawy na stopień doktora prawa. Rozmawialiśmy o obojętnych rzeczach i pierwszy raz znalazłem wuja rozsądnym na wszystkich punktach. Przy pożegnaniu jednak powrócił do swej *idée fixe*⁹⁵ i wyraził się, że nie traci jeszcze nadziei w moje nawrócenie się do entomologii. Odrzekłem, że może rachować na wszystko, tylko nie na to; wuj upierał się przy swoim, mimo jednak różnicy zdań rozstaliśmy się serdecznie.

Upłynęło parę miesięcy, zanim mogłem powrócić do zawsze jednakowo milej Warszawy. Przez cały ten czas, zajęty nauką, nie zastanowiłem się nad powodami, dla których na mój list (jedyne co prawda) nie otrzymałem od kochanego wuja żadnej odpowiedzi. Wytlumaczyłem to sobie zwykłym brakiem czasu, na jaki chronicznie cierpią dwie kategorie ludzi: wielcy ludzie i wielcy próżniacy — i spałem spokojnie.

Dopiero dojeżdżając do domu, zaniepokoiłem się na wspomnienie tego faktu, wuj bowiem należał do bardzo skrupulatnych na punkcie korespondencji.

Nazajutrz po moim przyjeździe wypadła niedziela. Wiedząc, że święta mój uczony zawsze spędza w domu, postanowiłem go odwiedzić. Gdym u wejścia zapytał Grzegorza, czy pana zastałem, wierny sługa westchnął ciężko i pokiwał głową.

— Jeszcze nie wrócił! — odparł zboliałym głosem i utkwiał wzrok w ziemi.

— Ale się go spodziewacie lada chwila?

⁹⁴cal — dawna miara długości, równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

⁹⁵*idée fixe* (fr.) — powracająca, natrętna myśl. [przypis edytorski]

— Czekać na niego, to juści⁹⁶, czekam, i w dzień, i w nocy, już blisko od dwóch miesięcy, nawet na tabakę⁹⁷ do Antoniego nie chodzę, ale się doczekać nie mogę.

— I cóż się z panem stało? — zapytuję zdziwiony. — Dlaczegoście mi od razu nie powiedzieli, że wyjechał?

— Człek strapiiony, to mu się i rozgadać niełatwo⁹⁸ o nieszczęściu. Wielkie nieszczęście stało się, proszę pana...

— Cóż takiego? — wołam przestraszony. — Czy zachorował? Mówcież wyraźniej!

— Albo ja wiem? Może byśmy poradzili na to, gdyby panicz był w Warszawie, ale sam... co miałem robić? Zabronić? Alboby usłuchał? Więc puściłem w drogę i przepadł.

— Kto przepadł? O kim znowu mówicie?

— O kimże, jak nie o moim panu? Przepadł i pewno się już gdzie zmarnował, biedaczysko...

— Co wy, Grzegorzu, wygadujecie? Nie rozumiem was zupełnie. Powiadacie, że pan wyjechał. Cóż w tym dziwnego? Wszak co rok to czynił. Wróci i koniec!

Grzegorz, który stał przede mną jak wcielenie żałoby, wstrząsnął przecząco głową.

Pocziwiec zaczął mnie już bawić.

— Więc nie powróci? — zacząłem, uśmiechając się pod wąsem. — Skądże taki wniosek, zapewne w żarcie wam to powiedział?

— Broń Boże, tego nie mówił, ale się ja po wszystkim co zaszło, dorozumiewam.

— Więc cóż zaszło?

— Dziwna to historia — odrzekł Grzegorz i pociągnięty za język, jał⁹⁹ mi opowiadać o zachowaniu się wuja przed wyjazdem.

Gdy już wszystko bezładnie opowiedział, nagle zamilkł i uderzył się dłonią w czoło.

— Ja tu gadam zamiast oddać list, jaki mam dla pana. Prędko wyjeżdżając, kazał mi doręczyć go do własnych rąk, skoro tylko pan przybędzie do nas.

— A więc jest list? Widzicie, wyjaśni się zaraz wszystko. Oj, Grzegorzu, Grzegorzu, nie wstyd was tych bajek, coście mi naopowiadali?

— Jak pana poważam, tak wszystko prawda.

— No, no, przekonamy się! Przynieście tylko prędko list.

Po chwili pismo znalazło się w moich rękach, rozerwałem kopertę i wyczytałem, co następuje:

Kochany Janku!

Zgubioną kruszynę znalazłem i odczytałem pod mikroskopem. Nie uwierzysz, jak jestem zachwycony i szczęśliwy z odkrycia. Spieszę skorzystać z jedynej w swoim rodzaju sposobności do nowych studiów i wyjeżdżam do Londynu. Zapewne nie wrócę, dopóki flaszeczki i jęgo nie znajdę. Rzecz to wprawdzie bardzo wątpliwa, ale dołożę wszelkich starań. Mam jakieś przecucie, że go jeszcze uratuję! Gdybym potrzebował Twojej pomocy, zwróć się do Ciebie, a tymczasem nie piszę nic więcej. Na biurku moim znajdziesz przekład listu lorda Puckinsa. Objaśni Cię o wszystkim.

Oryginał, potrzebny mi do stwierdzenia autentyczności wypadku oraz do podniesienia Twoich dziesięciu tysięcy funtów¹⁰⁰, zabieram z sobą. Bądź zdrow, chłopcze, i przyjmij uściski od kochającego Cię i wdzięcznego do śmierci wuja.

Jan Mucholąpski

⁹⁶juści (gw.) — pewnie, oczywiście, owszem. [przypis edytorski]

⁹⁷tabaka — sproszkowany tytoń, wciągany przez nos; daw. też: tytoń do fajki. [przypis edytorski]

⁹⁸niełatwo (daw., gw.) — niełatwo. [przypis edytorski]

⁹⁹jał (daw., gw.) — zacząć; zabrać się do czegoś. [przypis edytorski]

¹⁰⁰funt szterling — jednostka monetarna Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

„Niech mnie poćwiartują, jeżeli zrozumiał!” — pomyślałem, czytając powtórnie lakoniczne pismo. Znalazona kruszyna, nagły wyjazd, list Puckinsa, mowa o jakiejś flaszeczce, o dziesięciu tysiącach, a nareszcie ta wdzięczność wujaszka! Same tajemnice!

— I cóż, panie? — zagadnął po chwili milczenia Grzegorz, ciekawy wiadomości zawartych w liście.

Zapytanie jego zmieszało mnie niepomierzenie. Przed chwilą żartowałem z dziwacznych obaw starego sługi, nazwałem opowieść bajką, a teraz... sam nie wiedziałem, co o wszystkim sądzić. Nie chcąc od razu kapitulować, złożyłem spokojnie papier i objaśniłem krótko, że pan wyjechał do Londynu i wkrótce przyjedzie. Słowa moje powróciły Grzegorzowi utracony spokój, ale mnie bynajmniej nie zadowolili. „Na biurku znajdziesz przekład listu lorda Puckinsa, który Cię o wszystkim objaśni” — były słowa listu.

Pewny, że znajdę rozwiązanie zagadki, skwapliwie wziąłem się do odszukania owego rękopisu i w istocie po kilku chwilach znalazłem wśród papierów pakiet zaadresowany do mnie. Otworzyłem go i oczom moim ukazał się spory zeszyt listowego papieru. Chcąc wyczytać datę i podpis, odwróciłem zeszyt i na końcu znalazłem podpis:

*Lord Puckins na Puckinstone
pisano w Tatrach, w gnieździe pająka*

dnia 4 czerwca 1889 r.

Treść listu, tak dziwnie datowanego, podaję poniżej, wstrzymując się od wszelkich komentarzy.

„Przyjaciele!

Piszę jakby nie z tego świata, przez posłańca, jakiego nikt jeszcze nie używał do posług pocztowych, przez muchę, która w mej obecności narodziła się z poczwarki. Gdy twardniała i prostowała swe skrzydełka, zdążyłem list umocować u jej nóżki.

Niepewny to poseł, ale gdy nie ma lepszego, muszę mu powierzyć na los szczęścia pamiętnik i prośbę o ratunek.

Jestem przekonany, że nie dojdzie rąk ludzkich, że połknie go wraz z posłańcem ptak owadożerny lub zginie w inny podobnie marny sposób. Zresztą choćby nawet pismo moje w ludzkie dostało się ręce, któż pozna się na nim, kto domyśli się w drobnym proszku listu proszącego o ratunek?

Może więc nawet wtedy, gdy mucha zostanie schwytana, list niniejszy długie lata spoczywać będzie w muzeum niepoznany i dopiero po mojej śmierci jakiś przenikliwy szperacz dostrzeże go i odcyfruje pod mikroskopem.

Ja już długo nie zabawię na ziemi. W najlepszych okolicznościach wytrwam może do jesieni. Z pierwszym mrozem śmierć moja w śniegach tatrzańskich stanie się nieunikniona. Znam swe położenie i godzę się z nim, honor mój jednak (należę bowiem do Stowarzyszenia Antysamobójców) nakazuje mi ratować się mimo słabych widoków ocalenia. Temu więc, kto niniejszy list znajdzie i odda na ręce sekretarza Klubu Ekscentryków, polecam ostatnią wolą moją wypłacić 10 000 funtów szterlingów i przedstawiam go niniejszym na honorowego członka naszego stowarzyszenia. Premium ma być oddane okazicielowi bez względu na to, kiedy się zgłosi. Gdyby list w tym jeszcze roku wpadł w ręce ludzkie, proszę o przedsięwzięcie energicznych poszukiwań według wskazówek, jakie niżej zamieszczam. W tym celu polecam niniejszym pełnomocnikowi memu, sir Robertowi Biggsowi w Londynie, aby wyznaczył i ogłosił nagrodę za odszukanie mnie i ocalenie w wysokości 50 000 funtów szterlingów.

Przyznaję, że suma ta jest wysoka jako równoważnik mego życia, ale jestem prezesem stowarzyszenia ekscentryków i czuję się obowiązany starać się o powrót do Londynu, aby ogłosić opis swych autentycznych przygód, na wieczną chwałę klubu, który mnie zaszczycił najwyższą godnością. Niech więc wszyscy wiedzą o tym, a ten, przez kogo świat się dowie o największym triumfie angielskiego ekscentryka, wart jest nagrody, jaką przezna-

czam. Zalecam tylko ostrożność i przezorność w poszukiwaniach, aby miast¹⁰¹ ocalenia zguby mej nie przyspieszyć.

W kabałę¹⁰² obecną pograżyło mnie podle szczęście, które nie opuszczało mnie do-
tychczas mimo wszelkich usiłowań zakosztowania choć raz niepowodzeń. Dopóki byłem
między ludźmi, towarzyszyło mi wszędzie, aby pozostawić na łasce losu wówczas, gdy
się znalazł w nieznanej krainie, bez możliwości zawiadomienia o chwale, która z mojej
przygody na klub mój spada.

Gdybym się nie był znudził stałą pomyślnością i nie uciekał przed nią zawzięcie, mógł-
bym osiągnąć wszystko, o czym tylko zamarzyłem. Piastowałbym do tej pory najwyższe
urzędy, byłbym wpływowym członkiem parlamentu, trapiłbym torysów¹⁰³ co się zmieści,
przydował w klubach i najmodniejszych instytucjach.

Na niczym by mi nie zbywało.

Nierozsądna zaś ucieczka przed szczęściem zrobiła ze mnie tak mizerną istotę, że
chwilami widzę w mym przypadku czarną intrygę torysów, którzy pragnąc się pozbyć
niepokonanego wroga, uknuli z Nureddinem spisek, jakiego ofiarą padłem niebacznie,
na podobieństwo dziada mego, poczęstowanego zatrutą fajką przez własnego lokaja. Hi-
storia mego życia to jedno pasmo powodzeń.

Urodziłem się w czepku i we wszystkim mi się powodziło. Irytowało mnie to tak
niepomieranie, że będąc jeszcze w szkołach, nie uczyłem się częstokroć, aby choć raz do-
stać naganę. Mimo to przynosiłem stale do domu pochwały i nagrody. Przeszedłszy do
uniwersytetu, usiłowałem napisać rozprawę na stopień doktora w taki sposób, aby mi go
odmówiono, a zamiast tego wywołałem entuzjazm wśród profesorów i otrzymałem tytuł
z odznaczeniem, a w dodatku nominację na docenta tegoż uniwersytetu.

Nie przyjąłem, ma się rozumieć, tego stanowiska, rzuciłem się w wir zabaw, psuty
przez płec piękną, a podziwiany przez rówieśników i przyjaciół. W szaleństwach moich
widziano tylko dowcip i odwagę, a gdy dla zdyskredytowania się napisałem rozprawę
o mieszkańcach Marsa i o naturze kanałów na tej planecie¹⁰⁴, uniwersytet zaprosił mnie
na profesora astronomii. To było już nie do zniesienia! Po namyśle postanowiłem przyjąć
katedrę, ale po to, aby na wstępie wygłosić mowę, która miała okryć śmieszością nie
tylko mnie, ale i tych, którzy mnie wybrali.

Proszę sobie wyobrazić pogńębienie moje, gdy po skończeniu miast sykań usłyszałem
grzmot okłasków; wyniesiono mnie na rękach z audytorium. Tego było za dużo! Noga
moja nie dotknęła już więcej katedry, ale natomiast, choć lekceważyłem studia astrono-
miczne, urządziłem sobie przepyszne obserwatorium, aby nic w nim nie robić, zdumiewać
uczonych płytkimi doniesieniami i choć raz zadać kłam tym wszystkim, co silili się na
pochwały dla mej przenikliwości i wiedzy.

I to mi się jednak nie udało. Chciałem poigrać z ogniem i sromotnie się poparzyłem.

Lekceważenie astronomii wnet przeszło w uwielbienie. Całe noce, które zwykli śmier-
telnicy przesypiają, a koledzy moi spędzają w klubie, trawiłem przy teleskopie, zapatrzony
w cuda gwiazd podwójnych, mgławic i księżycy.

Gdy znowu spostrzegłem, że jestem szczęśliwy jak nigdy, postanowiłem skompromi-
tować się. W tym celu ogłosiłem swe spostrzeżenia nad gwiazdami podwójnymi. W trzy
miesiące potem zasypano mnie pochwałami, winszowali mi wytrawni astronomowie,
a posiwiali uczeni zbliżali się, aby w dowód uznania moją dłoń ucisnąć.

Zawiedziony i tym razem, zerwałem z niewdzięcznymi studiami naukowymi. Po-
rzuciłem teleskopy, księgi i zamknąłem się w szczelnym ustroniu w Puckinstone. »Tu

¹⁰¹miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

¹⁰²kabała — tu: kłopoty, trudne położenie. [przypis edytorski]

¹⁰³torysi — potoczna, tradycyjna nazwa członków angielskiej Partii Konserwatywnej. [przypis edytorski]

¹⁰⁴kanaly marsjańskie — sieć prostych linii, które wg poglądów z przełomu XIX i XX w. miały pokrywać powierzchnię Marsa i zapewne świadczyć o istnieniu cywilizacji na tej planecie. W 1877 włoski astronom Gio-
vanni Schiaparelli stwierdził, że na powierzchni Marsa występują ciemniejsze obszary, które nazwał morzami,
oraz łącząca je sieć ciemnych prostych linii, które nazwał *canali*, uznając je za połączenia naturalne. W 1894
wskutek błędnego tłumaczenia przyjęto, że chodzi o sztuczne kanały (ang. *canals*), a zatem zbudowane przez
inteligentnych mieszkańców Marsa. Zapoczątkowało to szereg spekulacji, popularyzowanych przez artykuły
w gazetach i czasopismach, oraz powstanie wizerunku cywilizacji Marsjan w powszechnej wyobraźni. W 1909
obserwacje z użyciem dokładniejszych teleskopów oraz pierwsze zdjęcia fotograficzne Marsa nie potwierdziły
obecności hipotetycznych kanałów; wykazano, że opisywane przez obserwatorów linie proste były efektem iluzji
optycznej. [przypis edytorski]

szczęście mnie nie znajdzie» — pomyślałem, zacierając ręce. Ale niestety, już w tydzień umarło mi dwóch bogatych wujów, a obaj uważali za stosowne zapisać mi swoje majątki.

— Co ja z tymi pieniędzmi będę robił? — jęczałem z rozpacz, przeliczając krocie, jakie napelniły moją kasę. I własnych miałem za dużo, bo grunty moje, jak na złość, omijały klęski i nieurodzaje. — Chyba je rozdram lub stracę na giełdzie, niech się raz uwolnię od tego przebrzydłego szczęścia!

Zacząłem więc trwonić pieniądze na lewo i na prawo, a nadto poleciłem sir Biggsowi kupować *al pari*¹⁰⁵ akcje zachwianych lub całkiem zbankrutowanych towarzystw. Kupowałem także masami różne walory¹⁰⁶ podczas hossy¹⁰⁷, a gdy zaczynały spadać, sprzedawałem je, tracąc krocie. I cóż z tego? Zachwiane akcje podskakiwały nagle w górę i osiągały czasem po 200 za 100, tak że wkrótce stałem się postrachem giełdjarzy i podwoilem tylko majątek. Nie mogąc stracić ani sławy, ani majątku, postanowiłem zatruć sobie życie małżeństwem. »To mnie już chyba nie zawiedzie« — pomyślałem z dziką radością.

Byłem dawniej ulubieńcem salonów i żadna piękność, gdybym chciał, nie oparłaby mi się. Umyśliłem więc posiąść jedną z najkapryśniejszych, najbrzydszych i najbardziej ograniczonych w całej Anglii panien. Wyszukałem sobie trzy najodpowiedniejsze w tym celu partie, ale, o nieba! dostałem dwa odkosze¹⁰⁸, a w miejsce trzeciego dowiedziałem się, że przybywam za późno. Wściekły z gniewu, wyzwiałem na pojedynek szczęśliwca, który mnie ubiegł, mając nadzieję, że zginę, ale gdzie tam. Choć słynnym był zabijaką, przekłułem biedakowi rękę i przyśpieszyłem ślub z jego ideałem.

Pożegnawszy piękne marzenia o domowym ognisku, potrzebowałem w gorączkowym zajęciu utopić tęsknotę za niepowodzeniami. Zapisalem się tedy¹⁰⁹ do Klubu Ekscentryków i na ich intencję popełniałem różne szaleństwa. Podróżowaliśmy po kraju, siedząc na koniach głową do ogona, paliliśmy cygara odwrotnym końcem, czytaliśmy od deski do deski pisma codzienne, piliśmy z butelek od strony dna. Raz założyłem się o grubą sumę, że konno prześcignę lokomotywę kurierskiego pociągu; cóż powiecie? — bandaż na kole jednego z wagonów pękł i pierwszy stanąłem u celu. Tego rodzaju szczęśliwy wybryk wyniósł mnie na godność prezesa i znów wszystko postawiłem na kartę. Zamiast szaleć, co było przepisane ustawą, zająłem się najspokojniej archeologią.

Zaprowadziła mnie ona na tułaczkę.

Zapragnąłem dowiedzieć się, jak ludzkość dojrzewała i kształciła się. Umyśliłem z okrucichów, jakie pozostały, złożyć posąg dziejów i odtworzyć życie, które przed wiekami zamarło.

Szukając owych okrucichów, objechałem niemal świat cały. Zwiedziłem gąszcze cejlońskich pierwolesi. Na wyspie Jawie stąpałem po ruinach świątyń, co przetrwały lat tysiące, odgrzebywałem stare mogiły nad Gangesem, zaglądałem do wnętrza piramid egipskich, a w wolnych chwilach polowałem na słonie, bawoły i grzechotniki.

W tych wycieczkach zbierałem wszystko, co się odnosiło do przeszłości człowieka i narodów, a ponieważ i tu uginałem się pod brzemieniem szczęścia, stałem się wkrótce panem cennej kolekcji, mogącej rzucić niejake światło na zamierzchłą przeszłość człowieka...

Mógłbym tą drogą zbiór mój uczynić najbogatszym w świecie, gdybym chciał przyjmować wszystko, czym mnie obdarzano. Ofiarowywano mi niekiedy nieocenione przedmioty. Posiadacz na przykład pamiątkowego rewolweru, z którego Kain zabił Abła, oddawał mi takowy (jak zapewniał — za półdarmo) za pięćset funtów. Dałbym mu z przyjemnością upragnioną sumkę, ale ponieważ przy moim szczęściu zazdroszczono by mi nieoszacowanego nabytku, lubo z żalem, nie mogłem się odważyć na kupno narzędzia pierwszej zbrodni ludzkiej.

Otóż zbliżam się do opisu mej głównej przygody.

Miedzy innymi zabytkami przeszłości poszukiwałem przedwiekowych rękopisów w świątyniach staroindyjskich. W czasie tych poszukiwań pewnego razu poznałem się z bogo-

¹⁰⁵*al pari* (wł.) — o akcjach i in. papierach wartościowych: po cenie równej wartości nominalnej. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*walory* — papiery wartościowe. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*hossa* — długotrwały wzrost kursów papierów wartościowych. [przypis edytorski]

¹⁰⁸*odkosz* (daw.) — odrzucenie przez kobietę propozycji małżeństwa. [przypis edytorski]

¹⁰⁹*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

bojnym, a sławnym z biegłości w magii fakirem¹¹⁰, zamieszkałym w okolicach Bombaju. Miałem nieszczęście uratować mu życie, zabijając panterę, w chwili gdy uśpionego zwęszyła i miała za chwilę spożyć na pierwsze śniadanie.

— Szlachetny synu Wielkiej Brytanii! — odezwał się wzruszonym głosem, gdy obudzony strzałem, zrozumiał, co się stało. — Ta pantera, niegroźna dla mnie czuwającego, przecięłaby pasmo dni moich we śnie. Jestem Nureddinem, synem Hakima Dżowahara Nureddina i zarazem twoim dłużnikiem. Przyjmij gościnę w moim domu, a nie pożałujesz tego. Pokażę ci to, czegoś może jeszcze w życiu nie oglądał. Pokażę potęgę woli ludzkiej, gdy jest posłuszna rozkazom Sziwy¹¹¹.

Zaciekawiony udałem się za Hindusem i zostałem zdumiony zadziwiającymi produktami tego człowieka. Wszystko mu było posłuszne.

Nie tylko czarował jadowite węże i zwierzęta, nie tylko odejmował władzę poruszania się z miejsca, ale nawet nad nieożywionymi przedmiotami panował wszechwładnie.

Bez opuszczania dywanu, na jakim w kucki zasiadał, otwierał i zamykał drzwi domu, gasił świece, przytłumiał ich płomień w odległości, do jakiej dech jego nie miał przystępu, przenosił ciężkie posążki z kąta w kąt pokoju i rozbijał niewidzialnym pociskiem tarcze drewniane ustawione w odległości dwudziestu kroków od jego dłoni.

Człowiek ten zadrwił z całej mej wiedzy, która nie mogła objaśnić ani jednego z jego czynów zadziwiających.

Wkrótce stałem się częstym gościem Nureddina i przyjacielem jego, a gdyśmy po paru miesiącach rozstawali się, rzekł mi wzruszony:

— Winienem ci, synu Wielkiej Brytanii, życie. Jesteś bogaty, masz złota więcej, niż mógłbym ci ofiarować, zresztą upominku takiego nie przyjąłbyś. Nie wiedząc, jakbym ci się mógł wywzajemnić, chodziłem długo w smutku i żałości, aż Brahma¹¹² zesłał mi we śnie myśl bardzo roztropną.

Cudzoziemcze! Masz dużo, ale nie wszystko! Narzekasz na szczęście, bo nie znasz niedoli. Jesteś znudzony, a nie poznałeś jeszcze wszystkiego. Otóż nauczę cię cenić szczęście, jakie nader rzadkim jest gościem wśród istot pod słońcem żyjących. Kapłani nasi mają cudowne wiadomości i sztukę, o jakiej waszym mędrcom się nie śniło. Posiadasz jedną z najważniejszych naszych tajemnic. W spuściznie po przodkach odziedziczyłem skarb, który nie da się porównać ze wszystkimi bogactwami świata.

Jestem posiadaczem odwiecznej księgi magicznej, którą, zaginioną od sześciuset lat, szczęśliwym trafem pradziad mój, wysoki bramin¹¹³ Bombaju, odszukał.

Księga ta uczy, jak sporządzać cudowny płyn posiadający moc rozjaśniania zmysłów ludzkich w tak cudowny sposób, że kto wypije sześć kropli tego płynu o wschodzie gwiazdy dnia, wpatrując się w słoneczną tarczę, ten ujrzy dołę i niedołę przed wzrokiem wszystkich zakrytą, usłyszy to, czego nikt jeszcze nie słyszał, i czuć będzie, czego nikt nie czuł...

Zmysły jego będą odtąd zamknięte dla zwykłych widoków i głosów, a natomiast otworzą się dla zupełnie nieznanego na nieograniczony czas. Jeśli będziesz już syty dziwów, wówczas drugie sześć kropli płynu, połkniętych o zachodzie słońca, gdy będziesz twarzą ku niemu zwrócony, przywróci ci dawną władzę wzroku, słuchu i dotykania.

Pamiętaj jednak o tym, że człowiek tylko raz w życiu może doświadczać skutków tego eliksiru. Nawet posiadacz księgi raz tylko w życiu ma prawo sporządzić kosztowny płyn. Skorzystałem i ja z tego przywileju i jestem obecnie posiadaczem flaszeczki nieocenionego eliksiru. O ile wiem, ojciec mój i dziadowie nikogo tym skarbem nie obdarzyli, ty dopiero pierwszy, a może i jedyny ze zwykłych śmiertelników napój ten posiadasz!

¹¹⁰*fakir* — pierwotnie: żebrzący ascetyczny mnich muzułmański; dziś: asceta indyjski poddający swoje ciało różnym niezwykłym formom umartwienia, np. kładzenie się na ostrzach i chodzenie boso po rozżarzonych węglach. [przypis edytorski]

¹¹¹*Sziwa* a. *Śiwa* (rel.) — jeden z głównych bogów hinduizmu, w hinduistycznej trójcy (trimurti) unieczystwiający wszechświat. [przypis edytorski]

¹¹²*Brahma* (rel.) — jeden z głównych bogów hinduizmu, w hinduistycznej trójcy (trimurti) stwórca wszechświata. [przypis edytorski]

¹¹³*bramin* — kapłan i religijny nauczyciel w hinduizmie, należący do najwyższego stanu społecznego w Indiach. [przypis edytorski]

Dodawszy jeszcze liczne błogosławieństwa, udzielił mi w małych onyksowych¹¹⁴ futełach dwa flakoniki złote, zawierające po 12 kropel cudotwórczej cieczy, i pożegnał się jak bracia.

Jeden z tych flakoników zatrzymałem przy sobie, drugi odesłałem wraz ze zbiorami osobliwości do Puckinstone, mej rodzinnej posiadłości. Mieści się on w skrzyni oznaczonej liczbą 5875.

Wyjechałem i byłoby się wszystko dobrze skończyło, gdybym powrócił prosto do Londynu. Ale przywykły do włóczęgi, postąpiłem inaczej.

Postanowiłem na kilka dni zatrzymać się w sławnych polskich górach, w Tatrach.

O ich oryginalnej piękności dużo słyszałem, a zarazem wzięła mnie ochota przekonać się o prawdziwości podań góralskich, które głoszą, jakoby w paru niedostępnych miejscowościach¹¹⁵, na przykład na Żabim, znajdowały się wyryte na turniach¹¹⁶ starodawne, tajemnicze jakieś napisy hieroglificzne i rysunki słońca, księżyca i dwunastu konstelacji niebieskich.

Dnia ... maja 1889 roku znalazłem się w Tatra-Füred (Szmeks), ulubionej przez turystów miejscowości u podnóża Wysokich Tatr.

Zaopatrzony w przybory naukowe, książkę notatkową, parasol i zapasy żywności, wyruszyłem w towarzystwie trzech przewodników na wycieczkę. Zamierzyłem dostać się do Zakopanego, aby tam, wśród polskich górali, zasięgnąć wiadomości o interesujących mnie napisach. Trudy wyprawy opłaciły mi się sownie pięknymi widokami.

Przez cudownie piękną Wielką Dolinę¹¹⁷, dzięki urwiska Polskiego Grzebienia i Dolinę Litworową na schyłku dnia znalazłem się w Dolinie Rówienki, łączącej się z Doliną Białej Wody. Zachwycony wdziękami natury i znużony trudami, zostałem tam na noc.

Pogoda była prześliczna, a gdy pierwsze dzienne brzaski skąpały krajobraz w łagodnym półcieniu, mógłbym patrzeć i dumać bez końca... O świtanu ubrałem się i wyszedłem, aby popatrzeć na góry przy wschodzie słońca. Ległem potem na ślicznej łączce, ujętej w czarodziejską oprawę niebotycznych skał o fantastycznych i dzikich zarysach, a myśli moje, ukołysane ciszą, poczęły bujać swobodnie. Z jednej strony Żabi Wierch wznosił dzikie i tajemnicze swe turnie aż w krainę chmur, z drugiej piętrzyły się olbrzymie granitowe cielska Gerlachu, Żelaznych Wrót, Ganku, Wagi, Rysów i Młynarza, który zakrywał szczyt Wysokiej. Za mną Szerokie Jaworzyńskie i Czerwona Skała widniały ponad lasem świerków.

Krajobraz przypominał mi Himalaje.

Wspomnienie Himalajów uprzytomniło mi Indie i chatę fakira. Ujrzałem go oczami duszy, jak igrał bezkarnie z najjadowitszymi węzami, jak w moich oczach zabójcze zęby zapuszczały się bez szkody w jego ciało. Widziałem kropelki krwi perlące się w świeżych ranach i spokojny uśmiech, jaki nie opuszczał przy tej strasznej zabawce oblicza Hindusa. Obdarzony tajemniczą jakąś siłą, widziałem, jak się wznosił w postaci siedzącej, wsparty jedną ręką na swej lasce, w powietrze i zostawał w zawieszeniu, nieruchomy jak posąg, między niebem a ziemią po kilka minut. Widziałem, jak wyjmował z ust kamienie i układał z nich piramidę, która — jak wierzyłem w owej chwili — mogłaby na jego rozkaz wyrosnąć do wysokości tatrzańskich turni.

Rozkołysana moja wyobraźnia nie znała już hamulca. Przyszedł mi do głowy płyn Nureddina, który nosiłem w kieszeni, zabrzmiały w uszach słowa fakira, na które ongi niewielką zwróciłem uwagę; kto się go napije, rzekł mi Nureddin, ten może widzieć to, czego jeszcze nikt z ludzi nie widział... Przypomniała mi się wreszcie moja godność prezesa Klubu Ekscentryków i długa dotychczasowa bezczynność i postanowiłem raz jeszcze wyzwać do boju szczęście i ujrzeć to, czego nikt jeszcze nie widział.

Nie wiem już, jak długo umysł mój bujał w marzeniach, bo dopiero złote i różowe blaski, które opromieniły wierzchołki gór, oraz lekkie chmurki, płynące ponad nimi, wyrwały mnie z zadumy.

¹¹⁴onyks — kamień półszlachetny z wstęgowatymi pasmami, ceniony jako materiał jubilerski. [przypis edytorski]

¹¹⁵miejscowość (daw.) — miejsce, okolica. [przypis edytorski]

¹¹⁶turnia (reg.) — szczyt górski. [przypis edytorski]

¹¹⁷Wielka Dolina — tu: Dolina Wielicka (słow. *Veľická dolina*, węg. *Felkai-völgy*), położona na terenie Słowacji, po pld. stronie grani Tatr Wysokich. [przypis edytorski]

Wschodziło słońce! Widok taki, chociaż często oglądany, nigdy spowszednieć nie może. Uroczyście nastrojony, poczułem naraz nieprzepatą chęć ujrzenia, czego nikt jeszcze nie widział, usłyszenia, czego żadne nie słyszało ucho.

Nie było czasu do namysłu. Sięgnąłem po flakonik i parę kropli tajemniczego płynu zwilżyło moje wargi. Był on słodkawy i balsamiczny, o łagodnym smaku miodu zmieszanego z winem.

Minęło kilkanaście chwil oczekiwania na niezwykle widzenia, ale skutku nie poczułem żadnego. Słońce tymczasem podnosiło coraz wyżej swą złotą tarczę i skąpało w jasnych promieniach część dolinki, budząc z odrętwienia wszystko, co żyje dziennym życiem, a zapędzając do nocnych kryjówek istoty lękające się światła dziennego.

Zaroilo się w powietrzu od skrzydlatych stworzonek. Każde śpiewało poranną modlitwę na taką nutę, jaką mu Stwórca od wieków przeznaczył.

Wypełzył także ostrożnie spod listka mały czarny pajęczek i zajął się powiększaniem niedokończonych siatki, zawieszonych pomiędzy elastycznymi ździebelkami trawy. Zapatrzyłem się w cudnie zręczne ruchy tej istotki, co bez cyrkla buduje symetryczne sieci, i naraz spostrzegłem coś nadzwyczajnego. Pajęczek urósł w mych oczach.

Mrowie przeszło mi po skórze... Po kilku sekundach pajęk stał się olbrzymim krzyżakiem o polyskujących ślepiach i kosmatych nogach, którymi zwinnie rozpinał swą przędzę. Sieć ugięła się pod jego ciężarem...

Co to jest?! Potwór rośnie bezustannie!

Aksamitne jego oczy magnetyzują mnie... Odrywam nareszcie całą siłą woli wzrok i ogładam się dookoła.

Widok, jaki ujrzałem, zdziwił mnie i przeraził jeszcze bardziej. Nie poznałem okolicy. Ziola, wśród których spocząłem, zakryły mi szerszy widok, wszystko przybrało potworne rozmiary.

Driakiew dzika (*Scabiosa*)¹¹⁸ wzniosła główkę ogromną jak głowa kapusty, na lodydze mierzącej przynajmniej trzydzieści łokci¹¹⁹ wysokości.

Trawa nawet przybrała dziwny charakter. Nie wiem, z czym by ze znanych roślin podzwrotnikowych dał się porównać ten las wąskich i długich, pochylonych liści o sterzących jak dzidy wierzchołkach.

Nie ma w królestwie flory nic takiego, co by przypominało taką trawę. Zrywam się na równe nogi, ale nic już nie zobaczyłem krom¹²⁰ gąszczy olbrzymich poplątanych ziół.

Czy ja śnię, czym¹²¹ zmysły postradał?! Rzucam okiem na złowrogięgo ośmionoga. Wielki już jak orzech kokosowy, spokojnie snuje swe powrozy. Pomimo że przecieram oczy, rosną przede mną wciąż nowe dziwy. Niedaleko stojący świerk młodziutki zmienił się w niebotyczne drzewo. Obwód pnia przewyższał obwód najstarszych historycznych lip, dębów i smokowców¹²². Cała zaś nad moją głową powikłana roślinność przypominała cejlońskie bujne bory, lecz charakter jej zupełnie inny.

Otaczały mnie tylko ziola, ale za to wielkie jak drzewa, dziwnie porozgałęziane, o ostrych i kosmatych lodygach.

Skabioza, jak palma, kołysze się na giętkim pniu... a macierzanki utworzyły splątany gąszcz nie do przebycia!...

»Może to sen na jawie?« — pomyślałem i przetarłem oczy, usiłując wydobyć się z miejsca czarów.

Nagle usłyszałem dziwny szelest.

Zanim zdołałem się obejrzeć, runąłem na elastyczne posłanie ze zbutwiałych mchów, popchnięty przez jakąś biegnącą poczwarę, nieznającą się na najprostszej nawet grzeczności. Wypadek ten utwierdził mnie w przekonaniu, że to, czegom doświadczył, nie było snem, niestety! Jedno z dwojga stało się pewnie: albo cały świat z wyjątkiem mnie jednego powiększył się nagle, albo ja zmalałem.

¹¹⁸driakiew dzika (*Scabiosa*) — obecnie: driakiew lśniaca. [przypis edytorski]

¹¹⁹łokieć — dawna jednostka miary, równa ok. 60 cm; dzieląca się na 2 stopy lub 24 cale. [przypis edytorski]

¹²⁰krom (daw.) — oprócz, z wyjątkiem. [przypis edytorski]

¹²¹czym zmysły postradał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: czy zmysły postradałem. [przypis edytorski]

¹²²smokowiec (bot.) — dracena smocza, drzewo o grubym, rozgałęziającym się pniu i charakterystycznej parasolowatej koronie. [przypis edytorski]

Drugie przypuszczenie wydało mi się rozsądniejsze, choć nie mniej dziwne niż pierwsze. »Jakże to by się stać mogło?« — zapytywałem się w duchu — i naraz błysła mi myśl ponura. Otrułem się płynem Nureddina, a to, czego doświadczam, to przedśmiertne widziadła! Za chwilę pewno otoczy mnie noc śmierci!

Ścisnęło mi się z żalu serce. Czemuż tak nagle i samotnie umieram? W rozpacz nie spostrzegłem, że wszystko naokoło mnie wciąż jeszcze rosło.

Zaćmiło mi się w oczach i omdlały, osunąłem się na ziemię, tracąc przytomność...”

VIII. $63^3 : 720^3 = X : 75 \text{ KG}$

„Nie wiem, jak długo przeleżałem bez ruchu, bo przebudzony, nie mogłem zrazu pojąć, gdzie się znajduję. Dopiero przywoławszy do porządku zmysły, przypomniałem sobie wszystko, bom nie spostrzegł żadnego polepszenia w moim dziwnym położeniu.

Gąszcz wprawdzie wydał się mniejszy, ale tylko dlatego, że roślinność jeszcze bardziej zolbrzymiała i wśród łądyg oraz u ich stóp miałem wolne i obszerne przejścia.

Małą tę niedogodność zrównoważyły za to inne niespodziewane zapory. Grunt mianowicie okazał się prawie niemożliwy do chodzenia. Nie był to już miękki czarnoziem, przetykany granitowymi głazami, ale jakieś bajecznie obce moim zmysłom rumowisko, złożone z kamyków, głazów obrosłych jedwabistymi nitkami pleśni, z przegniłych łądyg, przez które przeskakować musiałem jak przez powalone w puszczy i zmurszałe kłody.

Co krok, to inne zapory tamowały mi drogę. Zapadałem po kolana, a nawet i po szyję w splecione sieci i każdy krok kosztował mnie dużo wysiłków.

Przez porównanie najlepiej znanych sobie przedmiotów doszedłem niebawem do przeświadczenia, że mój wzrost nie przewyższał sześciu linii¹²³, czyli niewiele byłem wyższy nad pół cala. Pod wpływem magicznego płynu stałem się sto dwadzieścia razy niższy niż dawniej.

Jednocześnie słuch mój zaostrzył się i począł odróżniać, z powodu delikatności, niepochwytne dawniej głosy, a zamknął się dla dźwięków silniejszych, przedtem dosłyszalnych.

Nie odróżniałem już szmeru i szumu potoków. Szum ten robił na mnie wrażenie podobne, jakie czyni na was oddalony grzmot pioruna lub huk bałwanów morskich. Odczuwałem je całym ciałem bardziej aniżeli słuchem.

O uszy moje obijały się natomiast inne, nieznane mi dotąd dźwięki, jak na przykład szelest członków i kroków owadów, pękanie tkanek rozrastających się w roślinach, trzask rozchylających się z wolna pączków liści i kwiatów, chrzęst dojrzewających nasion, metaliczny dźwięk ocierających się o siebie przy lekkim wietrzyku blaszek liści i olbrzymich źdźbeł tego, co wy nazywacie trawą...

Strach mnie zdjął, zwłaszcza gdy wśluchałem się w nieumilkającą dziką orkiestrę niewidzialnych muzykantów. Zatopiony w gąszczu potwornej i sztywnej roślinności, nie mogłem nawet widzieć istot, które sprawiały ten gwar i hałas. Kiedy niekiedy głuszył orkiestrę i przerażał łoskot skrzydeł przelatującego w bliskości owada, który natychmiast, zaledwie ukazawszy się, nikał w oddali, jakby niesiony huraganem.

W ciężkich zapasach z przeszkodami, o jakich istnieniu przy swej wielkości nie pomyślelibyście, mijały mi długie godziny. Dopiero ochłonawszy z pierwszego wrażenia, przypomniałem sobie o eliksirze fakira i pojąłem, że całą przygodę zawdzięczam przeklętej truciznie, podarowanej mi przez tego poganina, którego miałem za przyjaciela, a który mnie nikczemnie podszedł. Ale dobrze mi tak — nie trzeba być łatwowiernym! Gdzież jest sens pić pierwszy lepszy nieznany płyn? Wszak mogła to być gwałtowna trucizna!

Nureddin i tak obszedł się ze mną łaskawie, że mi przed śmiercią pozwolił ujrzeć nieznane dziwy. Pograżony w gorzkich medytacjach, dopiero po długiej chwili pojąłem, że nie wszystko stracone. Aby wycofać się z nieprzyjemnego położenia, dosyć będzie, gdy wypiję drugą połowę cudownego płynu o zachodzie słońca. Tak przynajmniej zapewniał mnie Hindus.

A więc niedługo skończą się moje utrapienia!

Uspokojony, sięgam ręką po flakonik, lecz go nie znajduję! Przeszukałem w najwyższym przerażeniu wszystkie kieszenie po sto razy — zawsze bezskutecznie. Flakonik

¹²³linia — dawna miara długości równa 1/12 cala, czyli ok. 2 mm. [przypis edytorski]

gdzieś przepadł! Widocznie upuściłem go po wypiciu albo zgubiłem w drodze, w której zbyt często musiałem używać forsownych ćwiczeń gimnastycznych. Wprawdzie znajduje się gdzieś blisko, ale jakże trafić do miejsca, skąd się oddaliłem?

Pozostałem więc bez ratunku, a co gorsza, nie mogę nawet zamarzyć o wydobyciu się z doliny, która stała się dla mnie nieprzebytą puszcza. Każde 100 łokci przy moim wzroście stanowi pełną milę¹²⁴. Jedna morga¹²⁵ gruntu stanowi dla mnie obecnie 14 400 morg, czyli 480 włók¹²⁶, co stanowi więcej niż dwie mile kwadratowe. Przejście tysiąca łokci, dla każdego innego człowieka wymagające paru minut, dla mnie równa się jedenastomilowej wędrówce...

Znikąd nie mogę spodziewać się pomocy, bo któż by dojrzał małego człowieczka ukrytego wśród murawy, a wreszcie gdyby przechodził, czyż głos mój, słabszy od ćwierkania pasikonika, doszedłby do jego uszu, przygłuszony nieustającą wrzawą zastępów, od jakich roi się polanka? Zamiast pragnąć lękać się teraz spotkania z człowiekiem... boję się, aby nie szedł mymi szlakami, bo łatwo mógłbym znaleźć śmierć pod stopą najsposkojniejszego wędrowca.

W tym świecie, do którego się dostałem, każde przejście człowieka czy też większego zwierzęcia znaczy się żałobnym szlakiem niewinnych ofiar, zabijanych lub kaleczonych stopami olbrzymów. Nie oddalam się też od miejsca, w którym zmałałem, i gorączkowo szukam zgubionego flakonu.

Łatwo pojmiecie grozę mojego położenia!

Nadeszła straszna noc i smutny, choć pożądany poranek, bez ulgi w moim losie. Mija już piąty dzień, a ja błędę w Tatrach, jak niegdyś Robinson po bezludnej wyspie, wśród najdziwniejszych potworów — i nieszczęsnego flakonu nie mogę znaleźć.

Los mój jest smutniejszy od losu tego dżentelmena.

Jego otaczały przynajmniej warunki dobrze mu znajome, gdy ja na każdym kroku spotykam same dziwy.

Com ja przeszedł, com widział, tego żadne pióro nie zdoła opisać! Nie silę się też na to! Modlę się tylko o zmianę w moim położeniu, lecz niebo dotąd głuche na moje prośby; tracę już nawet nadzieję! Siły mnie opuszczają, bo żyję tylko miodowym nektarem kwiatowym, piję rosę jak najędźnierczy jak motyl. Przyznacie, że to nawet dla jarosów za mało. Ubyło mi też pewnie już ze dwadzieścia funtów¹²⁷ ciała! Co ja mówię? Alboż moja waga da się rachować na funty?!

Wzrost mój jest wprawdzie obecnie tylko 120 razy mniejszy, niż był poprzednio, ale waga zredukowała się do zdumiewająco drobnego ułamku dawnego mego ciężaru. Przed wypiciem piekielnej mikstury Nureddina ważyłem całe 75 kilogramów, co równa się 185 funtom.

Czy wiecie, ile teraz ważę?! Oto mniej więcej tyle, co jedna marna mucha!

Gdy pomyślę o tym, włosy jeżą mi się na głowie. Ważę obecnie 0,043, wyraźnie czterdzieści trzy tysięczne grama!

Na pozór cyfra¹²⁸ ta nie wydaje się tak mała, jaka jest w istocie. Ale pomyślcie tylko troszeczkę, a przekonacie się, że jest to kompromitująco drobna ilość.

Aby przeważyć jeden gram, musiałoby się złożyć przeszło 23 (23,25) podobnych do mnie karzełków. Na sto gramów potrzeba by ich było 2325, a na jeden kilogram, równający się dwóm i połowie funta — 23 250!

Waga więc moja zmniejszyła się milion siedemset czterdzieści cztery tysiące (1 744 186) razy.

Gdyby postawić na szali zwyczajnego śmiertelnika, ważącego 75 kg, a na drugiej takich zuchów jak ja, to trzeba by zgromadzić ich przeszło półtora miliona, aby zrównoważyły się szale wagi!

¹²⁴*mila* — dawna miara odległości o różnej wartości; mila rosyjska oraz austro-węgierska to ok. 7,5 km. [przypis edytorski]

¹²⁵*morga* — dawna miara powierzchni gruntu, nieco ponad 0,5 ha. [przypis edytorski]

¹²⁶*włoka* — dawna miara powierzchni gruntu, równa 30 morgom, tj. wynosząca ok. 17 ha. [przypis edytorski]

¹²⁷*funt* — dawna jednostka wagi, równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

¹²⁸*cyfra* (daw.) — liczba, ilość; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

To niepodobna — powiecie — aby zmniejszenie się wzrostu o 120 razy miało przeszło o półtora miliona zmniejszyć wagę i objętość. Otóż zapewniam was, przyjaciele, że tak jest, niestety, a obrachowałem to bardzo łatwo i stanowczo. Dość mi było w tym celu zastanowić się, że waga moja obecna jest o tyle mniejsza od poprzedniej, o ile terazniejsza objętość mego ciała jest mniejsza od dawnej.

Zgodnie z zasadami geometrii stosunek objętości poprzedniej do obecnej jest taki, jak stosunek trzecich potęg wysokości poprzedniej i obecnej.

Ponieważ wzrost mój liczył dawniej 6 stóp¹²⁹, czyli 720 linii, a obecnie wynosi tylko 6 linii, wypada więc następująca proporcja:

$$6^3 : 720^3 = x : 75 \text{ kg, czyli } 216 : 373248000 = x : 75 \text{ kg}$$

$$x = (75 \times 216) : 373248000 = 0,043 \text{ grama.}$$

Możecie sami sprawdzić i nie znajdziecie omyłki. Zmalałem więc do takiego stopnia, że gdyby podobny los spotkał wszystkich mieszkańców Londynu, to razem nie zaważyliby tyle, co czterech zwyczajnych ludzi.

Jakkolwiek podobny wypadek jest dla mnie nad wyraz niepomyślny, pocieszam się jednak, że każda rzecz, nawet najgorsza, ma dobrą stronę.

Wskutek zmiany mych warunków fizycznych względem całej przyrody nie tylko mój słuch i wzrok odbierają inne wrażenia aniżeli dawniej, ale zmienił się także mój stosunek do gęstości powietrza, do wody i do siły ciężenia. Mógłbym obecnie zlecieć ze szczytu wysokiego świerka, który dla mnie zamiast zwyczajnych czterdziestu stóp reprezentuje względną wysokość 4800 stóp, a pewny jestem, że nie poniósłbym większego szwanku niż od przewrócenia się na miękkiej murawie. Jestem lekki jak piórko, spadek też mój odbywałby się powoli, a najłżejszy wietrzyk łagodziłby jego skutki, unosząc mnie w linii ukośnej do ziemi.

Ledwie odczuwalny dawniej wietrzyk ma dla mnie teraz szybkość 120 razy większą i równa się podmuchowi burzy; silniejszy zaś wiatr jest rzadko trafiającej się siły huraganem, zdolnym pochwycić mnie i unieść o setki, a nawet tysiące łokci jak piórko lub skrawek papieru.

Nawet woda zmieniła dla mnie pierwotne własności swoje. Uległa ona w mej sferze znanym wam dobrze, choć nieobchodzącym was praktycznie prawom włoskowatości płynów i widzę ją wszędzie w postaci wygiętych powierzchni zwierciadlanych lub w kształcie kulistych brył, poprzączepianych do łądyg, liści i kamieni.

Bryły te nazywacie pospolicie kroplami.

Do najbliższego siedliska ludzkiego, do Jaworzyny Spiskiej u stóp Murania, na moje kroki licząc, jest około osiemdziesięciu mil, do Zakopanego zaś najbliższą drogą przez Dolinę Rostoki i Zawrat lub przez Krzyżne miałbym więcej niż trzy razy tyle.

Teraz dopiero spostrzegam, jak dalece człowiek upośledzony jest przez naturę! Doprawdy zbyt po macoszemu obeszła się z ludźmi, odmawiając im wielu władz będących udziałem owadów, odmawiając im bodaj skrzydeł!... Dla tych lotnych istot żadne nie istnieją zapory. Gdybym miał skrzydła muchy, nie czekałbym bezsilnie na śmierć pewną, ale puściłbym się górnymi szlakami do mej ojczyzny, gdzie może udałoby mi się zwrócić czyją uwagę i zawiadomić o zbawczym flakonie, jaki w Puckinstone spoczywa. Ale w obecnych warunkach na próżno wysilam wyobraźnię; przychodzą mi na myśl różne plany, jeden od drugiego nie praktyczniejszy. Od kilku dni za pomieszkanie i nocne schronienie służy mi opuszczone gniazdo ziemnego pająka. Tylko dzięki wypadkowi natrafiłem na osieroczoną siedzibę, której właściciel w moich oczach został porwany przez ogromnego jakiegoś potwora. Gniazdo, jakie zamieszkuję, jest bezpieczną kryjówką, gdyż przezorne zwierzę wejście do niej zakryło szczelnie zamykającymi się drzwiami, ulepionymi z tej samej gliny, w której obrabiał mieszkanie. Gliniane te drzwi obdarzone są mocnymi zawiasami z pajęczyny i bardzo łatwo się odchylają. W schronieniu swym napisałem kilka krótkich listów, wzywających pomocy, i rozesłałem je w świat za pośrednictwem różnych owadów.

Na pozostałej ilości papieru z mej książki notatkowej kreślę niniejszy pamiętnik i puszczam na szalę losów jako ostatni ślad mej działalności na ziemi.

Może tą drogą dowie się ludzkość, w jaki sposób zginął prezes Klubu Ekscentryków londyńskich...”

¹²⁹stopa — dawna miara długości, równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

Tu przerwałem czytanie, gdyż zabrakło mi już cierpliwości.

Rzuciłem dziwny list, rozgniewany srodze na lorda Puckinsa, na Nureddina, a najbardziej na kochanego wujaszka, który mi każe nie wiadomo po co i na co czytać jakieś brednie.

Niezadowolony z otrzymanych nowin, powróciłem do domu. Nie wiedziałem, nie-szczęśny, że czekała mnie tam nowa i większa jeszcze niespodzianka.

*

Już to dowiedziona jest rzeczą, że jak się komu zacznie szczęścić, to mu się szczęści bez miary, jak zaś los pocznie kogo prześladować, to także do ostatnich granic.

Mnie wziął się trapić długimi listami, choć wiedział zapewne, że od urodzenia czuję wielki wstręt do wszelkiej korespondencji.

Zaledwie przybyłem do domu, zastałem już tam drugi, także opieczętowany pakiet. Rozerwałem kopertę i przekonałem się, że zawiera memoriał¹³⁰ pisany znowu ręką wujaszka.

Tego już było za wiele! Zły jak autor wysykanej komedii spojrzałem na zegarek, obliczając, ile drogich godzin zabierze mi ta nieoczekiwana i przydługa korespondencja.

„Czego wuj może chcieć ode mnie? Dlaczego mnie prześladowe swymi listami?” — myślałem, irytując się niepomierne.

Nie dosyć wujowi było, że mógł mnie kiedy niekiedy zanudzać ustnie, teraz wziął się do listów! Tego tylko brakowało, aby mi do reszty zatruć i tak nie zanedto wesole życie!

Postanowiłem się bronić.

Nie będę czytał otrzymanej korespondencji i basta! Albo lepiej ograniczę się jedynie do paru pierwszych stroniczek, podobnie jak to zrobiłem z listem tego dziwnego Anglika.

Zobaczę tylko, o czym pisze.

Decyzja ta powróciła mi utracony spokój i wziąłem się do czytania.

Już pierwsze jednak wiersze zainteresowały mnie tak bardzo, że zapomniawszy o niedawnym gniewie, nie tylko przeczytałem całą korespondencję, ale com przeczytał, z małymi wyjątkami zamieszczam poniżej.

IX. PODRÓŻ DO LONDYNU. SIR BIGGS. WYPRAWA W CE-LU ODSZUKANIA LORDA PUCKINSA

„Kochany Janku! — pisał mój miły wujaszek — pośpieszam cię zapewnić, że cudowny eliksir Nureddina i sam lord Puckins, w którego istnienie pewno nie wierzyłeś, są rzeczywistością. Powracam właśnie z Tatr, gdzie sprawdziłem dziwy podane przez lorda, tak ciekawe, że niezawodnie zajmie cię ich opis. Dlatego uważam sobie za miły obowiązek dać ci przynajmniej słabe wyobrażenie o przygodach, jakie przeżyłem w swojej niezwykle wędrownie. Nie uprzedzając wypadków, muszę ci wszystko, jak było, kolejno opowiedzieć.

Po odnalezieniu listu lorda Puckinsa, który się nam owego pamiętnego dnia zawierał, nie byłem w stanie o niczym więcej myśleć, jak o tej dziwnej kruszynie i o Angliku. Tysiące przypuszczeń przebiegało mi przez głowę, wierzyłem i wątpiłem na przemian, aż nareszcie postanowiłem udać się niezwłocznie do Londynu celem sprawdzenia tej dziwacznej historii, a jeśli ona nie jest mistyfikacją, z zamiarem podania energicznej pomocy nieszczęsnemu.

Przybywszy do Londynu, przekonałem się zaraz w hotelu, że sir Robert Biggs istnieje rzeczywiście i należy do wybitniejszych prawników stolicy. Dostałem jego adres i natychmiast udałem się, dla pośpiechu nie zmieniając podróżnego ubrania.

Gdy zadzwoniłem do wspaniale zapowiadającego się mieszkania w City, Chancery Lane nr 25, drugie piętro, przyznaję, że serce biło mi jak młotem; byłem wzruszony. Za chwilę miałem się dowiedzieć prawdy!

Oddałem swoją kartę¹³¹ i zażądałem bezzwłocznie posłuchania, oznajmiając, że przybywam w nader ważnej sprawie. Służący poprosił mnie do poczekalni, którą zastałem

¹³⁰memoriał (daw.) — pamiętnik; dziś: oficjalne pismo zawierające wyjaśnienie sprawy lub uzasadnienie prośby. [przypis edytorski]

¹³¹karta — tu: karta wizytowa, wizytówka, przekazywana za pośrednictwem służby do pana bądź pani domu, by mogli zdecydować, czy przyjmą gości. [przypis edytorski]

umeblowaną ze zbytkiem i zaopatrzoną w stopy albumów i czasopism, osładzających interesantom niezbyt miłe godziny oczekiwania. Co do mnie, nie nudziłem się długo. Ciężka portiera uchyliła się i do gabinetu miarowym krokiem wszedł mężczyzna lat średnich, szczupły i wysoki, w nieposzlakowanej białości halsztuku¹³², kamizelce i kołnierzyku. W lewej ręce trzymał jakiś przyrząd w kształcie obcęgow z pętlcami, niby narzędzie tortur średniowiecznych. Zmierzył mnie zimnym wzrokiem od stóp do głowy i rzecze:

— Muszę pana uprzedzić, że godzina obecna nie jest u mnie godziną przyjęć; interesy, związane z moim urzędem, na dziś ukończyłem i oddaję się obecnie, jak zwykle o tej porze, higienicznej gimnastyce szwedzkiej. Tylko bardzo ważny wypadek może usprawiedliwić pańską chęć konferowania ze mną w tej chwili.

— Otóż ten właśnie wypadek zaszedł — podchwyciłem spiesźnie. — Raczej pan mnie posłuchać.

Sir Biggs skinął mi w milczeniu ręką, zapraszając, abym usiadł, i odłożywszy na bok przyrząd gimnastyczny, z wielką powagą zagłębił się w fotelu. Następnie, pocierając ręką starannie wygolony podbródek, zamknął oczy, co zapewne miało oznaczać, że skupił już ducha i gotów słuchać, co powiem.

— Czy pan wierzy, że są na świecie rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło? — zacząłem, siadając na wskazanym sobie przez gospodarza krześle. Głos mój był trochę niepewny, a wzruszenie malowało się zbyt widocznie na mej twarzy.

Sir Robert, usłyszawszy tak dziwny początek rozmowy, podniósł powieki i spojrzał na mnie spod oka, nie okazując żadnego zdziwienia.

— O tak, bywają, czytałem to w Szekspirze — odrzekł, a zamykając oczy, znowu czekał, co dalej powiem.

— To dobrze, że pan wierzy... bardzo dobrze — jąkałem tonem przekonywującym — bo ja, choć dawniej nie wierzyłem, jestem dziś przekonany, że są na świecie rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło.

Po wygłoszeniu tego frazesu¹³³ zaległa w gabinecie cisza. Ja poczułem, że prawie¹³⁴ trzy po trzy, zaś prawnik z miną poważną i wyczekującą zachowywał głębokie milczenie i nie przychodził mi z pomocą. Nareszcie zdołałem opanować wzruszenie i zapytałem głosem swobodnym, jakby mi kamień z piersi zdjęto:

— Czy pan jesteś pełnomocnikiem lorda Puckinsa z Puckinstone?

Sztywny Anglik skinął twierdząco głową.

— Otóż przybywam w jego interesie i potrzebuję panu zadać kilka pytań.

— Mów pan, czekam.

— Czy wiadomo, gdzie lord Puckins obecnie przebywa?

— Naturalnie, że wiadomo. W Indiach!

— Mylisz się pan — odpowiadam — był tam wprawdzie, ale wrócił i obecnie jest już w Europie.

— Być może, w takim razie wkrótce go powitamy — odparł adwokat, nie ożywiając się ani na sekundę.

Chłód taki ubódł mnie do żywego, mnie, który — aby ratować nieznajomego mi człowieka — jednym tchem przyleciałem tu z Warszawy. Postanowiłem rozruszać zwoleńnika szwedzkiej gimnastyki.

— Bardzo wątpię — odpowiadam — czy zgodnie z pańskim przewidywaniem powitamy go wkrótce i właśnie w tej ważnej materii chciałem z panem pomówić.

— Jak mam rozumieć słowa pańskie? — zapytał automat, poruszając się niespokojnie w fotelu. — Czyżbyś pan był zwiastunem złych wieści?

— Wszystko być może — odrzekłem lakonicznie.

— Wszystko, ale nie to ostatnie! Lord Puckins zanadto mi jest dobrze znany, abym w złe wieści miał uwierzyć.

— A jednak... choć mi przykro, muszę rozproszyć pańskie złudzenia...

¹³²*halsztuk* — chustka na szyję, noszona przez mężczyzn w końcu XVIII i w XIX w., poprzednik krawata. [przypis edytorski]

¹³³*frazes* (daw.) — zdanie, zwrot; dziś: stwierdzenie bez głębszej treści, slogan. [przypis edytorski]

¹³⁴*prawić* (daw., gw.) — mówić, opowiadać. [przypis edytorski]

— Nie trudź się pan daremnie, raczej zechciej mnie łaskawie objaśnić, gdzie lord obecnie przebywa, skoro wiesz, że Indie opuścił, a zarazem, z jakiej racji interesujesz się jego osobą?

— Gdzie lord obecnie bawi, wiem i zarazem nie wiem. Wiadomo mi, że znajduje się w Polsce, w Tatrach, ale co się z nim dzieje, nie wiem, zresztą, nikt tego nie wie.

— Powiadasz pan, nikt nie wie, hm... to nieco dziwne, ale przynajmniej bądź pan łaskaw powiedzieć mi, czy nie chory. Wszak chociaż tyle musisz wiedzieć.

— I tego, niestety, nie wiem. Do czasu ostatniej o nim wiadomości był wprawdzie zdrowszy zupełnie, ale obecnie jest to bardzo wątpliwe...

— Nie pojmuję pana zupełnie — odpowiedział sir Biggs, zaniepokojony naprawdę.

— A jednak tak jest. Może być nawet, że klient pański już nie żyje.

Usłyszawszy te słowa, sir Robert podniósł się, stanął przede mną i patrząc przenikliwym wzrokiem, wysylabizował z wolna:

— Jeśli pan przybywasz tutaj aż z Polski i nie zaprzeczasz, że znane ci jest miejsce pobytu lorda, już tym samym wiedzieć musisz, co się z nim dzieje. Inaczej nie pojmuję ani celu wizyty pańskiej, ani jego rozmowy. Wszak Polska to nie wewnątrz Afryki, gdzie można ginąć bez wieści, a i stamtąd...

— W istocie masz pan rację — przerwałem — ale wszędzie bywają wyjątkowe zdarzenia. W tym szczególnym wypadku, powtarzam panu, że nie tylko ja, ale nikt nie wie, co się z lordem dzieje. Wiadomo mi tylko, że jest w Tatrach.

Prawnik odstąpił parę kroków i tak rzecze:

— Łaskawy panie! Raczej wierzyć, że w szkołach otrzymywałem piątki z geografii i pamiętam z niej jeszcze tyle, że wycieczka w Tatry nie jest wyprawą do bieguna północnego, gdzie można zginąć bez śladu...

— Mimo to słowa moje mieszczą prawdę. A lepiej powiem panu, że ja tylko jeden dotąd wiem cośkolwiek o losie, jaki spotkał lorda. Znajduje się on obecnie w wielkim niebezpieczeństwie; dowiedziałem się o tym dziwnym wypadku i w moim ręku spoczywa wyłącznie ocalenie lorda Puckinsa, jeśli naturalnie pan do tego zechcesz dopomóc.

Sir Biggs wpatrywał się we mnie osłupiałymi oczyma, nie mogąc pojąć, czy żartuję, czy serio mówię. Nie ręczę, czy nie wziął mnie za opryszka przybywającego po okup.

— W zamiarze właśnie ocalenia pańskiego klienta przyjechałem przed paru godzinami — ciągnąłem dalej — a ponieważ każda stracona chwila może być decydująca o losie jego, pozwól pan, że przystąpię od razu do rzeczy i zapytam, czy przyszły już skrzynie lorda wysłane z Indii?

— Tak jest! Więc i to pan wiesz?

— Gdzież one są obecnie? — zapytałem, udając, że nie rozumiem wykrzyku zdziwienia.

— Wysłałem je przed tygodniem do Puckinstone.

— Otwierałeś je pan?

— Nie. Przeekspediowałem je tylko z parowca na kolej. Sam lord, skoro przyjedzie, zajmie się ich opróżnieniem.

— Jak prędko moglibyśmy się dostać do posiadłości lorda?

— Za sześć godzin, jeśli wsiądziemy do pociągu odchodzącego za trzy kwadranse.

— W takim razie bądź pan gotów, jedziemy natychmiast!

— Daruj pan, ale nie rozumiem jeszcze, w jakim celu mamy odbyć tę podróż.

— Nic nie szkodzi, zrozumiesz pan później. Czasu już nie ma, objaśnię pana zatem w drodze, a teraz śpieszmy! Ach! Jeszcze jedno zapytanie: może pan otworzyć kufer oznaczony liczbą 5875?

Sir Biggs, poszukawszy w papierach, wyjął notatkę jakąś i począł ją żywo przeglądać.

— Numer 5875! Jest! Zapieczętowany własnym sygnetem — mruczał. — Nie, nie mam prawa! — wyrzekł, składając notatkę na dawne miejsce.

— Nie możesz pan? W takim razie w imieniu lorda ja pana upoważniam, bo od tego zależy życie pańskiego klienta. Jeśli łaska, jedźmy natychmiast!

Sir Biggs spojrzał na mnie podejrzliwie spod namarszczonych brwi.

— Przepraszam, ale mi się to wszystko coraz dziwniejsze wydaje — wyrzekł po krótkim milczeniu. — Pozwól pan, że ja z kolei zapytam, czy masz pan dowody, zarów-

no stwierdzające słowa pańskie, jak upoważniające do rozkazywania mi w imieniu lorda Puckinsa.

— Oto dowód! — odrzekłem zimno, wyjmując starannie owinięte maleńkie pudełeczko, zawierające list lorda.

Sir Biggs otworzył kasetkę i nie dostrzegł zrazu mikroskopowego listu, spoczywającego na czarnym aksamicie, szczelnie przykrytego szkiełkiem od zegarka.

— Pudełko próżne! — zawołał, wzruszając ramionami.

— Nie dziwi mnie opinia pańska — odrzekłem na to — dokument mój nie należy bowiem do rzędu tych, jakie masz pan sposobność co dzień studiować, ale jednak powtarzam, że w tym pudełeczku spoczywa jedyny i zupełnie wystarczający dowód, że wszystko, co mówię, jest prawdą. Dostrzegasz pan tę białą okruszynkę? Trzeba panu wiedzieć, że jest to własnoręczne pismo lorda Puckinsa zawierające jego wolę, a nadto ocenione przez niego samego na dziesięć tysięcy funtów szterlingów, jakie mają być wypłacone oddawcy. Czy masz pan mikroskop, żebyś się natychmiast o tym przekonał? Zapłaty bynajmniej nie żądam, ale nagle o pośpiech, bo tu chodzi o życie człowieka!

Możesz sobie wyobrazić zdumienie Anglika. Pewno był przekonany, że ma przed sobą człowieka z nienormalnym umysłem. Nie dawał mi jednak tego poznać i zachowywał się grzecznie, aby nie drażnić wariata. Na nieszczęście u prawnika mikroskop jest sprzętem zbyt cennym, nie mogłem go też przekonać ani skłonić do pośpiechu. Dopiero po uroczystym zaręczeniu, że prawdę mówię, zgodził się na podróż, pod warunkiem, że natychmiast po przybyciu do Puckinstone, gdzie znajdują się najlepsze mikroskopy lorda, stwierdzę dowodnie prawdę słów moich.

Nie będę ci opisywał naszej podróży, w ciągu której ostrożny Anglik nie mógł pozbyć się myśli, że jedzie z podejrzanym awanturnikiem albo skończonym wariatem, i odpowiednio lokował się w dorożce i wagonie.

Ciekawa była chwila, gdy podejrzliwy Anglik rozpoznał pod szkłem powiększającym charakter pisma swego klienta. Chwycił się wtedy za głowę i nie mógł wyjść ze zdumienia. Potem jał mnie przeproszać za niedowierzanie i stał się już posłuszny jak dziecko.

— Co czynić, co czynić? — pytał gorączkowo. — Radź pan, bo ja głowę tracę!

— Bardzo chętnie — odrzekłem ze spokojem — mam już nawet plan ułożony w drodze.

— Mów pan, na wszystko się zgadzam!

— A więc najprzód trzeba znaleźć flaszeczkę pomieszczoną w kufrze oznaczonym liczbą 5875. Potem jedziemy odszukać lorda.

— Zgoda! Ślusarz natychmiast przybędzie, ale pozwól pan, że ośmielę się wyrazić odmienne nieco zapatrywanie na porządek akcji. Zdaje mi się, że przede wszystkim powinno nam chodzić o odszukanie lorda. Flaszcza może być na drugim planie, będzie ona potrzebna dopiero, gdy znajdziemy lorda.

— Mylisz się, drogi panie — odrzekłem. — Bez niej ocalenie pańskiego przyjaciela jest niemożliwe. Dopóki drogocenny flakon nie znajdzie się w moim ręku, nie mamy nawet po co ruszać się stąd.

— A to dlaczego? Pojmuję wprawdzie, że egzystencja lorda byłaby gorsza od śmierci, gdybyśmy cudownej flaszczyki nie odnaleźli, ale przecież druga podobna leży wśród gór. Choćby tedy przyszło nam przetrząsnąć każdą piędź ziemi, flakonik musi się znaleźć!

— Z przykrością wielką muszę panu jeszcze raz oznajmić, że choć pan może jesteś najlepszym prawnikiem, dowódcą wyprawy byłbyś lichym. Flakon, który zgubił lord Puckins, jest dla nas na teraz stracony. Nie możemy go szukać bez narażenia lorda na śmierć pod stopami.

— Prawda! — mruknął sir Biggs. — Zapomniałem o tym.

— Tak jest! Ale to nie jedyny powód, dla którego musimy wydobyć flakon zamknięty w kufrze. Możliwe jest przecież, że zgubiona flaszcza wpadła w taką szczelinę, z której nikt jej nie wydobydzie.

— Istotnie! Masz pan słuszność...

— Zaczekaj pan! — zawołałem. — To jeszcze nie wszystko! Mam inny powód, stokróć ważniejszy od podanych. Posłuchaj pan tylko uważnie.

— Słucham... — odrzekł sir Biggs, poprawiając się na fotelu.

— Lord Puckins nie powróci do dawnego stanu, jeśli nie wypije połowy zawartości flakonu, wszak prawda?

— Tak jest napisane!

— Otóż pytam łaskawego pana, czy leży to w granicach możliwości, aby człowiek ważący obecnie czterdzieści trzy tysięczne grama wypił sześć kropli płynu, gdy każda kropla waży przeszło sześć miligramów, a razem wzięte blisko dziesięć razy więcej od lorda? Przyznasz pan, że taki toast nawet dla prezesa ekscentryków jest niemożliwy do spełnienia. Czy pan na przykład mógłbyś dokazać tak heroicznego czynu, aby dla ocalenia własnego życia przełknąć od razu cały okseft¹³⁵ choćby najczystszej wody?

— Rzeczywiście, nie zastanowiłem się nad podobną niemożliwością — mruknął posępnie sir Robert, a po chwili z żywością dodał: — Ależ w takim razie nieszczęśliwy lord nigdy nie zdoła tego dokazać i choćbyśmy go ocalili, będzie zmuszony do śmierci pozostać w okropnym stanie karzelka.

— Byłoby to niezawodnie bardzo przykre dla lorda jako osoby prywatnej, ale z drugiej strony mogłoby być zachwycające dla prezesa ekscentryków. Przykreść zrównoważyłaby się przyjemnością i przyjaciel pański pogodziłby się z nowym stanem bardzo prędko.

— Pan żartujesz! — zawołał oburzony sir Robert. — W takiej chwili!... Sądziłem, że naturaliści więcej mają serca czulego na nędzę bliźnich.

— Uspokój się pan. Przemawiam w lekkim tonie, bo mam radę, wprowadzić bardzo ryzykowną, ale pewną. Zakomunikuję ją panu później, a teraz nie tracimy czasu.

Wyłamano więc misterny zamek i nieuszkodzona złota flaszeczka w onyksowym futerale znalazła się w naszym posiadaniu.

— Teraz wracajmy do Londynu! — zawyrokowałem.

Tam odbyliśmy naradę, w której po długich debatach ułożyliśmy plan wyprawy.

Przed wszystkim zatelegrafowałem do Zakopanego, aby dowiedzieć się o stanie pogody w górach. Od niej zależały bowiem szanse uratowania lorda. Jeśli w ostatnich tygodniach panowały deszcze, utrzymanie się Puckinsa przy życiu należałoby do cudów i z góry wypadało się przygotować na fatalny wynik poszukiwań. Gdyby jednak trwała jaka taka pogoda, nieszczęsny więzień gór jeszcze mógł być ocalony.

Telegramu czekaliśmy jak wyroku życia lub śmierci dla lorda. Godziny wlokły się nieskończenie; co chwila spoglądaliśmy na zegar, podejrzewając go, że przestał chodzić. W czasie przykrej i przymusowej beczynności przypominałem sobie dopiero, jak okropne było przeszłoroczne lato w Tatrach. Nieustające prawie deszcze czyniły z tego uroczego zakątka krainę wiecznej jesieni. Gdyby tak miało być i tego roku, lord Puckins zginąłby niewątpliwie.

Pamiętam wprowadzić, żeś mi po powrocie z Zakopanego opowiadał o prześlicznej pogodzie, jaka tam za twojej bytności panowała, ale od owego czasu upłynął miesiąc i mogło się wszystko zmienić. W Tatrach piękna pogoda rzadkim bywa gościem.

O trzeciej dopiero w nocy odgłos dzwonka poruszył silnie naszymi nerwami, a po chwili trzymałem już w drżącej dłoni depezę. Zawierała długi wykaz codziennych obserwacji.

W miarę czytania radość zastępowała miejsce niepokoju w moim sercu.

— Ależ to nie do wiary! — zawołałem w końcu. — To chyba jakieś nieporozumienie! Ciągłe pogoda, pogoda i pogoda!

— Czytaj pan do końca — przerwał mi sir Biggs, spoglądając przez ramię na francuski tekst depezy. — Wszak tu wyraźnie napisano: »Pogoda niebywała przynajmniej od lat czterdziestu. Najstarsi górale nie pamiętają takiej«.

— Zatem nie ma omyłki, trzeba wierzyć cyfrom!

Radość nasza nie miała granic.

— Jedźmy co prędzej! On niewątpliwie żyje i czeka na ratunek! — powiedzieliśmy sobie i po krótkiej naradzie stanęło, że mamy natychmiast wybrać się do Zakopanego.

*

¹³⁵okseft (z niem.) — dawna miara objętości cieczy, używana głównie w winiarstwie i piwowarstwie, równa ok. 200 litrów; także: wielka beczka. [przypis edytorski]

W Tatrach postanowiliśmy przede wszystkim odszukać wskazaną w liście miejscowość. Następnie zwołaliśmy kilkudziesięciu górali, aby otoczyć żywym łańcuchem część Doliny Białej Wody, w której miniaturowy lord przebywa. W łańcuchu tym mieli na zmianę w dzień i w nocy pilnować górale, aby nikt, literalnie nikt, ani człowiek, ani zwierzę, nie dostał się na strzeżony obszar. Nadto, ponieważ poleciłem zająć raczej za duży niż za mały szmat okolicy, łańcuch miał się stopniowo ścieśniać przez posuwanie się straży na przód, nie inaczej jednak, jak drobnymi krokami i z niezmierną powolnością. Potem wszyscy mieli zająć stałe placówki, nie ścieśniając już ani na krok koła. W ten jedynie możliwy, choć wielce niedogodny, a nawet kosztowny sposób spodziewaliśmy się przede wszystkim usunąć niebezpieczeństwo grożące lordowi ze strony turystów, bydła i owiec, a zarazem umożliwić mu zbliżenie się do nas w razie, gdyby zdołał dojrzeć ludzi i plan nasz zrozumieć.

To ostatnie było jednak bardzo wątpliwe, bo gdyby nawet lord Puckins spostrzegł górali i zrozumiał, żeśmy urządzili nań obławę w celu ocalenia, to jeszcze unikałby zapewne zbliżenia się z obawą, by go który z tych olbrzymów nie zgniótł.

Zaopatrzywszy się w mikroskop, telefon, mikrofon, lunety i różne inne przybory, pierwszym parowcem dostaliśmy się do Hamburga, a stąd kurierski pociąg wkrótce nas wysadził w Krakowie. Na trzeci dzień podróży znajdowaliśmy się w Tatrach. Po ustawieniu kordonu okazało się, że dolina tyle ma nierówności, załomów, a zarazem tak jest rozległa, iż staranny przegląd całej powierzchni, gdyby nawet był możliwy, zająłby bardzo dużo czasu, a ten zbyt drogi był, aby go trwonić można nieogłędnie. Każdy dzień, każda niemal chwila mogły decydować o życiu lorda.

Teraz odsłoniłem sir Robertowi drugą część swego planu. Polegał na tym, że sir Biggs z wyszukaniem tłumaczem mieli objąć komendę nad góralami i nie odstępować ich ani na chwilę, ja zaś zdecydowałem się połknąć połowę płynu Nureddina i puścić się na poszukiwania mimowolnego jeńca przyrody w takich samych warunkach, w jakich on się znajduje.

W ten sposób czarodziejski flakon zmaleje wraz ze mną do rozmiarów właściwych i stanie się zdalny do użytku, o jakim Nureddin wspominał. Pomijając wszystko inne, w przedsięwzięciu moim tkwiło jedno zasadnicze niebezpieczeństwo, o jakim bez drżenia nie mogłem myśleć. Flakon zawierający dwanaście kropli płynu wystarczyć mógł zaledwie dla jednej osoby. Wypijając połowę, posiadałem już tylko tyle płynu, ile wystarczy dla mnie samego do powrotu. Gdybym nie znalazł lorda, miałem odwrót zapewniony, ale gdy poszukiwania uwieńczy pomyślny rezultat, wtedy jeden tylko z nas będzie mógł powrócić do świata ludzkiego w swej dawnej postaci. Dla drugiego odszukanie zgubionego flakonu stanie się kwestią ważniejszą niemal niż kwestia życia. Gdyby się flakonik lorda nie znalazł lub, co na jedno wychodzi, jeśli został zgubiony zaraz po wypiciu, przed zupełnym zmaleniem lorda i flakonu — wtedy jeden z nas powróci karzelem.

Gdy pojął całą groźbę podobnej perspektywy, sir Robert, który stał się już serdecznym moim przyjacielem, załamał ręce.

— Pan nie pójdiesz na poszukiwania! — zawołał z mocą. — To prawie samobójstwo! Ja powinienem iść. Ten los mnie przypada w udziale jako przyjacielowi i płatnemu pełnomocnikowi lorda. Choćbym siłą miał odebrać flakon, nie pozwolę ci popełnić szaleństwa!

— Nie zapominaj się, kochany panie! Przygoda spotkała lorda na naszej ziemi, do mnie więc należy ratować go w ciężkiej potrzebie. A przy tym pańskie dobre chęci nie na wiele by się przydały. Nie znasz obyczajów świata zwierzęcego i na pierwszym kroku śmierć by cię spotkała...

Długo nie mogłem pocziwego człowieka uspokoić i byłby może nie zgodził się wcale na plan mój, gdybym mu nie wytłumaczył, że najprzód nie mamy potrzeby przypuszczać najgorszego zbiegu okoliczności, po drugie i w tym ostatnim razie nie wszystko stracone.

Pozostawało tylko pojechać do Indii, odszukać fakira, przedstawić mu rozpaczliwe położenie, a wtedy niewątpliwie przy pomocy trzeciej osoby i większej ilości płynu metamorfoza mogłaby się z łatwością dokonać i obaj bylibyśmy zupełnie uratowani.

Drogą takiego rozumowania doszliśmy do zgody i ułożyli dalsze szczegóły wyprawy.

W wędrówce swojej postanowiłem w najwydatniejszych miejscach poustawiać z dala widzialne sygnały, a przy nich treściwe informacje dla lorda Puckinsa. Gdybym zaś natrafił

przypadkiem na jego ślady, miałem póty iść za nim, póki go nie znajdę przy życiu czy umarłego.

Żywy łańcuch miał się utrzymywać aż do mojego powrotu, z lordem czy bez niego, w miejsce oznaczone. Dla ułatwienia powrotu, jako też orientowania się w wycieczce, wzniesiono jako drogowskaz na wysokiej żerdzi czerwoną chorągiew na linii kordonu. Dostęp do niej był wzbroniony i tylko jeden sir Robert mógł się zbliżyć po ułożonej z desek kładce.

U stóp owej żerdzi, gdyby zaszła potrzeba, mieliśmy się spotkać i zakomunikować sobie zebrane a ważne wiadomości. W tym celu ustawiony został doskonały mikrofon Edisona, przywieziony z Londynu.

Jeśli przez cały miesiąc ani razu nie pojawię się na stacji, sir Biggs powinien być przekonany, że spotkało mnie jakieś nieszczęście, ale nie ma jeszcze tracić nadziei i dopiero po upływie nowego miesiąca wolno mu rozpuścić ludzi, uważając nas za przepadłych.

Jak widzisz, plan był bardzo śmiały i ryzykowny.

Nie poprzestając na optycznych sygnałach, umyśliłem od czasu do czasu na cały głos nucić hymn narodowy angielski, zaczynający się od słów „*God save the King*”, w celu zawiadomienia lorda o swym sąsiedztwie.

Gdy się nie jest tchórzem, można się oswoić nawet z najgorszymi przewidywaniami. To samo się stało i ze mną. Wkrótce zapomniałem o niebezpieczeństwach, jakie mnie czekały, pochłonięty nadzieją ujżenia niezwykłych rzeczy. W czasie przygotowań do wyprawy byliśmy dobrej myśli i żartowaliśmy nawet z przyszłych moich przygód, jako też z przedsięwziętych środków bezpieczeństwa. Niektóre były nader zabawne.

Między innymi zaopatrzyłem się w wyśmienity rewolwer. Znając twardość pancerza większej części owadów, nie myślałem o zabijaniu ich z tej broni, ale czułem, że mogła się wcale dobrze przydać do spłoszenia i odpędzenia nieprzyjaciela w razie napadu.

Wszak huk wystrzału i dym nieraz już ploszyły i skłaniały do ucieczki najwaleczniejsze gromady dzikich, dlaczegożby nie miały wyrzucić tego samego skutku na owadach, które nigdy nie wachały prochu?

Dopiero w ostatnich chwilach pocziwy Anglik stracił albiońską¹³⁶ flegmę¹³⁷ i próbował mnie raz jeszcze odwieść od przedsięwzięcia.

Twierdził, że wszystko na nic się już nie zda, a przyniesie mi bezwarunkowo zgubę.

W miarę jednak, jak on tracił odwagę, zapalałem się do wyprawy, tak że żadna już moc niezdolna była zmusić mnie do zaniechania przedsięwzięcia, w którym, prócz nadziei ocalenia człowieka, spodziewałem się poczynić wiele ciekawych spostrzeżeń i odbyć, nie ruszając się z kraju, wycieczkę w świat nieznany, do którego nikt jeszcze z ludzi prócz lorda Puckinsa nie miał szczęścia się dostać.

X. PIERWSZE KROKI

Wschodzące słońce dnia 2 lipca 1889 roku było świadkiem mego rozstania się z sir Robertem Biggsem.

Noc całą bezsennie spędziliśmy w namiocie rozpiętym przez górali w miejscu złączenia Doliny Rówienki z Doliną Białej Wody, otoczeni malowniczym laskiem i omszałymi głazami, a z pierwszymi promieniami gwiazdy dziennej, pożegnawszy się serdecznie, zmalowałem Anglikowi w oczach niby oddalający się szybki pociąg kolei żelaznej.

Pomimo że był przygotowany do zmian, jakie zająć miały, zdawało mi się, że zapadam w gorączkę, a nawet, że umieram. Pod wpływem narkotyku Nureddina ogarnęło mnie najprzód przerażenie, potem obojętność na wszystko, a w końcu, wyczerpany, zapadłem w ciężki sen.

Widok, jaki po zbudzeniu się przedstawił się moim oczom, wytrzeźwił mnie natychmiast. Chociaż nie ruszyłem się z miejsca, znalazłem się jakby w nowym, nieznanym świecie.

Pożegnawszy, jak mogłem, sir Biggsa, który nie mógł już dosłyszeć słów moich, znikłem w gąszczu zieleni.

¹³⁶*albion* (książk.) — angielski; *Albion*: dawna nazwa Wysp Brytyjskich występująca u pisarzy staroż., później stosowana jako literackie określenie Anglii. [przypis edytorski]

¹³⁷*flegma* — tu: powolność i spokojność charakteru, zimna krew. [przypis edytorski]

Szmat dość gładkiej górskiej polany stał się dla mnie ogromną, urozmaiconą doliną tatrzańską, pełną tajemniczych zakątków, skał i przepaści. Rzecz nie do uwierzenia! Posiwiwały nad księgą przyrody naturalista nie rozpoznawał najbardziej sobie znanych przedmiotów.

Liście na przykład przestały być dla mnie liśćmi. Zarysy i postać nie dały się jak dawniej objąć jednym spojrzeniem i dopiero dłuższe oglądanie przez odwróconą lunetę pozwalało mi rozpoznać gatunek.

Ogromne te płaty o chropowatej powierzchni najeżone były częstokroć nieprzelicznymi szczecinkami lub przezroczystymi kolorowymi kolcami. Takie same kolce lub szczecina pokrywały wiele łodyg, a nawet korony kwiatowe. Wyrostki, o których mówię, były to zwykłe włoski, pokrywające powierzchnię liści i łodyg różnych roślin.

Jedne były zwyczajnymi, ostro zakończonymi wyrostkami, powstałymi z przedłużenia się lub podziału komórek naskórka, inne, gruczołowe, na czubkach zgrubiałe, sączyły ze swych główek lepłą ciecz, która spływała na powierzchnię liścia lub łodygi i tworzyła warstwę podobną do rozlanej warstwy miodu.

Wstępowanie na tak lepkie liście nie było bynajmniej przyjemne; w każdym razie los mój był o wiele weselszy od losu drobnych muszek i chrząszczyków, które — niebacznie siadając na takich liściach — całymi secinami¹³⁸ przylepiały się do nich i dopóty szarpały, usiłując uwolnić ugrzęzłe nóżki i skrzydełka, aż wyczerpane i zgłodniałe ginęły marnie. Spotykałem rośliny, na których widziałem seciny nieszczęśliwych istot, w części już zaschłych, w części skazanych na zagładę. Szczególniej niektóre gatunki łomikamienia (*Saxifraga*)¹³⁹, firletek (*Lychnis*) i lepnice (*Silene*), a także rozchodnika (*Sedum*) okryte były mnóstwem muszek, chrząszczyków, mszyc, mrówek lub drobnych larw.

Tak samo niezwykle wygląd miały ziarna piasku. Przybrały pozór ogladzonych brył szklanych o żółtawym lub czerwonym odcieniu.

Spotkałem biały strząśnięty płatek podobny do kwiatu głuchej pokrzywy (*Lamium album*)¹⁴⁰. Wyglądał jak sklepiona łódka, wyrobiona z milionów przezroczystych pereł. Blask dzienny odbijał się w niej wszystkimi odcieniami tęczy. Była to prawdziwa kryształowa chatka z bajki.

Powonienie moje i słuch spotykały same niespodzianki. W powietrzu unosiły się dziwne wonie i szmery, przerywane co chwila silniejszym jakimś podmuchem albo gwałtownym hukiem i świstem skrzydeł owadów.

Zaraz pierwszego dnia mogłem ocenić doniosłość usług, jakie mi oddawała luneta. Gdy potrzebowałem objąć wzrokiem duży a bliski przedmiot w całości, odwracałem ją i patrząc w szkło przedmiotowe, oddalałem obraz, przez co w zmniejszeniu dostrzegałem go wcale nieźle. Chcąc znowu bardzo oddalone przedmioty zbliżyć, patrzyłem tym końcem, jaki się zwykle do oka przykłada.

Po oswojeniu się z pierwszymi niespodziankami najważniejszą myślą moją było upewnić się, czym nie zgubił flakonika, od którego zależało teraz życie dwóch ludzi. Znajdował się na swoim miejscu, w trzosie, jakim się przepasałem przez ostrożność, aby mi się gdzie nie wysunął.

Nie chcąc tracić drogiego czasu, zamierzyłem przede wszystkim rozejrzeć się po okolicy.

W tym celu wdrapałem się na gruby i rozłożysty pień krwawnika (*Achillea millefolium*) i po kilku minutach dostałem się aż na baldaszek¹⁴¹. Był obszerny niby wielki dywan, utkany z białych koron i żółtych pręcików. Obok kołysały się z tego samego pnia wyrosłe cztery inne, podobnej wielkości bukiety.

Z tak zaimprovizowanej dostrzegalni okolica wydała mi się czarująca.

Ogromne głązy, niby skały umalowane różnokolorowymi porostami (*Lichenes*), zasłaniały mi niebiesko rysujące się w dali prawdziwe szczyty gór, a miejscami kępki wspa-

¹³⁸secina (daw.) — sto sztuk lub osób; setka. [przypis edytorski]

¹³⁹łomikamień (*Saxifraga*) — obecnie: skalnica. [przypis edytorski]

¹⁴⁰głucha pokrzywa (*Lamium album*) — obecnie: jasnota biała, roślina ogólnym wyglądem przypominająca pokrzywę. [przypis edytorski]

¹⁴¹baldach (bot.) — kwiatostan, w którym pojedyncze kwiaty wyrastają na długich, równych szypułkach z jednego miejsca na szczycie pędu, tworząc powierzchnię podobną do parasola. [przypis edytorski]

niałych paproci i ziół tworzyły zasłonę, przez którą wzrok mój na próżno szukał szerszych horyzontów.

Nieprzebrana obfitość fantastycznych kształtów dopraszała się o pędzel malarza. Jakimiż potężnymi motywami, nieznany dotąd w żadnej galerii obrazów, mógłby on poruszyć serca i wyobraźnię widzów!

Nie byłoby w nich ani zamczysk, ani chatek, ani łąk, na jakie napatrzyliśmy się już do syta, natomiast oko widza przykuwałyby krajobrazy, których głównym tłem byłyby drobna kępka szmaragdowego mchu przyczepiona do próchniejącej kory stuletniego świerka albo kilkucalowej rozległości skały i wodospady — bohaterami zaś istoty powszechnie lekceważone, a przecież hojniej niż my w fizyczne wdzięki uposażone.

Doprawdy, zabawnie wyglądają ci ludzie, którzy w swej jednostronności pyszną się swoją organizacją, stawiają ją za ideał i uważają owady za istoty niedołążne! Cóż za zaślepienie, za jednostronny pogląd na świat i żyjącą przyrodę! Na istoty, które są bezwzględnie najsilniejszymi i najzwinniejszymi stworzeniami pod słońcem! Prawdziwie na nasze szczęście Bóg małymi je stworzył! Jeśli owady są wątłymi stworzeniami, jakże nazwać wtedy niemoc człowieka? Nie byłoby chyba wyrazu na określenie tego stanu słabości fizycznej i upośledzenia przez naturę, jaki jest naszym udziałem!

Czymże my jesteśmy wobec takich tytanów jak chrząszcze lub pszczoły, jeśli nie poziomymi¹⁴², białymi lub czarnymi robakami, które zmuszone są na podobieństwo mrówek chodzić zawsze po ziemi, bynajmniej ich siły nie posiadając?

I czyż takie istoty, okryte od stóp do głowy pancerzami trwalszymi od stalowych zbroi, czują się skrupowane jak rycerze średniowieczni zakuci w ciężkie blachy? Gdzie tam! Odznaczają się największą lekkością ruchów tak na lądzie, jak w wodzie i w powietrzu!

*

Zapatrzone w te cudowne widoki i zamyślony głęboko, choć nie jestem poetą ani malarzem, długo nie mogłem oderwać oczu od otaczającej mnie panoramy, aż nareszcie przeniosłem wzrok na zachód, gdzie otrzeźwił mnie widok chorągwi i zamglony cień ludzkiej postaci. To sir Biggs siedział nieruchomo, z książką w ręku, wpatrzony w pstry kobierzec dolinki.

*

Pierwsze chwile wyprawy przyniosły mi przestrożę, aby nie bawić się w astronoma, gdy się nie ma stałego gruntu pod nogami. W chwili gdy przez odwrócone szkła najspokojniej obserwowałem wielkie jak księżyc... oko mego przyjaciela, spodziewając się, że dojrzę przyjazne jego mrugnięcie, zerwał się lekki wietrzyk i tak mocno zakolysał całym lasem ziół, że strącony z baldaszka, stoczyłem się w przepaść i w okamgnieniu, poturbowany, znalazłem się aż na samej ziemi. Na dobitkę złego o mało nie postradałem lunety. Porwała mi ją mrówka i myśląc, że to jakieś użyteczne ździebelko, gorliwie niosła do mrowiska.

Co za dowód barbarzyństwa i ciemnoty! Zaledwie dogoniłem tę poczwarę, aby odebrać swoją własność. A ile się napracowałem, zanim udało mi się wydrzeć zwinnemu i wcale nie tchórzliwemu potworowi z obcęgowatych szczęk¹⁴³ moją zgubę!... Mrówka broniła swej zdobyczy zawzięcie, napęliając powietrze duszącym kwasem mrówczanym. Dopiero rewolwer zmusił ją do porzucenia cennego instrumentu i ucieczki gdzie pieprz rośnie... »O! — pomyślałem, ocierając pot z czoła — strzeżmy się, bo i tu, podobnie jak wśród ludzi, co krok można być okradzionym«.

I kto by to pomyślał, że mrówka, wzór pracowitości, może być złodziejką? Do czego jej moja luneta? Dobrze jeszcze, że amatorką cudzej własności była mrówka, bo gdyby istota tak skwapliwie korzystająca z cudzego nieszczęścia miała skrzydła, pożegnałbym się na zawsze z potrzebnym mi narzędziem.

¹⁴²poziomy (daw.) — o zwierzętach: trzymający się ziemi, nielatający; przyziemny. [przypis edytorski]

¹⁴³obcęgowate szczęki — żuwaczki (*mandibulae*), znajdujące się w pobliżu otworu gębowego owada, służące do chwytania, przytrzymywania i rozrywania. [przypis edytorski]

Podczas odpoczynku urozmaiconego filozoficznymi rozmyślaniami dostrzegłem, że nie jestem sam w tym lesie. Najprzód przebiegła obok mnie jedna mrówka, potem druga i trzecia, następnie widziałem ich wiele, a wszystkie kierowały się w jedną stronę. Każda dźwigała jakąś zdobycz: nóżkę chrząszcza, wonną bryłkę żywicy lub inną jaką »kruszynek«.

Wszystkie omijały mnie w spokoju i z godnością. Widocznie gniazdo było niedaleko i znajdowałem się na jednej z wydeptanych ścieżek, jakich mnóstwo rozchodzi się od każdego mrówczego miasta. Podobnie jak my na drogach lub ulicach, mrówki na tych gościńcach czują się bezpieczniejsze aniżeli w szczerym polu, a gdy jeszcze są w licznej gromadzie, to choćby dom był odległy, czują się już mrówki »niby na swoich śmieciach«. Tylko rozproszone pojedynczo po okolicy stają się nieśmiałe i unikają nieznanym przedmiotów. Zanim spostrzeżenie powyższe zdołałem uczynić, nadbiegło z przeciwnej strony, to jest od domniemanego mrówiska, kilka innych mrówek. Był to gatunek inny, większy i jakiś straszniejszy. Z daleka już musiały odczuć moją obecność, bo gestykując żwawo czułkami¹⁴⁴, otoczyły mnie kołem. Jeszcze nie zdołałem opamiętać się i pomyśleć, co z tego wyniknie, już ruchliwe te poczwary porozumiały się z sobą i... rozsypały w różne strony, a po kilku sekundach znikły w gąszczu, nie uczyniwszy mi najmniejszej krzywdy. Widocznie tylko ciekawość, a nie chęć napadu zwabiła je ku mej osobie, a gdy przyjrzały się bliżej, osądziły zapewne, że nie jestem »podejrzany«, i zostawiły mnie w spokoju.

Jakież one były naiwne! Gdyby wiedziały, ile tysięcy ich współsiostrzynek pomordowałem w długiej mej entomologicznej praktyce, z pewnością inaczej by się ze mną obeszły!

Na samą myśl doraźnej kary, jaką były w stanie wymierzyć mi te istoty, »mrowie« przeszło mi po skórze. Uczułem dziką radość, jaką zapewne odczuwają zatwardziali zbrodniarze, gdy ich omija kara. Trzeba zaś wiedzieć, że mrówki mogły się srogo pomścić za krzywdy, wyrządzone ich praprababkom w mocno bocznej linii (bo w tych okolicach nigdy jeszcze, jako żywo, nie byłem).

Oprócz groźnych szczęk mają bowiem zaczepną i odporną broń w postaci lotnego i mocnym octem pachnącego płynu, który obficie mogą wydzielać z siebie i wyrzucać z pewną siłą.

Jest to kwas mrówczany.

Dla ludzi zwykłych jest on nieszkodliwy i bynajmniej nie może iść w porównanie z witriolejem (kwas siarczany). Oparzenie tym płynem wzbudza co najwyżej lekkie zapalenie skóry.

Ale dla mnie, malutkiego, delikatnego człowieczka, kwas mrówczany groźniejszy był niż witról dla ładnych paryżanek. Drobne istoty obryzgane trującym płynem giną najczęściej w srogich cierpieniach.

W krótkim czasie wyszedłem tedy nietknięty z dwóch spotkań. Niemal to szczęście na teraz, ale co będzie dalej?

Wszak gdzie się obrócę, spotkam ruchliwych i bitnych piechurów armii owadziej. Otaczają mnie ich miliony, rozsiane wszędzie, ciekawe obejrzyć wszystko, co na drodze dostrzegą, bitne, a często nieustraszone. Byłem jak biały podróżnik po stepach amerykańskich, otoczony stadami bawołów, wilków i przebiegłymi czerwonoskórymi plemionami.

Oby mi były przyjazne!...

Mimo woli myśl moja zwróciła się do mrówek i snuć zacząłem porównania tych mądrych zwierząt z ludźmi. Przede wszystkim nasunęło mi się zawile pytanie, niemożliwe dla mnie teraz do rozstrzygnięcia: który z tych dwóch rodów jest naprawdę panem ziemi — ludzki czy mrówczy? — bo obydwa gęsto zaludniają glob cały. Gdybym się mógł zapytać o to mrówki, jestem pewny, że przyznałyby swemu rodowi berło pierwszeństwa i naiwnie, ale z całą mrówczą słuszością odezwałyby się o człowieku: »Ja go wcale nie znam. Pana pierwszego spotykam!«.

W swej prostej logice miałyby zupełną słuszość. Wszak ogółem wzięwszy, mrówki są bez porównania liczniejsze na ziemi niż ludzie. Ilość wiosek i miast ludzkich liczy się tylko na tysiące — ilość miast mrówek z pewnością na miliony! Aby się o tym przekonać, dosyć przejść się uważnie po polu i po lesie, a w Tatrach dosyć podnieść kilka

¹⁴⁴czułki — ruchliwe wyrostki na głowie owada, służące jako narząd dotyku (czucia), często także węchu i smaku. [przypis edytorski]

kamieni wystawionych na operację południowego słońca. Pod każdym głazem z pewnością znajdziemy podziemne salony i galerie pełne ruchliwej rzeszy. Licząc spotykane po drodze większe i mniejsze mrowiska, łatwo dojdziemy do przekonania, że każda mila kwadratowa pól i lasów mieści liczne setki mrowisk, a każde to przecież osobne miasteczko! Panują w lasach po swojemu niepodzielnie, rządzą, jak się im podoba, i nie ulegają niczyjej przemocy. Człowieka nawet nie znają i nieciekawie poznać, cóż ich więc może obchodzić zabawna okoliczność, że o tej samej ziemi, którą posiadają, jakaś nieznana im zgoła kreatura¹⁴⁵ powiada «to moja». Co ich obchodzi, że ta kreatura stawia sobie siedziby na ziemi mrówek, gdy one mają jeszcze gruntu pod dostatkiem na swoje gniazda?

Wyższości ani przewagi człowieka nad mrówkami nie dowiedzie przecież ta jedna okoliczność, że może bezkarnie rujnować im grody oraz zabierać poczwarki, boć i mrówki w gorących krajach rujną ludziom domy i przejmują trwogą. Zresztą przemoc podobna, jeśli jej doświadczy które mrowisko, równa się dla jego mieszkańców praktycznie przemocy ślepych sił przyrody, którą i ludzie na równi ze wszystkimi stworzeniami odczuwają, a przecież czują się wolni.

Dla mrówek swawolny szkodnik, rozgrzebujący za pomocą łaski pracowicie zbudowaną siedzibę, jest tylko nieokreśloną, wyższą potęgą, której działanie odczuwają na swoich karkach. Poza klęską, która dotyka je nagle z ręki takiego człowieka, jego samego nie dostrzegają wcale, podobnie jak nie widzą wiatru, który złamaną gałąź strąca na mrowisko, niszcząc owoc mozolnej pracy i przyprowadzając o kalectwo setki niewinnych robotnic. Dla mrówek człowiek jest co najwyżej tym, czym w wyobraźni naszych protoplastów były bogi lasów, chochliki, diabły itp. wytwory wyobraźni albo czym są dzisiaj meteorologiczne i wulkaniczne potęgi sprawujące trzęsienia ziemi, zalewy, burze itp. katastrofy. Przy tym pamiętajmy jeszcze, że brutalnej przemocy ludzkiej podlega małeńka częśćka mrówczego narodu, to jest ta tylko, która zamieszkuje obszary wspólne z człowiekiem. Reszta, gnieźdząca się w puszczech Europy i innych części świata, nie obawia się ludzi, bo nie domyśla się nawet ich istnienia. Jeśli więc mimo srogiej zależności od martwych sił przyrody, które nam częste i dotkliwe płatają figle, my, ludzie, głosimy się jej panami, dlaczegoż by miały inną logiką rządzić się w tej kwestii mrówki? Wymagać tego od nich byłoby za wiele. Zresztą jeśli by one w niezrozumiałej dla nas skromności nie uznały siebie za koronę stworzenia, to z pewnością umieściłyby na tronie jakiegoś sześcionogiego i skrzydlatego przedstawiciela rozumu i siły, w mrówczym pojęciu tych słów.

Podczas tych wywodów uczulem, że mi głód zaczyna dokuczać, trzeba więc było wyjść z torby podróźnej posiłek i zając się pokrzepieniem osłabłego ciała, a tymczasem coraz to nowe mrówki przesuwały się przed moimi oczyma.

Jedne pięły się w górę na pionową lodygę, w bliskości której rozbiłem obóz, inne schodziły po niej śpiesznie i znikwały w zaroślach.

Co je ciągnęło do zielonego drzewa, na które tuzinami się wspinały, nie bacząc na uciążliwość podobnego spaceru?

Zaciekawiony podniosłem głowę i jedno spojrzenie wystarczyło mi do rozwiązania zagadki.

Górna część lodygi i gałązki okryte były nieprzeliczonym tłumem na pół przezjrystych, żółtozielonawych owadów. Z daleka wyglądały jak rozpiechłe stado górskich owiec. Oryginalny zaiste był widok tych zielonych owiec bez runa, które — zamiast skubać trawkę — trzymały zagłębione ostre smoczki pod naskórkiem lodygi i wysysały soki, jakie za jej pośrednictwem korzenie wysyłały do liści, kwiatów i gałęzi.

Teraz nie dziwiła mnie już nieustająca procesja mądrych potworów. Pod cieniem zielonych baldachimów kryło się prawdziwe eldorado¹⁴⁶ mrówczego świata: nieprzeliczone stado mszyc (*Aphis*) wyrabiających słodki sok, najulubieńszy specjał mrówczy. Mszyce owe nie były w ścisłym znaczeniu tego słowa fabrykantkami słodczy, gdyż tylko słodkie odchody ich nęciły niewybredne mrówki, ale już za tę mimowolną przysługę doświadczały opieki ze strony swych pasterek i dójek. Poczciwe mrówki nie tylko bronią je przed napaścią, ale niekiedy budują im obory. Pewne gatunki mrówek (np. *Lasius flavus*¹⁴⁷)

¹⁴⁵kreatura (daw., z łac.) — stworzenie, istota; dziś: lichy, podły człowiek. [przypis edytorski]

¹⁴⁶eldorado — wymarzona, dostatnia kraina; od nazwy Eldorado: kraju złota, legendarnej krainy w Ameryce, w której istnienie wierzone w XVI w. [przypis edytorski]

¹⁴⁷*Lasius flavus* — podziemnica zwyczajna. [przypis edytorski]

umieją przeprowadzać te stada do głębi gniazd swoich, gdzie otaczają bydelko równą pieczołowitością jak własne larwy i poczwarki. *Lasius fuliginosus*¹⁴⁸ należy do największych hodowców tych miododajnych krówek.

Rozmyślając nad dziwnym stosunkiem mrówek do mszyc, przypominającym stosunek ludów pasterskich do owiec, kóz i bydła rogatego, ukończyłem dzienny posiłek i ruszyłem w dalszą drogę.

XI. TAJEMNICE RODZINNE

Droga nie była tym razem, dzięki mrówkom, uciążliwa. Praktyczne stworzenia nie tylko, podobnie jak pasterze i myśliwi, znają swoje ścieżyny, ale wydeptują nawet formalne drogi bite. Szedłem traktem mrówczym. Przez wdzięczność za ulgę pragnę mimowolnym inżynierom poświęcić jeszcze chwil kilka, tym bardziej że ich organizację poznałem cokolwiek w częstych popasach¹⁴⁹ w bliskości mrowisk, w luźnych obserwacjach, szczególnie zaś podczas popasach, kiedy to wezbrane wody przykuwały mnie do miejsca na długo i jak na wyspie jakiej więziły razem z mrówkami oraz innymi owadami. Mając sposobność w takich warunkach przyglądać się sześciorogim bohaterom, przekonałem się, że wszystko, co wiemy dotąd o mrówkach, nie wystarcza do sprawiedliwego i ścisłego sądu o stopniu ich inteligencji. Mimo licznych usiłowań dalecy jesteśmy od dokładnej znajomości tych istot. Dużo przyczyn składa się na to. Obserwować na przykład możemy prócz kształtów ciała tylko ich czyny, rzeczywistych jednak pobudek większej części tych czynów nie znamy jeszcze. Badacze lubią się ich domyślać, ale domysły, jak wiadomo, bywają bardzo dalekie od prawdy. Jakże szczupłą zaiste mamy do nich podstawę, gdy nie wiemy nawet tak zasadniczych i niezbędnych wiadomości, jak na przykład, jakimi i iloma zmysłami owady rozporządzają. Nie wiemy, w jakim stopniu widzą one swymi oczami, czują czulkami i w ogóle jak im się świat zewnętrzny przedstawia. Jednym słowem, organizacje te zanadto różnią się od tych, na jakie ciągle spoglądamy, abyśmy mogli swoją miarką trafnie je oceniać i przez podobieństwo domyślać się znaczenia wszystkich czynności i obyczajów. Jedyna nadzieja w tym, że cierpliwe obserwacje doprowadzą nas powoli do lepszej znajomości psychologii i pozwolą coraz to nowe tajemnice odsłaniać przed badawczym rozumem. We wszystkich też dotychczasowych wnioskach, odnoszących się do stopnia i rodzaju inteligencji owadów, powinniśmy być niezmiernie ostrożni, bo najdrobniejszy błąd badacza, każdy przedwczesny sąd łatwo się przyjmuje i zaciemnia potem innym obserwatorom bezstronny pogląd na te same sprawy.

Bądź co bądź i dotychczasowa znajomość dowodzi, że mamy do czynienia z zadziwiająco mądrymi stworzeniami, dowodzi, że mrówki, pszczoły i niektóre osy stanowią wśród rzeszy owadów klasę najwyżej pod względem inteligencji rozwiniętą.

Mrówki stanowią wzorowo zorganizowane quasi-społeczeństwo¹⁵⁰. Nie mają jednak zupełnie zwierzchników. Jeśli w ulu matka pszczół jest tylko matką, ale nie królową (jak to niektórzy badacze mylnie twierdzili), to tym bardziej w mrowisku nie może być mowy o królowych, gdzie matek jest zwykle kilka.

Mrowisko jest bardziej wioską zamieszkałą przez rozmnożoną rodzinę, bardziej szerepem aniżeli państwkiem z władzą naczelną.

Wobec takiej równości zastanawiającym jest faktem porządek panujący w mrowisku. Bez silnej dłoni, która by je w karchach trzymała, niektóre gatunki budują swoje fortece, posiadają pewnego rodzaju przemysł, zajmują się hodowlą pożytecznych istot i co najciekawsze, znają i praktykują na szeroką skalę podział pracy. Wszystkie czynności, od których zależy byt i pomyślny stan mrowiska, są podzielone między obywateli, którzy dobrowolnie i z wzorową akuracją wypełniają obowiązki. Jedne kopią ziemię, drugie budują, inne rzeźbią, wychowują młode pokolenia, odgrywając przy tym rolę nianieek i karmicielek, jeszcze inne zajmują się myślistwem, pasterstwem, gromadzeniem żywności, dojeniem mszyc, rzemiosłem wojskowym, a nawet zdobywaniem i ujarzmianiem niewolników, słowem spełniają wielką rozmaitość prac. Krzątają się też każda po swo-

¹⁴⁸ *Lasius fuliginosus* — kartonówka zwyczajna. [przypis edytorski]

¹⁴⁹ *popas* — postój w czasie podróży w celu nakarmienia koni i odpoczynku. [przypis edytorski]

¹⁵⁰ *quasi* (łac.) — niby; jakby. [przypis edytorski]

jemu około wspólnego dobra i wszystkie spełniają jak najpilniej spoczywające na nich obowiązki.

Chociaż gniazda mrówek są prawie najprostsze spośród gniazd budowanych przez owady towarzyskie¹⁵¹, chociaż ustępują pod względem trwałości i wielkości wspaniałym gmachom, jakie wznoszą termity, to jednak nie sądzę, aby były tak bardzo pierwotne, jak na to z pozoru wyglądają. Pospolite w naszych lasach miasta rudych mrówek (*Formica rufa*)¹⁵² na pierwszy rzut oka są niczym więcej, jak niekształtnym kopcem, usypanym z okruszynek drzewa, kamyczków, listków, ziemi itp. łatwych do zdobycia materiałów, których liczbę miała pomnożyć i moja luneta.

Wewnętrzne wszakże urządzenie tych kopców zadziwiająco praktycznie jest obmyślane, zarówno w celu utrzymania jednostajnej temperatury podczas upałów i chłódów, jak i w celu obrony. Wnętrze mrowiska zarówno rudej, jak innych mrówek składa się z niezliczonej ilości małych i dużych izb, połączonych za pomocą galerii poziomych i pionowych i tworzących razem kilkanaście pięter. Kopiec, jaki zwykle nazywamy mrowiskiem, sądząc, że jest wszystkim, stanowi tylko górną i mniejszą część miasta. Druga, ważniejsza, ukrywa się pod ziemią i stanowi właściwe schronienie, zarówno dla mrówek, jak dla ich larw, poczwerek i niewolników. Dolne piętra służą także za schronienie w chłodne dni i w nocy oraz za magazyny, tam także mrówki zimują, górne zaś służą na porę ciepłą i mieszczą wylęgarnię. Piętra są z sobą połączone za pomocą pionowych korytarzy i komunikują się ze szczytem mrowiska za pośrednictwem mnóstwa otworów prowadzących na zewnątrz. Przez te wyjścia ani chłód, ani nieprzyjaciół nie mogą się dostać, bo mrówki co wieczór, oddalając się w głąb mrowiska, zamykają starannie wszystkie. Nie zadowolając się tym, roztawiają jeszcze na wszelki wypadek liczne i czujne warty zarówno na samym mrowisku, jak i w okolicy oraz u licznych wejść do tuneli, które ciągną się częstokroć bardzo daleko od mrowiska.

Gniazda górskich mrówek posiadają mniej więcej taką samą budowę, z tą tylko różnicą, że mieszczą się po większej części pod wielkimi kamieniami lub wśród korzeni ziół i są, w całym tego słowa znaczeniu, mieszkaniem podziemnymi.

Wspomniałem ci, że mrówki liczą mnóstwo nieprzyjaciół; tutaj dodać winienem, że prócz tego mają wrogów we własnym rodzie, gdyż odmienne gatunki nieprzyjaźnie się zachowują względem siebie i często krwawe staczają walki.

Zupełnie jak narody ludzkie.

Wskutek tych wszystkich okoliczności mrówki można nazwać narodem *par excellence*¹⁵³ wojowniczym i każde mrowisko uważać za twierdzę, której załoga, pomimo że w wewnętrznych stosunkach rządzi się łagodnością, względem obcych mrówek dowodzi częstokroć walecznością i zajądlnością.

Większa część mieszkańców mrowiska jest zdolna do boju. Walki są u nich tak dalece na porządku dziennym, że trwałego pokoju nigdy nie znają i pod tym względem ich zwyczaje nie różnią się od naszych. Ta tylko zachodzi między zbrojnym pokojem ludzi a mrówek różnica, że ostatnie przychodzą na świat umundurowane, uzbrojone i wyćwiczone, gdy tymczasem nasze armie pochłaniają miliardy, rujnując dobrobyt ogółu. Mrówki, choć tanio uzbrojone, lekceważą sobie wszelkie trudy, a nawet bezpieczeństwo osobiste. W wojnach nie znają ani litości, ani bojaźni.

Walczą na śmierć i życie. Na sposób homerowski¹⁵⁴ łapią się nóżkami i szczękami, pasują w śmiertelnych uściskach. Mają i zmysł praktyczny w tych wojnach. W tym samym czasie, gdy jedne walczą, inne rabują napadnięte gniazda, unosząc jaja i poczwarki do domu, gdzie albo przeznaczają je na rzeź, albo też wychowują troskliwie w celu pomnożenia mrowiska, bo z tych niewolników wychowują się zwykle, niby janczarzy¹⁵⁵, wierni obrońcy przybranej ojczyzny.

Owad, Wojna

¹⁵¹towarzystwo (daw.) — społeczny, dotyczący społeczeństwa. [przypis edytorski]

¹⁵²ruda mrówka (*Formica rufa*) — obecnie: mrówka rudnica. [przypis edytorski]

¹⁵³par excellence (fr.) — w całym tego słowa znaczeniu. [przypis edytorski]

¹⁵⁴homerowski — taki jak w utworach Homera, tu: w *Iliadzie*, opisującej walki wojowników podczas wojny trojańskiej. [przypis edytorski]

¹⁵⁵janczarzy — doborowe oddziały dawnej piechoty tureckiej, tworzone w oparciu o system polegający na porównaniu chłopców chrześcijańskich do niewoli, poddawaniu ich konwersji na islam i wcielaniu do armii. [przypis edytorski]

Najbardziej wojowniczymi gatunkami są czerwone mrówki (np. *Polyergus rufescens*, *Strongylognathus testaceus* i *Formica sanguinea*¹⁵⁶). Utrzymują zwykle liczne tłumy niewolników i niekiedy napadają gromadnie na sąsiednie gniazda czarnych mrówek, zbudowane w wypróchniałych pniach drzewnych, lub na brunatne mrówki i po zaciętych a śmiertelnych bojach w otwartym polu lub na ścianach fortecy unoszą w razie wygranej z nieprzyjacielskiego miasta jako łup mnóstwo kokonów, z których po wylęgnięciu mają potulnych i pracowitych niewolników. Taka to walka wre wszędzie! Podobnie jak w głębi Afryki zdobywanie niewolników stanowi cel wypraw nieludzkich handlarzy, tak u mrówek kokony są głównym celem krwawych wypraw, gdyż (zgroza wyznać) stanowią wyszukany dla nich przysmak. Uprawiają te stworzonka na szeroką skalę ludożerstwo, a raczej mrówkożerstwo!

Często zwycięzcy wszystkie zabrowane kokony przeznaczają do kuchni, choć zdarza się zwykle, że po spożyciu pewnej części pozostałym darowują życie i otaczają je czułą opieką, z wylęgniętymi zaś z nich mrówkami żyją w zgodzie.

Niekiedy w starym mrowisku można z tego powodu znaleźć po kilka gatunków razem mieszkających mrówek.

Zajmujące opisy wojen mrówczych znane ci są może z opowieści Hubera¹⁵⁷ lub Forela¹⁵⁸. Wyglądają prawie bajecznie, ale zawsze tylko dlatego, że przywykliśmy się uważać za uprzywilejowane istoty, których wynalazkiem i wyłączną własnością powinny być właśnie narodowe, wojska, fortece i zasady strategii, tymczasem to wszystko praktykuje się na szeroką skalę od dawna wśród naszych pól i lasów. Prędzej człowiek nauczył się czegoś od mrówek aniżeli te ostatnie od niego, bo żyły i tymi samymi rządziły się zwyczajami już wtedy, gdy jeszcze nie było na ziemi nie tylko człowieka uspołecznionego, ale nawet w ogóle praczlówka.

One wyprzedziły człowieka o setki tysięcy lat, ale też w zamian później człowiek mocno je wyprzedził. Gdy mrówki trwają w wiecznej stagnacji — i nie znają postępu — ród ludzki kroczy niby w siedmiomilowych butach i choć stokroć później zaczął swój rozwój społeczny, wyprzedził o całe niebo ród sześciopalców.

*

Swoim porządkiem zdumiewający to świat i w stosunku do swych rozmiarów może w niejednym zawstydić »mądrego« i »potężnego« człowieka.

O ile nasze mrówki nie wysilają się na rozmiary gniazd, o tyle budowie wznoszone przez niektóre gatunki żyjące w gorących krajach zdumiewają podróżników swymi rozmiarami.

Jeden z wiarygodnych podróżników po Surinamie¹⁵⁹ natrafił na mrowisko wysokie na sześć stóp, a mierzące przynajmniej sto stóp w obwodzie. W lasach Gujany¹⁶⁰ zdarzają się piramidalne gniazda wielkich gatunków, mające 15–20 stóp wysokości, a 30–40 średnicy! Podróżnik po Gujanie, Malue, opowiada, że gdy spotkał jedno z gniazd takich, nie ośmielił się do niego zbliżyć więcej niż na czterdzieści kroków, a to z obawy, aby nie został zagryziony. Stosował się w tym względzie do przestrogi towarzyszącego mu krajowca. W Australii, w Nowej Południowej Walii, bardzo drobny gatunek buduje sobie z bardzo twardej gliny kopce wysokie na 8–10 stóp.

Przywykliśmy lekceważyć mrowiska i jeśli z pewną ostrożnością zbliżamy się do nich, wynika to nie ze strachu, ale ze zwykłego wstrętu do owadów, a co najwyżej, aby uniknąć tych następstw, jakie Mickiewicz opisał w *Panu Tadeuszu*. Otóż nie wszystkie mrówki bywają tak niewinne. W podzwrotnikowych krajach, a nawet w Australii żyją gatunki,

¹⁵⁶*Polyergus rufescens*, *Strongylognathus testaceus* i *Formica sanguinea* — mrówka amazonka, sierpnica płowa i zbójnica krwista. [przypis edytorski]

¹⁵⁷Huber, François (1750–1831) — szwajcarski przyrodnik, entomolog, jeden z pierwszych uczonych zajmujących się pszczołami. [przypis edytorski]

¹⁵⁸Forel, Auguste (1848–1931) — szwajcarski neurolog, psychiatra i entomolog-myrmekolog (badacz mrówek). [przypis edytorski]

¹⁵⁹Surinam — rzeka w płn.-wsch. części Ameryki Płd., uchodząca do Atlantyku; stanowi rzekę graniczną pomiędzy Gujaną Francuską a Surinamem (dawną Gujaną Holenderską). [przypis edytorski]

¹⁶⁰Gujana — region w płn. części Ameryki Południowej, obejmujący tereny dawnej Gujany Brytyjskiej (ob. Gujana), Gujany Holenderskiej (ob. Surinam) oraz Gujany Francuskiej. [przypis edytorski]

których ukąszenie boleśniejsze jest od ukłucia pszczoł naszych. Kapitan Stedman opowiada, że pewnego razu jakieś »ogniste mrówki« zmusiły odpoczywający oddział żołnierzy do tak szybkiej rozsypki, jakby go kto oblał ukropem, a ukąszenie mrówki noszącej naukowe miano *Ponera coarctata*¹⁶¹ sprawiło mu pewnego razu straszne cierpienie. Po kilku minutach ból rozszedł się po całym ciele i tak go obezwładnił, iż mimo usiłowań, aby nie upaść, nie był w stanie się przezwyciężyć i został znaleziony bez czucia na ziemi. Na drugi dzień dostał gorączki, będącej zwykłym następstwem ukąszenia tej mrówki.

Wędrów brunatny (*Atta cephalotes*) napadami swoimi wzbudza najwyższe przerażenie. Jeśli wtargnie nocą do jakiego domu, mieszkańcy zrywają się z pościeli i w negliżach uciekają na miejsca niezajęte przez wędrującą horde.

Wspomniawszy ci o ogromnych budowlach mrówek, nie mogę pominąć milczeniem charakterystycznej okoliczności, polegającej na tym, że nie wszystkie mrówki budują mrowiska. Od dość dawna już naturaliści zauważyli, że i mrówki lubią, aby im pieczone gołąbki same przychodziły do... gąbek, i zamiast wznosić z trudem własne kamienice, wolą być lokatorami najrozmaitszych roślin. Rozumie się, że im komornego nie płacą. W każdym razie lokatorki te różnią się znakomicie swą uczciwością od tysięcy innych owadów, które także zamieszkują różne części roślin. Mrówki korzystają tylko z gotowych lokali i w tym celu wyszukują jamy, wydrążenia i komory naturalne, jakie u wielu roślin stale znajdują się w łodygach, gałęziach, korzeniach, a nawet liściach. Nie uszkadzają tymczasem zgoła tkanek żywych, gdy inne owady, wygryzając bez ceremonii obszerne pomieszkania w ciele rośliny, przyprawiają ją o cierpienie, utratę soków i często o śmierć nawet.

Kilku uczonych w ostatnich czasach zajęło się z wielką pilnością badaniem tego oryginalnego stosunku mrówek do roślin i poznali już ze sto kilkadziesiąt gatunków roślin dających stały przytułek różnym mrówkom. Między nimi najciekawsza jest mrówczelina (*Myrmecodia*), pasożytna roślina krajów gorących, której potwornie nabrzmiały korzeń, mający postać jakiejś bulwy, pełen jest gąbczastych komórek i daje stały przytułek czerwonemu gatunkowi mrówek (*Iridomyrmex cordatus*). Inny gatunek mrówek (*Crematogaster difformis*) zamieszkuje nabrzmiały i komórkowaty pień marzannowatej rośliny *Hydnophytum*. Jeszcze inne osiedlają się w pęcherzowato rozdętych gałązkach kostliwki (*Cordia nodosa*), rośliny należącej do szorstkolistnych (*Borraginaceae*), zamieszkują puste komory w pniu i gałęziach drążni (*Cecropia dalmata*, *C. adenopus* i innych), zwanej inaczej rurnią lub armatnicą, puste żdźbła trawy ostnicy (*Stipa formicarum*) i wiele jeszcze innych roślin.

W Ameryce Południowej rośnie dudlina, wielkie drzewo z zupełnie wydrążonymi gałęziami (*Triplaris americana*). Gałęzie te stanowią ulubiony przytułek dla jednego z najjadowitszych gatunków mrówek. Bieda temu, kto nie wiedząc o niebezpieczeństwie, ułame gałąź dudliny albo mocno ją potrąci. Jeśli ją mrówki zamieszkują, natychmiast secinami wypadają przez okrągłe otwory, jakie urządzą sobie w ściankach gałęzi, i kłując, wpijają swe żądła w skórę napastnika. Ból, jaki od ukłucia powstaje, da się porównać tylko z dotknięciem rozpalonego żelaza, a opuchnięcie, zapalenie i ból znikają dopiero po paru lub kilku dniach.

XII. NAJTROSKLIWSZE CIOTKI

Wybacz, że cię tak długo zajmuję mrówkami, gdy czekasz pewno niecierpliwie dalszego ciągu mych przygód. Wolalbyś, abym ci opowiedział co prędzej, jak unikałem niebezpieczeństw i czy udało mi się odszukać lorda. Opowiem ci to wszystko, ale też daruj staremu wujowi, jeżeli czasem nudzi. Nie mogę przejąć się tak dobrze twoim sposobem myślenia, abym zgadywał, co cię zajmie, i może cię nudzę wtedy właśnie, gdy sądzę, że opowiadam ci najciekawsze rzeczy. Dla mnie nie ma nic ciekawszego nad owady! Niczym są dla mnie najbardziej sensacyjne powieści z życia ludzi, których poznałem już zaledwie, niczym badania odległych na miliardy mil gwiazd. Dla mnie natura sześciopalców jest bardziej tajemnicza, a badanie jej płodniejsze w rezultaty. Rad¹⁶² bym rozwiązać węzeł

¹⁶¹*Ponera coarctata* — złoźnica zwyczajna. [przypis edytorski]

¹⁶²*rad* (daw.) — chętnie, z zadowoleniem; chętny, zadowolony; *rad bym*: chętnie bym. [przypis edytorski]

tajemnic rozwoju istot organicznych, a klucz do tych tajemnic spoczywa w studiach nad życiem i obyczajami istot niższych.

Daruj więc, jeszcze raz proszę, żem cię tak długo zabawiał mrówkami. Gotów jestem już więcej ci o nich nie wspominać, ale pod warunkiem, że przez krótką chwilę posłuchasz jeszcze... o mrówkach.

Mam ochotę zrobić cię powiernikiem ich tajemnic rodzinnych. Ręczę, że poznasz bardzo ciekawe strony ich charakteru.

Przed wszystkim wypada mi wspomnieć o jednej interesującej okoliczności, jaka nie ma nic równego w całym królestwie zwierzęcym, z wyjątkiem niektórych pszczołowatych. Dotyczy ona kwestii wychowania dzieci.

Większość owadów wcale nie zajmuje się wychowaniem potomstwa, a u reszty rozdane matki zajmują się tą ważną czynnością.

Wśród zwierząt ssących i ptaków ciężary wychowania ponoszą tylko matki, ojcowie rzadko kiedy dopomagają im w tych zajęciach; w jednym tylko społeczeństwie owadów towarzyskich, do jakich należą mrówki i pszczoły, nie tylko ojciec, ale nawet matka nie troszczy się o swe maleństwo. Obowiązek ten spada na istoty, dla których młode pokolenie całkiem powinno być obojętne, na stworzenia rodzaju nijakiego¹⁶³, coś w guście pocziwych ciotek-panien, oddanych zwykle całym sercem swym siostrzeńcom i siostrzeniczkom. Nijakie robotnice, przejęte miłością prawdziwie macierzyńską, są niezbędne do utrzymania mrówczego rodu, chociaż funkcje ich, trzeba przyznać, umieją podobno spełniać w młodych mrowiskach, w braku robotnic, same matki. W dużym mrowisku ginęłoby marnie dziewięć dziesiątych potomstwa bez robotnic, samiczkom bowiem tak Pan Bóg błogosławi, że nie miałyby siły i czasu na wychowanie swych dziątek¹⁶⁴. Około tych mrówczych pocieszek jest ogromna masa zajęcia i kłopotów i trzeba tylko tak niezmordowanych jak mrówki nianiek, aby bezwładne istotki wyrosły na zdrowych obywateli mrowiska.

Właśnie dla wychowania dzieci podejmują mrówki owe tysiączne prace, jakie podziwiamy, a choć pod względem gorliwości nie ustępują im z pewnością pszczoły, to jednak zachodzi między tymi dwoma rodami niezmierna różnica. Życie pszczół bardzo jest jednostajne. Każdy robaczek zamieszkuje swoją komórkę, otrzymuje jednakową porcję miodu, robotnice i królowa również monotonnie spełniają swoje obowiązki, nawet żywność wiecznie jest ta sama. Pyłek kwiatowy i miód, miód i pyłek kwiatowy, bez końca!

O ileż inaczej życie mrówkom upływa!

Nijakie mrówki żadnego podobieństwa nie mają nie tylko z pszczołami, ale nawet z jakąkolwiek klasą wychowawców lub najemników ludzkich, choć je z nimi często porównywano. W przywiązaniu bowiem do przybranego potomstwa przewyższają matki, a w spełnianiu wszelkich innych zajęć stanowią prawdziwie niedościgniony typ pracownika.

One są wszystkim w mrowisku, im zawdzięcza gromada dobrobyt swój cały i egzystencję.

Nawet najzaciętszy wróg owadów musi zauważyć i ocenić zaparcie się siebie nijakich mrówek w wypadku, gdy chodzi o drogie im potomstwo.

W rozkopanym za pomocą łaski mrowisku dostrzec można robotnice te, wybiegające z nieustraszoną odwagą na zrujnowane miejsca i znoszące do głębszych i bezpieczniejszych galerii białe, podłużne ciała, bezładnie rozrzucone w gruzach. W tak nadzwyczajnych razach nie tylko mrówki specjalnie zajmujące się wychowaniem młodego pokolenia, ale nawet dostawcy żywności i wojsko jednomyślnie śpieszą na ratunek zagrożonym larwom i poczwarkom. Gdyby srogi obserwator posunął okrucieństwo do ostatnich granic i rozciął na pół mrówkę zajętą ratowaniem tych białych bryłek, ujrzałby obraz, jakiego się przez całe życie nie zapomina. Dostrzegłby, jak przednia połowa straszliwie okaleczonej mrówki, zanim znikłyby w niej resztki dogasającego w męczarniach życia, zdążyłaby przenieść w bezpieczne miejsce jeszcze kilka tych drogich ciężarów. Domyślisz się łatwo, że owe bezwładne, a tak drogie mrówkom ciała są nierozwiniętym jeszcze potomstwem mrówek. Są to w istocie poczwarki, z których w niedługim czasie młode wylęgną się

¹⁶³stworzenia rodzaju nijakiego — autor nazywa tak robotnice mrówek i pszczoły, niedorozwinięte płciowo i niebiorące udziału w rozmnażaniu; genetycznie wszystkie robotnice są płci żeńskiej. [przypis edytorski]

¹⁶⁴dziatki (daw.) — dzieci. [przypis edytorski]

młode. Pospólstwo nazywa je powszechnie, choć niewłaściwie, mrówczymi jajami. Rzeczywiście mają one niejaki podobieństwo do jaj, ale są to już poczwarki okryte białym kokonkiem. Jajeczka zaś mrówek są tak drobne, że zaledwie można je dojrzeć gołym okiem. Od chwili gdy zostaje jajeczko zniesione, zaczyna się dla robotnic mozolna około niego praca.

Trzeba ci najprzód wiedzieć, że zbierają te jajeczka, chodząc cierpliwie za samiczką, która przechadza się po całym mrowisku i składa je byle gdzie, nie troszcząc się bynajmniej o dalsze losy drobiazgu. Widocznie wie o tym, że są oczy, które czuwają i nie dadzą zmarnieć biedactwu. Rzeczywiście, koło matki kręci się bezustannie kilka nianiek i skoro tylko która ujrzy leżące jajeczko, natychmiast chwyta je troskliwie w pyszczek i obracając szybko, okrywa swoją śliną, co ma być niezbędną operacją poprzedzającą dalsze akty wychowania. Gładko oblizane jajeczko znosi do składu jajek, który mieści się w oddzielnym pokoiku, i powierza innym robotnicom. Zajęte są doglądaniem wylęgających się larw oraz pilnowaniem, aby niewylęgnięte miały potrzebne wygody, to jest ciepło.

Co to za zmartwienie nastaje, gdy poczują na przykład, że w pokoju za chłodno! Nie znają one, biedaczki, wynalazku ognia, więc też choć gałązek i drzewa mają pod dostatkiem, zapalić w piecach nie mogą. Zresztą, gdyby mogły, nie chciałyby z obawy pożaru, bo większa część mrówek buduje gniazda z materiałów palnych.

Zdawałoby się, że już nie ma na zimno rady. Otóż nieprawda, jest, i to bardzo prosta. Przemysłne stworzonka ogrzewają je własnym ciepłem, a gdy i to nie pomaga, biorą po kilka jajeczek w szczęki i przenoszą wkrótce cały magazyn w inną, cieplejszą stronę mrowiska.

Po wylęgnięciu (co następuje zwykle w kilka dni po zniesieniu) zaczyna się ciężka praca, zarówno dla opiekunek, jak i dla dostawczyń żywności. Niemordowane cioteczki bez odpoczynku krzątają się nad zaspokajaniem potrzeb młodego potomstwa.

Co wieczór, na godzinę przynajmniej przed zachodem słońca, przenoszą wszystkie niemowlęta, a w starych mrowiskach nawet jednocześnie wszystkie niewylęgnięte jajeczka, do głębszych pięter, do których ani chłód nocny, ani wilgotne powietrze nie mają dostępu.

Rano znowu, skoro tylko pierwsze promienie słońca padną na uśpione mrowisko, budzą się najprzód odrętwiałe w górnych piętrach mrówki i rozbiegają natychmiast po całym mrowisku, dając hasło do wstawania. Wykazują w tej czynności wiele energii. Leniwe śpioszki są szarpane nielitościwie i przemocą wywlekane na wierzch mrowiska. Wobec takiej energii i tak ulepszonych sposobów budzenia w kilka już minut wszystko, co żyje, jest w ruchu, bo też robota czeka duża i pilna. Należy wynieść drobne larwy oraz kokonki i ogrzać w ciepłych promieniach słońca, a po kwadransie odnieść to wszystko do właściwych pokojów, aby im znowu gorąco nie dokuczało.

Ciągła ta krzątania stanowi jednak zaledwie małą część wszystkich trudów wychowania i niczym jest jeszcze wobec ciężaru żywienia młodej generacji. Młode larwy potrzebują po kilka razy na dzień posiłku, a same nie umieją sobie żadną miarą poradzić. Są to niedołężne istotki, prawdziwe niemowlęta, które bez opieki starszych zginęłyby z głodu. Wobec tych potrzeb ruchliwe mrówki stają się niankami, a nawet poniekąd mamkami rozpieszczonych istotek.

Sposób karmienia tych stworzeń jest niezmiernie oryginalny i nie zgadłbyś, jak się dokonywa. Gdybyś mógł zajrzeć do izby, w której zgłodniałe larwy nadstawiają pyszczki do nadchodzących karmicielek, ujrzałbyś, że każda świeżo przybyła zbliża swój pyszczek do buzi małej pocieszki. Pomyślisz sobie, że pewno całuje na dzień dobry lub dobre południe głodne biedactwo, trzymając już w jednej łapce jabłuszko, w drugiej pierniczek na zakąskę, a w trzeciej obwarzanek, bo tak by zrobiła (naturalnie, gdyby rozporządzała trzema łapkami) niejedna młoda mateczka, praktykująca często ten sposób pieśczoty.

Otóż nie! Mrówki nie mają czasu na czule sceny. One po prostu po to zbliżają swe usta do pyszczków larw, aby oddać prosto w buzię maleństwa kleisty pokarm, na pół już przetrawiony, zwrócony z własnych wnętrzości. Jeśli grymaśna larwa nie chce otworzyć buzi, otrzymuje od zniecierpliwionej nianki porządnego szturchańca i pyszczek zaraz otwiera. Spełniwszy czynność, oddala się opiekunka śpiesznie po nowe pożywienie dla czekających na swą kolej innych larw. Tak ucztuje młode pokolenie mrówek.

Nieestetyczne to, lecz prawdziwe!

Pomyśl teraz sobie, że w dużym mrowisku biedne robotnice mają przez całe lato siedem do ośmiu tysięcy takich darmozjadów do wykarmienia, a zrozumiesz, dlaczego się tak bezustannie krzątają. A zresztą, czyż to koniec na tym ich zajęciom? Czy nakarmiwszy pupilki, mogą już założyć łapki na brzuszki i młynkować pazurkami?

Ho, ho, daleko do tego! Muszą przecież zamorusane i nieznające jeszcze porządku larwy umyć i oczyścić, muszą uprzątnąć po nich rzeczy niepotrzebne tak prędko, aby powietrze zawsze było świeże i czyste, a ponieważ ani rąk, ani pieluszek, ani żadnych innych pożytecznych przyborów ku temu celowi nie posiadają, wszystko załatwiają za pomocą pyszczka.

Nie zapomnij jeszcze, że są w mrowisku kokonki. Chociaż jeść nie potrzebują, ale muszą być przenoszone co dzień to na słońce, to do piwnic i pilnie strzeżone.

Dołącz do tego wyprawy do wrogich mrowisk po kokony, obronę własnego gniazda na wypadek napaści ze strony sąsiednich mrowisk, dołącz nadzwyczajne roboty, dosyć często przytrafiające się, gdy inne zwierzę, ssak lub ptak, rozgniecie nogą część mrowiska, a pojmiesz, że pilne robotnice czasu na próżniaczkę nie mają.

Gdy nareszcie nadejdzie chwila wykluwania się poczwerek z kokonów, powstaje zgiełk w mrowisku. Co chwila nowy obywatel przybywa! Mrówki są zachwycone! Biegają, trącają się czułkami, opowiadając sobie na migi nowinę, i zgadują, stojąc nad kokonem, co będzie: samczyk, samiczka czy towarzysza pracy.

Do każdego kokonka czepia się trzy lub cztery i zaczynają z wielką ostrożnością rozdzierać jedwabistą powłokę w tym miejscu, gdzie się znajduje głowa poczwarki, gdyż młoda mrówka tak jest niedołączna, że nawet wykluc się ze swego więzienia nie może bez obcej pomocy.

Wyciągnąwszy ostrożnie więźnia, który jest jeszcze omotany w rodzaj pieluszki, mrówki ostrożnie wyswobadzają każdy po kolei członek nowo narodzonego, rozwijają mu skrzydełka, jeśli jest samczykiem lub samiczką, a potem karmią słodczymi. Młoda mrówka, na razie głupiutka, nie wie, gdzie się ruszyć, co zrobić z nóżkami i jak z gracją je stawiać. Nie wie także, co uczynić z zawadzającymi jej długimi skrzydłami. Niezgrabna więc, ale ciekawa, przechadza się i rozgląda dookoła. Uradowane opiekunki nie odstępują ani na krok swego pupila przez kilka dni, chodzą za nim ciągle, ukazują mu galerie, izby ciągnące się wzdłuż tych korytarzy, prowadzą na place, podparte setkami kolumn, na których krzyżuje się po kilka ulic. Z ulic tych dostają się do mniejszych izb na tym samym piętrze, a potem pionowymi galeriami prowadzą go to na dół, to do góry, pokazując całe mrowisko. W wędrówkach takich dokańczają wychowania młodego obywatela.

Dopiero gdy pozna swoje gniazdo i wzmocni się na siłach, wyprowadzają go na świat boży i pokazują trawki, zioła, bydelko, to jest mszyce dające słodkie mleko, uczą, jak patyczki znosić, jak żywicę zbierać, jak doić mszyce, słowem wszystkiego, co porządna mrówka umieć powinna. Jeśli są to samczyki lub samiczki, robotnice odmienny kierunek nadają wychowaniu. Zamiast uczyć pracy, wyprowadzają je na świat, wskazują drogę, uprzedzają życzenia, bronią przed napaścią i prowadzą aż na szczyty... ziół i kwiatów, na których skrzydlate istotki próbują siły swoich skrzydełek. Na kwiatkach też zaczynają się zaloty, młodzież zbliża się do siebie, nieznane im siły wstępują w ciała, krew poczyną żywiej krążyć, dostrzegają, że świat ten jest ładny i warto w nim pobujać, rozpinają więc śmiało swoje skrzydła i cała gromadka w płasach powietrznych wzbija się wysoko... wysoko.

Każdą samiczkę otacza liczny rój zalotników starających się pozyskać szczególnie względy i bujają tak długo, rozkoszując się życiem i świętując wesele młodych par...

Niestety, szczęście jest znikome na tej ziemi!...

Skoro tylko dziewicze samiczki wybrały oblubieńców, już chwile tych ostatnich są policzone. Młodzi małżonkowie, znużeni lotem i uciechami, spadają na ziemię i umierają lub stają się żerem dla czyhającego na nich ptactwa, a zasmucone po ich stracie wdowy o niczym już więcej nie myślą, jak tylko o przyszłych obowiązkach. Nie w głowie im dalszy współludział w powietrznych płasach swych rówieśniczek. Szukają już tylko miejsca, gdzieby mieszkanie założyć. Znalazłszy, zajmują się wszystkim w nowo powstającej kolonii. Nie mają jeszcze pomocnic, więc same zajęte są pielęgnowaniem jajek, a potem larw, żywieniem siebie i spełniają te wszystkie obowiązki dopóty, dopóki mrowisko nie powiększy się o tyle, że wylęgłe nijakie mrówki wezmą na siebie trudy wychowywania dzieci i gospodarowania. W pierwszych, najcięższych czasach mrówka-matka spełnia czyn

Owad, Matka

bohaterski: odrywa sobie dobrowolnie skrzydła jako niepotrzebną, a zawadzającą tylko w domowych zajęciach ozdobę. Skrzydła, ów ostatni łącznik ze światem powietrznym, usuwa dobrowolnie, aby się niepodzielnie oddać macierzyńskim obowiązkom.

Lekkomyślnie matki, idźcie do mrówek uczyć się cnót, jakie winny być waszym udziałem.

XII. CUDOWNE PRZEMIANY

Jeszcze bym ci długo mógł pisać o mrówczych obyczajach, ale wierny obietnicy, nie dam już ani słowa.

I dobrze się stało, że ujął w karby swoją pamięć, bo widzę, że im dłużej roztrząsam mrówczą historię, tym więcej przybywa ciekawych faktów. Miejsca by nie stało¹⁶⁵ na wyczerpanie wszystkich. Lubo więc z żalem, odkładam mrówki do osobistego widzenia się naszego. Jeśliś ciekawy, przychodź, a będę ci opowiadał od świtu do zmierzchu. Wracając do swych przygód, powiem ci tylko, że postanowiłem zająć się wyszukaniem przytułku noclegowego.

Najpraktyczniejsze wydało mi się na ten cel miejsce wzniesione i odkryte, aby łatwiej obserwować okolicę, a zarazem zostawić widoczne z daleka sygnały.

Przewidując tę potrzebę, przygotowaliśmy z sir Robertem zapas lekkich jedwabnych chorągiewek z białą gwiazdą, która została wymalowana masą białą, świecącą w nocy, w tym celu, aby chorągiewki w dzień i w nocy służyć mogły za sygnały. Miejscowość odpowiednią do zatknięcia pierwszej wkrótce znalazłem. Był to wysoki wzgórek, skąpo pokryty roślinnością i uwieńczony samotnie wyrosłym przetacznikiem kłosowym (*Veronica spicata*).

Wzgórek wznosił się przynajmniej na 5 łokci, czyli 120 cali nad okolicą, co dla mnie stanowiło 1200 stóp i wymagało przeszło godzinę wspinania się po pochyłości usianej zawadami podobnymi do tych, które pokonują turyści wspinający się na strome i pokruszone boki Świnicy, Czerwonych Wierchów lub Łomnicy.

Dostałem się na szczyt bez zmęczenia, mięśnie bowiem moje stały się wytrwalsze niż dawniej, a cudowny widok, jaki się ze wzgórka roztaczał, sowicie wynagrodził mi zamiar zatknięcia na tej wyżynie chorągwi.

Nasyciwszy oczy, wdrapałem się na kosmatą łodygę przetacznika i umocowałem sztandar na młodym kłosku pączków kwiatowych, wyrzylającym pionowo do góry.

Potem wynalazłem na nocleg bezpieczne schronienie w opróżnionej skorupce jakiegoś drobnego ślimaka, który zapewne za życia nie pomyślał, że skromny domek jego stanie się schroniskiem dla ludzkiej istoty. Zabezpieczywszy, o ile mogłem, swój apartament przed rosą, jaką osiadała na ziemi i roślinach pod postacią coraz większych kul wodnych, oddałem się obserwacjom do czasu zupełnego zmierzchu. Przedmiotu dostarczył mi przetacznik, odgrywający rolę pastwiska.

Cóż znowu? — zapytasz. — Jakim sposobem jedna roślina mogłaby być pastwiskiem?

Bardzo prostym sposobem. Na jego łodydze i liściach dostrzegłem kilka sztuk pasącego się bydelka.

Nie było ono, co prawda, rogate ani czworonożne, ani tak pracowite, jak nasze poczciwe woły, ale wytrzymałością w jedzeniu przewyższało z pewnością inwentarz rogaty, a nawet nierogaty.

Potworami tymi, blisko na dziesięć stóp długimi, były czarne, białą nakrapiane... gąsienice motyla przeplatki (*Melitaea athalia*).

Atalia jest pospolitym motylkiem i nieraz ją łapałem w swoje siatki, od razu też poznałem tutaj jej gąsienice przez odwróconą lunetę. Gdybym zresztą żywił jaką wątpliwość, to rozproszyłaby ją roślina, na której się pasły te istoty.

Gąsienicom atalii smakują jedynie liście przetaczników (*Veronica*), babki (*Plantago*) i przeńców (*Melampyrum*).

Jedno z tych stworzeń trzymało się najniższego listka i niezastłonięte przed mym wzrokiem przedstawiło mi w całej jaskrawości swą bajeczną żarłoczność. Potwór ten stworzony był, jak się zdawało, po to, aby jeść, jeść i ciągle jeść, nie troszcząc się o nic więcej na świecie. Przewyższał apetytem o całe gastronomiczne niebo wszystkich pasibrzuchów

¹⁶⁵nie stało (daw.) — nie starczyło; zabrakło. [przypis edytorski]

i smakoszków rodu ludzkiego. Szerokie jego szczęki (poruszając się w poziomym kierunku) pracowały bez ustanku, a liść cięty niby nożycami nikł we wnętrzościach jak w bezdennej przepaści.

Podziwiając tę pasącą się bestyjkę, mimo woli przypominałem sobie nasze konie, woły i prosięta. Jakież to zamorzone chudziaczki w porównaniu z dzielnymi gąsienicami! Ciekawa rzecz, czy moglibyśmy je wyżywić, gdyby potrzebowały spożyć co dzień tyle funtów siana z owsem albo osypki¹⁶⁶ z kartoflami, ile same ważą? Żaden ziemianin nie mógłby bez przerażenia wyobrazić sobie konia, który by zjadał codziennie po cztery cetnary¹⁶⁷ siana i przybierał na wadze w stosunku dwadzieścia lub trzydzieści funtów na dobę. Wśród istot kręgowych jest to stosunek całkiem niemożliwy, tymczasem zwierząt tak szybko rosnących i dużo jedzących ziemia żywi nieprzeliczone miliardy.

Doprawdy, larwy i gąsienice to już chyba największe w świecie żarłoki! Gdyby się cierpliwym Anglikom udało przez umiejętną kulturę¹⁶⁸ doprowadzić je do wielkości naszych wołów, a choćby nawet owiec, byłyby to niezawodnie najkorzystniejsze dla hodowli opasy¹⁶⁹.

Ciekawa w tym wszystkim jest okoliczność, że nie ma tak gorzkich, cierpkich i trujących ziół, którymi by się nie żywiły. Nie marnowałyby się tedy żadne dary boże, a nieużytki z chwastem wszelakim byłyby prawdziwym eldorado. Pytanie tylko, czyby na długo wystarczyła roślinności dla tak powiększonych obywateli.

Obliczono, że gąsienica jest w stanie w ciągu jednego miesiąca zjeść 60 000 razy tyle pokarmu, ile sama początkowo ważyła. Znaczy to, że gdyby wylęgnięta z jajeczka ważyła ćwierć funta, zjadłaby sama przez miesiąc 150 cetnarów liści!

Nie mogłem oczu odwrócić od jedzącej maszyny, dopóki nie przypomniał mi się motyl, jaki z niej wyrośnie, eteryczny motyl, który zadowolając się homeopatycznymi¹⁷⁰ dozami słodczy kwiatowej, nie pamięta, jak twardych niedawno używał pokarmów.

Gdyby mu nawet kto perswadował, że nie należy brzydzić się tym, co dawniej wybornie smakowało, oburzyłby się niezawodnie.

— Jak to! — zawołałby z ogniem. — Więc sądzicie, że to ja spożywałem te cierpkie i twarde zieleniny? Kto tak śmie twierdzić, jest podłym oszczercą! Więc ten pocieszny żarłok, czolgający się na szesnastu słoniowych nogach, żujący szorstkie liście i bezmyślnie patrzący na świat dwunastoma maleńkimi oczkami, ma być obrazem mojej młodości? Powiadacie, że ta niezgrabna kreatura wkrótce porzuci niesmaczne zielsko, aby rywalizować ze mną w powietrznych płasach? Za grube żarty, moi państwo, z biednego motyla, który szanuje, podobnie jak wy, swoją godność i bolesne mu jest słuchać drwin czy potwarzy.

Tak by niezawodnie bronił swego »dobrego urodzenia« obrażony motyl i nie miałby racji, ale doprawdy i nam nawet trudno pogodzić się z myślą, aby dwie tak odmienne na pozór istoty miały być jedną i tą samą!

A jednak tak jest. Gąsienica — to młody motyl, a motyl — to tylko stara gąsienica.

Z szesnastu bowiem nóżek brzydka gąsienica straci wkrótce dziesięć, a pozostałe przybiorą wysmuklejsze kształty.

Szczęki zastąpi u niej misterna trąbka, zwijająca się jak sprężyna u zegarka, zdalna jedynie do wysysania kwiatowego nektaru, a olbrzymi »żołądek«, wypełniający dziś jak worek całe niemal wnętrze gąsienicy, stanie się drobnym i zaledwie dostrzegalnym organem w arystokratycznym motylu.

Z tysięcy dawnych mięśni nie zostanie ani jeden, zastąpią je nowe i całkiem inaczej ugrupowane wiązki.

Rażąca przemiana gąsienicy w motyla nie zachodzi jednak nagle. Odbywa się powoli. Gąsienica, rosnąc bezustannie, zrzuca od czasu do czasu całą skórę, aż do samych szczęk, i w końcu doszedłszy do największego wzrostu, słabnie, choruje i przyczepia się pyszczkiem do rośliny lub innych przedmiotów. (Niektóre przy tym gąsienice obmotują

¹⁶⁶osypka — grubo zmielone ziarna zbóż, często z dodatkiem siewki, dawane jako pokarm zwierzętom domowym. [przypis edytorski]

¹⁶⁷cetnar — jednostka wagi równa 100 funtów (ok. 50 kg); w systemie metrycznym: 100 kg (cetnar metryczny). [przypis edytorski]

¹⁶⁸kultura — tu: hodowla. [przypis edytorski]

¹⁶⁹opas — zwierzę pasione specjalnie dla zwiększenia masy ciała, przeznaczone na ubój. [przypis edytorski]

¹⁷⁰homeopatyczny — tu: drobnny, nikły. [przypis edytorski]

się w jedwabistą przędzę). Potem potwór kurczy się, zsycha, jeszcze raz na powierzchni pęka, aby wyłonić się na świat boży spod starej skórki pod postacią pękatej, nieruchomej »poczwarke«, pozbawionej nie tylko wszelkich członków, ale nawet gęby, niepotrzebującej już jadła, jednym słowem podobniejszej do mumii egipskiej aniżeli do żywego stworzenia.

Tu dopiero, osłonią przed wzrokiem ciekawych, wstydliva gąsienica dokonuje gruntownej zmiany w toalecie. Nie załatwia tego sama, bo od czegoś troskliwa o swe dziatki matka-natura?

Ukochana więc córeczka lub synek w poczwarcie traci ruchy i pozory istoty żywej i nie przestając żyć, rozplywa się w gęstą ciecz, z której powoli dopiero wyrabiają się i twardnieją w ciasnym więzieniu nowe organy i kształty prawdziwego motyla.

Nareszcie, jak kurczę w jajku, pewnego ciepłego poranku motyl, który się już w poczwarcie z gąsienicy przeobraził, wprawia ciało w silne ruchy, rozsadza skorupkę i wydobywa się z więzienia, wysuwając najprzód nogi wraz z czułkami z otulających je pokryw. Jeżeli oprócz twardej skórki motyl jest osłonięty oprzędem, wtedy zwilża takowy cieczą, która go zmiękcza — trąca potem głowę w osłabione miejsce, a zrobiwszy wyłom, wysuwa się nieuszkodzony. Po tych przejściach, zmęczony i wątpliwy, odpoczywa czas jakiś i prostuje swe mokre, skurczone i zwisłe skrzydła. Wkrótce powietrze, światło i ciepło nadają organom należyłą sprężystość, naprężają twardniejące skrzydła... i motyl w całym przepychu barw i kształtów ulatuje w swój nowy żywioł... w powietrze!

Motyl jest niejako kwiatem swego indywidualnego bytu. Jako liszka¹⁷¹, spełnił poziomą¹⁷² rolę, narzuconą mu przez przyrodę i teraz wchodzi w okres życia krótki, w czasie którego spełnić ma ostatnie swe przeznaczenie: ma pozostawić potomstwo.

Niektóre gatunki w tym okresie żadnych już pokarmów nie przyjmują, życie ich wszakże, normalnie niedługie, przedłuża się znacznie, jeśli zachodzą przeszkody w pozostawieniu potomstwa.

*

Nie mniej zadziwiającą historię swego życia mógłby opowiedzieć i ten komar, co zatacza z wyprostowanymi, jak bocian, nogami duże kręgi nad mą głową i rozmyśla, w którym by miejscu najkorzystniej mógł zatopić długi swój lancet. To także szybko spanoszony sybaryta¹⁷³.

Kilka godzin temu nie znalazł się jeszcze na smaku ciepłej krwi, był mieszkańcem stojącej kałuży, wodnym robaczkiem, podobniejszym do ryby niż do owada. Uwijał się żwawo wśród tysięcy współpracowników, wyszukując mikroskopijnych istotek w gnijących resztkach roślinności. Pędząc takie życie, zrzucił w miarę potrzeby kilka razy skórę, aż stał się poczwarką po kilku miesiącach czynnego żywota (a nawet, stosownie do gatunku, po paru latach). W tym stanie zmienił bardzo radykalnie swoje barwy, kształty i zasady. Zwinął się tak, że głowa i koniec odwłoka stykają się niemal ze sobą, ale nie stracił w tym stanie ruchu, jak się to zdarzyło motylowi. W szybkich a bardzo charakterystycznych rzutach przecina po dawnemu w różnych kierunkach rodzinną kałużę, pilnując, czy wszystko w porządku. Nie może już jednak jak dawniej kryć się stale w głębinach, bo potrzebuje powietrza; od czasu do czasu więc podpływa pod samą powierzchnię wody, wciągając powietrze dychawką, umieszczoną w końcu ciała. Nareszcie przychodzi dzień, w którym sądzono mu pożegnać na zawsze cuchnącą wodę. Pożarł już dostateczną ilość słabszych żyjątek i zasłużony oczekuje na awans. Otrzymałszy od przyrody nominację na komara, rażno przystępuje do obleczenia się w nowy, świetny uniform. Wypływa na powierzchnię i daje się muskać wietrzykowi. Gdy obsechł dobrze, nastaje w jego życiu decydująca chwila. Skórka pokrywająca istotę, przeznaczoną odtąd do innego życia, pęka i wysuwa się z niej ostrożnie komar w nowym przebraniu. Tkwi jeszcze tylną częścią ciała i końcami skrzydeł w wątlej łupinie niby w łódce. Popychany wiatrem, pływa czas jakiś po zwierciadle wód i obsycha. Niebezpieczna to nad wyraz chwila! Przypomina mi w niej młody komarek akrobatów pokazujących sztuki na trapezie wzniesionym nad głęboką

¹⁷¹liszka (pot.) — gąsienica motyla. [przypis edytorski]

¹⁷²poziomy (daw.) — trzymający się ziemi; przyziemny. [przypis edytorski]

¹⁷³sybaryta — człowiek rozmiłowany w zbytku, wygodach i przyjemnościach życia. [przypis edytorski]

przepaścią, przypomina także szulerów¹⁷⁴ w Monaco, co na jedną kartę stawiają cały swój majątek. Ileż komarów ginie na progu do nowej epoki życia, zaledwie raz jeden odechnąwszy pełnymi dychawkami, zaledwie zdążywszy nowymi oczami spojrzeć w świat słonecznej, lekkiej atmosfery!... Co za dziwna kolej rzeczy! Przed chwilą wyjście z wody zgubiłoby go, teraz znowu wywrócenie się kruchej łódki przynosi komarowi śmierć w tym samym żywiole, który dotychczas był dla niego niezbędnym warunkiem życia, w żywiole, w którym mu było dotąd tak dobrze. Nic też dziwnego, że cieszy się, gdy szczęśliwie zdołał opuścić niebezpieczną łupinę. Lada zefirek¹⁷⁵ przecież groził jej zatopieniem, a że mu szczęście sprzyjało, czekają go największe rozkosze: ciepła krew i umizgi do pięknych komarzc¹⁷⁶.

Nie wszystkie owady w swoim rozwoju podlegają podobnie rażącym przemianom, choć przyznać należy, że podlega im większość, mianowicie: motyle, chrząszcze, pszczoły, muchy oraz część żyłkoskrzydłych¹⁷⁷. Inne, to jest pluskwiaki i prostoskrzydłe, wychodzą z jajeczek od razu podobne nieco do starych i głównie różnią się drobnymi rozmiarami i brakiem skrzydeł, które im dopiero w epoce dojrzewania powoli wyrastają. Nawet więc mucha, śpiewająca skrzydłami monotonną piosenkę, i ona ulega bardzo dziwnym kaprysom losu.

Zrodziwszy się białym robakiem, zaległ w zgniliźnie, żyła wśród cuchnących materii, później skurczyła się i zeschnięta niby maleńka, twarda bezułeczka, póty leżała wśród brudu, dopóki w ciasnym swym więzieniu nie przekształciła się w strojną istotkę, obdarzoną wieloma przymiotami, a przede wszystkim zręcznością i lotnymi skrzydłami, na których uniosła się w lepsze sfery, gdzie już tylko woń kwiatów, słodycz i porywy miłosne nęcą ją i spokój odbierają.

Czy to wszystko nie cudowne przemiany?

Trzeba przyznać, że starożytni na poparcie swej wiary w możliwość cudownych przemian (metamorfoz), o jakich śpiewali ich poeci, mieli w świecie owadów pozorne dowody. Kto wie nawet, czy nauka o metempsychozie, to jest o przechodzeniu dusz z jednego ciała w drugie, nie wzięła początku w obserwacjach świata owadziego i nieznajomości praw fizjologicznych, które rzucają na sprawę przemian u owadów jasne światło i odziera ją z uroku wszelkiej cudowności. Ściśle biorąc, przemiany należałoby po prostu nazwać stopniowym rozwojem owadów.

Liszka motyla, zarówno jak larwa muchy, pszczoły lub chrząszcza, jest nadzwyczaj skomplikowanym stworzeniem, mieszczącym w sobie gotowe zarody przyszłego motyla.

Gdybym się nie obawiał zarzutu nieścisłości naukowej, porównałbym ją z jajkiem kurzem i nazwał chodzącym, jedzącym i rosnącym jajkiem owada.

Mieści ona w sobie, jak to ściśle badania wykazały, gotowe zarody wszystkich organów przyszłego motyla, spowite, że się tak wyrażę, w liczne skóry, włożone jedna na drugą. Każda z nich, rozrastając się po kolei, staje się zewnętrzną i ustępuje po pewnym czasie nowej, póty, dopóki przedostatnia nie odsłoni gotowego motyla.

Obawiam się, abyś po tym ciemnym i może niewłaściwym orzeczeniu nie pojął fałszywie słów moich, abyś nie wystawił¹⁷⁸ sobie na przykład, że w gąsienicze tkwi już maleńki gotowy motylek, który rośnie w niej i rozsadza powoli jedną po drugiej skórki gąsienicy.

Nie, wcale tak nie jest!

W gąsienicy jest wprawdzie motyl, ale niewykształcony jeszcze i wyglądający przez to jak gąsienica.

Wszystkie jego części ciała znajdują się już wprawdzie w gąsienicy, ale trudno je rozpoznać z powodu, że posiadają dziwną własność szybkiego zmieniania się. Jedne organy dorosłego motyla są zaledwie w zarodku w ciele gąsienicy i dopiero pod koniec nagle się rozwijają, inne przekształcają się powoli. I na odwrót znowu, gąsienica jest obdarzona

¹⁷⁴szuler — tu: nałogowy gracz w gry hazardowe, szczególnie w karty; dziś: osoba oszukująca podczas gry w karty. [przypis edytorski]

¹⁷⁵zefirek — lekki, łagodny wietrzyk. [przypis edytorski]

¹⁷⁶ciepła krew i umizgi do pięknych komarzc — mylące sformułowanie autora, gdyż samce komarów żywią się nektarem kwiatów i sokami roślinnymi, natomiast krew ludzi i zwierząt ssą wyłącznie samice, które potrzebują jej do wytworzenia jaj. [przypis edytorski]

¹⁷⁷żyłkoskrzydłe — do tej grupy zaliczono ważki, jętki, widelnice, wojsilki i chruściki, które obecnie stanowią odrębne rzędy, należące do różnych nadrzędów. [przypis edytorski]

¹⁷⁸wystawiać sobie (daw.) — wyobrażać sobie. [przypis edytorski]

takimi wybitnymi organami, jakie albo zmniejszą się, albo zupełnie znikną pod koniec jej życia, gdy przyjmie kształty motyla.

Dziwne może ci się na przykład wydać, że nawet i motylowe skrzydła istnieją w niezgrabnym ciele gąsienicy, naturalnie w stanie zaczątkowym.

Objaśnienia, jakie ci naprędce dałem, odzierają wprawdzie fakt przemian u owadów z cech nadnaturalności, ale z drugiej strony wcale nie sprowadzają go do rzędu pospolitych i prostych zjawisk.

Zgłębiając te gwałtowne przemiany, rozum nasz płacze się w tłumie trudnych do wyjaśnienia zagadek.

Nie możemy pojąć, dlaczego i jakim sposobem jeden i ten sam »żołądek« owada może trawić w pierwszej epoce życia ogromne ilości zielska, a później ogranicza się do odrobinek miodu lub wcale nic nie przyjmuje; dlaczego organy potrzebne w jednej epoce życia giną przy przejściu do drugiej z taką łatwością, z jaką my zrzucamy swą odzież?

Dlaczego całe wnętrze przekształca się tak gruntownie, że wydać się może (porównując tego samego owada w dwóch wiekach, w młodości i dojrzałości), iż mamy przed sobą dwie odmienne zupełnie istoty?

Z głową nabitą tymi pytaniami zasnąłem nareszcie, mimo chłodu, w wygodnym schronieniu i zbudziłem się dopiero, gdy ciepłe promienie wysoko wzniesionego słońca ogrzały skostniałe moje członki.

Zerwałem się na równe nogi i wydostałem co prędzej z oryginalnej sypialni.

XIII. GRZEBISZE

Zaledwie puściłem się na poszukiwania lorda i stanąłem, aby wytchnąć na piaszczystym, słonecznym podnóżu kopca, gdy usłyszałem nad sobą ogłuszający brzęk skrzydeł i o kilka kroków przede mną, jakby wyrósł spod ziemi, zjawił się nastecznik drogowy (*Pompilus viaticus*)¹⁷⁹.

Niezwykłe to silny owad, podobny do osy, zwinny, długi i ruchliwy. Czarna głowa i tułów tego olbrzyma błyszczą jak wypolerowany metal i pewno pod względem wytrzymałości niewiele ustępowały pancerzom ze stali. Kule mego rewolweru odbijałyby się od niego jak od skóry nosorożca. Choć nie należę do lękliwych, przyznaję, że nagle pojawienie się tego rozbójnika przestraszyło mnie i poczułem wielką ochotę oddalić się, ale nastecznik, nie czekając ani sekundy, uprzedził mnie i zerwał się do lotu, a w szybkich jak wiatr, zygzakowatych zwrotach począł bujać nisko, przy samej ziemi, nad tą właśnie częścią piasków, na której zatrzymałem się, kryjąc w gałązki wrzosu. Lot jego był tak szybki, że warczał mi tylko nad głową, ale gdzie zwróciłem za nim oczy, tam go już nie było. Niespokojny i pełen życia owad dopadał niekiedy do ziemi, ale nie mógł ani kilku sekund dosiedzieć na miejscu.

Skoro tylko dotknął nogami gruntu, natychmiast kilkukrotnie podskakiwał, zmieniając za każdym razem pozycję.

Wyglądało to zupełnie tak, jakby go parzyła ziemia, na której chciał stanąć. Ulokował się nareszcie w odległości kilkunastu kroków ode mnie i kiwnąwszy kilka razy odwłokiem, jakby z zadowolenia, przybrał taką pozycję jak pies, gdy zwietrzywszy mysz polną, poczyną rycć łapami ziemię.

Zanim mogłem się opamiętać, począł już przednimi nogami odgrzebywać piasek, wyrzucając go ze zdumiewającą siłą spod siebie w tył na znaczną odległość. Istny deszcz żwiru posypał się spod odwłoka zakutego w pancerz chitynowy potwora, a po kilku sekundach utworzył się już nad wygrzebywanym dołkiem nasyp, z którego ziarna piasku na powrót staczały się w dół.

Nastecznik spostrzegł to niebawem i stanąwszy nad zawadzającą mu kupką piasku, począł go tak zawzięcie odmiatać, że zniknął na chwilę sam w tumanie pyłu, a mnie obsypał niespodzianie gradem piasku, wyrzucanego z wielką siłą na znaczną przestrzeń. Zaciekawiony tą czynnością, odszedłem w bezpieczniejsze miejsce i spoza kryjącego mnie liścia przyglądałem się z zajęciem, jak żwawy owad powiększał dołek.

¹⁷⁹nastecznik drogowy (*Pompilus viaticus*) — obecnie: śwędosz pajęczarz (*Anoplius viaticus*), z rodziny nastecznikowatych (*Pompilidae*). [przypis edytorski]

Po upływie może pół minuty napotkał przeszkodę w postaci drzazgi drzewa, ważącej pewno ze dwadzieścia razy więcej od niego. Nastecznik, nie namyślając się długo, chwycił zaporę w potężne szczęki, aż zatrzeszczała, i za jednym szarpnięciem wyrwał ją z piasku. Dokonawszy tego, odniósł drzazgę pieszo i złożył ją o jakie trzydzieści łokci moich, to jest blisko o sześć cali od wykopanej jamki, zapewne z przeczności, aby mu do dołu nie wpadła.

Zabawiła mnie ta zbytnia ostrożność.

Jeszcze się przypatrywałem tym ciekawym dowodom zręczności, jakie składał mój skrzydlaty olbrzym przy zajęciu kopacza, i czekałem, co dalej pocznie, gdy nagle rozległ się tuż za mną gwałtowny i urywany brzęk skrzydeł muszych i odwrócił moją uwagę od nastecznika. Widok, jaki się przedstawił moim oczom, zmroził mi krew w żyłach. O parę łokci ode mnie znajdował się ogromny pstry pajak, najstraszniejszy z pajaków, bo obok chytrłości, wrodzonej wszystkim ośmionogom, odważny i napadający zwykle otwarcie na zdobycz. Znajdowałem się zapewne i poprzednio w jego sąsiedztwie, lecz ukryty czatował, nie zdradzając niczym groźnej swej obecności. Dopiero jakaś duża mucha znęciła go zbyt bliznieniem się i potwór jednym skokiem rzucił się na ofiarę. Przednimi łapami od razu dosięgnął jednego ze skrzydeł i już gwałtowne trzepotanie nie mogło biednej muchy uratować. Przez parę sekund zdobywała się na rozpaczliwe wysiłki, pragnąc nadaremnie wyswobodzić się ze strasznych uścisków kosmatych łap pajaka, ale prędko pod magnetycznym wpływem błyszczących ślepi napastnika straciła siły i byłaby już otrzymała ranę w głowę, gdyby niespodziewane nie przyszło jej ocalenie.

W tym samym momencie, w którym napastnik gotował się zadać śmiertelny cios, zadrżał nagle i jakby skamieniał w postawie cechującej wielką trwogę. Żyłaste nogi rozprostowały się, potem skurczyły i pajak, zwinięty w kłębek, jak nieżywy stoczył się z pochylności, na której się scena mordu odbywała.

Poturbowana i omdlała mucha uczuła się wolna. Poruszyła się lekko, następnie, utykając, wstała i zajęła się muskaniem naderwanego skrzydła oraz przyprowadzeniem do porządku zrujnowanej toalety. Chciała włoski zjeżone na grzbiecie uczesać, ale widocznie ból w nadwichniętych łapkach nie pozwolił jej zatrzeć śladów przebytej katastrofy.

Żał mi się zrobiło biedaczki; opatrzyłbym ją chętnie, gdybym wiedział, jak się wziąć do tego, ale niestety, dla owadów chirurgia i medycyna musiałyby wesprzeć się na innych niż dla ludzi zasadach. Moja skromna wiedza nie wystarczała tutaj, porzuciwszy więc niepraktyczną myśl, zacząłem zastanawiać się nad przyczyną dziwnego ocalenia niedosłej mojej pacjentki. Zguba jej zdawała się nieuchronna — czym więc wytłumaczyć dobrovolną rezygnację pajaka?

Jedno tylko stać się mogło. Musiał on w chwili decydującej o życiu muchy ujrzeć nagle potężnego wroga.

Aby zobaczyć, co się dzieje z moim tchórzem, napadającym zniechęca, zszedłem na dół, ale mimo troskliwych poszukiwań nigdzie go dostrzec nie mogłem. Umknął widać i zaczajony gdzieś w bliskości, przygotowuje się do powtórnej napaści na inną zdobycz.

Dreszcz mnie przeszedł z obawy, aby przypadkiem on lub który z towarzyszy jego ohydneho rzemiosła nie omylił się i nie wziął mnie za muchę. Obawa miała niejaki podstaw, bo wszak nazywam się Muchołapski!

W nazwisku moim jest »mucha«, miałbym się z pyszna w jego »łapach«!

Przyśpieszyłem kroku, cofając się na dawne miejsce, aż tu brzęk nastecznika zwrócił na nowo moją na niego uwagę. Gdy opuścił się przy świeżo wykopanym dole, dostrzegłem, że dźwigał jakiś żywy przedmiot, który mu się wydierał. Jeszcze jeden rzut oka — i skamieniałem ze zgrozy. Przednie łapy skrzydlatego olbrzyma ścisnęły, niby żelazne kleszcze, tego samego pajaka, który przed chwilą puścił muchę w nadziei, że gdy uda martwego, straszny wróg ominie go w spokoju. Ale omylił się chytry pajak i teraz na próżno wyrwał się z objęć grzebisza, który co chwila kłuł go swym żądłem zajadle. Pomimo głębokich ran biała krew nie dobywała się z pajaka, tracił jednak siły, bo bez oporu pozwolił się złożyć do wygrzebanego otworu. Dół okazał się jednak za szczupły i drgająca w srogich cierpieniach ofiara została wywleczone i złożona na brzegu. Nastecznik zajął się powiększaniem dołka i przymierzaniem co chwila pajaka do otworu.

Na razie można by sądzić, że owad sprawiał pajakowi pogrzeb na sposób ludzki, ale byłaby to czynność bezcelowa i gdyby chodziło tylko o samą przyjemność zakopania pajaka-

ka, z pewnością nastecznik nie napadałby na niego, nie kaleczył i nie trzymał się daremnie. Zgadnij, w jakim celu nastecznik grzebał ofiarę.

O cel zresztą ludzie rzadko pytają, bo zdarza się im zbyt często spełnianie wielu czynów bezcelowych.

W świecie jednak owadów nie ma pracy bez wytkniętego planu. Nastecznik zajmował się okrutnym pogrzebem w zupełnie poważnym zamiarze. Jemu szło jedynie o złożenie jajeczek i zapewnienie bytu larwom, jakie się z tych jajek wyklują. Włożywszy żywca pająka do grobu, składa w pokaleczoną ofiarę jajeczko, potem otwór troskliwie zagrzebuje i oddala się.

Obejrawszy jeszcze raz i drugi swe dzieło z pewnej odległości i zatarłszy wszelkie ślady tylko co odbytej sceny pogrzebu, nastecznik przyniósł jeszcze parę zeschniętych listków i położył je, jakby dla naznaczenia sobie tego miejsca, na mogile, mającej odtąd być kołyską młodziutkiego nastecznika, i uspokojony o los małej larwy, odleciał i znikł mi z oczu.

Ciekawys, co się dzieje dalej pod ziemią?

Ha, nic osobliwego! Zakopany pajak żyje tam jeszcze dni parę, a nawet kilka, gdyż przezorny grzebisz tak go kaleczy, aby jedynie pozbawić ruchu, bez odebrania życia. Wyłęgła więc larwa natrafia na gotowy pokarm i żywi się przez parę, a nawet przez kilka dni świeżym mięsem pająka. Może być spokojna, że nie zabraknie jej pożywienia, bo troskliwa matka przyniesie jej później drugiego i trzeciego pająka, aż wykarmiona i tłusta, przestanie jeść i przemieni się w poczwarkę. Dalszy ciąg historii nie potrzebuje objaśnień.

Zdarza się jednak, że larwa zdycha z głodu. Bywa to wtedy, gdy jej matkę połknie ptak lub jaki wypadek zbyt wcześnie życia pozbawi. Czeką wtedy biedne maleństwo na próżno na świeży transport pajęczyny (jest to wyraz uformowany na sposób »wołowiny«, »cielęciny« i »sarniny«), chudnie coraz bardziej i nie doczekawszy się posiłku, ginie głodową śmiercią.

Takie to tragedie rozgrywają się w tym dziwnym świecie na każdym niemal kroku!

Prawie cała rodzina os drapieżnych, które wypadaloby dla odróżnienia od os właściwych (*Vespidae*) nazwać grzebiszami, prowadzi żywot podobny do opisanego.

Nęk na przykład piaskowy (*Ammophila sabulosa*)¹⁸⁰ różni się od nastecznika głównie znacznie większymi wymiarami oraz rodzajem ofiar, jakie ściąga do gniazd larw swoich.

Zamiast pajaków łowi duże, najczęściej włochate gąsienice.

Pewnego razu, będąc w Ojcowie, sam widziałem, jak nęk ciągnął do wygrzebanej w piasku jamy zieloną jakąś gąsienicę, co najmniej trzykrotnie większą od siebie. Przez ciekawość nie przeszkadzałem owadowi w jego czynności i doczekałem się chwili, w której nęk, uporawszy się z ciężarem i rozmiarami ofiary, znikł wraz z nią pod ziemią i tam zabawił przez kilkanaście minut, a potem, wyszedłszy, zagrzebał starannie otwór piaskiem i pyłem; w końcu, podobnie jak to uczynił nastecznik, jeszcze parę razy przyjrzał się robocie i odleciał szczęśliwy.

Gnębisz (*Psammophila viatica*)¹⁸¹, najbliższy spokrewniony z nękiem, odznacza się podobnymi obyczajami. Wśród rodziny grzebiszów pokaźną grupę stanowią bączkowate (*Crabronidae*)¹⁸², niewielkie rozmiarami osy. Należą do niej żądlice (*Bembix*), osmyki (*Cerceris*), kwiateczniki (*Philantus*)¹⁸³ i taszczyki (*Mellinus*)¹⁸⁴.

Żądlica (*Bembix rostrata*), owad bardzo pospolity w całym kraju, czarny z żółtymi przepaskami w poprzek odwłoka, dwa tylko ma zającia w swym doskonalszym życiu. Wysysa miód z kwiatów i wygrzebuje w piasku głębokie jamki, w które znosi ułowione dwuskrzydłe owady, jak muchy właściwe, mszyczniki (*Syrphus*) itp.

Obfite w całej Europie osmyki (*Cerceris arenaria* i inne) można znaleźć wszędzie na miejscach piaszczystych, wystawionych na południową operację słoneczną. Odróżniają się od koleżanek tym, że nie chcą im robić konkurencji, zadowolają się chrząszczykami należącymi do licznej rodziny ryjkonosów (*Curculionidae*)¹⁸⁵. Nie przebiegają one

¹⁸⁰nęk piaskowy (*Ammophila sabulosa*) — obecnie: szczyrklina piaskowa. [przypis edytorski]

¹⁸¹gnębisz drogowy (*Psammophila viatica*) — obecnie: piasznica czarnoruda (*Podalonia hirsuta*, wcześniej także: *Ammophila viatica*, *Sphex hirsutus*). [przypis edytorski]

¹⁸²bączkowate (*Crabronidae*) — obecnie: otrętwiaczowate. [przypis edytorski]

¹⁸³kwiatecznik (*Philantus*) — obecnie: taszczyk. [przypis edytorski]

¹⁸⁴taszczyk (*Mellinus*) — obecnie: miodwa. [przypis edytorski]

¹⁸⁵ryjkonosy (*Curculionidae*) — obecnie: ryjkowcowate lub słoniki. [przypis edytorski]

wprawdzie w gatunkach, ale trzymają się za to stale ryjkonosów. Są one głównie z tego powodu godne podziwu, że wspomniane chrząszcze należą do najtwardszych owadów. Rzecz na pozór nieprawdopodobna, aby miękka larwa osmyka mogła przeniknąć przez twardą skorupę chrząszcza.

Bliżej jednak poznawszy ten stosunek, spostrzegamy, że nie jest on tak rażący, jak się na razie wydaje. Osmyki bowiem chwytają tylko świeżo wyklute z poczwarki i miękkie jeszcze wołki, larwy zaś ze swej strony umieją doskonale wyszukiwać na ciele ofiar miejsca okryte miększą powłoką, aby przeniknąć przez nie z łatwością do wnętrza.

Są gatunki osmyków napadające także na inne owady. Między nimi jeden (*C. ornata*) zabija pszczoły miodonośne.

Z tej samej grupy nie mniej ciekawy jest kwiatecznik (*Philanthus apivorus*)¹⁸⁶, którego obyczaj pierwszy podpatrzył i opisał Latreille w 1802 roku. Ten wygrzebuje w ziemi prostopadłą galerię, którą na pewnej głębokości zakańcza poziomą komorą, a w niej umieszcza swoje ofiary i jajeczka. Podziemia kwiatecznika mieszkają rozmaite długość: niekiedy dochodzą do dziesięciu cali. Zresztą nie tyle ten szczegół, ile raczej niezwykle zuchwałość kwiatecznika czyni go interesującym dla nas.

Zwykle lokuje się na jakimś miodonośnym kwiatku (skąd i nazwa jego poszła) i poluje niedbale, jakby od niechcenia. Przybywa na przykład pszczoła i cała pochłonięta zbieraniem miodu lub pyłku kwiatowego, nie zwraca uwagi na otoczenie.

Przebiegły kwiatecznik cierpliwie bada sytuację, udaje, że go pracowity owad zgoła nie interesuje, zachowuje się całkiem spokojnie. Upatrzwszy jednak dogodną chwilę, rzuca się z nieopisaną gwałtownością. Chwytając pszczołę szczękami za szyję, przy czym prawie zawsze udaje mu się przewrócić ją na wznak i wtedy zadaje jej pośpiesznie ciężkie rany swym zatrutym żądłem.

Zawiazuje się śmiertelna, ale nierówna walka, bo choć pszczoła posiada także żądło i póki sił starczy, usiłuje dosięgnąć nim przeciwnika, zręczny jednak kwiatecznik zwykle wychodzi nieposzkodowany, gdy pokaleczona pszczoła wkrótce pod wpływem jadu dostaje gwałtownych kurczów i drgawek. W tych boleściach traci władzę w członkach i pada zemdlna. Wtedy napastnik chwytając ją szczękami, obejmuje łapkami i wzbija się w powietrze, ulatując do gniazda z ciężkim brzemieniem. Najczęściej kwiateczniki ukazują się gromadnie. Całe ich setki kręcą się jednocześnie w danej okolicy i rozwijają niezmordowaną gorliwość bez przeszkadzania sobie. Ich śmiałość nie ma granic.

Zbliżają się zwykle do pasiek i tam, na własnym terytorium pszczoł, nie wahają się występować do boju ze spokojnymi owadami w tych wszystkich razach, gdy są pewne zwycięstwa.

Podobne obyczaje spostrzegamy u taszczyka (*Mellinus arvensis*), który obiera sobie gniazda w piasku i zaopatruje każdą komórkę w osiem do dziesięciu much.

XIV. JESTEM MATUZALEMEM. POTWORNE STOSUNKI. MILIARDY ŻYWYCH BEFSZTYKÓW

Scena, jaką ci tylko co opisałem, trwała niedługo. Wszystko odbyło się najwyżej w ciągu pół godziny, choć ten czas wydał mi się znacznie dłuższy. Nic dziwnego! O ile życie owadów jest krótkie, o tyle ruchliwość ich niezmierna.

Prędko się starzeją i umierają; życie największej ich ilości trwa zaledwie kilka lub kilkadziesiąt dni, ale też jeden dzień dłuższym nieraz bywa okresem niżeli rok dla człowieka. Pojęcie czasu wyraża się tylko następstwem zdarzeń, ale nie rzeczywistością jego długością. Wszak zmieściliby i ludzie swe życie ze wszystkimi zajęciami i wrażeniami w podobnie ciasnych ramach czasu, gdyby proporcjonalnie wszystkie swe czynności mogli w krótszym czasie załatwić. Godzina na przykład mogłaby być dniem całym, gdybyśmy w niej zmieścić mogli całodienne nasze czynności.

Ze względu jednak na długowieczność byłem wśród tych stworzeń w dwojaki sposób prawdziwą osobliwością. Najprzód ruchy i czynności moje, gdyby je mogły owady krytycznie oceniać, wydałyby się im nad wyraz ociężałe, powolne i leniwe; po wtóre, gdyby mogły wiedzieć, ile już lat żyję, a ile jeszcze mogę przeżyć, poczytałyby mnie pewno za nieśmiertelną istotę. I w samej rzeczy, gdybym stale wśród nich zamieszkał, a mógł

¹⁸⁶kwiatecznik (*Philanthus apivorus*) — obecnie: taszczyń pszczeli (*Philanthus triangulum*). [przypis edytorski]

przetrzymywać zimy podobnie jak one w letargicznym odrętwieniu, zostałbym nie lada Matuzalemem¹⁸⁷ świata owadziego. Własnymi oczyma oglądałbym po kilkadziesiąt ich pokoleń i praprapraprawnukom jako naoczny świadek opowiadałbym zamierzchłe dzieje prapraprapradziadów. Byłbym dla jednych żywą kroniką, jaką dla nas są poźółłke kilkuwiekowe foliały¹⁸⁸ Długosza¹⁸⁹, Bielskich¹⁹⁰ i Kromera¹⁹¹, dla innych zaś, choćby na przykład dla mszyc, starszym może świadkiem przeszłości, aniżeli dla nas są papirusy egipskie.

Nie tylko zresztą ja jeden mógłbym służyć im za kronikę. Świat owadów, jak żaden inny, pełen jest przeciwnieństw.

Obok mszyc (*Aphis*), liczących życie na dni, krzątają się mrówki-matuzalemy, mogące żyć po lat siedem i osiem.

Do matuzalemów należą nawet takie gatunki, jakie ogół przywykł uważać za efemerydy¹⁹² i uczynił z nich, jak na przykład z jętki (*Ephmera*), symbol znikomości. Błędne o jej wieku mniemanie zwiększa liczbę dowodów, że większość ludzi bardzo jeszcze powierzchownie zna świat owadów. Taka na przykład jętka, czolgająca się przez długich lat parę jako larwa wśród szlamu kałuży lub sadzawki i prowadząca tam rozbójniczy żywot, gdyby tylko umiała obserwować, mogłaby opowiadać krótkowiecznym współobywatelkom sadzawki historię kilkunastu ich pokoleń.

I stałaby się rzecz dziwna. Nie znając zgoła własnych dziejów, bo większa część owadów nie widzi nigdy własnych rodziców ani nawet rodziców swoich współrówieśniczek, mogłaby krócej żyjącym gatunkom owadom, których pokolenia przesuwają się jak w kalejdoskopie przed jej oczyma, opowiadać dzieje zamierzchłej przeszłości. Mimo jednak że wystarczyłoby życia tym długowiecznym istotom, niezdolne są do obejmowania szerszych horyzontów.

Zasklepione najczęściej w ciasnym kółku, spędzają cały niemal żywot w ciężkich zapasach o chleb powszedni. Nie wiedzą nic o bożym świecie i nie interesują się niczym, co ich bezpośrednio nie dotyczy. Znaczną część życia jedne pędzą we wnętrzu drzew, tocząc w ich pniach obszerne galerie, inne znajdują mieszkanie i pożywienie w miękkich grzybach, inne wreszcie, zamknięte od urodzenia w orzechu lub jabłku, pozostają w tych owocach, stanowiących dla nich spiżarnię i świat cały. Późno dopiero, bo na samym schyłku życia, gdy — odziane odświętnie we wszystkie powaby swego rodzaju, obdarowane przez przyrodę wieloma zmysłami, jakich istnienia dotąd nawet nie domyślały się — cieszą się krótkim a rozkosznym schyłkiem życia, przekonują się o istnieniu szerszego i pięknego świata poza obrębem rodzinnego orzecha lub grzyba. Dopóki jednak przyroda nie powoła ich do wypełnienia ostatniej roli, są to po większej części ruszające się żołądki i nic więcej!

Jakże podobne są te owady do ludzi żyjących w ustroniu, którzy niewiele lub wcale nic o bożym świecie nie wiedzą, nie interesują się postępem, wynalazkami, którzy w swoim zaścianku zamiast żyć — wegetują raczej, pchając z dnia na dzień taczkę jednostajnej egzystencji, pozbawionej wznioślejszych bodźców i wzruszeń, jakie są warunkami wszelkiego postępu.

Podobne są także do tych poziomych ludzi, którzy poza obrębem świata ziemskiego, świata pięciu zmysłów i skażonych naszych instynktów, nie domyślają się niczego więcej! Dla takich mizerna ziemia jest już zbyt wielkim światem, aby poza nią myśl ich i pragnienia kiedy mogły wybiec.

¹⁸⁷ *Matuzalem* (bibl.) — postać biblijna wzmiankowana w *Księdze Rodzaju*, znana z wyjątkowej długowieczności: miał przeżyć 969 lat; przen.: osoba długowieczna. [przypis edytorski]

¹⁸⁸ *foliały* — stara księga wielkich rozmiarów. [przypis edytorski]

¹⁸⁹ *Długosz, Jan* (1415–1480) — polski historyk, autor dzieła *Annales seu cronicae incliti Regni Poloniae* (Roczniki, czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego), opisującego historię Polski od czasów legendarnych do r. 1480. [przypis edytorski]

¹⁹⁰ *Bielscy* — *Marcin Bielski* (1495–1575): polski historyk, poeta satyryczny, autor *Kroniki wszytkiego świata*, opisującej historię świata od czasów Starego Testamentu do roku 1550; oraz jego syn, *Joachim Bielski* (1540–1599), który wydał *Kronikę polską*, przerobioną i uzupełnioną wersję dzieła swojego ojca. [przypis edytorski]

¹⁹¹ *Kromer, Marcin* (1512–1589) — polski humanista, historyk i pisarz; autor kroniki *De origine et rebus gestis Polonorum libri XXX* (O sprawach, dziejach i wszystkich innych potocznościach koronnych ksiąg XXX). [przypis edytorski]

¹⁹² *efemeryda* — coś krótkotrwałego, przemijającego szybko i bez śladu. [przypis edytorski]

A jednak i takim może kiedyś... kiedyś otworzą się oczy na widok lepszych a lekomyślnie zaprzeczanych światów i przekonają się, że byli krótkowidzącymi robakami, zamkniętymi w orzechu...

Przekonają się, że jest, że musiał być poza ziemią i poza sferą naszych zmysłów świat inny, piękniejszy i większy, w którym naszym duszom będzie tak samo obszerniej i jaśniej, jak dojrzałemu robakowi z orzecha weselej jest w oblanej słońcem, lekkiej atmosferze łąk barwnych i wonnego kwiecia...

Spostrzegam za późno, że się rozgadał, zapominając, iż kreślę tylko historię swoich przygód; wracamy więc do nich.

*

Zaledwie się otrząsnąłem z przykrego wrażenia i ruszyłem w dalszą drogę, nowy widok przypomniał mi, że w tym świecie, do którego dobrowolnie zszedłem jak Dante¹⁹³ do piekieł, na każdym kroku spotyka się straszne obrazy, a najwyszukańsze męczarnie należą do rzeczy zwykłych, a nawet, niestety, koniecznych.

Dlaczego koniecznych? — zapytasz.

Dlatego że choć są one niepożądane ze względów moralnych, jednakże utrzymują równowagę w naturze. Gdyby nie bezustanne morderstwa, owady rozmnożyłyby się do niepojętych liczebnie rozmiarów, zagrażając życiu innych istot na ziemi.

Właśnie jeden z bolesnych epizodów, rzucających ponure światło na dolę owadów, wstrząsnął mnie do głębi, odbierając ochotę do zachwytów. I gdyby wędrówka moja miała za cel jedynie zadowolenie ciekawości, wycofałbym się co prędzej, aby powrócić do naszego świata, który choć nie lepszy, ma przynajmniej tę dodatnią stronę, że znakomicie maskuje zło, jakie się w nim dzieje, że mu nie zawsze pozwala tak brutalnie występować, jak w świecie owadów.

Wszelaka przewrotność i okrucieństwa, choć są pospolitymi wśród nas zjawiskami, nie rzucają się przecież w oczy w całej ohydzie, a dla łatwowiernych przybierają nawet złudną maskę dobra, okrywają się nieraz płaszczem cywilizacji, patriotyzmu, religii i innych górnobrzmiących szyldów.

Ród ludzki w swym zdumiewającym postępie ulepszył każdą zbrodnię, niejeden występek upiększył, uniewinnił i uświęcił ogólną tolerancją, gdy szkaradne owady po dawnemu, jak ludożercy, zagryzają się jedynie mocnymi szczękami i zakłuwają jadowitymi żądłami. Nie czują przy tym ani trochę ohydy brutalnych swych postępów. Nie pozorują nawet swych czynów ani wyższymi pobudkami, ani rozstrojem zmysłów, które wśród ludzi są wygodnym pozorem do uniewinnienia wszelkiego rodzaju wykroczeń, i dlatego... słusznie uważamy te istoty za poziome, wstrętne, dzikie i niezdolne do żadnego postępu.

Czyż więc warto było schodzić do nęcącego ukrytymi powabami świata po to, aby spostrzec, że i w nim najwięcej jest cierpienia i tragedii?

Czyż warto było z narażeniem życia pozostawać w tej krainie dla spotkania wśród owadów tego samego zła, jakie nas trapi, obleczone tylko w odmienną sukienkę? Nie, nie warto! A jeśli nie cofnąłem się przy pierwszym zachodzie słońca, to tylko ze względu na nieszczęsnego lorda Puckinsa, który oczekiwał na moją pomoc.

Aby ci dać próbkę miłych stosunków, jakie panują w tym okropnym świecie, zapoznam cię ze sposobem życia jednej jego rodziny, spokrewnionej zresztą dość blisko z niedawno poznanym rodem os drapieżnych. Co byś powiedział, gdyby ci ktoś zaręczał, że widział krainę, w której żyją niezgrabne, spokojne i roślinożerne zwierzęta, chodzące na szesnastu nogach? Że zwierząt tych, choć ich nie znają nasi myśliwi, istnieje mnóstwo gatunków, a różnią się one między sobą podobnie wyraźnie wzrostem, barwą i kształtami, jak zwierzyna, na którą polują potomkowie Nemroda¹⁹⁴?

Co byś powiedział, dowiadując się, że owe zwierzęta liczą legiony najrozmaitszych wrogów, wśród których szczególną srogością odznacza się inna znowu liczna rodzina istot, stworzona prawie wyłącznie do ich tępienia?

¹⁹³Dante Alighieri (1265–1321) — jeden z najwybitniejszych poetów włoskich, autor poematu *Boska Komedია*, przedstawiającego wizję wędrówki poety przez trzy światy pozagrobowe: Piekło, Czyściec i Raj. [przypis edytorski]

¹⁹⁴Nemrod (bibl.) — biblijny prawnuk Noego, sławny myśliwy. [przypis edytorski]

Te zacięte wrogi dziesiątkują szesnastonogów bez żadnej litości, karmiąc się świeżym i żywym ich ciałem. One zaś, zjadane po kawałku, nie tracą przy tym apetytu, pasą się, chodzą i rosną mimo kalectwa przez całe tygodnie, to jest aż do śmierci, która następuje dopiero po strawieniu przez pasożyta całego niemal ich mięsa.

Co byś powiedział, ujrawszy na przykład pasącego się spokojnie ogromnego słonia, który nosi pod skórą jednego lub kilku wilków, co się w nim urodzili, gnieźdzą się jak u siebie i pożerają ciało swego chlebobdawcy od urodzenia aż do chwili, gdy już cały słoń, z wyjątkiem skóry, serca, nerwów, płuc i przewodu pokarmowego, został do szczętu zjedzony?

Co byś wreszcie powiedział, widząc, że po dokonaniu tak okrutnego czynu zbrodniarzy omija zasłużona kara i po śmierci ofiary, nie potrzebując już mięsnego pokarmu, wylatują spokojnie z trupa, aby żyć tylko miodem, przyjmowanym w bardzo małych ilościach? Nawet jednak rozpoczynając nową erę życia, nie pozbywają się okrutnych instynktów. Już nie dla siebie, ale dla swego potomstwa wynajdują nowe ofiary ze zręcznością i wytrwaniem godnymi zaiste lepszej sprawy.

Pewno zaliczyłeś takie stosunki do bajecznych, twierdząc, że ani kraju takiego, ani podobnie cierpliwych a nieszczęśliwych zwierząt nie ma i być nie może, bo gdyby nawet istniały, to wobec licznych i srogich wrogów prędko musiałyby wyginać. Tymczasem pomyliłeś się zupełnie.

I kraina, i stosunki te nie są mitem, ale stwierdzoną rzeczywistością. Ofiar, o jakich wspominałem, żyją miliardy na całej niemal kuli ziemskiej, a oprawców co najmniej parę tysięcy gatunków zapełnia nasze pola, łąki i lasy.

Zarówno pierwsze, jak drugie często w wędrowce swej napotykałem, oglądając na własne oczy sceny kwalifikujące się do pieśni Dantego.

Przeczuwam twe zaciekawienie, porzucę już więc niejasne ogólniki i zagadkę rozwiążę.

Zwierzętami pasącymi się wśród rozległych lasów są gąsienice, a potwory, toczące je za życia, stanowią wielką rodzinę owadziarek (*Terebrantes*), do których należą gąsieniczniki (*Ichneumonidae*). Istna ta plaga motyli, a także innych owadów przypomniała mi się, gdy ujrzałem w pożałowania godnym stanie gąsienicę, naszpikowaną kilkudziesięcioma larwami małego barylkarza (*Microgaster*), jednego z najmniejszych gąsieniczników.

Oslabiona chwije się, zbiera ostatki sił, aby posunąć się o kilka kroków, ale za parę minut stanie się już trupem, bo młode barylkarze dorosły i dojadły resztki tego, co było w biednej gąsienicy do zjedzenia.

Sposób życia tych owadów tak jest niezwykły, że bezwarunkowo zasługuje na bliższe opisanie. Budzą one we mnie zainteresowanie dlatego, że odgrywają w gospodarstwie natury niezmiernie ważną rolę.

Rodzina gąsieniczników uderza podobieństwem do pewnej dość licznej klasy w naszym społeczeństwie, powszechnie znanej pod mianem »dobroczyńców ludzkości«.

Członkowie tej klasy, słusznie znienawidzeni przez swe ofiary, spełniają podobne funkcje wśród ludzkich motyli, poczwerek i gąsienic, co skrzydlaci ich koledzy wśród narodów owadzych. Są także postrachem spokojnych gąsienic oraz nielitościwymi regulatorami stosunków społecznych. Mocniejszych uczą rozumu i ostrożności, słabszych zjadają, tucząc się ich łzami i potem.

Zastanawiam się w tej chwili nad tym, jakby ci je najwyraźniej opisać, boś ich może nigdy nie zauważył, choć łatwo to przyjść mogło, gdyż gąsieniczników, podobnie jak usługujących dobroczyńców ludzkości, niemal wszędzie spotkać można. Uwijają się więc nie tylko po wsiach i lasach, zaglądają nie tylko do zagrody chłopka oraz szlachcica, ale je widzieć można w małych miasteczkach i po dużych miastach. Opisywać ci ich postaci i umundurowania, obyczajem zoologów, nie myślę, bo nie doczytałeś mego opisu do końca. Język nasz jest tylko dla przyrodników zajmujący i zrozumiały, a do tej klasy ludzi, mimo że masz wszelkie po temu kwalifikacje, nie należysz jeszcze.

Najprościej więc chyba będzie, gdy określe ci stanowisko, jakie zajmują w naturalnym pokrewieństwie owadów. Będiesz przez to mógł przy niewielkim wysiłku fantazji wyobrazić sobie, naturalnie w słabym przybliżeniu, ich postać. Jeśli potem zechcesz zawrzeć bliższą z nimi znajomość, pokażę ci w moich zbiorach całe pudło rozmaitych gąsie-

niczników, poczynając od ogromnych łomków (*Gasteruption*)¹⁹⁵ i sierponiów (*Ophion*), a kończąc na drobnych wierceniach (*Bassus*) i dopiero co wspomnianych barylkarzach (*Microgaster*). Przede wszystkim winienem ci objaśnienie, do jakiej grupy należą.

Choć jesteś pod względem znajomości świata owadów niewiele dalej posunięty niż pod względem znajomości Selenitów¹⁹⁶ (daruj moją szczerość), musisz pewno wiedzieć, że naród owadów dzieli się na siedem głównych, bardzo wybitnie różniących się między sobą królestw czy szczepów, co wolisz¹⁹⁷.

Pierwszy, najliczniejszy w gatunki, stanowią chrząszcze, mające przednią parę skrzydeł twardych, z grubej chityny¹⁹⁸.

Drugi ród stanowią błonkoskrzydłe, których typami są pszczoła, osa i mrówka.

Trzeci tworzą motyle, czwarty muchy, odznaczające się brakiem tylnych skrzydeł, nareszcie piąty, szósty i siódmy stanowią rody, których typami są ważki, koniki polne, świerszcze i pluskwiaki.

Jeśli dalej powiem ci, że gąsieniczki należą do błonkoskrzydłych, czyli pszczołowatych owadów, już będziesz miał w tym oznaczeniu dość wyraźne określenie ich postaci.

Wyobraź je sobie: niby pszczołę, niby osę, niby mrówkę skrzydlatą, coś niewyraźnego wprawdzie, ale zawsze w tym guście.

I nie omylisz się. Ród pszczołowatych dzieli się bowiem na sześć wybitnie różniących się rzędów, z których jeden stanowią właśnie owadziarki (*Terebrantes*), a do nich należą wszystkie gąsieniczniki (*Ichneumonidae*). Odznaczają się one wysmukłym i lekkim ciałem, budową przypominającą nieco mrówki, nóżki zwinne w chodzeniu i lotne a wielkie skrzydła, wydętne oczy i długie, bardzo ruchliwe oraz ciągle drgające żółte, czerwone lub czarne czułki dopełniają ich ruchliwej, pełnej życia postaci. Kolor ciała, przeważnie czarny, bardzo jest stosowny, według mego zdania, dla indywiduów zajmujących się tak czarnym rzemiosłem.

I w tym, jak w wielu innych szczegółach, uderzające posiadają podobieństwo do ludzkich brodatych gąsieniczników, uwijających się rojno również w czarnych, długich ubiorach w okolicach wszelkich banków, giełd i modnych restauracji, gdzie czatują na swoje ofiary, snujące się pod postacią potrzebujących pożyczki właścicieli różnych ruchomości i nieruchomości, w charakterze młodych i zwykle zielonogłowych motylków, jadających i ubierających się na kredyt, ale za to tak świeżych, jak gdyby wyszły tylko co z poczwarki, pod postacią lubiących się stroić kobietek oraz wszelkich poczwarek ludzkich, którym pilno zabłysnąć choć na chwilę złudnymi i tęczowymi kolorami motylków. Niestety! Nie przeczuwają, że zręczny operator zdoła wyssać z nich resztkę soków żywotnych jeszcze przed tym, zanim sztuczne te blaski dojdą do swego kulminacyjnego punktu.

Prawdziwe gąsieniczniki, o których mowa, nie posiadają żadeł, jakimi są uzbrojone szlachetniejsze od nich drapieżniki oraz pracowite pszczoły, ale za to mają misterne pokładełko, nieraz bardzo długie i tak cienkie jak żądło. Za pomocą tych narzędzi, nie sprawiając ofiarom zbytniego bólu, składają swe jajeczka pod skórę najrozmaitszych owadów i pajaków. Ani twarde pokrycie chrząszczy, ani nawet cichy żywot wewnątrz drzewa nie ochronią przed tymi strasznymi napastnikami.

Gatunki składające swe jajka w larwy chrząszczy drzewnych, do jakich należą okazałe zamarniki (*Ephialtes manifestator*) i zgłębcze (*Rhyssa persuasoria*) posiadają tak urządzone pokładełko, że prześwidrowują najprzód warstwę drzewa dzielącą je od ofiary, a potem zagłębiają je pod skórę larwy i znoszą jajeczka.

Czyż nie godzien jest podziwu instynkt, który przez grubą warstwę drzewa pozwala prześladowczyni przeczuć larwę chrząszcza spoczywającą w tajemnym zaciszu, pozwala obliczyć, gdzie należy w drzewo zapuścić wąskie piły, aby pokładełko dosięgło ukrytego w twardym mięszu robaka? Owady te stanowią chyba najstraszniejszy ród morderców, trudniących się zastrzykiwaniem najjadowitszej ze wszystkich trucizn, bo zarodków, z których rozwijają się pasożyty śmiertelne dla operowanego owada.

¹⁹⁵łomek (*Gasteruption*) — obecnie: zadziorek. [przypis edytorski]

¹⁹⁶Selenici — hipotetyczni mieszkańcy Księżyca (gr. Selene). [przypis edytorski]

¹⁹⁷Naród owadów dzieli się na siedem głównych (...) królestw czy szczepów — w obecnej klasyfikacji wyróżnia się ponad 30 rzędów owadów. [przypis edytorski]

¹⁹⁸chityna — związek organiczny stanowiący składnik twardych osłon ciała stawonogów, jak owady i pajęczaki, występujący również w ścianach komórkowych niektórych grzybów i bakterii. [przypis edytorski]

Jest to prawdziwy ród lichwiarzy, którzy zwykle zastrzykują operowanemu osobnikowi okrągłą sumkę do kieszeni w sposób tak łagodny, że z sumki owej rozwija się powoli pasożyt w postaci szybko rosnącego długu. Pochłania wszystkie soki ofiary i zwykle bywa śmiertelny dla dobrobytu poddanego operacji osobnika.

Owadziarki, podobnie jak tylko co wspomniani dobroczyńcy, do tego stopnia są liczne, że nie przesadzę, twierdząc, iż nie ma prawie takiego gatunku owadów, który by w swej niepełnoletności, to jest w stanie larwy lub poczwarki, nie podlegał ich napadom.

Brakonidy¹⁹⁹, spotykane na kwiatkach podczas pięknej pogody, napadają wyłącznie na chrząszczyki.

Alysia spełniają okrutne swe operacje na muchach.

Rzecz na pozór nie do uwierzenia, aby były gatunki mniejsze jeszcze od barylkarzy, które by się zadowalały najmniejszymi owadami. A jednak takimi są hybryzonity (*Lysiphlebia*), składające swe jajeczka w ciałach mszyc.

Broiszek (*Proctotrupes*)²⁰⁰ składa jajeczka w larwach komarów (*Tipulidae*)²⁰¹, platygaster zaś napada głównie larwy drobnych muszek, zwanych pryszczarkami (*Cecidomyiidae*). I nie tylko larwy oraz mszyce, bo nawet jajeczka nie są wolne od niebezpieczeństwa zagrażającego im ze strony chytrych istot. Małeńki teleas (*Teleas ovulorum*)²⁰² na przykład przekłuwając swym pokładelkiem jajeczka nocnych motyli, a cały nie ma więcej jak pół milimetra długości.

Zdaje się na pozór rzeczą prostą zniesienie jajeczka pod skórę żywych owadów lub w inne jajeczko, ale ileż to naprawdę potrzeba zmyślności i wytrwałości w poszukiwaniach, ile zabiegów, aby skutecznie dokonać operacji! Pamiętajmy, że każdy gąsienicznik musi sobie przede wszystkim odnaleźć właściwy sobie gatunek ofiary. Szuka dziwnie rozumnie; nie traci czasu na bezowocne uwijanie się wśród roślin, na których nigdy nie przebywają gatunki, jakich mu trzeba, ale pilnie zwiedza takie zioła, na jakich stale żywi się owad utrzymujący jego ród. Postępują w tym tak samo, jak ludzkie gąsieniczniki, których osobne gatunki polują na szlachtę, osobne na chłopów i na wyrobników, osobne na złotą, osobne na tombakową młodzież. Jedne żyją głównie krwią i mięsem utrącających, inne wysysają biedaków i pracujących w pocie czoła.

W całej tej klasie najgodniejszy podziwu jest instynkt, przewyższający o całe niebo spryt wszelkich wyzyskiwaczy ludzkich. Bo zważ tylko, że gąsienicznik skrzydlaty musi szukać istoty, której nigdy jeszcze nie widział, podczas gdy dwunogi ma zadanie ułatwione; od dziecka już uczy się swego rzemiosła i korzysta z doświadczenia rodziców.

Skoro tylko samiczka gąsienicznika opuści swoje żywe więzienie i pierwszy raz puści się na szersze horyzonty, skoro tylko odnajdzie swój ideał i zadowoli przyrodzoną skłonność, natychmiast, wiedzioną niepojętym instynktem, oddaje się wyłącznie poszukiwaniom żywej kolebki, mającej być zarazem spiżarnią przyszłego potomstwa.

Wiedzioną jasnowidzącym instynktem, poznaje wśród tysięcy innych odpowiedni gatunek dla siebie i przystępuje niezwłocznie do operacji. Na próżno ofiara wije się i broni — zręczna napastniczka dopóty powtarza niefortunne z początku próby, aż uwieńczone będą pomyślnym dla niej skutkiem i jajeczko zostanie ulokowane na czystej hipotece²⁰³.

Jeśli zaś trafi przypadkiem na »robaczywą« już gąsienicę, która ma hipotekę zajęta, to choćby najbardziej czuła się strudzona bezowocnymi poszukiwaniami, pozostawia zdobycz szczęśliwszej poprzedniczki nietkniętą, rozumiejąc dobrze, że dla dzieci dwóch matek nie starczy z tej larwy pożywienia. Hipoteka niepewna, drogiego więc kapitału nie umieszcza na niej, lecz dopóty znowu lata nad roślinami, dopóty troskliwie pod każdy niemal listek zagląda, póki nareszcie nie odnajdzie sobie nieprzekłutej jeszcze gąsienicy i nie spełni powinności, do której stworzyła ją natura.

¹⁹⁹brakonidy (*Braconidae*) — męczelkowate, rodzina owadów z rzędu błonkoskrzydłych, których larwy są pasożytami larw innych owadów; obecnie jedną z jej licznych podrodzin są *Alysiinae*, do których należy *Alysia*, wymieniona przez autora jako różna od brakonidów; być może więc autor ma tu na myśli obecne brakoniny (*Braconinae*), podrodzinę rodziny *Braconidae*. [przypis edytorski]

²⁰⁰broiszek (*Proctotrupes*) — obecnie: tybelak. [przypis edytorski]

²⁰¹komary (*Tipulidae*) — obecnie: koziulkowate lub komarnice, rodzina dużych, wysmukłych owadów. [przypis edytorski]

²⁰²teleas (*Teleas ovulorum*) — obecnie: *Telenomus terebrans*. [przypis edytorski]

²⁰³hipoteka — tu: zapis w publicznej księdze wieczystej, w której spisano prawa właściciela nieruchomości oraz roszczenia pieniężne jego ewentualnych wierzycieli; tu przenośnie. [przypis edytorski]

Zadziwiająca w tych czynnościach zachowuje przy tym oszczędność. Żywy pokarm nie marnuje się bezużytecznie, bo gąsienicznik kaleczy taką ofiarę, jaka w sam raz wystarczy do wyżywienia pasożyta.

Z dojściem do dojrzałości gąsienicy dorasta larwa gąsienicznika i dwie te istoty najczęściej jednocześnie przechodzą w stan poczwarki. Pierwszej z nich sądzone już nigdy nie ocknąć się motylem, podczas gdy druga po upływie czasu potrzebnego na dokonanie się w niej zmian anatomicznych wylatuje swobodna i zdrowa z podwójnego więzienia.

XV. ODWROTNA STRONA MEDALU. PATRIARCHALNA PARRA USZCZĘŚLIWIAJĄCA ŚWIAT W JEDNYM ROKU 164 SEPTYLIONAMI PRAPRAWNUKÓW

Przedstawiłem ci łomków, sierponiów i wierceniów jako okrutników, na których, gdybyś był wszechmocnym królem, wydałbyś pewno wyrok śmierci.

Jakkolwiek mało prawdopodobne jest najprzód twoje królestwo, a potem wykonanie wyroku na niezliczonym narodzie, szydzącym sobie z mieczów katowskich, gilotyn i szubienic, winienem złagodzić twoją nienawiść dla tych istot przez ukazanie odwrotnej i niewątpliwie jaśniejszej strony medalu.

W naturze wszystko jest urządzone jak w zegarku: każde kółko i każdy ząbek w kółku są potrzebne.

Wyłamanie jednego powoduje zakłócenie regularnego ruchu w całej maszynie. Takim właśnie ząbkiem w zegarku przyrody są owadziarki.

Zważywszy, ile miliardów gąsieniczników zaludnia²⁰⁴ ziemię, łatwo pojmiesz, że odgrywają one ważną w przyrodzie rolę, są błogosławieństwem dla roślinności, a nawet dla człowieka ważnymi sprzymierzeńcami.

Strach doprawdy pomyśleć, co by to było, gdyby nagle jakaś zaraza lub inny kataklizm wytepiły wszystkie owadziarki. Wobec mnożności motyli ziemia oddana na łup ich żarłoczości wkrótce stałaby się pustynią. Głód zapanowałby powszechny, od którego wyginęliby sprawcy całej klęski. Podobnych kataklizmów na małą skalę już nieraz ziemia była widownią.

Sto lat temu państwo marokańskie uległo straszному spustoszeniu. Zgłodniały lud wykopywał korzonki wszelkich roślin, używając ich za pokarm. Kobiety i dzieci chodziły za wielbłędami i chciwie wybierały z ich kału niestrawione ziarna jęczmienia, aby dojmujący głód zaspokoić. Zginęło wtedy mnóstwo ludu, a w całej krainie można było spotykać po drogach nieopógrzebane trupy.

W okolicy znów Wenecji w 1478 roku w ten sam sposób wymarło przeszło trzydzieści tysięcy ludzi.

W 591 roku znaczna część Italii uległa strasznej klęsce głodowej, z której następnie rozwinęło się morowe powietrze²⁰⁵. Ofiarą tych dwóch klęsk padło blisko milion ludzi i zwierząt domowych.

Czy domyślasz się, co było powodem tylko co wspomnianych katastrof? Oto nadmierne rozmnożenie się drobnej i wcale nie strasznej istoty, zwanej szarańczą.

²⁰⁴ile miliardów gąsieniczników zaludnia ziemię — daruj, że muszę tu użyć nieścisłego wyrazu „zaludnia”, bo choćby było ściślej i logiczniej powiedziane „zagąsienicznicza” ziemię, to jednak pewno sam uznałbyś, że w tym razie daleko lepiej jest użyć wyrazu utartego, aniżeli stwarzać taki dziwoląg językowy. Zresztą, gdybyśmy chcieli w każdym wyrazie szukać ścisłego i dosłownego znaczenia, doszlibyśmy do absurdu i połowę przynajmniej wyrazów wypadałoby wykreślić albo powrócić do dawnych znaczeń. Wtedy „myśliwy” musiałby być „celnikiem”, natchniony „pisarz” — „rymarzem”, „mówcami” byłibyśmy wszyscy z wyjątkiem głuchoniemych, cały świat składałby się z samych uczonych, boć każdego choć raz w życiu czegoś nauczone. „Piwnicą” można by nazwać tylko takie podziemie, w którym przechowują piwo, a piwem byłby nie tylko napój rozweselający serca zwolenników Gambrynusa [legendarny król flamandzki, który miał wynaleźć piwo; red WL], ale zgoła wszystko, co tylko służy do picia, podobnie jak „jadłem” nazywamy wszystko, co służy do jedzenia. „Muzyką” nawet nie powinna by się nazywać sama sztuka przemawiająca miłymi dźwiękami do naszego sluchu, ale każda ze sztuk pięknych, zostająca pod zawiadywaniem jednej z dziewięciu muz. [przypis autorski]

²⁰⁵morowe powietrze (hist.) — rzekoma przyczyna epidemii choroby zakaźnej, zwłaszcza dżumy lub czarnej ospy; określenie historyczne wywodzące się z przekonania, że przyczyną pomoru (masowego umierania) są wiewiwy złego powietrza. [przypis edytorski]

O istocie tej opowiadają Arabowie, że miała się w te słowa odezwać do Mahometa: »Ja jestem legion Boga Wielkiego, składam dziewięćdziesiąt dziewięć jajek, a jeślibym składała sto, to pożarłabym całą ziemię i wszystko, co na niej jest«.

Niedokładne to nieco określenie wybornie maluje głęboką wiarę Arabów, że szarańcza jest jedną z najcięższych plag, jaką Bóg karze ziemię.

I w istocie to, co stare kroniki przechowały w tym względzie na swych kartach, mrozi krew w żyłach.

W Południowej Afryce w latach 1784 i 1797 powierzchnia przynajmniej dwóch tysięcy mil kwadratowych była literalnie pokryta warstwą szarańczy, która zjadła najprzód wszystkie zioła i trawy, potem liście i korę z drzew, a w końcu w części zginęła z głodu, w części, zagnana silnymi wiatrami na morze, utworzyła na brzegu ogromną gnijącą mieliznę, której zaraźliwa woń rozchodziła się na sto pięćdziesiąt mil wokoło.

I nasze kraje kiedy niekiedy cierpiały od zagnanych przypadkowo chmur szarańczy.

W 1650 roku w Polsce, w Litwie i Rosji słońce zaćmiło się od tumanów szarańczy, która przybyła z trzech stron od południowych krain. W niektórych miejscach leżała ona martwa w warstwach grubych na dwa łokcie.

Ale dość już! Po co mnożyć przykłady, gdy samo nazwisko szarańczy wszystkie niemal południowe ludy przejmuje strachem.

Wspomniałem ci o niej, aby pokazać, co znaczy rozmnożenie się zbyt liczne jednego gatunku. Jeszcze straszniejsze obrazy budzą w umyśle termyty, czyli białe mrówki (*Termes*), które podróżnicy nazywają największą plagą obu Indii²⁰⁶.

Gatunki te podlegają najsroższym prześladowaniom, a jednak mnożą się do nieprawdopodobnych granic dlatego jedynie, że ponad wszystkie niszczące potęgi silniejsza jest ich płodność. Ona jest tarczą, która nie tylko ochrania ród ich od zguby, ale jeszcze pozwala dawać się we znaki przyrodzie.

Nie sądzę jednak, aby płodność szarańczy i termitów była ich wyłącznym przywilejem. W sprzyjających warunkach każdy niemal owad jest kandydatem na szarańczę.

Dowodów tego twierdzenia mógłbym ci przytoczyć nie setki, ale tysiące.

Czasem jeden miesiąc, jeden rok pomyślny dla danego gatunku lub też zabójczy dla jego wrogów zrywa naturalną równowagę i sprowadza klęskę.

Wracając do motyli, nad którymi litowałeś się pewnie, czytając rozdział poprzedni, mogę cię zapewnić, że dałyby się nam bardziej uczuć niż szarańcza, gdyby nie gąsieniczniki i setki im podobnych wrogów motylego świata.

O bajecznej mnożności motyli, a nawet w ogóle owadów, muszę ci choć w kilku słowach dać właściwe pojęcie.

Wyobraź sobie, że całe potomstwo owadów wychowuje się szczęśliwie i mnoży bez przeszkody. W takim razie ponieważ każda samiczka motyla lub ćmy składa w jesieni po kilkadziesiąt lub kilkaset jajeczek, więc z nich na wiosnę roku przyszłego wylęgnie się ogromna czereda gąsienic. Wkrótce dorosną one i przemienią się w motyle, między którymi połowa przynajmniej będzie samiczek. Te wydadzą znowu po kilkaset jajeczek, z których jeszcze w tym samym roku wyjdą dojrzałe motyle, aby przed nastaniem zimy złożyć nowe jajeczka.

Wyrachujmy, ile to uczyni potomstwa. Jeśli przyjmiemy dla okrągłości rachunku, że para motyli wyda tylko 100 gąsienic, to powstanie z nich w drugim pokoleniu 5000 gąsienic, a w trzecim ujrzymy już 250 000 rodzonych prawnucząt owej pary.

Cyfra stu jajeczek, jaką przyjęliśmy, zarówno jak i dwa pokolenia motyli na rok nie stanowią nic nadzwyczajnego w świecie owadów²⁰⁷.

Pod tym względem muchy o wiele przewyższają owady luskoskrzydłe.

²⁰⁶ *obu Indii* — Indiani Zachodnimi nazywano dawniej Amerykę, zaś Indiani Wschodnimi tereny Indii i in. krajów Azji pld. i pld.-wsch. [przypis edytorski]

²⁰⁷ *Cyfra stu jajeczek (...) nie stanowi nic nadzwyczajnego w świecie owadów* — wszak jedna osa składa przeszło 10 000 jajeczek, królowa pszczoła kilkadziesiąt tysięcy, a samiczka termitów znosi przez długi czas co sekunda po jednym jajeczku, w ciągu więc jednego dnia złożyć może 86 400 jajeczek, a w ciągu miesiąca 2 592 000! [przypis autorski]

Już De Geer²⁰⁸ wyliczył, że jedna samiczka gromadnicy (*Sarcophaga carnaria*)²⁰⁹ składa od pięciu do dwustu jajeczek. Wziąwszy tylko pięćdziesiąt do rachunku, otrzymamy, że z tych pięćdziesięciu jaj złożonych w kwietniu (przyjmujemy, że tylko połowa wylęgnie się samiczek):

	będzie 50 much	w maju
	1 450 much	w czerwcu
	31 250 much	w lipcu
w sierpniu już	781 250 much	
we wrześniu	19 581 250 much	
w październiku	488 281 259 much	

Razem w ciągu lata przez sześć pokoleń powstaje z jednej pary przeszło pięćset milionów osobników.

Podobną mnożnością według Meigena²¹⁰ i wielu innych badaczy odznaczają się i inne muchy, jak śmieciówki (*Anthomyia*)²¹¹ i gnojówki (*Scatophaga*)²¹².

Płodność mszyc (*Aphis*) przechodzi wszelkie wyobrażenie!

Zadziwiające te istoty dojrzewają tak dalece szybko, że dla niektórych gatunków wystarcza jeden tydzień. Jedna samiczka na przykład mszycy różanej co dzień rodzi dwadzieścia. Gdyby żadna z nich nie zginęła, każda zrodzi po dwadzieścia, co czyni razem cyfrę 400; po ośmiu dniach z owych 400 powstanie 8000 mszyc, a te w tydzień wydadzą 160 000!

W szóstym tygodniu ujrzymy już z jednej mszycy 64 miliony prapraprawnucząt!

Muszę tu jeszcze zauważyć, że do obrachunku wziąłem jednodniowy pomiot mszycy, a tymczasem przez cały czas dojrzałości składa ona jajeczka. Co by to więc urosła za cyfra, gdybyśmy należycie wszystko obliczyli!

Ale i bez tego, prowadząc rachunek w ten sam sposób, jak go zacząłem, otrzymamy w końcu roku, w dwudziestym pokoleniu (gdyż tyle może się w ciągu roku zrodzić z jednej wiosennej pary), liczbę, jaka przechodzi wszelkie nasze wyobrażenie, a którą umieszczam poniżej:

164 867 600 000 000 000 000 000 000 000.

Zdaje się, że te cyfry wystarczą i nie będziesz już pytał: skąd tym miliardom owadziarek, milionom dzieciółów, sikor, kukulek, wróbli i tylu innych ptaków oraz przeróżnych owadożernych stworzeń starczy pożywienia? Owszem, zadowolony będziesz, że te nieprzeliczone zastępy niezmordowanie pełnią swoją powinność, bo gdyby nie ich gorliwość, chmury wszelkich owadów zasłaniałyby nam słońce, całe tłumy gnietlibyśmy co krok pod nogami, wpadałyby nam przy oddychaniu w usta i w nos i nie dałyby wziąć się do żadnej czynności ani zasnąć, aż w końcu, pożarłszy, co było do zjedzenia, jak myszy Popiela²¹³, pozjadałyby nas wszystkich... aby zginąć nareszcie głodową śmiercią.

XVI. W MORZU ZIELONOŚCI. STRUMIEŃ BIAŁEJ WODY

Całe dwa dni następne upłynęły mi niewesoło, bo na uciążliwym przedzieraniu się przez mroczne zarośla. Powikłany gąszcz zakrywał tak dalece niebo, że kierowałem się często jedynie za pomocą kompasu. Roślinność była miejscami tak zwarta i gęsta, że podróż moja stała się, w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, napowietrzna. Otaczał mnie labirynt, który mógłbym bez przesady nazwać oceanem zieloności.

²⁰⁸De Geer, Charles (1720–1778) — szwedzki entomolog i przemysłowiec pochodzenia holenderskiego. [przypis edytorski]

²⁰⁹gromadnica (*Sarcophaga carnaria*) — obecnie: ścierwica mięsówka. [przypis edytorski]

²¹⁰Meigen, Johann Wilhelm (1764–1845) — niemiecki entomolog znany z pionierskich opracowań dotyczących muchówek. [przypis edytorski]

²¹¹śmieciówka (*Anthomyia*) — obecnie: śmietka. [przypis edytorski]

²¹²gnojówka (*Scatophaga*) — obecnie: cuchna. [przypis edytorski]

²¹³Popiel — legendarny władca Polan lub Goplan z IX w., przedstawiciel dynastii poprzedzającej Piastów; schronił się w wieży na wyspie, gdzie został zagryziony przez myszy. [przypis edytorski]

Choćbym ci chciał nie wiem jak barwnie odmalować przeszkody, jakie zwalczałem, nie dałbym ci pojęcia o moim oryginalnym położeniu. Trzeba było to widzieć własnymi oczyma i pokonywać samemu, aby ocenić, co znaczy wędrówka po bujnej roślinności, gdy się ma zamiast pięciu stóp tyleż linii wzrostu! Wyobraź sobie, że zdarzało mi się przez pół dnia nie dotknąć stopą ziemi; trzeba było bezustannie przeskakiwać i wspinać się z łodyg na liście, z liści na łodygi, niżej lub wyżej, jak droga wypadała. Piąłem się i zstępowałem, mając pod sobą głębię splecionej zieleni, ziejącą ciemnościami i chłodem. Trzeba się było krzepko trzymać i uważnie mierzyć kroki, bo lada nieostrożne stąpienie strącało mnie w wilgotną otchłań, marnując kilkadziesiąt łokci bezowocnego wspinania się na wyższe piętra roślinności; nie mówię już o możliwym a niemiłym spotkaniu się z pajakami, obrzydliwymi ślimakami i Bóg wie jakimi jeszcze stworzeniami.

Trzeciego dnia trwała jeszcze najpiękniejsza pogoda, rzecz niezwykła na wysokości 1200 metrów nad poziomem morza. Termometr mój wskazywał +20° stopni, ale na słońcu musiało być znacznie więcej. Wilgoć jednak dawała się czuć tak silnie, jak i poprzednio, grunt bowiem, który wydał i utrzymywał stojącą w wyższych piętrach puszcę, zasłonił się butwiejącymi szczątkami roślinności, które niechętnie oddawały przesycającą je wodę.

Nawet drobniejsza ode mnie istota nie zdołałaby się przecisnąć przez martwiejące warstwy ziół i torfowców do samej ziemi, dokąd jedynie wilgoć miała przywilej dostępu, aby rozpuszczać zawarty w niej pokarm mineralny i odżywiać wiecznie głodne korzonki, będące podziemnymi kucharzami roślin.

Wilgoć ta jednak nie tylko korzenie żywiła. W połączeniu z ciepłem budziła do życia tysiączne grzybki, jakie w próchnicy obrały sobie siedlisko i przyspieszały dzieło rozkładu. Tu, przy samej ziemi, było czynne przez całe lato wielkie laboratorium życia i śmierci.

Z martwiejących szczątków jednych istot budowały się tu pośpiesznie nowe twory, podobnie jak z gruzów walących się zamczysk powstają lepianki.

Śmiertelne łoże jednych jest jednocześnie kolebką innych istot.

Bo to, co śmierci zwą imieniem
I co snu mógł nosi miano,
Jedynie prochów jest przemianą
I nowych bytów przebudzeniem!²¹⁴

Tę samą czynność, jaką w wyższych warstwach puszczy prowadzą żarłoczne gąsienice, tutaj natura powierzyła grzybkom, a one, w inny wprawdzie sposób, ale daleko energiczniej wywiązują się z zadania. Cała istota butwiejących szczątków na wskroś jest przejęta delikatnymi ustrojami²¹⁵ grzybów.

W gwałtownym swym wzroście bezlitośnie sięgają do najtajniejszych komórek, rozkładają nagromadzoną w nich materię i natychmiast tworzą z niej swoje wątle, ale bujne komórki.

Było to prawdziwe roślinne pobojuwisko.

Zamiłowany botanik szalałby tu z radości, mając po raz pierwszy sposobność oglądania nieuzbrojonym okiem coraz to osobliwszych śnieci (*Ustilaginales*)²¹⁶, rdzy (*Uredinales*)²¹⁷ i pleśni (*Mucorales*), jakie ze wszystkich zakątków wyglądały. Ustrojone jaskrawo we wszystkie barwy, bo nawet w szkarłat i fiolet, utuczone trupami wyższych ustrojów, zdumiewają one coraz to fantastyczniejszymi i piękniejszymi kształtami.

Butwiejące na przykład liście, zwykle niemiłe i niepozorne, posiadały dla mnie wygląd czarodziejskich łańców i mieniły się — zamiast od maków i bławatów — od fioletowych i żółtych kulistych zarodników otoczniowców (*Pyrenomyces*)²¹⁸ i od różnobarwnych a wysmukłych grzybków z rodziny pleśni.

²¹⁴Bo to, co śmierci zwą imieniem... — Włodzimierz Zagórski, *Król Salomon*. [przypis autorski]

²¹⁵ustroj (biol.) — żywy organizm roślinny lub zwierzęcy. [przypis edytorski]

²¹⁶śnieci (*Ustilaginales*) — obecnie: głowniowce, grzyby wywołujące choroby roślin zwane głowniami. [przypis edytorski]

²¹⁷rdze (*Uredinales*) — obecnie: rdzawnikowce (grzyby rdzawnikowe), grzyby powodujące choroby roślin zwane rdzami. [przypis edytorski]

²¹⁸otoczniowce (*Pyrenomyces*) — obecnie: *Sordariomyces*, klasa grzybów z gromady workowców. [przypis edytorski]

Pierwsze przypominały mi ogromne kwiaty pasożytnej raflezji²¹⁹, dla drugich nie ma w całym królestwie roślinnym nic takiego, co by mogło służyć za porównanie. Jakież palmy, lekkie kolumny i dziwne gwiazdy, utkane z przejrzystych, niby szklanych komórek, wyglądały raczej na wytwory poetycznej wyobraźni Flammariona²²⁰, na ludzi-drzewa z konstelacji Łabędzia lub Oriona²²¹ aniżeli na ziemskie rośliny, tak pospolite, że ich w każdym szmatku lasu wegetują miliardy.

W samo południe natrafiłem na kał owczy, obficie rozrzucony w przejściu, które niewygodnie było ominąć. W zwyczajnych warunkach spacerujący po Tatrach modny elegant odwróciłby oczy od tak nieestetycznego przedmiotu; dla mnie wszystko przedstawiało się tak dalece inaczej, że przebiegłbym po tym gruncie, nie domyślając się jego natury, gdyby nie oryginalna roślinność, jaka i takie przedmioty w sprzyjających warunkach okrywa. Roślinność owa zdradziła przede mną naturę gruntu, a nadto pozwoliła mi ujrzeć znane mi tylko z botanicznych opisów oryginalne zjawisko.

Zwierzęce bryły, o których mowa, okrywał gęsty lasek prześlicznych pleśni. Były to bładożółte soczyste zrywki (*Pilobolus crystallinus*). Ujrzałem je w ciekawej chwili dojrzewania. Prawie połowa ich była jeszcze pokryta czarnymi, twardymi i okrągłymi kapelusikami. Skoro się zbliżyłem do tego wojska, kilka czapeczek karzełków, jakby na tajemniczą komendę, bez żadnej widocznej przyczyny oderwało się z trzaskiem od czubków i na znaczną wysokość wystrzeliło do góry. Stałem jak wryty.

W ciągu pięciu minut ze sto przynajmniej kapeluszy w moich oczach z wielką siłą wyleciało w powietrze i sto pękających trzonków poczęło kurczyć się powoli, opadając niby wydęte powietrzem pęcherze, gdy się je szpilką przedziurawi.

Prawdopodobnie roślinki urządziły mi owacyjne powitanie na dowód uszanowania dla ludzkiej istoty, przenikającego nawet grzyby. Oddaliłem się, rozglądając pilnie, azali²²² nie dojrzę gdzie lorda Puckinsa.

Długo jeszcze słyszałem za sobą trzask wylatujących w powietrze czarnych kapeluszy, a wiatr przesyłał mi od nich piżmowo-amoniakalny zapach podłoża, na którym grzeczne pleśnie wyrastały.

Zrywki skierowały moją uwagę na świat grzybów, a wiadomo powszechnie, że na wycieczkach to najbardziej rzuca się w oczy, o czym myślimy.

Na jakiś czas wzrok mój stał się czuły na świat grzybów z pominięciem innych ustrojów, ale nie upłynęło pięć minut, gdy przed moimi oczyma roztoczył się nowy, piękny widok.

Natrafiłem na obfitą kolonię śluzowców (*Myxomycetes*)²²³. Mały odłam butwiejącego drzewa okryty był nieprzelicznymi szeregami żółtych i purpurowych główek, osadzonych na krótkich nóżkach. Całość robiła wrażenie ogromnej masy bedłek²²⁴, choć w rzeczywistości były to roślinki bardzo wybitnie różniące się od grzybów właściwych. Składały się na nią owoce schowanych w głębi masy drzewnej i nurtujących ją śluzowców.

Strzępki (*Arcyria*), gruszkowate kędziorki (*Trichia*) i śliczne, o spuszczonej z wdzikiem główkach żebrowce (*Dictydium*) walczyły z sobą o palmę pierwszeństwa i nęciły wzrok wyszukany barwami i kształtami.

Choć nie jestem botanikiem, przykuwały one mój wzrok tak potężnie, że mogłbym godzinami wpatrywać się w te twory, rosnące w oczach i pozwalające z łatwością śledzić rozwój komórek, krążenie soków i zmianę barw.

Noc zaskoczyła mnie wśród puszczy. Przytulony do kudłatego pnia zwyczajnej paproci i ukryty w kupce twardych łusek paprociowych, przez całą noc oka nie zmrużyłem. Co

²¹⁹raflezja Arnolda a. bukietnica Arnolda (*Rafflesia arnoldii*) — wieloletnia roślina pasożytnicza z lasów tropikalnych Sumatry i Borneo; posiada największy kwiat w świecie roślin, złożony z pięciu czerwonych, mięsistych płatków, mierzący ok. 80–100 cm średnicy. [przypis edytorski]

²²⁰Flammarion, Camille (1842–1925) — francuski astronom i popularyzator astronomii; autorem licznych, popularnych książek o Wszechświecie i możliwości istnienia cywilizacji pozaziemskich. [przypis edytorski]

²²¹wytwory poetycznej wyobraźni Flammariona (...) ludzi-drzewa z konstelacji Łabędzia lub Oriona — pragnącym zabrać z tymi obywatelami bliższą znajomość radzę zwrócić się do *Opowiadania o nieskończoności* Flammariona. [przypis autorski]

²²²azali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

²²³śluzowce (*Myxomycetes*) — grupa cudzożywnych organizmów zaliczana dawniej do grzybów, bliższa typowo zwierzęcym pierwotniakom (*Protista*) i obecnie zaliczana do *Amoebozoa*. [przypis edytorski]

²²⁴bedlika (daw.) — grzyb nieszlachetny, niejadalny albo gorszego gatunku. [przypis edytorski]

chwila niepokoił mnie szelest istot sześć-, ósmio- i Bóg wie ilonogich, jakie roily się bez litości pode mną, nade mną i naokoło mnie; mało im było całego dnia na wyprawianie harców.

Gdyby nie ciemności, z chęcią byłbym opuścił legowisko. Oczekiwałem poranka jak zbawienia.

Roślinność stała się rzadsza, promienie słońca coraz lepiej przenikały przez zbite konary i nareszcie dostałem się na grunt twardy.

Odetchnąłem pełną piersią, bom miał już dosyć wybujałego życia roślinnego, i wstałem z prawdziwym zadowoleniem na brzeg jałowej pustyni. Wprawdzie pod stopami czułem martwą opokę, ale przynajmniej wzrok obejmował szeroki widnokrąg, a słońce ciepłym okiem na mnie spoglądało.

Wskazywało już południe, gdy krocząc po granitowych głazach, na których jedynie twarde porosty obrały siedlisko, doszedłem do miejsca, gdzie dolinka przemieniała się w nagie i dzikie łóżysko Białej Wody.

Pocziwy ten w oczach turystów i górali strumień zaimponował mi. Cóż by to było, gdybym go był oglądał wiosną!

W różnych porach roku różnie się przedstawia. Na wiosnę całą szerokością płyną niepowstrzymanym pędem nurty, powstałe z topniejących śniegów. W lecie strumień wysycha i toczy się wąskim korytem pośrodku rozległego i przepaścistego szlaku, złożonego z milionów wypolerowanych kamieni, na których żadna roślinność nie może się ustalić. Te nawet wątłe, choć odważne roślinki, jakie w ciągu lata osiedlają się na jego wynurzonych głazach, spotyka zawsze jednakowo bezlitosna zagłada!

Nadchodząca zima mrozi je bez ratunku, a wiosenne wód wezbrania tak dokładnie splukują, że cieplejsze słońko nie może odszukać nawet śladów po zeszłorocznych swoich wychowancach.

Despotyczny strumień nie znosi rywalizacji i niszczy wszystko, co mu na drodze staje.

Na wysokości, z jakiej patrzyłem przez lunetę, zachwycała mnie groza spienionych nurtów. Niczym była szerokość Missisipi wobec tej czystej jak kryształ, a wścieklej jak szatan rzeki; niczym najdziksze wodospady znane podróżnikom. Toczyła się po ogromnych głazach, wstrząsając zaporami i zagłuszając hukiem i szumem wszelkie dźwięki. Dla mojego ucha tony wydobywane przez wodę, walczącą ze skałami i powietrzem, były za niskie, abym je mógł tak jak każdy inny turysta odróżniać. Powolne vibracje cząsteczek powietrza wywoływały w moim uchu tylko coś w guście głuchego dudnienia. Stałem niby nad brzegiem pniącego się na skałach morza.

Surowość roztaczającej się panoramy i widok kapryśnych wodospadów, przy których osławiona Niagara wydałaby się spokojną służą na stawie, odurzyły mnie tak dalece, że nie wiem, jak długo pozostałbym wsparty na krawędzi misecznicy (*Lecanora*), gdyby mnie nie wyrwał z zadumy jakiś motyl, popchnięty przez wiatr, który przydusił mnie na parę sekund włochatym cielskiem.

Postąpiłem przeto²²⁵ dalej brzegiem skalistej ściany, a zmęczony zarówno wrażeniami, jak uciążliwą podróżą, upatrzyłem zdalny na stację czubek granitu, tkwiący wśród bujnej roślinności w niewielkim oddaleniu od brzegu strumienia. W tę stronę skierowałem kroki i po dobrej godzinie znalazłem się już u stóp omszałej skały. Spod jednego jej boku sączyło się krętą wstęgą małe źródło. Było ono bardzo na rękę, gdyż dokuczające pragnienie zaspokoilem wyśmienitą wodą. Pokrzepiony, wdrapałem się na szczyt głazu, celem zostawienia sygnału oraz wyszukania bezpiecznego na noc schronienia.

Wejście na wierzchołek nie przedstawiało żadnych trudności.

Wypłukana przez deszcze i skruszała powierzchnia granitu była szorstka i najeżona drobnymi kryształkami minerałów...

Po tych chropowatościach, niby po stopniach, piąłem się wygodnie do góry — a kępki mchów skalnych, niby kępy olbrzymich agaw z krajów gorących, ułatwiały mi odpoczynki. Na samym szczycie znalazłem obszerną płaszczyznę. Pochylała się cokolwiek w stronę łączki, a wzniesioną częścią graniczyła z kamienistym łóżyskiem Białej Wody.

Ze stromej krawędzi prostopadłego urwiska oko moje tonęło w przepaści, na której dnie kłębiła się rzeka.

²²⁵przeto (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Miejscowość nadawała się wybornie na stację. Szczyt skały widzialny był z ogromnej przestrzeni.

Po zawieszeniu chorągwi przyszedł mi wyśmienity plan do głowy. Zawdzięczałem go drobnej na pozór okoliczności, a mianowicie znalezieniu schroniska na nocleg. Mieściło się ono na pochyłości skały, prawie u samego wejścia na płaszczyznę, i miało kształt głębokiej na kilkadziesiąt kroków pieczary.

Z trzech stron osłaniały mnie skaliste ściany, zbiegające się u góry w jednolite sklepienie, a jedyna otwarta strona niszy roztaczała widok na dolinę. Jedną wprawdzie miał mój hotel wadę: był wilgotny, bo promienie słońca nie dochodziły do jego głębi, ale ta wilgoć właśnie nasunęła mi znakomitą myśl, jaka przedtem nie powstała mi nawet w głowie. Znalazłem środek ułatwiający mi podanie pomocy zaginionemu człowiekowi.

Myślą tą było rozpalenie ogniska.

XVII. OGNISKO

Miejscowe warunki wybornie się do tego nadawały.

Skały osłaniały mnie od wiatru, dym miał wygodne ujście, a ogrzane zacisze pozwoliłoby mi przynajmniej przez tę noc nie szczekać zębami. Mimo dziennego ciepła tęskniłem już nocami do ognia, jak rozbitek wśród północnych lodów.

Najważniejszą jednak rzeczą, która mnie radowała, było doniosłe znaczenie ogniska jako sygnału.

Podczas gdy drobna chorągiewka w najlepszym razie mogła być dostrzeżona z odległości kilku rzeczywistych stóp, ognisko mogło rzucać blask na kilkanaście łokci dokoła, a wyraźne światelko na znacznie większą przestrzeń.

Gdybym zdołał rozpałić wielkich rozmiarów ogień, uczyniłbym go dostrzegalnym niemal z całego terytorium, na jakim lord się znajdował.

Przyjąwszy nawet okoliczność, że mogły być zasłonięte miejscowości, do których nie doszłoby światło, to w każdym razie miałem znacznie większe szanse zawiadomienia lorda o zbliżającej się pomocy aniżeli przy dotychczasowych środkach. Jedyną słabą stroną mego wynalazku stanowiła nieszczęsna okoliczność, że płomienie są tylko w nocy widzialne, a o tej porze strudzony lord zapewne zasypiał snem sprawiedliwego. Bądź co bądź, nie należało lekceważyć pomysłu i nie czekając na głębokie ciemności, rozpałić ogień zaraz z nastaniem zmierzchu.

Nowa myśl uradowała mnie jak promień słońca wpadający do ciemnicy. Zapomniałem o znużeniu i z zapalem wziąłem się do jej urzeczywistnienia.

Należało przede wszystkim postarać się o materiał palny i zaraz przekonałem się, że łatwiej jest coś postanowić aniżeli wykonać. Skąd tu wziąć opału?

Wzrok nie spotykał nic zdatnego na ten cel...

Posądzisz mnie pewno o niezaradność. Cóż łatwiejszego, powiesz, nad takie zadanie! Wszak miałem pod dostatkiem mchu, uschłych liści i przeróżnych palnych materiałów. Otóż łatwiej jest radzić i krytykować aniżeli zrobić. Ani zwiędłe liście, ani suchy pozornie mech nie mogły zdać się na ognisko. Spróbuj napalić w piecu kaktusem, mokrym drzewem lub skórą, a przekonasz się, czy łatwo zapalić od drobnego płomyczka uschłe szpilki lub mech. W górach tkanki roślinne przepełnione są wodą, a mchy bardziej niż inne rośliny przyciągają i przechowują w sobie wilgoć — są przecież jej dziecięciem.

Skała mchom służy tylko za podnózek, wilgotne zaś powietrze za jedyny prawie pokarm. Mech powietrzem żyje, wilgocią rozwija się wspaniale; bez wody karłowacieje i ginie. O ciepło nie dba, toteż tam nawet, skąd się już wszystkie rośliny wyniosły, doskonale sobie radzi i pod głębokim śniegiem umie zdrowo przetrzymać.

Gdzie masz w górach mech bujny i świeży, tam musi być wilgoć, a stopień jej obfitości ujawnia najlepiej słabszą lub silniejszą vegetację mchów.

Zarówno świeże, jak zwiędłe ich listki w dużych komórkach swoich są, niby gąbka, nasiąknięte wodą, a nawet umarłe roślinki okrywają wilgotną pleśń i glony.

Tak więc w miejscu, w którym góral rozniciłby bez kłopotu ognisko zdatne choćby do upieczenia wołu, ja nie miałem paliwa nawet tyle, co drewno jednej zapalki..

Gdybym przywykł zrażać się trudnościami, odstąpiłbym od pięknego projektu i źle bym uczynił, bo zaledwie znów rozejrzałem się po okolicy, z ust moich wyrwał się okrzyk radości.

Eureka! Będzie ogień, i to taki, którego mogą mi pozazdrościć wszyscy pirotechnicy!

Choć wiesz dobrze, że nigdy nie miałem skłonności do tych zabawnych ruchów, które wy nazywacie tańcami, i uważałem je za zbytek barbarzyństwa, przyznam ci się pod sekretem, że mi zagrała w sercu jakaś muzyka i żem wykonał coś bardzo podobnego do galopady. Całe szczęście, że świadkami mego zapomnienia się były jedynie dwa lenie (*Bibio*), gruchające w słodkim i długim sam na sam na listku pobliskiej wierzby karłowatej, która jak ziółko drobne przytuliła się do szmaragdowej kępki mchu.

Zabrałem się potem z energią do pracy, a gdy zmierzchało, ujrzałem się panem ogromnego stosu. Wprawdzie nie miałem narąbanych polan świerkowych, ale czego tam za to nie było!

Zadziwiły się każdy ziemianin, ujrawszy nieznane sobie płody natury, uzbierane na płonnej²²⁶ wedle jego pojęć skale.

Były tam najprzód cienkie a długie polana, podobne do trzciny, z której wyrabiają laski; były pewne owoce, dziwnych kształtów i różnej wielkości. Miałem ich z dziesięć gatunków, a wszystkie, choć mocno różniły się między sobą, jednostajnym typem zdradzały, że należą do pokrewnych sobie roślin.

Istniało między nimi takie podobieństwo, jakie zachodzi na przykład pomiędzy śliwką, wiśnią i morelą.

Jedne były wielkości pomarańczy, inne duże jak tykwy, a nawet jak dynie.

Kuliste i podłużne, gładkie i pomarszczone niby strączki pieprzu tureckiego, wszystkie miały pozór dzbanków, z tego powodu, że posiadały otwór ubrany na krawędziach delikatną koronką, wyciętą w najmisterniejsze ząbki i kłapki.

Pewność ciekawy, skąd się to wzięło?

Otóż muszę cię objaśnić, że owe dynie i pomarańcze były dojrzałymi owocami mchów, trzcinki zaś szypułkami, na których wyrastały te owoce.

Zapewne ci wiadomo, że mchy, zarówno jak paprocie, grzyby oraz wszystkie rośliny tak zwane skrytokwiatowe lub skrytopłciowe, kwitną i miewają owoce (zarodnie). Powszechnie przyjęte mniemanie, jakoby te rośliny nie kwitły wcale, ma źródło w tej okoliczności, że kwiaty²²⁷, zarówno jak owoce wszystkich paproci (*Filices*), widłaków (*Lycopodiaceae*), mchów (*Bryophyta*), wątrobowców (*Hepaticae*), porostów (*Lichenes*), grzybów (*Fungi*) i wodorostów (*Algae*), zupełnie inaczej wyglądają aniżeli zwykle i częstokroć w takich częściach są ukryte, w jakich człowiek nie podejrzewał długo ich istnienia. U paproci na przykład mieszczą się one na dolnej stronie wielkich pierzastych liści (listowiem zwanych), w postaci szeregów drobnych i niepozornych plamek lub kupek, z których po dojściu do dojrzałości wysypują się za łada wstrząśnięciem setki i tysiące nasionek, zwanych zarodnikami²²⁸.

U grzybów są one ukryte w dolnej części kapelusza, na przykład pomiędzy blaszkami, które promieniście okrywają całą spodnią powierzchnię rydza, u mchów zaś wyrastają zwykle na wierzchołku długiej i nagiej szczeciny w postaci gruszek, kulek i torebek najrozmaitszej formy, wielkości oraz barwy. Na każdej szczecince wyrasta tylko jedna torebka, ściśle ze wszystkich stron zamknięta.

Gdy dojrzeje, pęka w górnej swej części w taki sposób, że jest nakryta lekko trzymającym się wieczkiem, które w epoce zupełnej dojrzałości spada; owoc przyjmuje wtedy kształt otwartej miseczki lub dzbanuszka. Wypełnia go niezmiernie drobny pyłek, stanowiący nasionka mchów. Drobne te nasionka bardzo są palne i za łada iskierką płoną gwałtownie, podobnie jak zarodniki *Lycopodium*, używane do ogni bengalskich²²⁹. Dla mnie dojrzałe torebki, których kilkadziesiąt z wielkim trudem wyciąłem w pobliskim

Taniec

²²⁶płonnej — jałowy, bezpłodny. [przypis edytorski]

²²⁷kwiaty... — tu w bardzo szerokim znaczeniu, jako komórki i części służące rozmnażaniu się, podobnie jak wnętrza kwiatów u roślin kwiatnych. [przypis edytorski]

²²⁸nasionek, zwanych zarodnikami — obrazowy język autora, gdyż zarodniki to pojedyncze komórki rozrodcze, podczas gdy nasiona zawierają wielokomórkowy zarodek otoczony tkanką spichrzową z substancjami zapasowymi. [przypis edytorski]

²²⁹ogie bengalskie — wielobarwne sztuczne ognie, fajerwerki. [przypis edytorski]

lasku mchów, stanowiły coś w rodzaju szczap smolnych i mogły dać wyśmienity opał. Ułożyłem u wejścia do pieczary stos, przy którym — trzymając w ręku zapalną, niby artylerzystą tlejący lont — czekałem na ciemności, aby podłożyć ogień, oświetlić okolicę i pierwszy raz zagrzać wieczorny posiłek. Na dziś miał się składać z mięsnych konserw i paru jaj motyli, których po raz pierwszy pragnąłem skosztować. Miały one kształt małych serków owczych i bardzo byłem ciekawy, czy mi smakować będą. Gdyby tak było, to całe armie podobnych do mnie wędrowców mogłyby się tym pokarmem wyżywić. Spotykałem bowiem bardzo często wiszące na liściach lub poprzyklepane do gałązek i łądek całe magazyny jajek, złożone z kilkudziesięciu lub więcej białych, żółtych lub brązowych baryłek, pełnych posilnego żółtka.

Upragniona chwila wkrótce nadeszła, ale zawód był straszny. Wprawdzie słup iskier z trzaskiem wznosił się wysoko i oblał czerwoną luną najtajniejsze zakątki pieczary, ale na tym się skończyło.

Piekielny żywioł szybko strawił wysypane zarodniki, ale samych torebek, choć niby suchych, nie dotknął. Wszelkie usiłowania rozniecenia ich okazały się bezskuteczne. Pokrycie owoców mchowych za mało było palne, a ogień, choć dochodził do ich wnętrza, wypalał tylko zawartość, bez dostarczania jasnego płomienia, o który mi głównie chodziło. Krwawa moja praca okazała się zmarnowana. Rozczarowanie było zbyt dotkliwe, aby się prędko można było uspokoić.

*

Nie omylił się ów filozof, który pierwszy wyrzekł, iż potrzeba jest matką wynalazków. Brzask dzienny zastał mnie na nogach. Powiedziałem sobie, że nie oddalę się, dopóki nie wynajdę materiału na ognisko.

Rozglądałem się jednak na próżno dookoła — nigdzie nic palnego nie mogłem wyszukać. Naraz zza krawędzi skały wyrzała główka welnianki (*Eriophorum*).

W kilkanaście minut wdrapywałem się już na czubek rośliny. Śnieżnej białości puch nasionek, osuszony z nocnej wilgoci, połyskiwał w promieniach słońca niby srebrzyste gwiazdy. Pochwyciłem oburącz jeden puszek i szarpnąłem mocno. Nasionko oderwało się od denka i zostało mi w ręku. Zszedłem ze zdobyczą i spróbowałem, azali domysł mój sprawdzi się. Rezultat przeszedł oczekiwania. Zaledwie zbliżyłem zapalną, puszek — niby masa celuloidowa — zapłonął jasnym płomieniem i w okamgnieniu zamienił się w kupkę popiołu.

Nowy mój materiał palny, jeżeli miał jaką wadę, to chyba zbyt palność. Zadowolony z odkrycia, pracowałem znowu cały dzień nad zgromadzeniem potrzebnej ilości puchu. Pomieszałem go potem z niedopalonymi torebkami mchu i pewny już dobrego rezultatu, spokojnie oczekiwałem na ciemności.

W długiej dla mnie chwili zmierzchu ułożyłem dalszy plan działania.

Roztropność nakazywała pozostać w tej miejscowości przez cały dzień jutrzejszy, aby się przekonać, czy sygnał był dostrzeżony, oraz zostawić dokładną wskazówkę, przy pomocy której lord mógłby pójść mymi śladami... Z trwogą odpychałem złowrogi przypuszczenia, że moje wysiłki są spóźnione, że ten, którego szukam, śpi już snem wiecznym!...

Nareszcie olbrzymi płomień oświetlił całą okolicę, spowitą całunem nocy, a w kilka sekund hurkotanie licznych skrzydeł rozległo się w bliskości i zanim zdołałem się odwrócić, z wielkim brzękiem spada w sam środek ogniska. Prawie w tej samej chwili nastąpiło drugie uderzenie, wznosił się nowy tuman iskier, a jednocześnie dał się słyszeć hałas podobny do warczenia lokomobili²³⁰ i syku podrażnionych węży.

Cała pieczara napełniła się wirującym zarzewiem, wonią spalenizny i dymem...

XVIII. UCIECZKA SPOŚRODKA PŁOMIENI

Bywają w życiu człowieka sekundy długie jak godziny, bywają godziny długie jak dni całe. Takich sekund kilka przeżyłem owej nocy i nigdy ich nie zapomnę.

²³⁰lokomobila — dawna wielofunkcyjna maszyna rolnicza: silnik spalinowy na kołach, z pasem transmisyjnym, używany do napędzania innych maszyn, np. młocarni. [przypis edytorski]

Na razie nie mogłem pojąć, co się dzieje. Czulem tylko, że wewnątrz pieczary stało się widownią groźnej katastrofy.

Gdy palny zapas wystrzelił setką rakiet i krwawych języków, zasypując pieczarę gradem iskier, spostrzegłem, że nie jestem sam w pieczarze. Wśród trzasku ognia uczulem, że otaczają mnie istoty trzepoczące się w dymie i płomieniach i tłukące twardymi głowami o jeszcze hartowniejsze ściany granitowe.

Zaledwie zdołałem wybiec poza obręb niedawno zimnego lochu, jasność panująca w jego wnętrzu pozwoliła mi dostrzec widownię katastrofy.

Pieczarę napęlniały wysmukłe, o długich nogach komary.

Przezroczyste skrzydła i cienkie nogi skręcały się i paliły za każdym dotknięciem do zgliszcz.

Odurzone gorącem i żywcem pieczone, tarzały się biedne stworzenia na głowniach, podlatywały w górę i czyniły daremne wysiłki w celu wyrwania się z zabójczego kręgu.

Były to przeważnie komary z rodzaju kiścieni (*Ceratopogon*)²³¹, wylatujące tłumnie o zmroku i wesoło pływające w powietrzu. Niby ćmy zleciały się do niezwykłej jasności, za późno spostrzegając, że ciekawość nie zawsze jest pierwszym, bo niekiedy bywa ostatnim stopniem do... piekła.

W miarę dopalania się ogniska, rozmiary klęski wzrastały i nowe ofiary powiększały zgłęb i zamęt.

W nieszczęsnym tłumie nietrudno mi było poznać znajome typy świata komarów: kiścienie (*Ceratopogon palidus*, *C. flavipes* i *C. trichopterus*²³²) i parę gatunków ochotek (*Chironomus riparius* i *Ch. minutus*), jakie zwykle wieczorami zbite w tuman tańczą w powietrzu w postaci wysokich, ruchliwych słupów.

Dostrzegłem także pospolite komary (*Culex pipiens*)²³³, a cała ta menażeria z popalonymi członkami okropny przedstawiała widok.

Jedne wirowały jak frygi, leżąc na wznak; samczyki, pozbawione wspinających pióropuszy (czulków pierzastych), z bólu stawały na głowie, kręciły się w kółko lub wywracały koziołki, gdy inne, splątane w zbitą gromadę, szamotały się w konwulsjach konania.

Jeszcze chwilką i zrobiło się ciemno. Tylko woń spalonego rogu, taki bowiem zapach wydaje chityna, z której jest zbudowany zewnętrzny szkielet owadów — oraz urywany brzęk skrzydeł świadczyły, że com widział, nie było snem, ale rzeczywistością.

Przejęty zgrozą, nie mogłem już ani chwili znieść straszego sąsiedztwa. Zatkąłem uszy i rzuciłem się do ucieczki. Naraz znalazłem się w ciemności, bez drogi, pozbawiony schronienia i wystawiony na wszelkie nocne niebezpieczeństwa. Nie myślałem jednakże o sobie. Serce ścisnęło mi się z bólu na wspomnienie owadów, które cierpią z mojej winy. Dopiero chłód nocny orzeźwił mnie i na uspokojenie żalu przyniósł tę jedyną, ale słuszną wymówkę, że nie byłem umyślnym sprawcą nieszczęścia. Wszak nie chciałem niczyjej krzywdy; pragnąłem tylko ocalić człowieka.

W mym rozstroju z całą jaskrawością przyszyły mi do głowy wcale nie różowe refleksje nad dolą sześcionogów. Świat ich przedstawił mi się w całym majestacie nędzy.

Tragiczna śmierć wydała mi się przeznaczeniem tych stworzeń. Wszak miliardy ich rodzi się po to, aby zaledwie setna część ginęła w sposób naturalny.

Większość pada ofiarą ślepych żywiołów.

Byłe deszcz zatapia jedne miliony, byłe wiatr strąca z rodzinnych listków i gałązek inne, skazując je przez to samo na śmierć głodową; byłe chłodniejsza noc mrozi nowe legiony, zbyt ni zaś upał lub susza, dogadzając pewnym gatunkom, dziesiątkując inne. Cóż się okaże, gdy dodamy do tego nienasyconą żarłoczność zwierząt, dla których biedne sześcionogi stanowią chleb powszedni?!

Okaże się, że najkrwawsze wojny, najsroższe zarazy i powodzie razem wzięte nie brały spośród ludzi tylu ofiar stosunkowo, ile codziennie ginie owadów w tak zwanych normalnych warunkach.

²³¹kiścienie (*Ceratopogon*) — obecnie: kuczmany. [przypis edytorski]

²³²*Ceratopogon palidus*, *C. flavipes* i *C. trichopterus* — obecnie: *Forcipomyia pallida*, *Palpomyia flavipes* i *Forcipomyia bipunctata*. [przypis edytorski]

²³³komar *Culex pipiens* — komar pospolity (komar brzęczący), obok widliszka, najbardziej rozpowszechniony komar na terenie Polski. [przypis edytorski]

We wszystkich działach królestwa zwierzęcego znajdują się liczne gatunki, żywiące się przeważnie owadami. Zaczawszy od małp (*Simiiformes*) i nietoperzy (*Chiroptera*), od ryjkonosów (*Insectivora*)²³⁴, do których należą krety (*Talpa europaea*), jeże (*Erinaceus europaeus*), pilchy (*Myoxidae*)²³⁵ i sorki (*Sorex*)²³⁶, a kończąc aż na szczerbakach (*Edentata*)²³⁷, wśród których prym trzymają łuskowce (*Manis*), sławne mrówkojady (*Myrmecophaga*), pancerniki (*Dasypus*) oraz na dziobaku (*Ornithorhynchus*) i kolczatce (*Echidna*), wszystkie te ssaki stanowią zwartą armię nieprzejednanych wrogów owadzych, należącą do gromady zwierząt ssących.

Gady znowu, ziemnowodne i ryby stanowią drugą armię. Pierwszy jej korpus objęty mianem gadów (*Reptilia*) mieści w sobie żółwie, jaszczurki i węże. Żółwie, choć pożerają także robaczki, ikrę ryb, mięczaki i rośliny wodne, żywią się przeważnie owadami.

Jaszczurki znowu niemal wyłącznie żyją owadami. Z tego powodu godne są ludzkiej opieki wszystkie, nie wyłączając niewinnego, a tak strasznego dla ciemnego ludu padalca (*Anguis fragilis*)²³⁸.

Węże (*Ophidia*) mniej już przyczyniają się do tępienia szeszcianogów. Za to żaby (*Batrachia*) znowu dziesiątkują lądowe i wodne »robactwo«. W tym drugim korpusie tej samej armii zasługują na wyróżnienie rzekotka (*Hyla arborea*), żaba trawna (*Rana temporaria*), kumak (*Bombina bombina*), ropuchy (*Bufo*), wreszcie salamandry (*Salamandra*) i traszki (*Triturus*).

Wymieniłem ci wcale niepoślednią listę niszczycieli, a jednak wszystkie one razem wzięte nie mogą iść w porównanie z królestwem pierzastych władców atmosfery. Tępiąca działalność ptaków tak jest powszechna, że nie ma skupienia, do którego by nie należały owadożerce.

Rodzina na przykład wróbli (*Passerinae*) prawie cała żywi się owadami. Na dowód, że nie przesadzam, wyliczę ci kilkunastu tej licznej rodziny przedstawicieli. Berło pierwszeństwa należy się tu chryzomom jaskółkom (*Hirundo*) i jeszcze niemal zwinniejszym, wysoko latającym jerzykom (*Cypselus*), które polują wśród dnia nieprzeliczone masy owadów, a także kozodojowi lelkowi, zwanemu przez gmin²³⁹ nocną jaskółką (*Caprimulgus europaeus*). Ten nadzwyczajnie pożyteczny ptak, jak już sama nazwa jego pospolita pokazuje, rozwija swą niezmordowaną działalność w ciemnościach. Zwinne owe ptaki są najstraszniejszymi gnębielami komarów i wszelkich drobnych owadów, chwytanych zwykle w locie. Dalej idą trznadle (*Emberiza citrinella*), makolągwy (*Linaria cannabina*), wróble (*Passer domesticus*), gile (*Pyrrhula pyrrhula*), skowronki (*Alauda arvensis*), dzierlatki (*Galerida cristata*)²⁴⁰, wszelakie drozdy (*Turdidae*), jak na przykład kwiczoł, kos, opocznik, słowik, pliszki (*Motacilla*), sikory (*Paridae*), dzierzby (*Lanius collurio*) i sroksze (*Lanius excubitor*).

Te dwa ostatnie ptaki wbijają żywcem, niby na pal, na ciernie kolczastych roślin pewne rodzaje chrząszczy i trzmieli, potem rozrywają je i spożywają.

Szpaki (*Sturnus*), ptaki rajskie (*Paradiseidae*), kruki (*Corvus corax*), kawki (*Coloeus monedula*), sroki (*Pica pica*), kolibry (*Trochilidae*), niechlujne, ale nadzwyczaj pożyteczne dudki (*Upupa*), kraski (*Coracias garrulus*)²⁴¹ i zimorodki (*Alcedo*), zjadające wodne owady, zamykają szereg, który — jak sam widzisz — zawiera wcale pokątną różnorodną rzeszę wrogów owadzych. Kukułki (*Cuculus*), dzięcioły (*Picinae*) i żołą (*Merops*) zaliczają się również do najdzielniejszych tępieli gąsienic i larw żyjących na korze drzew.

Nawet wśród jastrzębi pustułka (*Falco tinnunculus*) i pustuleczka (*Falco naumanni*) zjadają miliony chrząszczy itp.

²³⁴ryjkonosy (*Insectivora*) — obecnie: owadożerne. [przypis edytorski]

²³⁵pilchy (*Myoxidae*) — obecnie: pilchowate lub popielicowate (*Gliridae*). [przypis edytorski]

²³⁶sorek (*Sorex*) — obecnie: ryjówka. [przypis edytorski]

²³⁷szczerbaki (*Edentata*) — obecnie: *Xenarthra*. [przypis edytorski]

²³⁸Jaszczurki znowu niemal wyłącznie żyją owadami... — w gorących krajach tę samą rolę pełnią legwany (*Iguana*), gekony (*Gekkonidae*) i kameleony (*Chamaeleonidae*). [przypis autorski]

²³⁹gmin — lud, ludność niższych stanów. [przypis edytorski]

²⁴⁰dzierlatki — żyją liszkami, robakami, a także w jesieni nasionami, ale mimo to zaliczają się do pożytecznych ptaków, gdyż wyłącznie niszczą nasiona chwastów różnych. [przypis autorski]

²⁴¹kraska — z powodu tępienia żab znacznie zmniejsza swą wartość jako pożyteczna niszczycielka owadów. [przypis autorski]

Jedna sikora, chcąc zaspokoić swój apetyt, połyka najmniej ze dwa tysiące mszyc lub tyleż jaj motyli, pleszka (*Phoenicurus phoenicurus*) zaś w ciągu dnia kilka tysięcy much. Obżarta kukulka, o której tyle baśni krąży w ustach ludu, ów pogardzany podrzutek ptasi, co dzień zjada po sto kilkadziesiąt włośchatych gąsienic, których żaden inny ptak nie tknie²⁴².

Jeden lelek jest w stanie rozpedzić i zdziatkować tumany swawolnych komarów.

Ciesząc się z zaguby tych pijawek, radzi zapominamy, że i biednym komarom miłe jest życie. Zapominamy, ile strachu i popłochu sprawia wśród nich ukazanie się prześladowcy — ile zakochanych i dobranych parok znajduje wspólny grób w dziobie kozodoja!

A teraz zejźmy jeszcze niżej po szczeblu drabiny stworzenia do samych owadów i pokrewnych im istot, jak pająki, raki itp.

Tu spotykamy tak licznych prześladowców, że nie kuszę się nawet o wyliczenie rodzajów, jakie spełniają rolę regulatorów w świecie pigmejczyków²⁴³.

Ród owadzi można by podzielić na dwa obozy, jeden zjadający rośliny i inne istoty nienależące do owadów, drugi pożerający owych nieszkodliwych sobie współbraci z taką gorliwością, że im wyłącznie zawdzięcza świat roślinny swoją egzystencję. Wskażę ci tylko najbardziej typowe postacie.

Podobnie jak wśród ptaków wróblowate, wśród chrząszczy zalicza się do najzwinniejszych tępicielei okazała rodzina szczypawek (*Carabidae*)²⁴⁴. Czym jest pokrewieństwo kotów wśród zwierząt ssących, tym szczypawki między owadami. Sieją one dniem i nocą zniszczenie w szeregach najrozmaitszych szkodników polnych.

Metalicznie błyszczące we wszelkich kolorach tęczy piaseczniki (*Cicindela*)²⁴⁵ i szczypawki są to najpiękniejsze i najśmielsze lwy i tygrysy świata skrzydlatego.

Kształtne, zwinne i opancerzone, ukrywają się podczas spoczynku pod kamieniami lub korą drzew, a w piękną pogodę prowadzą krwawe rzemiosło. Harcują zawsze pieszo, ale tak zwinnie, że je trudno pochwycić, i nie przepuszczają żadnemu słabszemu owadkowi. Z tego powodu lekka a doskonale uzbrojona wataha może być uważana za najlepszą straż polową naszego dobytku, bo nie znając, co to odpoczynek, nic w zamian za swe usługi nie bierze prócz zwłok upolowanych szkodników. Ponieważ nigdy nie wyrządzają nam szkody, przeto zarówno kmiotek²⁴⁶, jak niby wykształceńszy od niego ogrodnik... zabijają je, gdy tylko mogą, bez litości...

Nie lepiej co prawda wiedzie się ropuchom, kretom i całej rzeszy pożytecznych zwierząt, więc aż podziw bierze człowieka na myśl, jak mogą ludzie, którym powinno zależeć na poznaniu i odróżnianiu swych wrogów i sprzymierzeńców, jak mogą, powtarzam lekceważyć ten swój najpierwszy obowiązek: poznania otaczającej ich przyrody.

Wspaniały tęcznik (*Calosoma*), jeden z najświetniej ubarwionych wielkich chrząszczy naszego klimatu, łakomy kąsek dla zbieraczy, przez całe swoje życie — od larwy aż do doskonałego stanu — jest strasznym drapieżką i biada owadowi, na którego skierują się jego oczy.

Dyrdoń (*Dromius*), łokaś (*Zabrus gibbus*), dzier (*Harpalus*) i inne szczypawki, nawet schwytane, bronią się odważnie mocnymi szczękami i wydzielają ostry płyn lotny o silnej woni, która ma odstraszać napastników.

Liczna rodzina kąsawców (*Staphylinidae*)²⁴⁷, zabawnych chrząszczyków o krótkich niby kurtki pokrywach, choć głównie trudni się uprzętaniami zwłok owadzych i zgnilizny, nie gardzi także żywą zdobyczą. Szczególniej odnosi się to do roślejszych gatunków. Po-

²⁴²kukulka (...) zjada po sto kilkadziesiąt włośchatych gąsienic, których żaden inny ptak nie tknie — np. gąsienice prządkli sosnowca (*Dendrolimus pini*) [barczatka sosnowka; red. WL] bardzo szkodliwego dla lasów. Przyjmując, że z nich wychowałyby się połowa samiczek, tj. 80, i że z nich każda złoży 500 jaj, wypada, że jedna kukulka w ciągu dnia przeschodzi wykształceniu się niebawem 40 tysięcy największych wrogów lasów sosnowych! [przypis autorski]

²⁴³pigmejczy — tu: drobne istoty; od: Pigmeje, negroidalne ludy Afryki Środkowej charakteryzujące się niskim wzrostem. [przypis edytorski]

²⁴⁴szczypawki (*Carabidae*) — obecnie: biegaczowate. [przypis edytorski]

²⁴⁵piasecznik (*Cicindela*) — obecnie: trzyszcz. [przypis edytorski]

²⁴⁶kmiotek (pogard.) — chłop, wieśniak. [przypis edytorski]

²⁴⁷kąsawce (*Staphylinidae*) — obecnie: kusakowate. [przypis edytorski]

grzybnica (*Oxyporus*) tępi larwy toczące grzyby, bystrzyka zaś (*Ocybus*)²⁴⁸ żaden światły ogrodnik nie zdepcze, wiedząc ile niszczy on gąsienic i ślimaków po ogrodach.

Wody także żywią mięsożerne gatunki chrząszczy. Do najpotężniejszych wodnych rozbójników należą ogromne pływaki (*Dytiscidae*) i małe krętaki (*Gyrinidae*). Są to prawdziwe rekiny kałuż. Larwy ich są jeszcze drapieżniejsze od rodziców i tępią niezliczone ilości ślimaków, kijanek (żabki młode), larw, węzek, jętek itp. W braku takiej zdobyczy rzucają się nawet na ryby, a gdy i tych nie ma, zjadają się wzajemnie jak szczupaki. Wyliczyłem ci dopiero część owadożernych chrząszczy, ale na tym poprzestaną, bo to dopiero dział jeden, a w każdym z pozostałych pełno takich niszczycieli.

Mnóstwo na przykład błonkoskrzydłych (*Hymenoptera*) żywi się w stanie larwy ciałem owadów. Pokarmu najczęściej dostarczają im zawczasu matki. Wiesz już, jak sobie postępują gąsieniczniki w tym względzie, wiesz, jak pszczoły z rodzaju grzebiszów. Olbrzymie szerszenie (*Vespa crabro*) obdzielają swe dzieci przeważnie muchami, przy czym niektóre ograniczają się zawsze do tych samych gatunków, inne bez wyboru chwytają, co się uda. Larwami os i trzmieli pasą się pokrewne im larwy trzmielówek (*Volucella*).

Żądlica (*Bembix*)²⁴⁹ łapie muchy należące do rodzaju gnojek (*Eristalis*) i bujanek (*Bombylius*). Miodecznik (*Mellinus*)²⁵⁰ uwalnia świat od dokuczliwej bolimuszki (*Stomoxys calcitrans*). Osmyki (*Cerceris*) i prześliczne, o żywej barwie rubinów, szmaragdów i szafirów złotolutki (*Chrysis*) żywią swe dzieci mięsem różnych owadów. Nastecznik (*Pompilus*) podobnie jak nęk, tępi moc pajaków, rzucając się nawet na kilka razy większą od siebie zdobycz.

Czas już przejść do much. Mszyce milionami giną od larw mszycówek (*Syrphida*)²⁵¹, łowiki polują na muchy, larwy zaś trykaczy (*Conops*)²⁵² toczą wnętrzności żywych trzmieli. Ale dość tego! Nie skończyłbym wyliczać sześcionogich Abli i Kainów, a tu przecież i inne działy przyrody nie spoczywają.

Nawet pozornie niewinny świat roślin, i ten, mszcząc się za straszne spustoszenia, spryskiwa się na zgubę nieszczęsnych owadów i niszczy ich ogromne masy nie gorzej od zwierząt.

Jedne rośliny okrywają się lepkiem sokiem, w którym grzęźnie mnóstwo much i chrząszczyków, inne, nie poprzestając na roli odpornej, przyjmują zaczepną i żywią się sokami owadów.

Owadożernych roślin, odkąd naturaliści zwrócili na nie uwagę, poznajemy coraz więcej, a pierwszeństwo wśród nich mają mucholówki (*Muscicapa*)²⁵³, rosiczki (*Drosera*), żywolisty (*Dionaea*)²⁵⁴, kapturnice (*Sarracenia*), dzbaneczniki (*Nepenthes*), brudnoty (*Stapelia*) itp. od dawna znane i powszechnie głośne.

Wobec tylko co wykazanej mnogości klęsk i nieprzyjaciół czyhających na zgubę owadów, zanim dorośnie jedna generacja, już tylko zwykle mała jej część pozostaje przy życiu. Czasem z kilkuset jajeczek wykształca się zaledwie kilka dorosłych owadów, niekiedy tylko parka, a bywa, że jeden samczyk lub samiczka. Reszta rodzeństwa ginie.

Mnóstwo przepada jeszcze w stanie zarodka, pewna część jako larwy, nareszcie i spośród tych szczęśliwych larw, co zamieniły się w poczwarki, ileż ocknie się jako skrzydlate istoty, a ile stanie się żerem innych istot? Nareszcie i z tej dziesiątkowanej gromadki mniej zręczne lub ostrożne umierają zaraz na progu nowego życia, zanim zdążą jeszcze wypełnić swoje posłannictwo, to jest zabezpieczyć byt gatunku. Bez przesady można powiedzieć, że byt każdego dojrzałego owada okupiony jest śmiercią dziesiątków lub nawet setek braci i siostrzyc jego.

Trzeba przyznać, że pozostałe przy życiu indywidua przedstawiają sam kwiat swego rodu; są to najzdolniejsze i najzdrowsze osobniki, zasłużyły więc poniekąd na tę odrobinę

²⁴⁸bystrzyk (*Ocybus*) — obecnie: zbójca. [przypis edytorski]

²⁴⁹żądlica (*Bembix*) — obecnie: wardzanka; jednym z jej gatunków jest wardzanka żądlica (*Bembix rostrata*). [przypis edytorski]

²⁵⁰miodecznik (*Mellinus*) — obecnie: miodwa. [przypis edytorski]

²⁵¹mszycówki (*Syrphida*) — obecnie: bzygowate. [przypis edytorski]

²⁵²trykacz (*Conops*) — wysłpek. [przypis edytorski]

²⁵³mucholówki (*Muscicapa*) — obecnie tę nazwę łacińską nosi rodzaj ptaków; roślina mucholówka to *Dionaea*, wymieniona powtórnie w wyliczeniu jako żywolist. [przypis edytorski]

²⁵⁴żywolist (*Dionaea*) — obecnie: mucholówka amerykańska (*Dionaea muscipula*), jedyny gatunek z rodzaju mucholówka (*Dionaea*), z rodziny rosiczkowatych. [przypis edytorski]

szczęścia, jakie odtąd jest ich udziałem. Ale i tu nie kończą się przeciwności, z jakimi ród musi walczyć.

Wspomniałem już, że niekiedy z całego potomstwa jednej parki pozostaje przy życiu samczyk lub samiczka. Jeśli taki samotny owad nie zdąży przed śmiercią odszukać towarzyski lub towarzysza z innego rodu, wtedy ginie bezpotomnie. W świecie owadów podobne wypadki należą do bardzo częstych i raz liczba samiczek jest kilkakrotnie większa od liczby samczyków, to znów odwrotnie. W obu wypadkach nadmiar jednej płci ginie bezpożytecznie dla rodu, zmniejszając tym samym liczebność nowej generacji. Niekiedy dzieje się jeszcze gorzej. Znamy wiele owadów, których samiczki wykluwają się dopiero wtedy z poczwarek, gdy już większa część wcześniej wypoczwarczonych samczyków wyginęła. Tu więc tylko pewna część najpóźniej rozwijających się samczyków i najwcześniej wykluwających się samiczek ratuje ród od zagłady — reszta zaś ginie marne.

XIX. BAJECZNA WYTRZYMAŁOŚĆ. DWA RAZY OCALONY OD ŚMIERCI

Serce się ściska, gdy się zastanowimy nad miliardami ofiar i przerażającą sumą męczarni, jakich doświadczają żywcem zjadane i trawione owady. Faktem jest bowiem, że nawet pochłonięte przez ptactwo owady męczą się długo w żołądku, zanim trawiący sok i brak powietrza pozbawi ich życia. Poza kategorią żywcem połykanych, któż zliczy niedobitków ginących w powolniejszych jeszcze męczarniach?

Pomijając ofiary gąsieniczników i różnych pasożytów, w krótkiej wędrówce spotykałem wiele ciężko pokaleczonych owadów, okazy ze zmiażdżoną głową, z wywleczonymi przez ptactwo wnętrznościami i poodrywanymi członkami. Pomimo ciężkich ran chodziły, fruwały, a nawet niektóre zajmowały się zaspokajaniem głodu.

Gdyby człowiekowi oderwano rękę lub przebito go mieczem, nie myślałby on, wijąc się w bólach, o jedzeniu, byłby niezdolny nawet do ucieczki. Tymczasem komar, którego złapano za nogi, szarpnąwszy się, zostawia dwie lub trzy nóżki w mocy prześladowcy — i ulatuje tak lekko, jakby mu się żadna krzywda nie stała.

Sam widziałem pszczołę z oderwanym odwłokiem, jak zagłębiona w kielichu kwiatka wysysa słodycz. Nektar smakował jej pomimo braku połowy ciała i nie zważając na swe kalectwo, zwiedziła w moich oczach pięć czy sześć takich samych kwiatków, pijąc słodki sok na dnie ich zawarty. Brak odwłoka znaczy u owadów tyle, co u człowieka wycięcie nie tylko żołądka i wnętrzności, ale także odjęcie połowy mleczu pacierzowego i mózgu, bo gangliony²⁵⁵ nerwowe owadów, odpowiadające mózgowi i mleczowi zwierząt kręgowych, mieszczą się nie tylko w głowie i tułowiu, ale i w brzuszku owadów.

Przypominają mi się tu doświadczenia, robione przed dwunastu laty przez mego kolegę, angielskiego entomologa Packarda²⁵⁶. Rzucają one ponure na przedmiot światło. Srogi ten człowiek badał wytrzymałość życia owadów i w imię nauki ucinał im głowy oraz członki, niby kat wytrawny w swym rzemiośle.

Pozbawiona głowy papiernica (*Polistes gallicus*)²⁵⁷ wśród żywych, właściwych sobie poruszeń przez dwadzieścia cztery godzin trzymała się na nogach, a nawet latała i dopiero potem upadła osłabiona. Po czterdziestu godzinach jeszcze groziła żądłem, skoro się jej kto dotknął.

Pewien gąsienicznik po takiej samej operacji nie stracił nic na humorze. Był bardzo żwawy, zajmował się ochędóstwem²⁵⁸ i poruszał się swobodnie. Nie postępował tylko naprzód, zapewne dla braku oczu i czułków. Na drugi ranek zdrętwiał z zimna biedaczek, lecz skoro tylko słońce go ogrzało, ocknął się prędko. Przestał żyć dopiero po dwudziestu siedmiu godzinach. Inny egzemplarz zamierał dłużej, bo aż trzydzieści sześć godzin.

Chrzyszczuk dzier (*Harpalus caliginosus*) żył bez głowy dwadzieścia godzin, szczeliniak zaś (*Hylobius abietis*)²⁵⁹ trzy dni.

²⁵⁵gangliony — zwoje nerwowe bezkręgowców. [przypis edytorski]

²⁵⁶doświadczenia, robione przed dwunastu laty przez (...) angielskiego entomologa Packarda — A. S. Packard, *Experiments on the vitality of insects* [„Psyche: A Journal of Entomology”, vol. II 1877, s. 17–19]. [przypis autorski]

²⁵⁷papiernica (*Polistes gallicus*) — obecnie: klecanka. [przypis edytorski]

²⁵⁸ochędóstwo (daw.) — czystość, schludność, porządek; tu: oczyszczanie się, doprowadzanie do porządku. [przypis edytorski]

²⁵⁹szczeliniak (*Hylobius abietis*) — obecnie: szeliniak sosnowy. [przypis edytorski]

Z doświadczeń Packarda okazuje się, że u owadów prędzej śmierć sprowadza odjęcie odwłoka aniżeli głowy.

Gdyby ludzie posiadali podobną naturę, wtedy zamiast wieszania lub gilotynowania trzeba by ich chyba na plasterki krajać, chcąc prędko i bez męczarni ukarać śmiercią.

Twardość życia owadów ujawnia się nie tylko w okrutnych operacjach. Mnóstwo gatunków nieznających, co to futra lub ciepły komin, zimuje zdrowo pod mchem, kamieniami lub śniegiem, a choć znaczna część nie wytrzymuje silniejszych mrozów, sporo wytrwalszych pozostaje przy życiu do wiosny. Nawet owady zwykle niepraktykujące takiego systemu hartowania się wytrzymują przypadkowe próby.

Przed kilku laty, przechadzając się w zimie nad brzegiem zamarzłej kałuży, podniosłem odłam brudnego lodu. Ujrawszy w nim larwy komarów, zawinałem lód w chustkę i przyniosłem do domu. Tu włożyłem go w szklanę i wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy ujrzałem, że po stajaniu lodu moje komary odzyskiwały ruchy. To samo zdarza się często z chrząszczami.

Lądowe owady, zanurzone w wodzie, mogą długo pozostawać w stanie pozornej śmierci i po wydobyciu na powietrze odzyskują przytomność.

Ten przymiot przyczynia się do szerokiego i szybkiego rozsiedlenia się owadów po świecie.

Bez niego niejeden owad, który wpadł wypadkiem do strumienia, zostałby topielcem, a tymczasem przepływa dziesiątki mil w omdleniu i wyrzucony gdzieś daleko na brzeg, przychodzi do siebie. Szczególniej są pospolite podobne przymusowe wędrówki na wiosnę, gdy wezbrane wody podmulają brzegi rzek, a wraz z podmytym gruntem porywają tysiące zagrzebanych chrząszczyków. Niejeden z nich, zasnawszy na brzegu Saskiej Kępy²⁶⁰, budzi się dopiero za pruską granicą²⁶¹ i dziwuje się potem niemało, że jakoś w tym kraju wszystko inaczej wygląda. Ani podejrzewa zapewne, że mimo najstaranniejszego zagrzebania się w roli zmienił poddaństwo.

Za sprawą więc wód biejących, jak sam widzisz, mogą się dziać niesłychane przemiany, nieprzewidziane zgoła przez zoologów; polski na przykład chrząszcz może się zamienić w »prusaka«²⁶².

*

Trafia się często, że entomolog, nakłuwszy zachloroformowaną²⁶³ ofiarę wiedzy na szpilkę, pewny jest jej śmierci; tymczasem po tygodniu zajrzawszy do pudełka, zastaje ją ruszającą się jeszcze na palu. Skonstatowano wypadki odżywiania po zanurzeniu w spirytusie.

Ciołek (*Dorcus*) ożył u hr. Sanceya po czterodniowym pobycie w alkoholu. Podobnie zachował się raz paśnik (*Rhagium inquisitor*)²⁶⁴, a zapewne i wiele innych owadów.

Bądź co bądź, gdy się weźmie pod uwagę, że owady te nie kosztowały nigdy wódki, musimy przyznać, że wytrzymałością na spirytualia przewyższają o całe niebo najwytrawniejszych pijaków.

Zresztą nie tylko w tym kierunku okazują wyższość swą nad rodem ludzkim. Niczym są wobec nich najsławniejsze nasze »głodomory«²⁶⁵!

²⁶⁰Saska Kępa — dawniej: naturalna wyspa na Wiśle; ob. nadwiślańskie osiedle w dzielnicy Praga-Południe w Warszawie. [przypis edytorski]

²⁶¹za pruską granicą — pod koniec XIX w. Warszawa znajdowała się w zaborze rosyjskim, zaś dolny bieg Wisły w zaborze pruskim. [przypis edytorski]

²⁶²polski na przykład chrząszcz może się zamienić w »prusaka« — żart językowy: prusak to brunatny owad, gatunek karaczana żywiący się resztkami jedzenia, spotykany w kuchniach lub magazynach, zaś Prusak to mieszkaniec królestwa Prus. [przypis edytorski]

²⁶³chloroform (chem.) — organiczny związek chemiczny w postaci lotnej cieczy o słodkawym zapachu, używany jako środek usypiający. [przypis edytorski]

²⁶⁴paśnik (*Rhagium inquisitor*) — obecnie: rębacz pstry lub rębacz sosnowiec; nazwę paśnik nosi dziś rodzaj chrząszczy *Plagionotus* z rodziny kózkowatych. [przypis edytorski]

²⁶⁵najsławniejsze nasze »głodomory« — sławne wówczas osoby utrzymujące się z popisów publicznych polegających na wielodniowym powstrzymaniu się od jedzenia, nawet powyżej 30 dni; pod koniec XIX w. pokazy głodomorów miały charakter masowej rozrywki. [przypis edytorski]

Burmeister trzymał raz trzy miesiące bez pożywienia chrząszcza żłowieszczyka (*Blaps mortisaga*)²⁶⁶, a pstry wodoląg (*Stratiomys chamaeleon*)²⁶⁷ jeszcze lepiej się sprawiał. Według zapewnień Swammerdama wytrzymał on przeszło dziewięć miesięcy bez pokarmu!

Trzeba wyznać, że podobne przymioty w dzisiejszych ciężkich czasach byłyby nader cenne pośród urzędników oszczędnościowych instytucji.

Kiedym już poruszył tak niemiły przedmiot jak głód, niech mi wolno będzie zwrócić twoją uwagę na fakt, że mięsożerne zwierzęta mniej są wrażliwe na to uczucie od roślinożernych. Gatunki drapieżne, a szczególnie takie, które z zawodu swego narażane bywają na przymusowe i długotrwałe posty, doprowadzają wytrzymałość do bajecznych niekiedy granic.

U takich głód, zamiast skracać, znacznie przedłuża życie poza granice normalne. Owad na przykład mogący żyć, gdy jest syty, miesiąc — głodny żyje pół roku, a nawet dłużej.

Nieprawdopodobne to, a jednak stwierdzone setkami dowodów nie tylko w świecie owadów, ale w historii wielu niższych organizmów.

Wobec podobnych wiadomości włosy jeżą się na wspomnienie milionów ginących codziennie śmiercią męczeńską. Ileż to jęków rozpaczy i scen rozdzierających kryje każdy szmat łąki, niebacznie uważany za przybytek pokoju!...

*

Ukazawszy ci krwawiącą serce stronę obrazu przyrody, mam obowiązek dorzucić co prędzej pewne szczegóły, które w prawdziwszym świetle ukażą ci ten świat i złagodzą jaskrawe, choć ponure barwy, w jakich ujrzałeś skrzydlatych pigmejczyków. Gdyby owady cierpieć miały jak ludzie, należałoby chyba zwątpić o Opatrzności. Ziemia byłaby wtedy piekłem.

Należy pamiętać, że świata owadów nie możemy mierzyć naszą miarką.

Nerwy tych istot są bez porównania tępsze od naszych i owad z oderwaną nóżką cierpi może tyle, co dziecko, gdy ukłuje się w paluszek szpilką. Wobec tej tępości nerwów równoważą się szanse cierpień i możemy być pewni, że męczarnie fizyczne, jakie przechodzą owady, nie są większe od tych moralnych i fizycznych bólów, jakie ród ludzki przenosi²⁶⁸ bez skargi jako zło konieczne.

Pamiętając o tym, możemy już bez nadmiernej przykrości dowiadywać się o szczegółach, które by w innym razie osobom czułym spokój odebrały na długo.

*

Gdy przeminęło pierwsze wrażenie, myśl moja od doli owadów zwróciła się na arcy-niewesołe położenie, w jakim znalazłem się po katastrofie. Nie wiedziałem, gdzie jestem, otaczały mnie nieprzebite ciemności. Pędzony z miejsca wypadku jakąś gorączkową żądzą oddalania się, instynktowo omijałem przeszkody i kierowałem się bardziej dotykiem aniżeli wzrokiem. Wiem, że m dążył na dół, że zbaczał na lewo i na prawo, ale nie umiałbym ani określić, jak daleko jestem od grotu, ani powrócić do niej.

Wszystkie nadzieje spędzenia nocy w cieple i zaciszu prysnęły jak bańka mydlana.

Pozostała mi perspektywa przytulenia się gdziekolwiek do zimnej skały i doczekania ranka. O bezpieczniejszym noclegu za późno było myśleć, a dalsze błądzenie w ciemnościach było niebezpieczne.

Wprowadzając myśl w czyn, podniosłem kołnierz surduta²⁶⁹ i nie zdejmując torni-stra, skulony, począłem drzemać. W bliskości odzywały się ostre nawoływania samca grzebuszki (*Pelobates fuscus*)²⁷⁰, czyli ropuszki ziemnej. Ropucha ta zakopuje się na dzień w miękkim gruncie, a o zmroku wychodzi z kryjóWKi i poluje na owady aż do rana.

Sen skleił mi już powieki, gdy nagle uczulem dziwne wstrząśnienie i drżenie gruntu pod sobą. Towarzyszył mu chrapliwy głos grzebuszki, wychodzący jakby spod ziemi.

²⁶⁶żłowieszczyk (*Blaps mortisaga*) — obecnie: pokątnik żłowieszczyk. [przypis edytorski]

²⁶⁷pstry wodoląg (*Stratiomys chamaeleon*) — należy on do działu much [obecnie nosi nazwę: lwinka kameleon lub zmrzużek kameleon; należy do muchówek; red. WL.]. [przypis autorski]

²⁶⁸przenosić (daw.) — tu: znosić, cierpieć. [przypis edytorski]

²⁶⁹surdut — długa dwurzędowa marynarka, popularna na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

²⁷⁰grzebuszka (*Pelobates fuscus*) — obecnie: grzebuszka ziemna. [przypis edytorski]

Zerwałem się na równe nogi, nie mogąc pojąć, co się dzieje, ale w tej samej chwili silniejsze od pierwszego wstrząśnienie powaliło mnie na ziemię.

Zrozumiałem teraz wszystko. Siedziałem na grzbiecie grzebuszki, której zarechotanie wstrząsnęło jej płucami i zbudziło mnie.

Za późno było uciekać. Żaba, która zapewne upatrzyła sobie zdobycz, rzuciła się nagle w przepaść i pociągnęła mnie z sobą. Pęd powietrza zatałmował mi oddech, potem zdmuchnął z grzbietu żaby i uczułem, że spadam głęboko. Co się dalej stało — nie pamiętam.

Nie wiem nawet, jak długo leżałem nieprzytomny; otworzyłem powieki, gdy słońce już przygrzewało.

Podniosłem ociężałą głowę i na razie nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem. Otaczające mnie przedmioty wznosiły się i opadały w nieustannym ruchu, przypominając widoki z kołyszącego się w porcie okrętu.

Spoczywałem na dużym wklęsłym liściu, który — ukosem ustawiony — bujał się za każdym silniejszym powiewem wiatru.

Tak więc dwa razy w ciągu jednej nocy unikałem śmierci: raz z płomieni, drugi raz od rozbicia na skałach. Mogło być nawet jeszcze gorzej. Mało brakowało, abym się dostał do żołądka ropuszki; dosyć by było, abym zamiast na grzbiecie, usiadł był tuż przed jej paszczą. Niewybredny potwór pewno by mnie nie odróżnił od byle chrząszcza i zginałbym marniej, niż przypuszczałem.

XX. UWIEŻIONY. NIESPODZIEWANE SĄSIEDZTWO

»Co zanadto, to niezdrowo« — mówi przysłowie.

Pragnąłem wprowadzić przygód i wrażeń, ale znowu nie tak wstrząsających, jak te, które mnie spotkały.

Dobre to może być dla jakiego Anglika o znieczulonych nerwach; ja zadowolilibym się i połową przebytych przygód.

Ot i teraz, po okropnej nocy nie skończyły się utrapienia. Wzmagający się upał przypomina Afrykę. Istny ogień spada z nieba na bezbronną głowę moją i powiększa dokuczliwe pragnienie.

Wyobraź sobie moją przeciągniętą fizjonomię²⁷¹, gdy na domiar wszystkiego spostrzegł, że jestem w pułapce.

Liść, na który wypadkiem zleciałem, wyrastał z wody, odosobniony od innych niby wyspa na rzece. Podo mną szemrał strumyk, podwójnie mi wtedy nienawistny. Więził mnie i nie mógł zaspokoić nawet pragnienia.

Zejście po pionowej łodydze w zwykłych choćby warunkach było ryzykowne, a cóż dopiero, gdy się miało wartkie nurty pod stopami.

Obchodziłem swoje więzienie niby tygrys klatkę, kilka razy, badając pilnie, czy nie znajdę jakiego sposobu wydobycia się — ale na próżno.

Zejścia nie było. Wprawdzie o kilka łokci niżej rozpościerała się inna blaszka liściowa, na którą w ostateczności mógłbym zeskoczyć, ale małą to stanowiło pociechę, bo i tamta sterczała na pionowej łodydze, zupełnie odosobniona od reszty roślinności. Do brzegu było kilkadziesiąt łokci.

Po baczny rozpatrzeniu się w okolicy poznałem niebawem skałę, z której wykonałem mimowolne salto mortale²⁷². Domyśliłem się, że zrzuty zostałem na drugą stronę góry, w sam środek drobnego, wartkiego strumyczka.

Sączył on się po kamieniach zarośniętych mchami i półwodną roślinnością. Właściwie była to mała struga, jakich setki i tysiące przerzynają każdą dolinę tatrzańską; przechodząc zwykły przekracza je niedbale, bez zwracania na nie uwagi, a jednak mają one swoją ciekawą stronę. Wysokość wód zależna jest w nich od najdrobniejszych zmian meteorologicznych, stąd różna bywa po kilka razy na dzień. Są to najkapryśniejsze i najniebezpieczniejsze rzeki, bo nigdy nie można być pewnym, czy nie wyleją. Niekiedy jedna

²⁷¹fizjonomia — twarz, wyraz twarzy; *przeciągnięta fizjonomia*: długa mina, wyrażająca przygnębienie. [przypis edytorski]

²⁷²salto mortale (wł.: skok śmierci) — skok akrobatyczny z koziołkowaniem na dużej wysokości. [przypis edytorski]

odłamana gałązka lub oberwany kamień tamuje odpływ wód i sprowadza nagły wylew albo też zwraca nurty w inną stronę i osusza na długo chwilowe koryto.

Dość czasem niewielkiego deszczu, aby liść, odgrywający rolę bezpiecznej wysepki, został pochylony, zatopiony i zasypany żwirem.

Cała też flora nadbrzeżna wskazywała, że przywykła już do kaprysów kryształowej fali, która raz ją całą odsłania, to znów zupełnie pogrąża w zimnych objęciach.

Taka to fantastyczna wstęga połyskiwała pod moimi stopami odbitym światłem jasności dziennej.

Gubiłem się w myślach, co zrobić, aby się wydostać z więzienia; już nawet dochodziłem do przekonania, że trzeba będzie zginąć lub o zachodzie słońca wydobyć płyn Nureddina i powrócić na łono świata ludzkiego, ale w takich momentach stawał mi przed oczyma obraz nieszczęśliwego lorda Puckinsa, który oczekiwał pomocy. Rumieniec wstydu występował na twarz i lepsze instynkty brały górę.

Jak to? Miałbym nie wytrwać i cofnąć się w połowie drogi, gdy chodzi o życie człowieka? Miałbym ubliżyć drogiej pamięci rycerskich moich dziadów i powracając, powiedzieć sir Biggsowi: »Złakłem się«!?

Nie! Nigdy!

Postanowiłem ratować się i wytrwać do końca.

*

Nagle cień jakiś padł mi na twarz. Podniosłem oczy i drgnąłem ze zgrozy.

O kilkanaście łokci nade mną wisiał na cienkiej linie odrażający potwór z ośmioma rozwartymi łapami i nieruchomo spuszczał się na dół. Za chwilę miał dotknąć mego więzienia.

Nie należę do nerwowych, a jednak uczułem dreszcz trwogi. Czekając na nieuniknioną wizytę, cofnąłem się na kraniec liścia i dobyte rewolwer zza pasa. Cokolwiek nastąpi — będę się bronił!

Minęło kilka sekund i pająk dotknął nogami liścia, a potem po łodydze spuścił się do samej powierzchni wody. Tu przywiązał tylnymi nogami nader zręcznie powróż, jak wysnuł z kądzielników²⁷³ swoich, i szybko powrócił do góry. Manewr ten śledziłem z zapartym oddechem, ściskając w rękę zabójcze cacko.

Ośmionogi akrobata, nie zwracając na mnie żadnej uwagi, powrócił po dawnej nici na wierzchołek sitowia, skąd przybył. Snuł za sobą drugi powróż, z którym przebiegł po wyciągniętej poziomo linie ponad strumieniem, niby Blondin²⁷⁴ nad Niagarą, do kłosa trawy rosnącej na brzegu strumyka; zbiegł na dół i zatrzymał się na przeciwnym brzegu, niedaleko od powierzchni wody. Linka zapasowa, którą przeniósł na drugą stronę wody, obwisła i byłaby się zamaczała w rzece, gdyby ją był pająk w porę nie naciągnął i nie przytwierdził do liścia mchu. Zrozumiałem, że mam przed sobą krzyżaka gnieźdzącego się nad wodami, który rozpoczyna właśnie budowę swojej sieci. Przerzucił już dwie linki poprzeczne, a teraz pozostaje mu w tych ramach dokonać kilku pionowych połączeń, po czym utworzenie znanej wszystkim gwiazdy stanie się rzeczą stosunkowo łatwą.

Odkrycie to uspokoiło mnie nieco, gdyż wiedziałem, że pająki przędące tracą fantazję poza obrębem siatki i rzadko nawet na muchy napadają.

Stokroć gorsze są pająki gończe. Te obchodzą się bez siatek i polują na owady otwarcie lub z zasadzki. Prześliczny na przykład hopek, czyli płas (*Salticus scenicus*)²⁷⁵, bardzo w lecie pospolity, czai się na zdobycz jak tygrys. Podchodzi do niej z nieopisaną cierpliwością na możliwie najbliższą metę, po czym rzuca się na ofiarę jednym skokiem i nawet spłoszoną dopędza częstokroć w locie.

Podobny rodzaj polowania uprawiają niemal wszystkie pająki wałęsające się po ścianach i skałach, a nawet i po kwiatkach. Ukryte pod liściem lub w kielichu kwiatowym,

²⁷³kądzielniki — dziś: kądziolki przednie, wyrostki w tylnej części ciała pajaków, złożone z setek ujęć gruczołów przednich, wydzielających płynną, lepką substancję, krzepnącą w zetknięciu z powietrzem do postaci nici przedniej, wykorzystywanej do budowy pajęczyny. [przypis edytorski]

²⁷⁴Blondin, Charles (1824–1897) — francuski cyrkowiec, akrobata i linoskoczek; w 1859 jako pierwszy przeszedł po linie nad wodospadem Niagara. [przypis edytorski]

²⁷⁵płas (*Salticus scenicus*) — płas zebra, pająk zwany też skakunem arlekinowym, o charakterystycznym ubarwieniu ciała: czarnym z białymi poprzecznymi pręgami. [przypis edytorski]

cierpliwie czekają, aż się nieostrożna mucha zbliży. Wtedy napad, dokonany z błyskawiczną szybkością, rzadko zawodzi.

Takich chytrych istot jest bardzo wiele gatunków, a większość posiada ubarwienie tak zgodne z otoczeniem, że nie potrzebuje się kryć nawet, aby zostać niewidzialną. Biały na przykład pajęczek, przytulony do białego kwiatka, z bliska nawet trudny jest do odróżnienia. Polujące na korze drzew mają zwykle kolor pstro-brunatny, na liściach spotyka się zielone lub żółte.

I przędących pajaków jest bardzo dużo gatunków, w samych Tatrach odróżnia się ich kilkaset, a choć na pozór wszystkie do siebie są dość podobne, przecież większość ich posiada dla znawców tak wybitne cechy, że na pierwszy rzut oka nietrudno jest powiedzieć, jaki się ma gatunek przed sobą.

Ujrawszy krzyżaka i jego linę, łączącą mój liść z brzegiem strumyka, zrozumiałem, że zesłała mi go chyba sama Opatrzność. Nie jestem już odcięty od świata. Gdybym chciał przepawić się na drugą stronę, wytrzymałość liny pajęczej byłaby dostateczna, bo krzyżak ważył więcej ode mnie. Chodziło o to, aby wyczekać chwili, kiedy właściciel mostu oddali się snuć dalszy ciąg swej sieci.

Radość moja trwała jednak krótko. Pająk usadowił się na końcu mostu i nie miał ochoty dalej budować. Myślałem na razie, że to krótka pauza, ale gdy minęła godzina, a mój cerber²⁷⁶ ani się poruszył, niepokój ogarnął mnie wielki. Widziałem nieraz krzyżaki naprawiające w dzień swoje sieci, ale zaczynającego nigdy nie miałem sposobności obserwować. Okazało się, że i mój cerber nie odstąpił od tradycji i czeka na nocne ciemności.

Położenie moje, zamiast poprawić się, stało się jeszcze gorsze.

Sama myśl o pozostaniu tutaj przejmowała mnie strachem. Czy Ty wiesz, co to jest nocleg pod gołym niebem, spędzony w takich warunkach? Niezawodnie czytałeś w opisie podróży podzwrotnikowych, jaką grozę budzą w samotnym wędrowcu aligatory, grzechotniki i jaguary. Otóż wolałbym wszystkie te płazy, gady i drapieżne zwierzęta aniżeli nieprzeliczone harpie²⁷⁷, występujące na tle nocy na każdej górskiej łące. Harpiom tym komary na imię.

Każda pora dnia ma wśród nich swoich przedstawicieli, ale zmierzch jest najgorszy.

O zmierzchu wylatują z cienistych kryjówek głodne i krwi chciwe tłumy, a cała ta zgraja rozbrzmiewa koncertem, wobec którego stado zgłodniałych wilków na stepie brzmiałoby stosunkowo łagodną nutą.

Metaliczne dźwięki skrzydeł komarzyczych mieszają się w jeden potężny brzęk, nad którym tylko kiedy niekiedy zapanowuje jakiś odmienny i silniejszy odgłos skrzydeł nocnego chrząszcza...

Nie sądzę, bym przesadzał w opisie... owszem, maluję blade. Skrzydlaty ten drobiazg mógł być postrachem dla mnie, skoro jest źródłem niewypowiedzianych utrapień dla wszystkich ludzi. Wciska się do mieszkań, obrzydza wycieczki w pole, a nawet i w łóżku spędza sen z powiek brzękiem nikłych skrzydełek, którymi porusza trzy tysiące razy na minutę.

Szczególniej dokucza, jak wiadomo, płci pięknej. Tego osobliwego pociągu nie umiem poetyczniej wytłumaczyć sobie, jak po prostu większą delikatnością i drażliwością skóry, przy czym ostry »smoczek« łatwiej i obficiej krew dobywa. A może też krew niewieścia smaczniejsza od naszej?...

W pewnych latach i okolicach bagnistych owady należące do rodziny komarów stają się formalną klęską i pojawiają się w tak gęstych tumanach, że zaćmiewają blask słońca.

To wszystko jednak, co może się przytrafić w naszej strefie, blade wobec mąk, na jakie są wystawieni mieszkańcy stref gorących oraz podbiegunowych. Tam dopiero szczupłonogie istoty stają się plagą człowieka!

Czytałem w opisie wypraw Waszyngtona, że raz znalazł się on w okolicy, gdzie mustyki (*Simulia*)²⁷⁸ kłuły przez obuwie. Chociaż ostatni szczegół dowodzi łatwowierności

²⁷⁶*Cerber* (mit. gr.) — trzygłowy pies, pilnujący wejścia do krainy zmarłych; tu przen.: groźny strażnik. [przypis edytorski]

²⁷⁷*harpie* (mit. gr.) — złośliwe, okrutne demony przedstawiane jako drapieżne ptaki o kobiecych głowach. [przypis edytorski]

²⁷⁸*mustyki* (*Simulia*) — meszki, niewielkie uskrzydłone owady, których samice odżywiają się krwią zwierząt, zasiedlające tereny o dużym nasyceniu wilgocią, często występujące masowo. [przypis edytorski]

opowiadacza, a mustyki mogły kłuć tylko w tym razie, gdy wpełzły do wnętrza trzewików, to przecież jest w tym opowiadaniu część prawdy, bowiem krwiożercze te stworzenia w tak długie uzbrojone są lancety, iż mało która tkanina zabezpiecza przed ich ukłuciem.

Podróźni w gorących krajach zmuszeni są nieraz sypiać w workach, a i to niezupełnie ich chroni. Żadne ubrania, chustki ani rękawiczki nie wystarczają i ciało silniej pociętych osób często przedstawia jedną bolącą powierzchnię, co sprowadza częstokroć złośliwe gorączki, a nawet gangrenę.

Jak powiedziałem, żadne ubranie nie stanowi tak szczelnej i zarazem silnej fortecy, żeby jej zwinne sapery nie zdołały zdobyć. Pomiędzy kołnierzem a szyją, przez rękawy dostają się do jej wnętrza, wdzierają się do najtajniejszych zakątków garderoby i z zadziwiającą zręcznością atakują słabsze strony nieprzyjaciela, dopóki nie zginą na zdobytych walecznie stanowiskach. Nieszczęsny podróżnik po całodziennej walce, udając się na spoczynek, obejmuje melancholijnym wzrokiem liczne ślady nieprzyjaciół, którymi usiana jest wewnętrzna część ubrania, a każda czerwona plamka wskazuje miejsce, na którym poległ zuchwały i krwią opity nieprzyjaciel.

Pewien wojskowy doktor na Krymie opowiada, że w okolicy obfitej w komary, nie czuł się bezpieczny w zamkniętej karecie, a dusząc się od gorąca i braku powietrza, nie śmiał otworzyć okien.

W okolicach Amazonki i Missisipi wędrowcy zmuszeni bywają na noc przysypywać się ziemią na trzy lub cztery cale, z wyjątkiem tylko głowy, którą szczelnie zakrywają chustkami.

Aleksander Humboldt²⁷⁹ w bliskości rzeki Rio Unare²⁸⁰ zrobił spostrzeżenie, że mieszkańcy zwykle w ten sposób sypiają. Zauważył, że ludność dzieli tam komary na trzy kategorie: moskity, które męczą we dnie, *temporaneros* (rodzaj *Culex*) — zmierzchowe i *zancudos* — panujące w nocy.

Zdawałoby się, że zimno może stanowić tamę dla plenności komarów, tymczasem fakty mówią przeciwnie. Stworzenia te są zarówno wytrzymałe na niezmierne gorąco, jak na straszne mrozy.

Nigdzie prawie nie spotyka się ich w tak niezmiernej ilości, jak właśnie w krainach wiecznej zimy. W Laplandii²⁸¹ i na nieogarnionych obszarach tundry²⁸² sybirskiej²⁸³ tłumy komarów można porównywać do płatków śniegu lub kłębów dymu. Laplandczyk, Tunguz lub Jakut²⁸⁴ w porze komarów nie może połknąć kawałka ryby ani położyć się na spoczynek, aby przedtem nie napuścił tyle dymu do swej jurty²⁸⁵, że sam zaledwie w niej oddychać może. A dodać trzeba, że taki Jakut czy Tunguz emigruje zawczasu wraz ze stadami swych reniferów z tundry, na której mają się wyroić komary, i wraca dopiero po sezonie — inaczej straciłby całe swoje stado, jedyny dobytek. Uchodzi o setki wiorst²⁸⁶ z »zakomarzonej« okolicy i wraca dopiero, gdy mróz wytępi dokuczliwe i ciepłej krwi chciwe chmary. Tysiące wiorst kwadratowych pozostają bezludne jedynie z powodu... drobnych tych istotek!

Dziegieć²⁸⁷ i tran, którymi się smarują, oraz ochronne siatki w części tylko zabezpieczają ich przed napadem komarów.

Wobec tych wiadomości nic dziwnego, że w Ameryce spośród jednakowych pod każdym względem plantacji jedną można nabyć o sto tysięcy franków taniej niż inną. Różnicę sprawiają tu komary, które czynią pobyt w dotkniętych plagą miejscowościach nad wyraz

²⁷⁹ Humboldt, Alexander (1769–1859) — niemiecki przyrodnik i podróżnik. [przypis edytorski]

²⁸⁰ Rio Unare — rzeka w Wenezueli. [przypis edytorski]

²⁸¹ Laplandia (daw.) — Laponia, region kulturowy i geograficzny w północnej Europie, obejmujący północne części Płw. Skandynawskiego i Płw. Kolskiego. [przypis edytorski]

²⁸² tundra — bezdrzewne zbiorowisko roślinności w zimnym, okołobiegunowym klimacie na półkuli północnej, składające się głównie z mchów i porostów, w południowym pasie także z roślin zielnych i krzewinek. [przypis edytorski]

²⁸³ sybirska — dziś: syberyjska, związana z Syberią, krainą geograficzną w płn. Azji. [przypis edytorski]

²⁸⁴ Tunguzi, Jakuci — ludy zamieszkujące Syberię. [przypis edytorski]

²⁸⁵ jurta — namiot, zwykle pokryty skórą, używany przez koczownicze ludy północnej i środkowej Azji. [przypis edytorski]

²⁸⁶ wiorsta — dawna rosyjska miara odległości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

²⁸⁷ dziegieć — gęsta, smolista substancja o charakterystycznym, przykrym zapachu, wytwarzana przez suchą destylację kory i drewna, używana do celów leczniczych oraz do impregnacji materiałów, uszczelniania beczek, jako smar, klej itp. [przypis edytorski]

nieznośnym, a najem robotników drogim. Gdyby zapytać plantatora, jaki dźwięk w lesie bardziej go przeraża: ryki jaguarów czy brzęk komarów, co straszniejsze: czy sąsiedztwo dzikich bestii czy życie wśród mustyków — to nie ma wątpliwości, że odpowiedziałby: dajcie mi nieprzeliczone stada jaguarów, bo od nich uwolni mnie dubeltówka, gdy tymczasem wobec mustyków jestem zupełnie bezsilny!

Jeśli taką plagą są komary dla ludzi normalnych, pojmiesz łatwo, czym były dla mnie te tłumy, zbrojne w ostre lancety.

Nie wiedziałem, co robić: czy czekać, aż pająk opuści swoje stanowisko (co, mówiąc nawiasem, było bardzo wątpliwe), czy zdobyć się na krok stanowczy i spróbować zastrzelić właściciela mostu. Wiedziałem wprawdzie, że ze znacznej odległości niełatwo trafić z rewolweru, wiedziałem także, iż jeden strzał nie powali wytrzymałego potwora, ale trzeba było działać i prowadzić kanonadę dopóty, aż postrzelony pająk ustąpi mi z drogi. Obejrzałem więc broń, wycelowałem i dałem ognia. Stało się. Z bijącym sercem wlepiłem oczy w środek siatki, badając zachowanie się pająka, ale czekał mnie zawód i nad wyraz przykra niespodzianka. Szkaradny potwór nie ruszył się nawet, ale za to o kilka kroków za nim ujrzałem drugiego pająka.

XXI. NOWY AKTOR I ŻAŁOSNY KONIEC JEGO

Poznałem w nim samca. Zapomniałem ci nadmienić, że okaz, który mnie trzymał w uwięzi, należał do piękniejszej połowy pajęczonego rodu.

U tych krwiożerczych istot istnieje jeden bardzo piękny zwyczaj, wspólny zresztą prawie wszystkim stawonogom. Polega on na tym, że tylko samice pracują i ponoszą ciężary utrzymania rodu, samce zaś brzydzą się wszelką pracą. Wśród krzyżaków samice jedynie snują sieci, samce zaś — mniejsze, brzydsze i zawsze szczupłe, bo głodne — wałęsają się próżniaczko i kryją po najciemniejszych zakątkach okolicy. Ukazują się jedynie podczas najgorętszej i pogodnej pory, w epoce pełnej dojrzałości, gdy jakiś niezwykły popęd nakazuje im szukać piękniejszej połowy swojego rodzaju. Skoro taki ciekawy osobnik w wędrówkach swoich napotka okazalszą połowicę swego rodu, wtedy nie zważając na jej groźną minę (taką bowiem przybiera na widok brzydkiego i wstrętnego jej pająka każda ośmionoga piękność), poczyną trwożliwie zbliżać się do jej siedziby.

Nie od razu zdobywa się na odwagę przystąpienia do swej wybranej z oświadczeniami. I dobrze czyni, bo to rzecz nad wyraz niebezpieczna. Pajęczycy są wzorem okrucieństwa względem swych adoratorów. Biedny pająk bardzo długo musi się przymilać, chodzić pokornie, jak to mówią, »na dwóch łapkach«, aby nareszcie wzruszyć nieczulą i pozyskać jej względy.

Ile on przed tym szturchańców otrzymał, ile razy, gdy się nadto zbliżył, został sromotnie zrzucony z siatki przez obrażoną piękność, tego się nie zliczy. Biedny pająk, obdarzony wielką pokorą czy też ogromną dozą bezczelności, znosi niełaski bez szemrania i za każdą porażką powraca z miną niewiniątka, ale w gruncie rzeczy pewniejszy zwycięstwa.

Nareszcie szereg upokorzeń otwiera mu drogę do serca nieczulej.

Pokonana stałością zmizerowanego adoratora, pajęczycy pozwala się bezkarnie pogłaskać, już go nie odpycha od siebie, a przy sposobności pozwoli nawet jaką muszkę wyssać na spółkę.

Poufalskość jednak ma granice, których i teraz pająkowi przekroczyć nie wolno.

Niespokojny wszakże satelita naszej piękności nie darmo jest przebiegłym pajakiem, aby nie potrafił wyzyskać pierwszego przyjaznego zbiegu okoliczności. Nawet i wtedy jednak nie pozbywa się bojaźni wobec srożej połowicy. Przeczuwa, co by go czekało, gdyby ośmielił się za długo przeciągnąć słodkie sam na sam. Więc też zawsze gotów jest do prędkiego odwrotu. Uwiązał się w przyzwoitej odległości na nitce, która mu służy za linkę bezpieczeństwa na wypadek brutalnego odepchnięcia. Zrzucony na przykład z siatki, zawisa na własnej linie w powietrzu, aby nie zlecieć na ziemię; po niej też zwycięzca oddala się z nadzwyczajną szybkością, spuszcza się na ziemię i znika na zawsze sprzed oczu oszołomionej i zwyciężonej przyjaciółki.

Znając tak oryginalne obyczaje tych istot, nieciekawym byłam sceny, jaka się miała rozegrać przede mną, i niekontent²⁸⁸ ze zwłoki, grożącej długim więzieniem na liściu.

²⁸⁸niekontent (daw.) — niezadowolony. [przypis edytorski]

Stosownie do mego przewidywania, lękliwy przybysz, zatrzymując się za każdym krokiem, podszedł do przedmiotu swych marzeń.

Skoro stanął przy niej, zdawało się, że go odwaga całkiem opuściła, i pozostał przez długą chwilę niepewny, co dalej czynić.

Pajęczycza, patrząc na niego, nie okazała ani jednym gestem, co sądzi o niespodziewanej wizycie. A może też była mu rada²⁸⁹ i tylko przez dyplomację okryła się chłodem?

Jeszcze nie zdołałem wziąć na rozum tych pytań, gdy odpowiedź ścięła mi wszystką krew w żyłach.

O rodzie pajęczy, jakiś potworny!

Gdzież na świecie, jak szeroki, znajdę istoty, co by wyrównały dzikości twych instynktów? Na próżno oglądam się wokoło...

Ale baczność²⁹⁰... za prędko sąd wydałem.

Zapomniałem o istocie najdoskonalszej na ziemi — o człowieku. On łączy w sobie najszczytniejsze instynkty z najczarniejszymi zbrodniami. Człowiek to piekło z niebem połączone w taki sposób, że nigdy nie można wiedzieć, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. W człowieczym tylko plemieniu, na wzór pajaków, od wieków brat godzi na brata z tak spokojną miną, z jaką pajęczycza zabija i spożywa swego adoratora.

Czy będzie kiedy inaczej?... Niech na to odpowiedzą optymiści, naród dziwnie zaślepiony i biorący pozory za rzeczywistość.

Odwrociłem oczy od wstrętnej sceny, a gdy po chwili na nowo spojrzałem, została już tylko morderczyni, oczyszczająca głaszczkami swoje szczękoczułki, które przed chwilą wpijała w drgające ciało niewczesnego gościa.

Biedny pajaku! Cóżeś winien, że cię inny ubiegł, a złudne pozory omyliły?

*

Czyż wszystkie pajęczycze są tak srogie? — zapytasz pewnie. Prawie wszystkie, muszę ci odrzec, a wyjątki są nader nieliczne. Między nimi godzien jest wyróżnienia omatnik (*Theridium*), który żyje parami w przykładowej zgodzie, a nadto jest błogosławieństwem winnic, chroniąc smaczne grona przed żarłocznością drobnych owadów.

Morderczyni stała się znowu panią placu. Tylko co spełniona zbrodnia taką ją natchnęła ruchliwością, że nie tracąc czasu, wstrętne kreatura rażno przeniosła się na górną linę i z samego jej środka spuściła się na dolną, przywiązując tylko co wysnutą linkę do dolnego mostu. Otrzymała tym sposobem pierwsze pionowe wiązanie, od którego środka miały się przysze promienie siatki rozbiegać. Jakoż wkrótce powróciła do połowy wysokości nowej liny, umocowała tam nową przędzę i zbiegła z nią na dół. Tu odniosła o kilka kroków, przywiązała do poziomej i mocno naprężyła. Potem w ten sam sposób nasz krzyżak przytwierdził drugą ukośną linkę i tak biegając między środkiem siatki a dolną liną, za każdym powrotem dodawał nowy, coraz bardziej ukośny promień.

Do powierzchni mojego liścia przyczepił ich ze cztery; możesz wystawić sobie, com przeszedł, widząc potwora ocierającego się nieledwie o mnie i nie mogąc wycofać się z niebezpiecznego sąsiedztwa. Nie upłynęło więcej niż dwie godziny, a mój krzyżak posiadał już ze środka siatki wybiegających ze trzydzieści promieni. Pozostawało tylko osnuć na nich poprzeczne drabinki.

W tym celu począł sobie bardzo roztropnie.

Powróciwszy do środka, jął chodzić w kółko, po linii ślimakowatej, uwiązując na każdym promieniu prędko i zgrabnie lepką nitkę, jaką snuł z siebie.

Tym sposobem, oddalając się coraz bardziej od środka, zasnuwał nieprzerwaną nitką w misterny sposób całą siatkę.

Pierwsze powrozy, gładkie i suche, przeznaczone były do utrzymania całości, ślimakowato osnuta zaś nić, gruczołkowata i lepka, miała służyć do przytrzymania i oplątania zdobyczy.

Słońce schowało się już za góry, ozłaczając wierzchołki żółtymi i czerwonymi blaskami, gdy znużony potwór usadowił się w samym środku swojej matni. Oparł nogi na ośmiu najważniejszych promieniach i oddał się błogiemu spoczynkowi.

²⁸⁹ *rada* — tu daw.: chętna, przychylna. [przypis edytorski]

²⁹⁰ *baczność* — uwaga, czujność; tu: należy uważać, mieć się na baczności. [przypis edytorski]

Straciłem ostatnią nadzieję. Ośmionóg nie ruszy się już do jutra, a zdobycz nie chce jakoś wpaść do siatki, aby zatrudnić straszego cerbera.

Należało zaryzykować życie i mimo niebezpieczeństwa zejść na suchy grunt po dolnej linie, nad którą wisiała pajęczyna.

XII. CHRUŚCIKI. NOCNE ŚWIATEŁKO

Nie było innej rady. Wziąłem na odwagę i uczepiony na pajęczynie, niby czwororęczna istota, ruszyłem ku brzegowi.

Po wysiłkach połączonych z narażeniem się na śmierć w nurtach, bez tchu prawie, dotknąłem wreszcie nogą gałązki rokitu (*Hypnum*). Chociaż ta kępa mchów rosla nad samym strumykiem, który obmywał jej korzonki, uczulem, iż jestem ocalony.

Usiadłem więc na szczycie gałązki między dwoma listkami mchu, niby w wygodnym fotelu, i otarłem uznojone²⁹¹ czoło. Miły chłód, jaki wytwarzała parująca z mokrych zarośli wilgoć, ukoił mnie nader prędko i niczego już nie pragnąłem więcej niż spoczynku, choćby przez wieczność całą.

Było mi dobrze.

Jakiś czas przesiedziałem nieruchomo, niby w odrętwieniu. Stan taki często się trafia po wielkich wzruszeniach. Wkrótce jednak odpocząłem i z biernej roli przeszedłem do roli widza.

Elastyczna gałązka rokitu wydawała mi się krzesłem w jakimś fantastycznym teatrze, szemrząca zaś toń, szmaragdowe kępy mchów i wątrobowców (*Hepaticae*) dekoracją sceny, na której ukazywali się dziwni bohaterowie i osobliwe bohaterki.

Każdy i każda z nich poruszała się w innym rytmie i w zupełnie odmiennych zygawkach unosiła się nad wodą. Były tam chruściki (*Trichoptera*), nieszczety (*Nemouridae*), widelnice (*Perla*), otworówki (*Rhyacophila*) i różne ważki (*Odonata*).

A jak ciekawe to typy! Należały wszystkie do owadów żyłkoskrzydłych (*Neuroptera*), które odznaczają się tym, że w młodości prowadzą ruchliwy i rozbójniczy żywot w wodzie. Każdy po swojemu prowadzi raubryterskie²⁹² rzemiosło w wodach biejących lub stojących i długo musi dorastać w tym wodnym środowisku, aż mu będzie dozwolone wypełznąć nad wodę, osuszyć się i pod postacią lotnej istotki, podobnej do motylka lub czteroskrzydłej muchy, wydobyć się z ciasnych powijaków. Nieszczety na przykład i inne widelnice, które przysiadają co chwila w swym nierównym locie na kamykach i roślinach nadwodnych, niedawno były nagimi larwami, chowającymi się pod kamykami, i czyhały w mule wodnym na pływające małe owadki.

W przezroczystej wodzie często je dostrzegałem, jak uczepione nóżkami za kamyk, kołysały się bez wytchnienia, podobnie jak to czynią odpoczywające słonie.

Chruściki (*Trichoptera*) znowu, które zwykły dostrzegacz nazwałby niewątpliwie małymi motylkami — przypominają bowiem uderzająco łuskoskrzydłe owady, zarówno z kształtu, jak ze skrzydeł, pokrytych barwnymi włoskami (naśladującymi łuskę motyli) — w młodości prowadzą żywot zupełnie inny niż gąsienice prawdziwych motylków. Są bardzo drapieżne i pełzają po dnie kałuż i wartkich strumieni, żywiąc się drobnymi stworzonkami. Gdybyś chciał poznać kiedy bliżej tę ciekawą rodzinę, siadź jak ja nad przezroczystym ruczajem²⁹³, a z pewnością zauważysz na dnie nieruchome kruszynki, zupełnie podobne do kawałków drzewa, liści lub nawet zlepka kamyków. Te martwe pozornie, ale po bliższym wpatrzeniu się poruszające się i wędrujące patyczki oraz grudki są właśnie larwami chruścików.

Wyjmij jedną z wody, a przekonasz się, że to żywa istotka, ukryta w oryginalnym futerale niby ślimak w skorupie. Głowa i długie kosmate nóżki wystają na zewnątrz, reszta miękkiego ciała ukrywa się w rurce gładkiej od wewnątrz, ale pokrytej na zewnętrznej stronie najrozmaitszymi materiałami, prawdopodobnie w celu zamaskowania się przed wzrokiem nieprzyjaciół.

²⁹¹uznojony — utrudzony, zmęczony ciężkim wysiłkiem. [przypis edytorski]

²⁹²raubryterski — przym. od: *raubritter* (niem.): rycerz-rozbójnik, utrzymujący się z rabunku kupców i podróżnych; plagą raubritterów były dotknięte średniowieczne, rozdrobnione na niewielkie państewka Niemcy. [przypis edytorski]

²⁹³ruczaj (daw., poet.) — potok, strumień. [przypis edytorski]

Niby średniowieczny wojownik, chruścik we wszystkich wycieczkach nie opuszcza swej zbroi i ciągnie za sobą futerał, do którego w razie najłżejszego niebezpieczeństwa cofa się cały i ukrywa.

Powierzchność tej udoskonalonej beczki Diogenesa²⁹⁴ bywa bardzo rozmaita, bo każdy gatunek wybiera inne materiały i skleja je w inny sposób; niektóre tylko gatunki należą do niewybrednych i biorą to, co im w chwili potrzeby wpadnie w łapki.

Pewne chruściki przyklejają do swego ruchomego domku dosyć symetrycznie kawałeczki trawy, układając je bądź wzdłuż, bądź w ukos. Jeden gatunek okręca się wąskim liściem niby wstążką, inne dobierają bez symetrii listki, odłamki drzewa i kamyczki.

Pochewka jednego chruścika składa się z cienkiej warstwy jednakowych ziarenek piasku, ułożonych w tak prawidłową mozaikę, że nie chce się wierzyć, aby ona była dziełem samego lokatora. Chruścik ten żyje w wartkich wodach i wybiera na domek kamyki dlatego zapewne, aby móc się lepiej opierać prądowi wody.

Leptocerus bimaculatus ulepia gruszkowaty futerał z piasku pomieszanego z iłem.

Limnephilus flavicornis paraduje w domku okrytym drobnymi muszelkami.

Zabawny jest widok takiej larwy, oblepionej żyjącymi jeszcze ślimaczkami. Wygląda tak, jak Indianin, który by zamiast okryć się skórkami z wiewiórek, obszył sobie płaszcz żywymi zwierzątkami.

W całej tej sztuce budowniczej czy też krawieckiej najgodniejsza uwagi jest umiejętność zużytkowania tak materiałów, że przenośny domek wcale im nie ciąży. Nawet człowiek nie rozstrzygnął zadania, jakie każdy chruścik, nie ucząc się hydrostatyki²⁹⁵, z największą łatwością rozwiązuje. Każde nasze futro, płaszcz, a nawet kostium letni waży pewną ilość funtów, pancerz zaś chruścika, choćby nawet z kamyków złożony, nie ma dla niego żadnej wagi, bo gatunkowo nie jest ani cięższy, ani lżejszy od wody. Gdyby było inaczej, to jest gdyby był cięższy, męczyłby niepotrzebnie właściciela, w przeciwnym zaś razie unosiłby go łatwo w górę i utrudniał pełzanie po dnie.

Jakkolwiek chruścik umie zachować w tym względzie równowagę, to przecież zdarza mu się, jako istotcie ułomnej, zbłądzić niekiedy i wybudować pochewkę wbrew zasadom fizyki.

Czy sądzisz, że załamawszy łapki, oddaje się bezowocnej rozpaczli lub też zniecierpliwiony odrzuci popsute dzieło i bierze się na nowo do roboty?

O nie! Zanadto ceni swą pracę, aby ją miał lekkomyślnie marnować. Zresztą ma na to łatwą radę. Gdy domek za ciężki, przylepia, gdzie potrzeba, kawałek słomki lub drzewa i równowaga powraca, gdy zaś zanadto jest lekki, naprawia błąd za pomocą kamyczka.

W tej właśnie zaradności spoczywa klucz zagadki: dlaczego często daje się widzieć do futerałów skądinąd symetrycznych przylepione jakby przypadkowo listki albo kamyczki. Domek swój larwa buduje przy pomocy łapek i jedwabistej przędzy, którą snuje z pyszczka. Pospolicie zaczyna obmurowywać się od dolnej części ciała (to jest od tyłu), a w ciągu pięciu lub sześciu godzin wykańcza całe schronienie.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że młoda larwa rośnie i musi kilka razy przebudowywać ciasne więzienie, aby stało się przestronniejsze, nie można tych pozornie nędznych i leniwych istot nazwać próżniakami.

Nadchodzi wreszcie chwila przeobrażenia się w poczwarkę. Chruścik przyczepia się wtedy do kamienia lub rośliny, chowa się cały w futerał i otwór zasnuwa jedwabistą kratą, do której przyczepia dla niepoznaki kawałek drzewa lub coś podobnego.

Po upływie dwóch lub trzech tygodni dobrowolnego więzienia rozrywa celkę, porzuca ją i w postaci białawej i dość sztywnej istotki, niby mumia, pływa swobodnie, najczęściej na grzbiecie, używając w tych igraszkach zamiast wioseł nóżek opatrzonych rzęskami.

Mamy w nim ciekawy okaz poczwarki obdarzonej możliwością przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Jak ci wiadomo, poczwarki chrząszczy, motyli, much i pszczoł są bezwładne i niby pogrążone w stanie pozornej śmierci — pod tym więc względem wybitnie różnią się od żyłkoskrzydłych. Zoologowie też, odróżniając tę ważną cechę, nazywają pierwsze cztery

²⁹⁴*Diogenes z Synopy* (413–323 p.n.e.) — filozof grecki, przedstawiciel cyników; znany z pogardy wobec dóbr materialnych i wygod; wg legendy mieszkał w beczce. [przypis edytorski]

²⁹⁵*hydrostatyka* — dział fizyki badający prawa równowagi cieczy i zanurzonych w nich ciał stałych. [przypis edytorski]

grupy owadami o przeobrażeniach zupełnych, zaś pozostałe, których poczwarki nie ulegają tak gruntownym przeobrażeniom i są mniej więcej podobne do swych larw lub postaci dojrzałych, nazywają owadami o przeobrażeniach niezupełnych.

Do nich należą — prócz żyłkoskrzydłych — pluskwiaki i prostoskrzydłe owady. Zaliczają się do nich świerszcze (*Gryllus*), skorki (*Forficula*), podjadki (*Gryllotalpa*), karaczany (np. *Blatta orientalis*) i koniki polne (*Tettigoniidae*)²⁹⁶.

Ale wróćmy do poczwarki chruścika, która właśnie zbliża się do brzegu i wypelza z trudnością na powierzchnię wodnych roślin. O ile jej ruchy zręczne są w wodzie, o tyle na lądzie ociężałe. Nóżki chwieją się i odmawiają posłuszeństwa. Toteż poczwarka nie oddala się zbyt daleko od wody i muskana lekkim podmuchem wietrzyka osycha, skórka na niej wzdyma się niby pęcherz i w końcu pęka na grzbiecie. Przez szczelinę wysuwają się najprzód... skrzydła, potem długie czułki niby sprężyny uwalniają się ze swych pokrowców, a nareszcie nogi i odwłok. Przezroczysta łupinka zachowuje poprzednie kształty i na pierwszy rzut oka mamy przed sobą jakby dwie istoty.

Lekką jednak błonkę wiatr wkrótce unosi, pełnoletni zaś chruścik, zrazu białawo przezroczysty, oczekuje, aż mu stwardnieją członki. Dopiero po upływie kilku godzin nabiera właściwej, żółtoszarej barwy. Nie przyjmuje już żadnych pokarmów, toteż głębo posiada w stanie nierozwiniętym. Jako zaś dobry obywatel kraju, nie opuszcza i teraz rodzinnych okolic i w dzień ukryty pod liśćmi, wylatuje dopiero nad wieczorem, gęstymi tłumami krążąc nad wodą.

Ostatni akt jego żywota jest wesoły, ale krótki.

Niebawem samiczka znosi na wodzie jajeczka otoczone galaretowatą masą, która służy wylęgłemu robaczekowi za pierwszą tarczę, i umiera w locie, spadając zwykle do wody, w której staje się żerem ryb, przepadających za podobnym przysmakiem.

*

Im bardziej ciemności się zwiększały, tym mniej wieszczyc (*Oligostomis*), otworówek (*Rhyacophila*), strzębocików (*Limnophilus*) i innych chruścików ukazywało się, a nareszcie zapadająca noc pokryła wszystko.

Miałem już udać się na spoczynek, gdy w oddali rozlało się mdłe światło. Na razie nie wiedziałem, co sądzić o zjawisku: czy to owad świecący, czy próchno, ale prędko zrozumiałem, że ani jedno, ani drugie. Gdyby je wydawał owad albo glista świecąca, poruszałoby się i świeciło błękitnym odcieniem; gdyby wychodziło z próchna, nie byłoby tak silne, miałyby także inny kolor. Było to więc zupełnie co innego.

Czyżby lord Puckins?...

Myśl ta przebiegła mi po głowie niby prąd elektryczny. Uczulem, że słabnę z wielkiego wrażenia. Nogi ugięły się pod mną i w zbytku wzruszenia padłem na kolana, wznosząc bezwiednie oczy w głąbię usianą miriadami²⁹⁷ światów tajemniczych. Jakiś magnes pociągał mnie ku nim i długo pozostałem zatopiony w niemej modlitwie dziękczynnej.

Było mi tak błogo, tak rozkosznie, że dopiero lży radości, co oczy zasłoniły, wyrwały mi z piersi głuchy okrzyk: »Dzięki ci, Boże!«

Głos własny oprzytomnił mnie. Spojrzałem w stronę światła i serce bić mi przestało.

Widnokrąg był ciemny jak przedtem.

XXIII. ŁUNA. SYGNAŁ. POJEDYNEK

Czyżby mnie zmysły łudziły?

Przed chwilą wyraźnie widziałem blask czerwony. Przysięgłbym, że była to odpowiedź na mój sygnał. A teraz ciemność nie pozwala nawet sprawdzić, czy nie uległem złudzeniu.

A może lordowi przytrafiło się coś podobnego, jak mnie wczoraj?

Uporczywie uchwyciłem tę myśl szczęśliwą, nie tracąc nadziei, że jeszcze ujrzę poządane światło.

²⁹⁶koniki polne (*Tettigoniidae*) — obecnie: pasikoniki. [przypis edytorski]

²⁹⁷miriada (z gr.) — grecki liczebnik oznaczający dziesięć tysięcy, używany zwykle w liczbie mnogiej na określenie ogromnej, trudnej do policzenia liczby czegoś. [przypis edytorski]

Wlepiłem tedy wzrok w ciemności i postanowiłem czuwać. Podniecenie nerwów sprawiło, że zaraz w ciągu pierwszych minut dostrzegłem światło; były to jednak złudzenia wyobraźni i wzroku. Upłynął z kwadrans, gdy nagle zrozumiałem, że źle spędzam drogie chwile. Rozsądny człowiek, bez względu na to, czy się myli, czy nie, powinien oddać sygnał, a wtedy może z większą pewnością oczekiwać odpowiedzi.

Łatwiej jednak czuć potrzebę takiego kroku aniżeli go wykonać.

Nie miałem pod ręką nic przydatnego do rozniecenia ognia prócz torebek mchowych.

I byłbym może do rana pracował na gałązkach mchu, gdyby mnie jakiś duch dobry nie natchnął szczęśliwszą myślą.

Wystrzelę — jeśli prezes ekscentryków biwakuje blisko, może usłyszy... Zwróciłem już łufę w kierunku znikłego światła, ale nagle opuściłem rękę.

W głębi rozlała się czerwona luna. Nie było już wątpliwości, że lord żyje. Łatwo pojmiesz moją radość z tego powodu. Strzeliłem na wiwat i wpatrzyłem się w czerwone blaski z taką lubością²⁹⁸, z jaką Kolumb pożerał wzrokiem brzegi Ameryki.

Łuna tymczasem wbrew oczekiwaniom moim przybierała coraz to większe rozmiary i doszła do tego natężenia, że zwątpiłem, aby mogła być dziełem Puckinsa.

Na dolince wyraźnie wszczął się pożar, oblewający luną coraz szerszą okolicę. Cóż by się tam paliło — myślałem zaniepokojony i struchlały zarazem — chyba nie mchy i granit?

O zarodnikach mchów nie pomyślałem nawet. Gdybym przypuścił, że lord przewidział potrzebę sygnału i gromadził palny materiał przez tydzień cały albo dłużej, to jeszcze nie zdołałby zebrać ilości potrzebnej do wywołania takiego pożaru, jaki miałem przed oczyma.

Długo jeszcze patrzyłem na groźne widowisko, w końcu żółte blaski przygasły mocno, znów się rozjaśniły i znowu osłabły, aż po kilkakrotnym wahaniu utonęły w ciemnościach.

Nie umiałem wprawdzie wytłumaczyć sobie źródła ognia, nie wątpiłem jednak, że wzniciła go ludzka ręka, a ze wszystkich ludzi jeden tylko lord Puckins mógł się znajdować w tej miejscowości. Uradowany, ale zarazem niespokojny, nie byłem w możności zamknąć znużonych powiek. Godziny leniwie mi płynęły, gdy naraz po północy zerwał się wiatr i wzmagając się ustawicznie, w godzinę doszedł do niepojętej potęgi. Wiał z przerwami i po kilkuminutowej ciszy nadbiegał znowu z świstem i łoskotem, trzęsąc całym lasem ziół. O godzinie drugiej z ołowianych chmur, napędzonych tym wichrem, luną deszcz obfity i wraz z wiatrem trwał do rana.

Cóż to była za noc! Nie zapomnę jej do śmierci.

Dla mnie, zarówno jak dla całego świata owadów, był to straszny kataklizm natury, prawdziwy potop, w którego nawałności zginęły krocie najrozmaitszych istotek. Przez kilka długich godzin spadały duże i okrągłe bryły wody z tak ogłuszającym hukiem, że cały las drżał i ugiął się pod ciężarem cetnarowych pocisków deszczowych.

Ile tysięcy mieszkańców zginęło od tej nawałnicy — któż to obliczy?

Dla większej części owadów każdy deszcz stanowi ważniejszą w życiu epokę niż dla ludzi trzęsienie ziemi i powódzie w rodzaju tych, co w Chinach pozbawiły dachu pięć milionów ludzi.

Usadowiony szczęśliwym trafem na twardym liściu, pod osłoną kilku innych wielkich parasoli, przetrwałem szczęśliwie potop, ale długo jeszcze, choć wróciła pogoda, nie mogłem opuścić schronienia, bo staczały się z górnych pięter puszczy krople deszczowe i formowały na dolnych liściach tysiączne sadzawki, jeziorka i strumyki.

Dopiero gdy nadmiar wody stoczył się na samo dno puszczy, a słońce dziwnie prędko zaczęło zmniejszać bryły i bryłki wodne (krople wody) i gdy najmniejsze ulotniły się bez śladu, a przygięte ciężarem wody liście poprostowały się dumnie, ośmieliłem się opuścić schronienie i ruszyłem w kierunku nocnej luny.

Wraz ze mną powychodziły z kryjówek wpółmartwe ze strachu owady.

Po deszczu nastąpiła najpiękniejsza pogoda i upał jeszcze większy od wczorajszego.

Za jedyny, ale najlepszy drogowskaz służył mi karłowaty świerczek, jaki zauważyłem jeszcze wieczorem w stronie, gdzie się później pokazała luna.

Rad bym lotem ptaka przebyć przestrzeń dzielącą mnie od Angliki, ale podróż wydała mi się nieznośna jak nigdy, a wkrótce zagroził mi drogę wezbrany, jak po deszczu, strumyk, wąski wprawdzie, ale wystarczający do doprowadzenia mnie w najgorszy humor.

²⁹⁸ *lubość* (daw.) — zadowolenie, przyjemność; rozkosz. [przypis edytorski]

Nie było innej rady, jak udać się brzegiem w górę i szukać przeprawy.

Zabrało mi to znowu sporo czasu, nareszcie znalazłem miejsce gęściej zarośnięte przez mchy i po ich czubkach dostałem się na drugą stronę.

Nic mnie już po drodze nie obchodziło, cała myśl zajęta była pytaniami: czy trafię do lorda, czy przetrwał szczęśliwie ulewę i czy będzie czekał na mnie? Przeskakiwałem bez opamiętania zapory i zadyszany tyle tylko odpoczywałem, ile było niezbędne, aby nabrać tchu.

Kiedy niekiedy nawoływałem z całych płuc.

Ochrypnięty i ledwo żywy, nie spostrzegłem, jak stanąłem na wyżynie, z której wzrok objął nagle dziwny widok. Po lewej stronie wznosiła się długa granitowa ściana, niby obelisk powalony ręką olbrzymów. Obelisk ułożył się na ziemi ukośnie, w taki sposób, że stanowił mocno pochyły mur, który długim i równym swoim bokiem, niby spadzistym dachem, okrywał z jednej strony przyległą część gruntu i tworzył nad nią osłonę przed deszczem i promieniami słonecznymi.

Pod opiekuńczym cieniem tej ściany zgromadziły się liczne zioła i wdzięczne paprocie, z górnej zaś krawędzi, niby z brzegu dachu, ze wszystkich szpar i rozpadlin zwieszały się kępki mchów oraz gałązki ziółek drobnych. Cała przestrzeń po prawej stronie, naprzeciwko tego wału, była gładką równiną, pozbawioną wyższej roślinności i uderzała mnie jakimś monotonnym, szaroczanym kolorytem. Jeszcze nie objąłem jej baczny wzrokiem, nie wiedząc na razie, w którą stronę zwrócić swe kroki, gdy spojrzenie me padło na kilka jętek, rozciągniętych bez życia. Jeszcze dalej dostrzegłem zwłoki licznych nocnych owadów. Były one dziwnie pokurczone, niektóre dawały jeszcze znaki życia.

Aby uniknąć przykrego widoku, ruszyłem naprzód, omijając trupy, ale zamiast mniej, coraz ich więcej napotykałem. Przyśpieszyłem kroku, kierując się ku pochyłej skale, i po kilku minutach znalazłem się pod sklepieniem. Tu dopiero krew ścięła się w mych żyłach. Ziemia, mchy i porosty literalnie zasłane były warstwą dogorywających komarów, chruszcików, nocnych motyli i chrząszczy. Pod ścianą, długą na kilkaset kroków, warstwa ta grubiała i przemieniała się w rodzaj zaspy śnieżnej. Najbliższy liść paproci zasypany był do połowy zwłokami. Inne rośliny w podobny sposób tonęły w powodzi martwych lub konających owadów. Nie mogłem pojąć przyczyny nagromadzenia tak różnorodnych ofiar i dopiero baczniejsze rozejrzenie się po okolicy pozwoliło mi dostrzec naprzeciwko granitowej ściany ślady zniszczenia na okolicznych mchach i ziołach. Do połowy poopalanе szkielety, zwisłe łodygi i pokurczone liście zbyt wyraźnie świadczyły, że zapożnały się z ogniem. Zrozumiałem, że jestem na miejscu wczorajszego pożaru, i ogarnęło mnie zdumienie nad rozmiarami klęski. Szaroczarna równina była pogorzelskiem. Spalona płaszczyzna ciągnęła się dalej, niż wzrok mój sięgał.

Odkrycie to wywarło na mnie wrażenie piorunujące. Nie zastanawiałem się ani przez chwilę, co mogło podsycać płomienie — wiedziałem, że jedna tylko ręka ludzka wznicić je była w stanie, a ta ręka należeć musiała... do lorda Puckinsa.

Serce ścisnął mi się ból dotkliwy i smutnym wzrokiem powiodłem dookoła. Domyśliłem się sprawcy nieszczęścia — teraz bezwiednie pragnąłem ocenić doniosłość klęski, a może wmówić w siebie, że nie była znowu zbyt wielka.

Ale niestety, niebo odmówiło mi tej ulgi. O paręset kroków, przyparty jednym bokiem do ściany, wznosił się półokrągły, nagi pagórek, na który zrazu nie zwróciłem uwagi. Całe to miejsce dzięki swemu położeniu zasłonięte było od wiatrów i sloty tak dobrze, że nie pozostało nawet śladów nocnego deszczu. Pagórek był mrowiskiem i okrywały go gromadki mrówek krzątających się gorączkowo i zdradzających nadzwyczajne wzburzenie. Wynosiły co chwila z korytarzy nieruchome towarzyszek i odciągały wśród największych wysiłków jak najdalej od mrowiska. Potykały się i przewracały do góry nogami na nierównościach gruntu, ale przeszkody nie tylko ich nie zrażały, lecz przeciwnie, podniecały. W jednym miejscu kilka uczepiło się u zwłok chruszka, który im padł na powierzchnię gniazda, i biorąc go może za przyczynę klęski, z największą zjadłością szarpało i odciągało na bok...

Znaczna liczba poduszonych od żaru mrówek rozrzucona była dookoła mrowiska, a niektóre drganiem członków okazywały resztki kołającego się w nich życia. Serce potwornie ścisnęło mi się na ten widok.

A więc do wczoraj była tu jeszcze kwitnąca i szczęśliwa osada, życie kipiało, a karne stowarzyszenie cieszyło się dobrobytem, na jaki świat mrówek zdobyć się może.

I przyszedł jeden człowiek, małeńka i wątła istota, ale samolubna i okrutna jak żadna inna na świecie, i natychmiast posiał zniszczenie w tym zaciszu! Co za klątwa nad nim ciąży — pomyślałem z goryczą — że gdzie stąpi, znaczy swe ślady krzywdą innych istot!

Rozmyślnie czy bezwiednie, ciągle popełnia zbrodnie, jedną od drugich okrutniejszą.

Raz stanąwszy na stanowisku bezstronnego sędziego ludzkiej chciwości i egoizmu, przestraszyłem się prawie własnych myśli i zadrżałem z oburzenia na wspomnienie człowieka, dla którego aż tu przybyłem. Poczułem srogi żal do lorda Puckinsa.

Więc to jest człowiek tak zimny i okrutny, że nie zawahał się zostać podpalaczem puszczy? Mordercą tysięcy niewinnych istot, aby tylko ratować siebie jednego?!

Skazał je na straszne męki dlatego, aby blaskiem żywych pochodni dać wiadomość o swym nędznym istnieniu?

Usprawiedliwiłbym czyn podobny, gdyby go dokonał przy zwykłym swoim wzroście, bo byłoby to mimowolne lekceważenie »drobiazgu«, ale tutaj lord Puckins stał się zbrodniarzem świadomie, podpalił nie drobny szmat ziemi, ale puszcę zamieszkałą przez równe sobie pod względem wzrostu istoty.

I pomyśleć tylko, że ratowałem egoistę, co piecze żywcem tysiące istot, bawiąc się zapewne widokiem ich straszego konania!

Czymże on lepszy jest od Nerona²⁹⁹ i królów Dahomeju³⁰⁰?... A ja, naiwny, sądziłem, że podaję rękę pomocy »człowiekowi«.

Gniew wielki wezbrał w mym sercu, a wiadomo przecież, co to jest gniew małego człowieczka. Olbrzym jest zawsze łagodny — przeciwnie, każdy Wołodyjowski³⁰¹ im mniejszy, tym ognistszy i »czupurniejszy«....

Gdzież on jest, ten podły morderca? Niech go zobaczę, aby powiedzieć, że gardzę nim.

Obszedłem całą skałę dookoła, nawoływałem, ale wszystko na próżno; zbrodniarz musiał zgorzeć³⁰² ze swymi ofiarami.

To przypuszczenie wykrzesало w mym sercu iskierkę litości. Czy czasem okrutnik, poparzony lub pokaleczony, nie kona gdzie w bliskości? Zawszeć to człowiek i jako taki godzien miłosierdzia i uczciwego pogrzebu.

Zabrałem się na nowo do szukania, aliści³⁰³ widzę nie dalej jak o trzydzieści kroków, pod sklepieniem szerokiego liścia, niby w cienistej a obszernej altanie, skuloną postać ludzką, z głową wspartą na dłoni. Zwrócona bokiem do mnie, siedziała na przezroczystym ziarnku kwarcu, w głębokim zadumaniu czy też śnie pogrążona, oparta łokciem o kolano. Twarz ukryta była w dłoni.

Nieruchoma postać odziana była w marynarkę koloru morza, zdobną w pomidorowe, szerokie kraty. Z boku, w troczkach spoczywał zielony pled w niebieskie kraty. Dolne ubranie, piaskowej barwy, upiększały pasy przypominające szczypiorek. Głowę osłaniał kask korkowy³⁰⁴ śmietankowego odcienia, przybrany białym woalem, zakrywającym, zamiast twarzy, tył głowy i plecy.

Uniform ten, czysto angielski, upewnił mnie, że postać, którą ujrzałem, była lordem Puckinsem.

²⁹⁹ *Neron*, właśc. *Nero Claudius Caesar Augustus Germanicus* (37–68 n.e.) — cesarz rzymski od 54, za sprawą prześladowania chrześcijan przedstawiany jako symbol okrucieństwa władzy; po pożarze, który w 64 zniszczył znaczną część Rzymu, rozpoczął wielkie prace budowlane, wytyczył nowe szerokie ulice i zbudował olbrzymi pałac, co wywołało pogłoski, że sam kazał podpalić miasto. [przypis edytorski]

³⁰⁰ *Dahomej* — historyczne państwo w Afryce Zachodniej, istniejące ok. 1600–1904 na obszarze dzisiejszego Beninu; *Czymże on lepszy jest od (...) królów Dahomeju*: zapewne odniesienie do epizodu z II wojny Francuzów z Dahomejem (1892–1894), kiedy Behanzin, król Dahomeju, wobec przewagi wrogiej armii, która zbliżyła się do stolicy kraju, Abomey, ewakuował ludność, wycofał się ze swoim wojskiem i spalił miasto, by nie wpadło w ręce nieprzyjaciół. [przypis edytorski]

³⁰¹ *Wołodyjowski* — postać literacka, jeden z głównych bohaterów *Trylogii* Henryka Sienkiewicza: niezrównany szermierz niskiego wzrostu. [przypis edytorski]

³⁰² *zgorzeć* — spłonąć, spalić się. [przypis edytorski]

³⁰³ *aliści* (daw.) — ale, jednak. [przypis edytorski]

³⁰⁴ *kask korkowy* — rodzaj kapelusza (kasku) wykonanego z pokrytego płótnem korka, dobrze izolującego głowę przed wpływem promieni słonecznych; od poł. XIX w. używany przez Brytyjczyków w krajach kolonialnych o gorącym klimacie, później także przez innych Europejczyków. [przypis edytorski]

A więc to on! — pomyślałem, nie wiedząc, czy zostawić go w spokoju, czy też wyniosłe zbliżyć się do niego.

Serce uderzyło mi mocno, oburzenie wzrosło i uznałem za stosowne przede wszystkim powiedzieć mu, że jest nędznikiem.

— Panie! — zawołałem, oczekując, aż się na głos ludzki odwróci, ale żadnej nie otrzymałem odpowiedzi.

Śpi, czy nie żyje? — pomyślałem i powtórzyłem wezwanie, znowu na próżno.

Wołając bezskutecznie, zbliżyłem się nareszcie o dwa kroki i położyłem rękę na jego ramieniu.

— Żyjesz wacpan, czyś już nieboszczykiem? — krzyknąłem po angielsku z całych płuc.

Nieznamy podniósł ociężale głowę i zwrócił do mnie obojętną twarz bez wyrazu.

— Jestem — odrzekł głucho, nie poruszając się z siedzenia. — Kto mnie woła?

— A! Chcesz pan, abym mu się przedstawił? Dobrze! Stoi przed panem Jan Muchołąpski, ten naiwny, który przybył tu, aby pana ocalić, ale przed chwilą spojrzawszy dookoła, zmienił zamiar.

Lord Puckins wstał i zdejmując sztywnym ruchem kapelusz, złożył mi wyszukanie grzeczny ukłon.

— Wdzięczny mu jestem za uprzedzenie mego życzenia. Zapewne nic więcej nie masz pan do powiedzenia.

— Nic nad to, że mocno żałuję, że pana poznał.

Lord Puckins dumnie się wyprostował. Oko błysnęło mu gniewem i brwi się groźnie zbiegły.

— Panie — zawołał sucho. — Jeżeli jesteś szlachcicem, miarkuj swe słowa.

— Jestem człowiekiem honoru, a czy szlachcicem, o to mniejsza; w moich oczach pan nim być przestałeś...

Lord Puckins pobałdł, wargi mu zadrżały, potem zmierzył mnie spojrzeniem, które wywołało gorącą falę krwi na twarz moją, i zaznaczając każdą sylabę, rzucił mi ciężką obelgę.

— Kłamiesz pan! — rzekł dobitnie. — Jeżeli zaś jesteś człowiekiem honoru, zdasz mi ze słów swoich rachunek!

— Uczynię panu ten zaszczyt — odrzekłem, hamując wzrastające oburzenie. — Proszę mną rozporządzać!

— Dziękuję — odrzekł Anglik i przybrał lodowatą minę. — Ponieważ nie mamy świadków, musisz pan sam podyktować warunki spotkania. Oczekiwać będę na pańskie rozkazy w bliskości, a teraz żegnam.

— Bardzo dobrze — odrzekłem — ale ponieważ pragnę rozprawić się jak najprędzej, więc daruj pan, że go zatrzymam na chwilę, zapytując, czy masz pan rewolwer.

— Tak jest.

— Wyśmienicie! Więc będziemy się strzelać... wszak zgoda?

— Zanim to nastąpi, powiedz mi pan naprzód, jaka jest średnica pańskich ładunków?

— Dziewięć milimetrów.

— W takim razie żałuję bardzo, ale strzelać się nie mogę.

— Jak to? Cofasz się pan?

— Nie, lecz kaliber pańskiej broni jest za wielki?

— Za wielki!? — wykrzyknąłem w podziwie. — Więc uważasz pan mój kaliber za nieodpowiedni do pańskiej broni?

— Nie inaczej; mój rewolwer jest tylko siedmiomilimetrowy...

— Ależ to bagatel! Kula siedmiomilimetrowa tak samo zabija, jak pocisk dziewięcio-, a nawet dwunastomilimetrowy; zresztą, jeśli uważasz pan różnicę kalibru za lepszą szansę po mojej stronie, chętnie biorę broń pańską.

— To niemożliwe!

— Dlaczego?

— Ponieważ ostatni ładunek wystrzeliłem wczoraj, a pańskie nie zdadzą się do mej lufy.

Masz tobie! — pomyślałem. — Powód odmowy poważny, a ja sądziłem, że Anglik się cofa.

— To rzeczywiście bardzo przykre — odrzekłem — wszak białej broni także nie posiadamy...

— Nie frasuj³⁰⁵ się pan tą bagatelą przeszkodą — odezwał się syn Albionu — chociaż jestem nieprzyjacielem wszystkiego, co amerykańskie, w wyjątkowych przecież razach przyjmuję niektóre zwyczaje Jankesów³⁰⁶... Namyśl się pan, oczekuję go, gdzie wskazałem poprzednio.

— Rozumiem, ale zwłoka niepotrzebna i załatwimy się zaraz. Pociągniemy losy. Kto wyciągnie węzełek, otrzyma rewolwer i z odległości dwudziestu kroków ma trzy strzały do przeciwnika. Czy zgoda?

— Wolalbym coś radykalniejszego — mruknął Anglik, wydymając z lekceważeniem wargę — ale trudno, pan decydujesz, więc... przystaję...

— Czy możemy zaczynać?

— I owszem.

— A więc dobrze. Przyznam się panu, że wszystko nader wygodnie się składa. Płynu Nureddina mamy tylko na jedną osobę, zwycięzca więc wypije go i wróci spokojnie między ludzi. Pozostały na placu towarzysz nie zrobi mu już żadnego kłopotu ani żalu. Same losy rozstrzygną drażliwą naszą kwestię bytu.

Obrałem miejsce i odmierzyłem metę.

Lord tymczasem obejrzał i nabił broń. Gdy wszystko było przygotowane, zawiązałem na chustce węzełek, ukryłem ją w dłoni i dwa wystające końce chustki podałem przeciwnikowi do wyboru.

— Jak pan sądzisz? Na którym węzełek? — zapytał, spoglądając spokojnie w twarz moją.

— Wybieraj pan, a wnet zaspokoisz ciekawość — odrzekłem chłodno.

— Biorę lewy; gotów jestem założyć się, że jest z węzełkiem. Czy chcesz pan trzymać zakład?

— Ależ panie, w takiej chwili... między... nami...

— Dla Anglika każda chwila dobra jest do zakładu, propozycja zaś moja warta zastanowienia. Posłuchaj pan: kto przegra, otrzyma broń...

— Dziękuję, nie jestem sportsmenem.

— Więc pan stanowczo odmawiasz?

— Stanowczo!

— Szkoda, zdaje mi się, że pan pożałujesz... Zatem proszę o lewy koniec.

— Z węzełkiem.

— A widzisz pan! Wszak mówiłem, że mam bajeczne szczęście; a przy tym niezłym jestem strzelcem, warto się było założyć — odezwał się lord i utarł nos z takim spokojem, jakby przed chwilą nie chodziło o życie jednego z nas.

Chłód ten palił mnie. Stałem jak na rozżarzonych węglach. Zapomniałem, że chwile życia mego są już policzone, irytowała mnie tylko zimna krew Anglika, z jaką igrał nad brzegiem przepaści, i fatalność, że triumfował.

XXIV. GENIALNA MYŚL. NOWY SKARBIEC KULINARNY. UPERFUMOWANY MOTYL

Lord Puckins schował do pugilareshu³⁰⁷ dwa naprędce napisane ołówkiem listy moje, zawierające ostatnie rozporządzenia na wypadek śmierci; odłożyłem także w bezpieczne miejsce flakonik Nureddina, stanęliśmy na mecie i ujrzałem czarny otwór lufy, skierowany pewną ręką w pierś moją.

Od chwili, która oddała mnie na pastwę kuli, nie zamieniliśmy już ani słowa.

Nie podaliśmy sobie nawet ręki.

³⁰⁵frasować się (przestarz.) — martwić się. [przypis edytorski]

³⁰⁶Jankes (z ang. yankee) — potoczne określenie Amerykanina, czasem używane jako pogardliwe. [przypis edytorski]

³⁰⁷pugilaresh (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

Polecając ducha Bogu, stałem odważnie i z rezygnacją naprzeciw zabójczej broni. Magnetyczny jakiś pociąg nie pozwolił mi oderwać wzroku od tego przedmiotu. Mój Boże! Czym³⁰⁸ wczoraj spodziewał się, że tę samą lufę, której używałem dla ocalenia lorda, skieruje on w bezbronną pierś moją? Zaczęło mi się wreszcie dwoić w oczach; widziałem już nie jeden, ale dwa czarne otwory! Powiększały się do rozmiarów wylotu armatniego i malały na przemian, potem zrobiło mi się gorąco i zaszumiało w głowie.

Przeciwnik mierzył stanowczo za długo. Czekałem jeszcze dobrą chwilę na wystrzał, nareszcie przebrała się miara mojej cierpliwości.

— Kończ pan! — zawołałem.

— Natychmiast! — odrzekł Anglik, opuszczając rękę. — Lecz daruj pan, że go zapytam: za co ja właściwie mam pana zabić? Nie rozumiem dobrze, o co nam poszło...

Otworzyłem szeroko oczy. Spodziewałem się prędzej świstu kuli niż tak naiwnego zapytania.

Lord tymczasem zbliżył się do połowy mety i utkwiał pytający wzrok w mych oczach.

— Jeśli panu chodzi o przedłużenie mych męczarni na progu wieczności, to przypominam, że jesteś pan nikczemną istotą, niegodną nosić wzniosłe miano »człowieka«.

— Na czymże pan gruntujesz swój sąd surowy? Wszak poznaliśmy się dopiero przed chwilą?

— Oto świadkowie zbrodni, jaką pan nikczemnie popełniłeś! — zawołałem, wskazując na wijące się w pobliżu ofiary.

Lord spuścił głowę i milczał.

— Teraz, skoro pan już wiesz, o co nam chodzi, proszę na miejsce. Skończmy tę przykrą scenę.

— Ależ ja do pana strzelać nie mogę! Miałeś pan słuszość, uważając mnie za nędznika. Czyż za to masz ginąć? Pozwól raczej ucisnąć dłoń najwspaniałomyślniejszego człowieka, jakiego w życiu spotkałem.

— Ależ panie!...

— Nie przerywaj pan, raczej przebac. Kto tak stoi na placu, jak pan stałeś, ten złożył dowód niezwykłego męstwa i szlachetności. Pokonałeś mnie pan, winienem więc ze swej strony uczynić ofiarę, ciężką ofiarę i upokorzyć się przed panem.

— Nie rozumiem.

— Domyślam się, że posądziłeś mnie pan o rozmyślne okrucieństwo... wszak prawda?

— Rzeczywiście tak jest...

— Otóż zanadto byłem dumny, aby zniżyć się do tłumaczeń; zresztą nie wierzyłbyś mi pan wtedy i pogardził tchórzem.

— Więc to nie pan podpaliłeś mrowisko?! — zawołałem zdziwiony.

— Wiatr to uczynił, niestety! Zapaliłem, aby odpowiedzieć na pański sygnał, jedną z odosobnionych a suchych gałęzi płucnika (*Lobaria pulmonaria*). Sądziłem, że spłonie sama i zagaśnie, ale stało się inaczej... Od niej wiatr rozniósł płomienie na całe pole tego porostu, a piekielny żar poopalał wszystkie owady, które zwabione blaskiem tłumnie kierowały swój lot w te strony. Ten sam żar, niesiony wiatrem, dokonał zniszczenia w mrowisku...

— Prawdaż to? — krzyknąłem uradowany i wyciągnąłem rękę do przeciwnika.

— Potomek Puckinsów popełniał różne szaleństwa, ale kłamstwem się nie splamił! — odrzekł Anglik, prostując wyniosłą postać.

Po tym niespodziewanym wyjaśnieniu uścisnęliśmy sobie gorąco dłonie, puszczając w niepamięć nieporozumienie, które o mało się nie skończyło tragicznie.

Oddaliliśmy się potem w gąszcz leśny, aby już nie patrzeć na smutne szczątki katastrofy, i teraz dopiero posypały się zapytania, odpowiedzi i opowiadania o przebytych przygodach. Nie spostrzegliśmy, jak nadeszło południe, i lord pierwszy pomyślał o posiłku.

— Kaducznie³⁰⁹ jestem głodny! — odezwał się, przerywając mi moje opowiadanie o nadwodnym więzieniu. — Warto by pomyśleć o obiedzie. Co pan jadasz?

³⁰⁸ Czym (...) spodziewał się — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: Czy (...) spodziewałem się. [przypis edytorski]

³⁰⁹ kaducznie (daw) — diabelnie, piekielnie, bardzo; od *kaduk* (daw.): diabeł. [przypis edytorski]

— Co się da. Dopóki starczyło zapasów w tornistrze, jadłem chleb, wędlinę i bulion, popijając to wszystko koniakiem, starym winem i wodą z rosy. Przez parę dni ostatnich żyłem miodem kwiatowym i żółtkiem jaj motyli. Wczoraj pościłem. Wieczorem tylko dogryzłem ostatni suchy kawałek chleba.

— Stołowałeś się pan zupełnie tak samo jak ja, z tą tylko różnicą, że ja od dwóch już tygodni żyję samymi jajkami i wydoskonałem się w przyrządzaniu tej potrawy jak prawdziwy smakosz. Wiem, które są smaczniejsze. Początkowo trafem skosztowałem z głodu jakieś pęknięte, duże jajko, mocno przylepione do gałązki. Znalazłem je bardzo smacznym i pożywnym. Później, poszukując na próżno takiego samego, poznałem mnóstwo innych. Jedne spotykałem pojedynczo przytwierdzone do liści, inne gęsto porozrzucone bez widocznej symetrii; spotykałem także gałązki szczelnie oblepione jajeczkami, niby plaster miodu. Kształty ich były, tak samo jak wielkość, bardzo rozmaite. Kulista, stożkowata, pieńkowata lub barylkwata ich powierzchnia była gładka lub usiana dziwacznymi krawędziami, żeberkami lub siatką. I barwą nawet wielce się różniły między sobą. Żółte, zielone, niebieskie i czerwone walczyły o palmę pierwszeństwa, choć najczęściej zdarzało mi się widzieć białawe lub perłowe! Niektóre upiękzone były kropkami, kolcami, żyłkami i najpiękniejszymi ornamentami geometrycznymi. Spotykałem tak prześliczne, że trudno by uwierzyć, że są to jajeczka, gdyby nie moja przenikliwość, zaostrzona apetytem. Nigdy nie przypuszczałem, aby i w tym kierunku natura była niewyczerpana. Nie wiem, czy słusznie, bo nie znam się na tym, ale wyrobiłem sobie przekonanie, że musi być ich tysiące odmian podobnie rozmaitych, jak nasiona roślin.

— Masz pan zupełną słuszność, milordzie, i muszę panu oddać sprawiedliwość, że bystrym jesteś spostrzegaczem. Choć nie przyrodnik, doszedłeś pan do tego samego przekonania, jakie wypowiedział znakomity znawca i miłośnik jaj owadzych, Leuckart³¹⁰.

— Powiadasz pan miłośnik; czy i on te jajka jadał?

— Ależ cóż znowu! Nazywam go miłośnikiem, nie zaś, jak pana, amatorem, a to dlatego, że choć nie kosztował zapewne tego specjału, pracował z zamiłowaniem nad zbadaniem anatomicznej budowy jajek i zostawił nam przepysny atlas z wyobrażeniem najróżniejszych kształtów, które tak słusznie praktycznego Anglika zachwycają, łączą bowiem pożyteczne z przyjemnym.

— O tak, wielkie to dobrodziejstwo natury te jajka. Doprawdy, cała okolica, w której błędę, wydaje mi się olbrzymim stołem biesiadnym. Gdzie się zwrócę, wszędzie mam gotową spiżarnię, oczekującą tylko na ostry nóż spożywcy. Ale, *à propos*³¹¹, wiesz pan co? Byłoby daleko przyzwolciej ze strony owadów, gdyby składały miększe jajka. Ich skorupa, chociaż zachwyca barwami i wzorzystością, jest stanowczo za twarda. Chcąc się posilić, trzeba — niby nad orzechem kokosowym — dobrze się wprzód napracować.

— Pancerz chitynowy, o którym pan mówisz, a który osłania żółtkową skórę i samo żółtko, oddaje też nieocenione usługi owadom. Gdyby nie ta nieprzemakalna, elastyczna, a zarazem mocna skorupa, pomyśl pan, czy mógłby zarodek, wystawiony na wpływy atmosferyczne i przeróżne niebezpieczeństwa, przetrwać do właściwej pory? Wszak najpowszechniej bywa, że jajko, złożone w lecie lub jesieni, musi zimować i dopiero w następnym roku rozwija się w pewnych warunkach i miesiącach.

— To prawda...

— Miliony jajek i tak giną marnie, gdyby zaś jeszcze nie były twardymi orzechami, można być pewnym, że wszystkie owady prędko by wyginęły.

— I nie mielibyśmy co jeść!

— O nas mniejsza, ale gorzej byłoby z ptactwem i legionami innych zwierząt żyjących w zależności od owadów. Przestałyby one ożywiać nasze gaje, pola i lasy.

— To chyba być nie może; wszak zostałyby stworzenia roślinożerne i mięsożerne.

— Zapominasz pan, że jastrzębie i koty, w braku ptaków i zwierząt owadożernych, prędko by się załatwiły z niewinną rzeszą, a potem same pozdychały.

— Nie pomyślałem o tym! Ale zresztą mniejsza o wszystkie zwierzęta, gdy jesteśmy już razem i do tego głodni. Przecież nie będziemy pościli do wieczora, który nas powróci na łono świata cywilizowanego.

³¹⁰Leuckart, Rudolf (1822–1898) — niemiecki zoolog, autor prac o rozmnażaniu się owadów, pionier badań nad pasożytami. [przypis edytorski]

³¹¹*à propos* (fr.) — przy sposobności, w związku z tematem. [przypis edytorski]

— I ja sędzę, że byłoby to niepraktycznie, wyprawmy sobie tedy ostatnią ucztę. Mam jeszcze kilka kropli koniaku zachowanych na czarną godzinę; pokrzepimy się wyśmienicie. Zajmij się pan kuchnią, ja zaś obiorem kącik, gdzie nam nikt nie przeszkodzi.

Rozeszliśmy się wkrótce.

Lord przyniósł parę wielkich pomarańczy motyli do cienistego ustronia.

— Muszę się panu przyznać — odezwał się, rozcinając skorupę chitynową — że owa-
dzi pokarm przypadł mi bardzo do gustu. Nie dziwię się teraz mej ciotuni, lady Graham,
która podczas przechadzek po swym parku zjada każdego pajaka, jakiego napotka, z ta-
kim apetytem, jakby gryzła rodzyńki. Utrzymuje, że to prawdziwy specjał. Tego samego
zdania byli podobno sławny astronom Lalande³¹², pani Anna Maria Schurman³¹³ i wiele
innych dam i dżentelmenów.

— Nie dziwię się i ja gustowi pańskiej szanownej ciotki, gdyż słyszałem sam o pewnym
hamburczyku, który amatorstwo posunął tak daleko, że rozsmarowywał pajaki jak masło
na chlebie.

— Smacznego apetytu! No, ten Niemiec przynajmniej wrodzoną żarłoczność objawił
w nieszkodliwej dla pańskich rodaków araneofagii³¹⁴. Cóż by to było, gdyby osobnik tak
hurtowo załatwiający się z pajakami skierował swój apetyt na modną dziedzinę polono-
fagii³¹⁵.

Mimo woli uśmiechnąłem się na ten gorzki dowcip Anglika.

— Ma on dosyć wyręczyeli — odparłem z westchnieniem — co zaś do spożywania
owadów i pajaków przez ludzi, to muszę panu powiedzieć, że powszechniejsze jest ono,
niż się wydaje. Nie tylko święty Jan, o którym Pismo mówi, że „jadał szarańczę i miód
leśny”³¹⁶, był prawdziwym entomofagiem³¹⁷; Labillardière³¹⁸ opowiada, że mieszkańcy
Nowej Kaledonii³¹⁹ dzielą gust panny Graham na punkcie pajaków, z tą tylko różni-
cą, że przedkładają przypiekane na ogniu. Szarańcza zaś w Arabii bardzo często w czasie
głodu służy zamiast mąki. Mieloną ugniatają tam w podpłomyki i jedzą jak zwyczajny
chleb. Hotentoci³²⁰ cieszą się nawet, gdy do nich zaleci ta plaga, gdyż jedzą ją z takim
apetytem i tak dobrym skutkiem, że w oczach prawie nabierają tuszy. Liczne afrykańskie
plemiona jadają szarańczę soloną lub wędzoną. Maurowie³²¹ zaś twierdzą, że smaczniejsza
jest od gołębi i spożywają odgotowaną, a potem smażoną z octem i pieprzem jako wielki
przysmak.

Chińczycy, u których nic się nie marnuje, także nie gardzą pokarmem z owadów. Po
rozmotaniu kokonów poczwarki jedwabników przeznaczają do kuchni. Jedzą oni także
gąsienice trupich główek (*Acherontia atropos*) i niektóre inne gatunki motyli. Przypieka-
ne pędraki ogromnego chrząszcza tocącego drzewo (*Stenodontes damicornis*) uważane są
zarówno przez krajowców, jak białych mieszkańców w Surinamie³²², Ameryce i Indiach

³¹²Lalande, Jérôme (1732–1807) — wybitny francuski astronom. [przypis edytorski]

³¹³Schurman, Anna Maria (1607–1678) — niderlandzka uczona, poetka, malarka; pierwsza kobieta dopusz-
czona do studiów wyższych na europejskim uniwersytecie, poliglotka, znana z wyjątkowej wiedzy, propagująca
potrzebę edukacji kobiet. [przypis edytorski]

³¹⁴araneofagia (z łac. *araneus* i gr. *fagia*: zjadanie, pochłanianie) — zjadanie pajaków, pajakożerstwo; częściej:
arachnofagia, od gr. *arachne*: pajak. [przypis edytorski]

³¹⁵polonofagia (neol., z gr.) — polakożerstwo. [przypis edytorski]

³¹⁶święty Jan, o którym Pismo mówi, że „jadał szarańczę i miód leśny” — Mt 3, 4; mowa o Janie Chrzcicielu.
[przypis edytorski]

³¹⁷entomofag (z gr.) — zjadacz owadów, owadożerca. [przypis edytorski]

³¹⁸Labillardière, Jacques (1755–1834) — francuski przyrodnik, botanik, członek francuskiej ekspedycji do Oce-
anii i Australii. [przypis edytorski]

³¹⁹Nowa Kaledonia — francuskie terytorium zamorskie w zach. części Oceanu Spokojnego, ok. 1400 km na
wsch. od Australii. [przypis edytorski]

³²⁰Hotentoci — grupa rdzennych mieszkańców Afryki Płd., spokrewnionych z Buszmenami, prowadzących
koczowniczy tryb życia. [przypis edytorski]

³²¹Maurowie (hist.) — dawna europejska nazwa na określenie muzułmańskich mieszkańców Płw. Iberyjskiego
i płn.-zach. Afryki, z pochodzenia w większości Berberów (rdzennych mieszkańców Afryki Płn.). [przypis
edytorski]

³²²Surinam — państwo w płn.-wsch. części Ameryki Południowej, w XIX w. kolonia holenderska. [przypis
edytorski]

Zachodnich³²³ za bardzo smaczną potrawę. Na wyspie Jamajce nazywają je *makauko*, na wyspie św. Maurycego³²⁴ *mutak*.

Nawet termity³²⁵ stanowią obfity i zdrowy pokarm dla wielu afrykańskich narodów. Hotentoci jadają je zarówno na surowo, jak gotowane. Inne plemiona odmiennym sposobem przygotowują posiłek z białych mrówek. Grzeją je na sucho w garnkach nad ogniem, mieszając ustawicznie, w ten sposób, jak się u nas pali kawę. Smitman, który kilka razy jadł tak przyrządzone termity, zapewnia, że są słodsze od larw palmowego chrząszczyka (*Cordylia palmarum*) i zbliżają się w smaku do osłodzonych migdałów.

Wiele mrówek służy także za pokarm dzikim plemionom, a podróżnicy zgodnie zapewniają, że są bardzo smaczne.

Miedzy nimi sławna jest meksykańska mrówka miodowa (*Myrmecocystus mexicanus*), znana w Ameryce pod nazwą *busileras*. Gatunek ten, mający z początku odwłok normalnej wielkości, wkrótce tak się rozrasta, że odwłok tworzy rodzaj przejrzystej jagody, wielkości dużego grochu, napełnionej miodem. Owe słodkie brzuszki, oderwane od pozostałej części tułowia, podają mieszkańcy na stół jako wety³²⁶ i na wielu targach można stale dostać tego specjału.

— Kochany przyrodniku! To, com usłyszał, przekonywa mnie, że jesteś nie lada erudyta³²⁷, racz więc powiedzieć mi, czy to prawda, że starożytni Grecy jadali cykady³²⁸ i że te cykady należą do rodu pluskiew?

— I jedno, i drugie jest zupełną prawdą. Wszak sam Arystoteles³²⁹, a także Arystofanes³³⁰ wspominają o tym wyraźnie, a Aelianus³³¹ nawet gromił współczesnych za niewstrzemięźliwość w jedzeniu tych stworzeń, poświęconych Muzom³³². To było w starożytności. Obecnie Greków zastępują czerwonoskóre plemiona amerykańskie, które bardzo cenią ten przysmak.

— Powiedźże mi pan, dlaczegóż dzisiejsi Grecy zarzucili ten pokarm, jeżeli to takie dobre?

— Bo wyszedł z mody. Zresztą cykady jadalne, których ojczyzną są ciepłe kraje, w Europie żyją tylko na jesionach, a tych z powodu trzebieży³³³ coraz jest mniej. Bądź pan jednak pewny, że gdyby moda na cykady wróciła, pojawiłyby się z pewnością na stołach bogaczy.

Lord Puckins po tych słowach zamyślił się głęboko.

— Mam myśl! — zawołał po chwili milczenia, uderzywszy się dłonią w czoło. — Jeśli wszechwładna moda okaże się potężna i w dziedzinie kulinarnej, ziomkowie wystawią mi jeszcze za życia pomnik z napisem: »Dobroczyńcy ludzkości«.

— Nie rozumiem...

— A jednak to bardzo proste. Posłuchaj pan. Choć nie znam się na waszej nauce, zostałem przecież członkiem Stowarzyszenia Ogrodników Londyńskich i kilka razy byłem na jego posiedzeniach. Tak sobie, dla zabawienia się! Otóż pewnego razu nasłuchałem się obrad nad środkami skutecznego tępienia pędraków w roli i gąsienic na roślinach. Wywody jednego z członków poparte były strasznymi cyframi. Według niego roczne szkody wyrządzone przez owady w jednej Anglii przewyższają koszty utrzymania naszej marynarki. Struchlałem i zaraz wtedy pomyślałem, że byłby dobroczyńcą ludzkości ten, kto by

³²³Indie Zachodnie — dawna nazwa Karaibów, wysp w basenie M. Karaibskiego, nadana w XV w. przez wyprawiających się na zachód Europejczyków, którzy uważali, że wyspy te leżą blisko wybrzeży Indii; w szerszym znaczeniu: Ameryka. [przypis edytorski]

³²⁴wyspa św. Maurycego — Mauritius, wyspa na Oceanie Indyjskim; ob. główna część wyspiarskiego państwa Republiki Mauritiusu, w XIX w. kolonialna posiadłość brytyjska. [przypis edytorski]

³²⁵termity — zwane pospolicie białymi mrówkami. [przypis autorski]

³²⁶wety (daw.) — deser. [przypis edytorski]

³²⁷erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową. [przypis edytorski]

³²⁸cykada — rodzaj owada z rzędu pluskwiaków, którego samce wydają głośnie, przerywane dźwięki. [przypis edytorski]

³²⁹Arystoteles (384–322 p.n.e.) — grecki filozof i przyrodnik, najwszechstronniejszy z uczonych starożytności. [przypis edytorski]

³³⁰Arystofanes (ok. 445–ok. 385 p.n.e.) — grecki komediopisarz, najwybitniejszy z twórców komedii starożytnej. [przypis edytorski]

³³¹Klaudiusz Elian, łac. *Claudius Aelianus Praenestinus* (ok. 175–ok. 235) — rzymski pisarz tworzący po grecku; autor m.in. dzieła *O właściwościach zwierząt*, z ciekawostkami o różnych zwierzętach. [przypis edytorski]

³³²Muzy (mit. gr.) — boginie opiekuńki sztuk pięknych i nauki. [przypis edytorski]

³³³trzebież — wycinanie drzew. [przypis edytorski]

wymyślił pewną pułapkę na pędraki i gąsienice. Nieprawdaż, że takiego człowieka historia postawiłaby obok Pasteura³³⁴?

— Bez wątpienia. Znaczyłoby to więcej dla Europy niż odkrycie bogatych kopalni złota, ale niestety, jeden człowiek nic tu nie poradzi. Tu trzeba, aby każdy ziemianin i ogrodnik pojmował pożytek tępienia i umiał odróżniać szkodliwe owady od niewinnych.

— To nastąpi, bądź pan pewien, gdy tylko każdy ziemianin będzie widział bezpośrednie korzyści...

— Rozumiem! Myślisz pan o nagrodach, jakie mogłyby rządy wypłacać za niszczenie plag. Sposobu tego próbowano już, ale bez szczególnych skutków. Małe bowiem nagrody nie budzą zainteresowania, duże kosztują za wiele.

— Ja też nie o tym myślę. Mam coś lepszego i jeśli nam się pomysł uda, a pan swą radą dopomożesz, zostaniemy wielkimi dobrodziejami ludzkości.

— My będziemy?... Doprawdy, nie rozumiem pana...

— Zaraz panu objaśnię plan nowego stowarzyszenia, ale pierw bądź pan tak dobry i powiedz mi, czy gąsienice są jadalne?

— Jadalne są bezwarunkowo, skoro w nich smakują narody: ptasi i czworonożny...

— Ależ ja się pytam, czy je mogą ludzie bez szkody spożywać?!... Pytanie to niezmiernie wagi, bo od niego zależy rozwiązanie palącej kwestii. W razie pomyslnym Europa zyskałaby olbrzymie masy marnującego się zdrowego pożywienia i darmo uwolniłaby się od szkodników. Każdy ziemianin dostarczałby je na targi i zyskiwał podwójnie: dochód ze sprzedaży, a zarazem, co ważniejsze, większe plony. Na wypadek rozmnożenia się robactwa i nieurodzaju biedna ludność miałaby ucieczkę w spożywaniu nieprzyjaciół swego dobytku. W rezultacie podobnie postępowej gospodarki szkodliwe owady stałyby się rzadkością.

— Myśl pańska jest w istocie genialna, ale wątpię, czy należy do wykonalnych. Zdaje mi się, że nic nie zdoła przełamać wrodzonej odrazy do skosztowania tych pokarmów.

Lord uśmiechnął się nader wdzięcznie.

— Bądź pan spokojny o to — rzekł — kwestia leży w granicach prawdopodobieństwa. Trzeba tylko wziąć się roztropnie do dzieła i wpływać głównie przez sferę szyku i pleć piękną. Jej kaprysom wszyscy się poddają. Trzeba wyzyskać tę słabość i utworzyć Wielkie Międzynarodowe Stowarzyszenie Entomofagów, do którego należałoby wciągnąć wyższe towarzystwo. Mam już w myśli plan działania. Na początek wydalibyśmy szereg dzieł i odezw, przekonywających o wielkich korzyściach entomofagii; potem urządziłbyśmy odczyty i wzorowe kuchnie po większych miastach Europy. Skoro tylko ogół raz zasmakuje w nowych pokarmach, rozpowszechnią się one pod wszystkimi dachami. Że nie jest to mrzonką, dowodzi to, że cały świat elegancki spożywa najwstrętniejsze na pozór pokarmy. Ten, co z odrazą odwraca dziś wzrok od pająka, polyka ślinkę na widok homara, krewetki i langusty. A ostrygi, ślimaki, żółwie, żaby, jaszczurki³³⁵ Przecież cywilizowane i dzikie narody poczytują to wszystko za najprzedniejsze przysmaki. Czyż zaś wstrętne kraby, ze strasznymi kleszczami, galaretowate ostrygi i ślimaki estetyczniejsze są od pająka, pędraka lub niewinnej gąsienicy? Nie, cała tajemnica używania ich na wykwinnych stołach leży w tym, że kosztują drogo i że przyzwyczailiśmy się do tego modnego pokarmu. Jest przeto możliwe, że nawyklibyśmy i do gąsienic. Wreszcie, biorąc na zdrowy rozum, są to stworzenia daleko czystsze od nierogaczyny, drobiu i dziczyzny, gdyż żywią się wyłącznie pokarmami roślinnymi.

— Pojąłem już myśl pańską, milordzie, i zachwycają mnie twe rozumne słowa. Gdyby więcej tak dzielnych obywateli miała Anglia, mogłaby być dumniejsza niż z indyjskich

³³⁴Pasteur, Ludwik (1822–1895) — francuski chemik i mikrobiolog, prekursor mikrobiologii oraz immunologii; odkrywca mechanizmu procesu fermentacji, jako pierwszy opisał rolę, jaką odgrywają w nim mikroorganizmy; wykazał, że drobnoustroje występujące w powietrzu rozwijają z takich samych organizmów, co doprowadziło do ostatecznego obalenia teorii samoródtwa; wynalazca pasteryzacji, czyli sposobu oczyszczania produktu spożywczego z bakterii bez pozbywania się witamin; jego badania z zakresu wirusologii i bakteriologii przyczyniły się do opracowania szczepionki przeciwko wściekliznie. [przypis edytorski]

³³⁵A ostrygi, ślimaki, żółwie, żaby, jaszczurki? — w Japonii olbrzymia salamandra (*Cryptobranchus maximus*), dopóki nie została wytępiona, była ulubioną potrawą [obecnie: *Andrias japonicus*, dorastająca do ok. 1,5 m długości; nie została wytępiona, od 1952 objęta ochroną przez rząd japoński z uwagi na znaczenie kulturowe; red. WL.]. [przypis autorski]

podbojów! — zawołałem rozczulony i naraz uczulem silny piżmowy zapach, jaki nappełnił atmosferę.

Lord Puckins pociągnął nosem i skrzywił się niemiłosiernie.

— Znowu piżmo! Ależ to okropność! Wyobraź pan sobie, że choć nie znoszę tego zapachu, prześladowuje mnie prawie co dzień. Bez widocznej przyczyny i niespodzianie czuć się daje w powietrzu, aby po chwili zginąć tak samo tajemniczo, jak powstał. Powiedz mi pan, co za lichy zatruwa nam tak okropnie powietrze?

— Nie widziałeś pan, że przeleciał jakiś uperfumowany motyl, a wiatr przyniósł nam woń jego?

— Motyl? Ależ panie, chyba zmysły postradał, skoro się tak silnie perfumuje?

— Wcale nie; wybiera się tylko w zaloty.

— W zaloty? — zapytał lord, szeroko otwierając oczy.

— Nie powinno to pana dziwić. Przecież nie tylko kobiety lubią wonności i nie sami mężczyźni mają przywilej wyzyskiwania tej słabości. Tego samego sposobu zwracania na siebie uwagi za pomocą wonności używają także z powodzeniem samczyki wielu gatunków motyli, a nawet i innych owadów. Mają nawet tę wyższość nad naszym rodem, że nie potrzebują kupować bukietów ani perfum, rozwijają bowiem samorodne, a nader przyjemne dla wybranek zapachy na tak ogromną odległość, że intrygują wszystkie w pobliżu bawiące samiczki i przewyższają pod tym względem nawet Arabki, które, namaszczone wonnościami, czuć na trzydzieści kroków wokoło. Najwrażliwsza motyliczka lub ta, której zapach przypadł najbardziej do gustu, śpieszy za wonnym śladem i zawiera bliższą znajomość z nadobnym elegantem.

— Wiesz pan co? — odezwał się lord Puckins. — Jeśli już ludzkie słabości mają się powtarzać wśród owadów, ja bym pomyślał, że chyba dzieje się odwrotnie: to jest, że samiczki przykuwają niewolników w tak sielankowy sposób do swych rydwanów.

— A jednak myliłbyś się pan. Płeć żeńska w świecie owadów pogardza kokieteryą. Sądzę, że mogłeś pan zauważyć, że nawet strój ich mniej jest jaskrawy niż strój pysznych małżonków.

— Szczęśliwy świat! — mruknął Anglik. — I powiedz mi pan, czy wszystkie motyle-samczyki są tak szczerze uposażone przez naturę?

— O nie, i nie w jednakowym stopniu. Większość wcale się nie perfumuje albo tak słabo, że czuć je zaledwie z bliska; nieliczne tylko gatunki roztaczają w czasie lotu silne wonie, przypominające piżmo, wanilię, gorzkie migdały itp. Są nawet takie, co pachną nietoperzem, a mimo to podobają się towarzyszkom. Jeden z górskich motyli Ameryki (*Dasyophthalma*) wydziela nadzwyczaj silny zapach czystego piżma.

— Czy wolno być na tyle niedyskretnym, aby zapytać, w jakich organach mieszczą się ich przenośne fabryki perfum?

— Dłaczegóż nie? Pytanie staje się dopiero wtedy niedyskretne, gdy brak na nie odpowiedzi. W tej zaś kwestii jesteśmy od niedawnego czasu dobrze poinformowani. Siedliskiem woni są łuski, włoski i szczecinki, umieszczone u jednych motyli na końcu odwłoka³³⁶, u innych na skrzydłach.

— Na skrzydłach?

— Nie inaczej! Niektóre muzy (*Pieridae*)³³⁷ mają na tylnych skrzydłach plamki wonne, ogończyki (*Thecla*) znów na przednich noszą takie same ciemne cętki. *Dasyophthalma*, o którym wspominałem, wydzielają zapach piżma z żółtej plamy, rozsiadłej na ciemnoniebieskiej powierzchni tylnych skrzydeł. Oryginalna jest okoliczność, że w czasie spoczynku wonne aparaty są szczelnie zamknięte i dopiero w locie wydzielają zawartość.

— Dziwne... — zamruczał lord na serio zainteresowany. — Gdyby to kto inny opowiadał, nie uwierzyłbym, aby właśnie samce obdarzone były aparatami wabiącymi płęć odmienną. Słyszałem, że w świecie zwierząt dzieje się przeciwnie.

— Żle pana poinformowano. Nawet wśród ptaków płęć słabsza skromniej jest odziana i przyjmuje tylko hołdy mocniejszej, ale jej się nie narzuca.

³³⁶Siedliskiem woni są łuski, włoski i szczecinki, umieszczone u jednych motyli na końcu odwłoka — *Cryptolochia*, *Glaucopida*, *Morpho* itp. [przypis autorski]

³³⁷muzy (*Pieridae*) — obecnie: bielinki, rodzina motyli, z których najbardziej znany w Polsce jest bielinek kapustnik. [przypis edytorski]

— O tym wiem i ja jako myśliwy, ale wspominam obecnie o zjawisku odmiennej natury. Większość samiczek posiada jakiś magnes, przyciągający samczyków częstokroć z takiej odległości, że ani słuch, ani wzrok nie może być ich przewodnikiem. Przypuszcza się powszechnie, że samce kierują się w takich razach nadzwyczaj czułym węchem. Czyżby wśród motyli zachodziły stosunki odwrotne?

— Wcale nie! Zjawisko, o jakim pan wspominasz, jest bardzo pospolite i powszechnie znane. Płeć męska wśród wielu zwierząt i owadów odczuwa rzeczywiście samiczki z ogromnej odległości. Dzieje się to jednak za pomocą nieznanego nam zmysłu orientacyjnego i nie ma żadnego związku z nęcącym zapachem motyli. Na poparcie tego muszę panu zakomunikować własne spostrzeżenie, jakie zrobiłem przeszłego roku, gdy otrzymałem od jednego z włościan³³⁸ na letnim mieszkaniu samiczkę zmierzchnika tawulca (*Sphinx ligustri*). Postawiłem ją, zamkniętą w pudełku, na otwartym oknie, wychodzącym na dziedziniec. Pudełko było zakryte białą gazą. Nie upłynęło więcej niż trzy godziny, o zmierzchu pojawiły się przy tym samym oknie aż cztery samce tego gatunku, choć ich przedtem ani w bliskości domu, ani w pobliskim ogrodzie nie dostrzegłem. Widzisz więc pan, że ta bezwonna samiczka potrafiła zwabić aż czterech wonnych towarzyszy, choć na pozór powinno by się dziać wśród nich odwrotnie.

Taką zajęci dyskusją, ukończyliśmy sprawę posilania się, a nie mając nic lepszego do roboty, gawędziliśmy w dalszym ciągu o wspólnych przygodach.

Bylibyśmy z pewnością zasiedzieli się tak do wieczora, gdyby nas nie wypędził z zacisza obrzydliwy zapach, jaki wionął ku nam zza liścia, przy którym urządziliśmy posiedzenie. Był on tak silny i dławiący, że zatamował oddech.

Lord, klnąc na sposób angielski, zerwał się z siedzenia, a zatkawszy szczelnie swój organ powonienia, począł umykać. Rad nie rad podążyłem za nim.

XXV. SZLACHETNA SPRZECZKA. NA SKRZYDŁACH WIA-TRU

— A to pyszne³³⁹! — zawołał oburzony Anglik. — Nie można tu nawet spokojnie porozmawiać. Raz piżmo, to znowu stokroć gorsze od niego *praeparatum*. Powiedźże mi, doktorze, czy i to ma służyć do zdobywania serc sześcionogich piękności?

— Cóż znowu! — odparłem, zadyszany od szybkiego biegu. — Zapach ten ma inne przeznaczenie. Jest on jedynym puklerzem niewinnej pluskwy polnej.

— Ależ co nas może jej niewinność obchodzić? Za co nas dręczy, gdy nawet nie myśleliśmy o zaczepianiu jej?

— Toteż broń nie przeciw nam była skierowana; musiał się pojawić groźny napastnik; warto się nawet mieć na baczności, aby i nas nie zaskoczył znienacka...

Zatrzymaliśmy się przy okrągłej bryle kwarcu. Z gęstwiny, która dała nam przytułek, wycofywał się, krocząc tyłem, nasrożony i płaski potwór. Szeroki jego grzbiet, niby skorupa olbrzymiego żółwia, miał kolor brunatnozielony w żółtawe pręgi, spód za to był przepysznej cytrynowej barwy. Długie czułki, niby dwie złamane łaski bambusowe, wyrastały na małej, trójkątnej głowie i gwałtownymi ruchami zdradzały silne wzruszenie potwora. Na grzbiecie, w tych miejscach, gdzie wyrastają skrzydła, widniały dwie krótkie klapki.

— Oto winowajczyni! — zawołałem, wskazując wzrokiem na pluskwę, która tymczasem uspokoiła się i opuściła najprzód lewy czulek, potem prawy, potem podniosła lewy i trzymając go nieruchomo, a prawym tylko manewrując, ostrożnie, zatrzymując się za każdym krokiem, znikła wśród zieleni.

— A gdzie napastnik? — zagadnął Anglik, wpatrujący się w gęstwinę.

— Przestraszył się zapewne perspektywy kataru i umknął — odrzekłem, ubawiony niepewną miną lorda.

— Dlaczegoż ta pańska pluskwa broni się w tak nieprzyzwoity sposób? Czyż nie ma skuteczniejszych argumentów: szcęk silnych albo skrzydeł do ucieczki?

— Niestety, broni się jak może. Szcęk odmówiła jej natura. Przecież motyle i muchy także ich nie posiadają. Biedna pluskwa ma tylko długi »dziobek«, zdatny do ssania

³³⁸włościanin (daw.) — chłop; rolnik. [przypis edytorski]

³³⁹pyszne — tu: wspaniałe, wyśmienite. [przypis edytorski]

płynnych pokarmów, a choć opatrzony jest ostrymi sztyletami, służącymi do przekłuwania naskórka roślinnego, na nic się nie przyda jako broń przeciw napastnikom. Pozostają jej tylko wcale pokaźne, ale niezbyt obrotne skrzydła, te jednak w gęstwinie są bardzo niewygodnym, a niekiedy wprost niemożliwym środkiem ucieczki. Zresztą ta, którą widzieliśmy, jest młoda i skrzydła jej jeszcze nie wyrosły. Z konieczności więc odgrywa rolę tchórza (*Mustela putorius*).

— Przyznać trzeba, że doszła do perfekcji. Skądże wydziela swój zbawienny zapach, czy także z włosków na skrzydłach, jak motyle?

— Wcale nie. Natura nie lubi się powtarzać, bo ma tysiące sposobów na uniknięcie jednostajności. Po bokach ciała pluskwy dwa gruczoły zawierają znaczną ilość żółtawego płynu o nader przenikliwej, jak pan się przekonałeś, woni. W razie potrzeby ściska owe zbiorniki za pomocą odpowiednich mięśni i eteryczny płyn wydziela na zewnątrz.

— Jest to nader zajmujące urządzenie — odrzekł Anglik, wysłuchawszy tych zoologicznych objaśnień. — Ale nie myślmy już o tym. Uważam, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, odpoczęliśmy także nieco po wzruszeniach i czas wielki³⁴⁰ poruszyć najżywniejszą sprawę, kwestię powrotu. Wieczór niedaleko, pan, jako zbawca, masz głos, decyduj więc, co czynić.

— Rzeczywiście, że czas nagli. Kto wie, czy nie będzie słoty³⁴¹. Chmurzy się i wiatr się wzmaga. Trzeba koniecznie, abyś pan przed nocą odbył metamorfozę.

— Nie rozumiem pana?

— Trzeba, abyś pan wypił eliksir Nureddina.

— Alboż to ja mam uczynić? — zawołał Puckins, wpatrując się we mnie zdziwionym wzrokiem. — A cóż w takim razie będzie z tobą, doktorze?

— Cóż ma być? Powrócimy obaj do Zakopanego. Spodziewam się, że mnie pan tu nie zostawisz. Ulokuję się bezpiecznie w pańskiej cygarnicy lub pudełku od zapalek i odwiedź mnie pan potem do Warszawy, sam zaś wyruszysz do Indii. Pod opieką pocziwego sługi, mam nadzieję, że nie znudzę się do pańskiego powrotu...

— Tęgo nigdy nie zrobię! — przerwał mi Anglik. — Ty właśnie, doktorze, wyświadczysz mi przysługę, o jakiej mówisz.

Determinacja, jaka brzmiała w jego głosie, zaniepokoiła mnie.

— Zacny milordzie, ustąp mi — błagałem — tu chodzi o bagatelkę, o parę miesięcy, które upłyną mi jak dzień jeden...

— Nie! Nie! — zawołał Puckins. — Dosyć już poświęceń! Nie wymagaj podobnej podłości ode mnie...

— Nie rozumiem, o jakich pan poświęceniach mówisz?! — zawołałem.

— Mało żeś pan narażał swe życie dla mnie? — odezwał się Anglik, marszcząc brwi groźnie. — Czy sądzisz, że jeszcze i teraz byłbym zdolny korzystać z twej szlachetności? Nie, nie i jeszcze raz nie!

— Ależ nie zapalaj się, kochany lordzie — zawołałem — raczej daj sobie wytłumaczyć, że upierasz się przy wielce niepraktycznej kombinacji. Zapomniałeś, że ani znam Nureddina, ani wiem, gdzie go szukać. Zresztą, gdybym go nawet znalazł, to może nie uwierzyć opowieści nieznajomego.

— Nie troszcz się pan — przerwał mi Puckins. — Będziemy razem. Odnajdziemy Hindusa, a ten pozna mnie nawet bez szkieł powiększających.

— Wszystko to wcale mnie nie przekonywa. Plan twój, milordzie, jest prosty i praktyczny, ale z tą poprawką, że sam go wykonasz.

— To być nie może... mam powody, dla których nie ustąpię!

— Zaklinam cię, lordzie, nie obstawaj przy swoim postanowieniu. Przenikam twoje skrupuły, ale zapewniam, że wobec moich powodów muszą ustąpić, jak ustępuje blask księżycy przy promieniach słońca.

— Nieszczęsny! A czyż nie przyszło ci na myśl, że Nureddin może już nie żyć?

— Owszem, oceniam trzeźwo położenie, ale gra, o jakiej zamyślałam, warta stokroć większego ryzyka!

³⁴⁰czas wielki — dziś: najwyższy czas; moment, kiedy należy coś zrobić bez dalszego zwlekania. [przypis edytorski]

³⁴¹słota — długotrwały deszcz. [przypis edytorski]

— Dalibóg, że teraz nie rozumiem cię, doktorze! Jak to? Gotów byś zostać Robinsonem, zmuszonym przez całe życie być własnym szewcem, krawcem i kucharzem, opuszczonym między przyjaciółmi, którzy by ci nawet w chorobie pomocy dać nie mogli?... Podobne istnienie byłoby gorsze od śmierci!

— Wierząc mi, lordzie, że gdyby nawet obawy twoje miały się sprawdzić, jeszcze będę ci za ustępstwo wdzięczny do grobu. Dni, jakie przeżyję, będą dla mnie pasmem szczęścia, o jakim nigdy nie marzyłem. Pragnę go teraz tak egoistycznie, że choćby mi przyszło porzucić cię, uczynię to niezawodnie i wrócę do sir Biggsa z prośbą, by mnie zawiózł do Warszawy.

Lord Puckins uśmiechnął się pobłażliwie.

— Co to za gorący naród — mruknął jakby do siebie. — Znałem was trzech, a wszyscyście jak proch zapalni. Tamci jednak zapalali się do szczytnych mrzonek; powiedzcie mi doktorze, co tobie przyszło do głowy, skoro tak sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem żądasz rzeczy?

— Usłyszysz zaraz, lordzie, ale wytłumacz mi naprzód, co nazywasz mrzonkami?

— Wspaniałe i szlachetne życzenia, które mają tę jedną tylko ujemną stronę, że nigdy się nie ziszczają.

— W takim razie uspokój się, kochany lordzie, zamiar mój nie należy do mrzonek, a przeszkoda, jaką widzę w twoim uporze, wcale mnie nie przestrasza, bo ją zwalczę!

— Sapristi!...³⁴² Wolnoż dowiedzieć się, co doktor Muchołapski zyska na swym zwyczajestwie?

— Owszem! Skoro się pan dowiesz, z pewnością spełnisz mą prośbę. Pragnę poczynić ważne spostrzeżenia w świecie drobnowidzowym.

— Alboż nie miałeś pan czasu poczynić ich do tej pory?

Teraz ja uśmiechnąłem się z pobłażaniem.

— Te kilka dni, jakie masz pan na myśli — odrzekłem, — były zaledwie przygotowaniem; teraz dopiero widzę, co za niewyczerpane pole do ścisłych spostrzeżeń roztacza się przede mną, teraz dopiero oceniam, że jestem w prawdziwym raju zoologów, z którego nie dam się wygnąć. Kilka miesięcy pracy w obecnych warunkach może wywołać rewolucję w poglądach na całą przyrodę, może posunąć naukę biologii o pół wieku naprzód. Drzę z radości na samą myśl o tak doniosłym zadaniu. Pij więc, lordzie, płyn Nureddina i zawieź mnie czym prędzej do Warszawy. Tam, w zaciszu gabinetu, zanim powrócisz z Azji, ukończę może cykl najważniejszych badań, jakich nie jest w stanie dokonać dziś świat uczony, za który może jeszcze za życia wystawią mi pomnik.

— Daruj, doktorze, ale nie mogę pojąć tych nadzwyczajnych korzyści, jakie mają na naukę spłynąć z twego stanu.

— W takim razie, jako człowiekowi wiedzy, dziwię ci się nieskończenie. Wiesz chyba, milordzie, iż tylko za pomocą zmysłów poznajemy przyrodę, że każde zjawisko musimy dojrzeć, usłyszeć lub odczuć, każdy objaw życia dobrze podpatrzyć. Zmysły są jedynymi naszymi narzędziami, a trzeba wyznać, nadzwyczaj niedoskonałymi. Znaczna część wrażeń zmysłowych wprowadza nas w błąd. Liść, zbudowany z tysięcy komórek, okryty szparkami oddechowymi i włoskami, nie różni się dla zwykłego wzroku od liścia sztucznego, wyrobionego ze skrawka malowanego jedwabiu. Tarcze Słońca i Księżycy są tylko błyszczącymi krążkami. Cóż nas nauczyło, że liść jest kunsztowną machiną, zbudowaną z drobniotkich cegiełek, że na Słońcu są plamy, wysoki, na Księżycu góry i szczeliny, że materia słoneczna składa się z pierwiastków, jakie i na Ziemi znamy; co nam dozwoliło zmierzyć wreszcie odległość tych ciał niebieskich, obliczyć ich wagę, przewidzieć ruchy itd.? Cóż, jeśli nie te same zmysły, wzmocnione odpowiednimi narzędziami. Geniusz ludzki rozszerzył je, budując sztuczne narzędzia, z których prawie każde to jakby nowy, brakujący nam zmysł. Mikroskop, teleskop, mikrofon, spektroskop, barometr, termometr, chronometr — to wszystko sztuczne zmysły, otwierające nam niedostępne bez nich widnokręgi, to wszystko dodatki do naszych zmysłów przyrodzonych, pozwalające głębiej wnikać w świat wielki i mały. Dlatego to właśnie każde udoskonalenie mikroskopu odkrywa nam nowe tajniki przyrody w jej małości, każdy większy teleskop odkrywa nowe gwiazdy, nowe mgławice i nowe planety, nowe plamki na Słońcu i nowe szczeliny

³⁴²*sapristi* (fr.) — do licha. [przypis edytorski]

na Księżycu. Czy to są nowe rzeczy? Bynajmniej, lecz tylko myśmy ich nie widzieli. Dały nam dopiero o nich wiadomość udoskonalone instrumenty. Wierżaj mi, lordzie, że gdyby nasze zmysły były znacznie doskonalsze, z pewnością na schyłku XIX wieku nie chodzilibyśmy w takich ciemnościach, w jakich przebywamy!

Najzawilsze dziś prawdy naukowe byłyby może elementarnymi wiadomościami o świecie. To samo byłoby, gdybyśmy mieli o jeden nieznany nam zmysł więcej. Ale ponieważ mamy tylko pięć słabych zmysłów, nie ma innej rady jak tylko wzmocnić je i wyzyskać do ostatnich granic. Dzisiejsze narzędzia naukowe nie są bynajmniej ostatnim wyrazem doskonałości, ale choćby dały się znacznie jeszcze ulepszyć, nie zastąpią nigdy natury. Wymagają i wymagać zawsze będą umiejętnego obchodzenia się z nimi, nużą prędko i nie dadzą się wszędzie zastosować. Przez dobry mikroskop na przykład możemy dostrzegać drobnutki tylko cząstki wielkich całości, widzimy pokrajane i martwe komórki, śledzimy je z wysiłkiem. Tymczasem zastanów się, lordzie, nad obecnym naszym, to jest nas dwóch położeniem.

Mamy drobnowidz na oczach i mikrofon na uszach. Patrzymy oczyma sto dwadzieścia razy zmniejszonymi, wskutek czego wzrok nasz dostrzega szczegóły, dostępne dopiero zwykłemu oku ludzkiemu zaopatrzonemu w mikroskop sto dwadzieścia razy powiększający. Widzimy tkanki żywe, wzrok nasz ogarnia bez znużenia setki rodzajów komórek. W takich warunkach jeden dzień spokojnych obserwacji nauczy więcej niż miesiące ślęczenia nad mikroskopem.

Ucho nasze odczuwa dźwięki i szmery, na jakie błona bębenkowa zwykłego człowieka jest nieczuła. Tamta odróżnia tylko głosy posiadające najmniej 16, a najwięcej 64 000 drgnień powietrznych na sekundę³⁴³, nasze bębenki zaś, lordzie, są sto dwadzieścia razy delikatniejsze, nie dosyć więc, że chwytają z tej samej skali głosy tak słabe, że ich nie dosłyszysz zwykłe ucho, ale jeszcze w tonach wyższych odczuwają drgnienia liczące 70, 80, 100 i więcej tysięcy vibracji na sekundę. Dla nas nawet tak zwana przez normalnych ludzi cisza rozbrzmiewa różnymi dźwiękami...

— Rozumiem cię już doktorze, i bardzo to pięknie, że widzimy gołym okiem to, co wszyscy ludzie dostrzegają dopiero przy pomocy mikroskopu. Bez wątpienia zapewnia nam ta okoliczność ogromną szansę w porównaniu z używającymi szkieł skombinowanych, lecz nie zdaje mi się, abyśmy na tej drodze mieli prawo spodziewać się dokonania znaczniejszych odkryć. Wszak wszystko, co pozwala dostrzegać mikroskop sto dwadzieścia powiększający, dawno już zostało przez całe legiony biologów obejrzone. Dziś udoskonaili oni drobnowidze do tego stopnia, że powiększenie, o jakim mówimy, nazywają już bardzo miernym. O ile sobie przypominam, widziałem przed paru laty w pracowni pewnego bakteriologa dwa tysiące razy powiększający drobnowidz.

— Masz dobrą pamięć lordzie, ale nie zapominaj, proszę, iż zwykła lupa, którą mam w kieszeni, choć powiększa tylko 15 razy, oddaje mi dziś te same usługi, co bakteriologom ich kosztowne mikroskopy. Przy jej pomocy widzę przedmioty 1800 razy większe, niż są w rzeczywistości.

— A to jakim sposobem?

— Pomnóż z łaski swojej, kochany lordzie, 120 przez 15, a sam rozwiążesz zagadkę. Pomyśl teraz, co będzie, jeśli zdołam oszlifować soczewki dostosowane do mego oka, z których zbuduję mikroskop powiększający choćby tylko sto razy. Będzie odkrywał szczegóły nieoglądane dotąd przez najpotężniejsze drobnowidze, bo ukaże nam tkanki i komórki powiększone 12 000 razy! Słyszysz lordzie? Dwanaście tysięcy razy! Przejdzie to najśmielsze i zupełnie nieziszczalne marzenia bakteriologów!³⁴⁴ Mając mikroskop sześć razy silniejszy od dotychczasowych, będę sypał zdumiewającymi odkryciami jak z rogu

³⁴³odróżnia tylko głosy posiadające najmniej 16, a najwięcej 64 000 drgnień powietrznych na sekundę — zresztą i to są za obszerne granice dla zwykłego ucha. Rzadko bowiem kto ma tak bystry słuch, aby słyszał drgienia fal powietrznych szybsze nad 48 000, a i u takich osób z wiekiem granica słyszenia cofa się do 32 000 pojedynczych vibracji na sekundę. [Faktyczne ludzie słyszą dźwięki tylko do 20 kHz (20 000 drgań na sekundę); dźwięki o wyższej częstotliwości, niesłyszalne dla ludzi, nazywane są ultradźwiękami; dźwięki do ok. 50–60 kHz słyszą psy i koty; red. WL]. [przypis autorski]

³⁴⁴Przejdzie to najśmielsze i zupełnie nieziszczalne marzenia bakteriologów! — mikroskopy optyczne zapewniają powiększenie do ok. 2000 razy, ale wynalezione w roku 1931 mikroskopy elektronowe, wykorzystujące do obrazowania wiązkę elektronów, ziściły te „nieziszczalne marzenia”: umożliwiają powiększenie nawet milion razy. [przypis edytorski]

obfitości!... Całą naukę bakteriologii na nowe pchnę tory... Dostrzegę w komórce takie rzeczy, których żadne normalne ludzkie oko nigdy nie mogło i nie będzie mogło przez najlepsze mikroskopy oglądać... Wydrę może Naturze tajemnicę życia!...

— Doktorze, trzymaj się! — zabrzmiał nagle głos lorda.

W zapale oratorskim nie spostrzegłem, że panujący wiatr zwiększył się nagle i obsypał nas gradem żwiru. Za drugim podmuchem, poderwany w powietrze, przeleciałem, nie dotykając ziemi, kilka kroków, a potem padłem plackiem. Zdaje mi się, że i towarzysza mego ten sam los spotkać musiał...

Nad naszymi plecami zaświszczał szalony wiatr. Gdy ucichło trochę i ustał łoskot niesionych ziarn piasku, liści, nasion i owadów, podniosłem się na kolana i ujrzałem Puckinsa trzymającego oburącz grubą łodygę.

Nie miałem się czego uchwycić, porwałem więc duży kamień w objęcia i przytuliłem się do niego. Tymczasem zaświszczało na nowo po wierzchołkach mchów i wpadła na mnie straszna zawierucha z szybkością błyskawicy.

W mgnieniu oka straciłem grunt i wraz z kamieniem uczulem się porwany w górę. Wiedziałem, że lecę z szybkością huraganu, wywijając koziołki, ale dokąd lecę — w górę czy na dół — nie zdążyłem jeszcze pomyśleć, gdy silne uderzenie powstrzymało mnie i stoczyłem się w mroczną jakąś otchłań.

XXVI. MURARKI. JAK LORD PUCKINS ZOSTAJE NATURALISTĄ. CHATKA À LA ROBINSON CRUSOE

Ujrzałem się nagle w zaroślach, o których czubki roztrącał się szalony wichur. Mknął z nieopisaną siłą i napelniał powietrze strasznym szumem, a chyżością przewyższał niezawodnie huragany. Był to wiatr zwykły. Na pozór rzecz nieprawdopodobna, nie zapominaj jednak, że nawet zefirek, co ubiega pół łokcia na sekundę, posiadał dla mnie szybkość stu dwudziestu stóp! Wprawdzie i teraz wyszedłem bez szwanku, znalazłszy się w nieznanym zaroślach, ale poniosłem klęskę bardzo być może niepowetowaną, jeżeli straciłem odnalezionego z trudem towarzysza. Czy lord Puckins także został porwany pod obłoki, czy zabity lub jęczy gdzieś pokaleczony?... Takie zadawałem sobie pytania, nie mogąc wychylić się z zarośli w słusznej obawie, aby nie powtórzyć próby latania bez skrzydeł.

Tak to jedna chwila niweczy najpiękniejsze nadzieje!

Wieczór zapadł w warunkach okropnych. Wiatr się rozsrożył, zdawało się, że zmiecie całą roślinność i rozniesie po świecie. Na dobitkę lunął deszcz i zahuczały pioruny. Myślałem, że wszystko dookoła zostanie zalane i zburzone. Sądna noc przeżyłem w śmiertelnej trwodze, zziębnięty do kości, wśród plusku i hałasu otaczających mnie wodosпадów. Z każdego liścia zlewały się potoki wody na niższe piętra i następnie płynęły po kamkach, niknąc w szczelinach ziemi jak w bezdennej przepaści.

Gdybym nie był w porę, przed samym deszczem, dostrzegł na pobliskiej ścianie ruin opuszczonego zamczyska murarki (*Megachile parietina*)³⁴⁵, do którego się schroniłem, nie wiem, czy przetrwałbym ulewę.

Ciekawej tej pszczołce zawdzięczam więc i życie.

Wątpię, czy wiesz, że murarki należą do najmądrzejszych po mrówkach owadów.

Już to w ogóle pszczoły celują wysoko rozwiniętymi władzami umysłowymi. Jedne, wiedzione najpopularniejszym w naszym wieku popędem, myślą tylko o sobie, inne nawet wówczas, gdy same nie potrzebują mieszkań, budują pomysłowe schronienia dla niedołęznego potomstwa. Dowód najwyższy może rozwiniętego instynktu dają gatunki towarzyskie, które hołdując zasadzie „*l'union fait la force*”³⁴⁶, łączą się w karne stowarzyszenia i praktykują podział pracy. W każdym razie wszystkie te uspołecznione owady pod względem miłości macierzyńskiej ustępują pszczolom samotnym, do jakich należy murarka. W gniazdach towarzyskich (miałaś sposobność zauważyć to u mrówek) matki pracują w wyjątkowych tylko okolicznościach, dzieci bowiem wychowuje ogół mieszkańców; wśród samotnych os i pszczół każda samiczka jest wzorem poświęcenia i praco-

³⁴⁵murarka (*Megachile parietina*) — obecnie: obrostka murówka lub tynkarka; dawniej: *Chalicodoma muraria*. [przypis edytorski]

³⁴⁶*l'union fait la force* (fr.) — w jedności siła. [przypis edytorski]

witości i choć sama dla siebie niczego nie potrzebuje, zużywa całe życie i wszystkie siły na pracę, mającą za jedyny cel zabezpieczenie przyszłości dzieci.

Pszczóły te nie znają nawet i tej pociechy, jaka bywa zwykle bodźcem do wszystkich poświęceń ludzkich rodziców, gdy spodziewają się żyć otoczeni szczęśliwymi i wdzięcznymi dziećmi. Prawda, że rozkosz ta rzadko bywa udziałem ludzkich rodziców, ale sama nadzieja, choćby później zawiedziona, jest już rozkoszą i sownie opłaca ponoszone znoje. Moje bohaterki znajdują się w gorszych warunkach. Umierają, nie oglądając nawet dzieci, te bowiem wychodzą z poczwarek wtedy, gdy po rodzicach nawet już śladu nie pozostało.

Cóż to za bohaterskie rody — zawołasz — które bez pretensji do pochwał, bez poczuwania się do zasług spełniają czyny wyjątkowe nawet wśród ludzi i szumnie przez nich nazywane »cnotą«, »poświęceniem« itp.

Do takich wzorów matek należy murarka, której zawdzięczałem wygodną gospodę i przetrwanie ulewy.

Obyczaje jej muszą zadziwić każdego, a budowle należą do najciekawszych. Za materiał służy im sztuczny kamień, jaki same sporządzają. Murarka samiczka, zwykle większa i silniejsza od samczyka, wyszukawszy zaciszny kącik ściany lub skały, wystawiony na południe, ale osłonięty załomem lub jakim gzymsem, gromadzi przede wszystkim materiał budowlany, to jest okrągłe ziarna piasku. Dzieje się to zwykle pod koniec wiosny, czyli wkrótce po wyjściu z poczwarki. Po starannym oczyszczeniu ziarn z brudu i pyłu ulepia przy pomocy śliny z każdego nierównego ziarna piasku, niby z cementu, okrągłą kulkę wielkości łepka od szpilki i odnosi w pobliże przyszłego gniazda. Gdy już przygotowała dostateczny zapas tak osobliwej cegły, przystępuje do założenia fundamentów, na których potem wznosi ściany celek. Muruje tak dzielnie, rozrabia potrzebne wapno przy pomocy swej śliny tak energicznie, że zwykle w ciągu jednego dnia pierwsza komórka jest gotowa.

Jest to praca, jakiej by żaden ludzki robotnik w tych samych warunkach nie podołał, trzeba ci bowiem wiedzieć, że owa komórka mierzy blisko cal długości oraz pół cala szerokości. Dopóki jest otwarta, przypomina kształtem wnętrze naparstka.

Po skończeniu budowy nasza murarka wchodzi do środka i obracając się na wszystkie strony, wygładza własnym ciałem ściany, które szybko nabierają twardości dobrego cementu.

Teraz inne zajęcie czeka miniaturowego architekta i murarza. Nie tracąc ani chwili, nasz owad rozpina skrzydła i ulatuje na kwiaty, w których, wycierając się o pręciki, gromadzi pyłek nasienny i znosi do komórki. To samo czyni z nektarem kwiatowym, który potem z pyłkiem zarabia na ciasto, mające służyć za pokarm dla przyszłej mieszkanki komory.

Pyłek kwiatowy zbiera, nie mając nawet ku temu odpowiednio zbudowanych nóżek, jakimi są obdarzone pszczoły zwyczajne. Nic też dziwnego, że musi radzić sobie odmiennie.

Zamiast szczoteczek, jakimi są opatrzone nóżki pszczoł, murarka posiada las sztywnych szczecinek na górnej i tylnej części odwłoka. W takie szczotki ubrany owad wyciera się o pylniki kwiatowe, a potem przyczepiony do włosków pyłek zgarnia nóżkami na odpowiednie futro szczeciniaste, umieszczone na odwłoku. Gdy zgromadzi się już tyle pyłku, ile owe szczotki utrzymać na sobie mogą, murarka powraca śpiesznie do gniazda, wybierając najkrótszą drogę. Czyni to zapewne dla uniknięcia niespodzianych zaczepów i nieprzyjemności, jakich mogłaby doznać ze strony gburowatych i drapieżnych współobywateli kraju.

Po napełnieniu naparstka żywnością pracowity owad składa w nim jajeczko i zamurrowuje komórkę. Człowiek w takich warunkach oddałby się po dokonanej czynności spoczynkowi lub rozrywce. Marny jednak owad wytrwalszy jest od »króla stworzenia«. Wnet rozpoczyna on w podobny sposób budowę drugiej, potem trzeciej i czwartej komórki. Skoro pogody oraz życia starczy, dzielna matka buduje i napełnia osiem, a czasem dziesięć celek. Są one niesymetrycznie poprzylepiane obok siebie, a przestrzeń wolną murarka wypełnia tym samym materiałem, który poszedł na komory. W końcu wszystko pokrywa wspólnym daszkiem, to jest grubą warstwą wierzchnią, złożoną dla mocy i pospiechu z większych ziarn piasku.

Czy sądzisz, że taka budowla ustępuje pod względem trwałości dziełom ręki ludzkiej? Bynajmniej! Jeśli byś kiedy znalazł dom larw murarki, niełatwo by ci przyszło nawet szczyrym rozłupać go i zburzyć. Twardy jest jak skała. Powiedziałem dlatego »jeśli byś znalazł«, iż to gniazdo maskuje przebiegły owad tak zręcznie, że patrzący wziąłby je prędzej za przyschniętą bryłkę błota aniżeli za sztuczną budowlę.

Młode murarki uczuwają nareszcie potrzebę wydobywania się z więzienia. Pytanie teraz, czy mają tyle siły, aby rozkruszyć ściany, których nawet uderzenie młotka nie rozbija od razu? Réaumur przypuszczał taką możliwość, ale bliższe obserwacje dowiodły, że był w błędzie. Wszystko jest przewidziane, aby ułatwić młodym pszczołkom wydobywanie się na światło dzienne. Przy robocie ogólnego sklepienia przewidujący architekt zostawił nad najpierwszą, czyli najstarszą komórką niewielki otwór, bardzo cienką warstwę piasku zasklepiiony. Jest to prawdziwe skryte wyjście, zamurowane prócz tego cementem niezmiernie słabym i kruchym. Czyż można przypuszczać wobec tak zdumiewającego faktu, że te przewidujące stworzonka są automatami działającymi bezwiednie i bezmyślnie?

Bynajmniej! A dowód w następującej okoliczności. Gniazda, z których wyszły zamurowane pszczołki, należą do budowli trwałych. Bardzo też wiele można ich spotkać w stanie mniejszej lub większej ruiny w miejscowościach, gdzie murarki nie są rzadkością. Rudery takie, napelnione kurzem i resztkami, pozostałymi po dawnych mieszkankach, przedstawiają zwykle obraz zniszczenia. Młode matki, noszące się z zamiarem budowania gniazd, w razie napotkania ruin niezwłocznie obejmują je w posiadanie. Rozumieją one widać, że przez to znakomicie oszczędzają czas i pracę, i ta właśnie okoliczność stanowi dowód ich wysoko rozwiniętej inteligencji. Prosty instynkt nie wystarczy już do takiego skojarzenia wyobrażeń i przedsięwzięcia skomplikowanej pracy. Naprawianie rudery, oczyszczanie jej i doprowadzanie do porządku wymaga bowiem zgoda odmiennych uzdolnień umysłowych aniżeli budowanie gniazda od początku; wymaga znacznej dozy zmysłu kombinacyjnego, wymaga pojmowania zadania zarówno w najdrobniejszych szczegółach, jak w ogólnych zarysach. Jednym słowem, nie jest to już instynktowa robota, ale praca w całym znaczeniu słowa rozumna.

Ale to jeszcze nie wszystko!

Zdarza się niekiedy, że jakaś leniwa murarka postanawia ograbić inną, pracowitą.

Wybiera tedy chwilę, w której prawa³⁴⁷ właścicielka rozpoczętego gniazda jest nieobecna, i obejmuje w posiadanie cudze gniazdo. Po powrocie pierwszej, niezmieszana, zamiast ustąpić — stara się siłą utrzymać zrabowane gniazdo i dopiero walka decyduje o zwycięstwie prawa nad przemocą lub odwrotnie.

Tak więc każdy, kto ma cierpliwość śledzić poruszenia i czyny marnych murarek, może zdobyć wcale ciekawy przyczynek do historii »moralności« w świecie zwierząt. Nawet filozof zadumać się musi wobec tych różnorodnych usposobień podobnych do siebie twórców, wobec czynów, z których jedne nazywamy słusznymi, inne nieprawymi.

W tym przykładzie widzimy, jak różne skłonności objawiają osobniki należące do jednego i tego samego gatunku. Jedne pracują ciężko, ale uczciwie, inne, leniwe, przykładają łatwy zysk kosztem pierwszych, za pomocą zdrady lub przemocy.

Czyż podobna, żeby wobec tak jasnych dowodów rozumu owadów ogół pozostał przy swoich ciasnych, a zastarzanych poglądach i upatrywał we wszystkich drobnych twórcach bezmyślne marionetki lub maszyny, ślepo od wieków wykonywające te same czynności? Czyż podobna wszystkie uczynki owadów kłaść na karb instynktu, który nie ma nic wspólnego z tak zwanym rozumem?

Taki znak zapytania dla wszystkich myślicieli można by postawić nie tylko na tej, ale i na wielu innych kartach historii życia i obyczajów zwierząt. Teraz wróćmy jeszcze na chwilę do naszej pszczołki, z której gotów jesteś drwić po bliższym zastanowieniu się nad ogromem jej pracy.

Pomyślisz, iż całkiem zbytecznie zabezpiecza potomstwo, zamiast lepiej użyć swobody i pobujać w ciepłe słońce nad wonnym kwieciami.

³⁴⁷prawa — tu: prawowita, mająca legalne prawa. [przypis edytorski]

Otóż murarka nie na próżno widać ponosi trudy ciężkiego zawodu, gdy pomimo doskonałego schowania młode larwy padają często ofiarą przebiegłych gąsieniczników lub chrząszczy przekrasków (*Trichodes apiarius*), zwanych z tego powodu pszczołojadami³⁴⁸.

*

Cały dzień ostatni przesiedziałem w ukryciu, próżno oczekując końca potopu. Dopiero późnym wieczorem uspokoiło się, ale drobny deszczyk padał do południa.

Trzeba było czekać, aż słońce i wiatr wysuszą miliony napowietrznych sadzawek. Czwartego dopiero dnia po wschodzie słońca wyrzaleam na świat boży. Zrobiło się wkrótce gwarno w milczącym przez czas niepogody lesie. Wszystko, co żyło, co się pokryło gdzieś głęboko i doczekało pogody, śpieszyło ogrzać się w ciepłych promieniach słońca.

Choć to dopiero był początek dziennego gwaru, wydał mi się on zapowiedzią pewnej i długotrwałej pogody i ruszyłem, aby jak najprędzej odszukać miejscowość, skąd mnie wiatr zabrał. Przy pomocy profilów gór łatwo poznałem, dokąd należy dążyć, ale choć nie żałowałem znoju, zanim zbliżyłem się do znanej mi skały, zapadły ciemności. Trzeba było czwartą noc przepędzić w srogim niepokoju o los towarzysza.

Był to jednak ostatni dzień samotnie spędzony. Ognisko z paru gałęzi płucnika, jakie udało mi się rozniecić, i kilka strzałów rewolwerowych nad ranem sprawiły, że zanim słońce doszło do zenitu, usłyszałem z pobliskich zarośli nawoływania lorda.

Wkrótce padliśmy sobie w objęcia.

Anglik ścisnął mnie serdeczniej, niż to było w jego zwyczaju. Okazało się, że lepiej obeznany ze skutkami wichrów, których siły raz już doświadczył, schwycił się w porę jakiejś gałęzi, a potem ukrył się w bezpieczne miejsce, z którego wyrzła dopiero, gdy ślota przeminęła.

— Doktorze — rzekł mi — przez całe cztery dni rozmyślałem nad ostatnimi twymi słowami. Brzmiały mi dotąd w uszach. Rozmyślałem i nad tym, czy ujrzemy się jeszcze? Obawiałem się bardzo o życie twoje. Dawniej może by mnie przeraził i mój los niewesoły — wraz z tobą traciłem przecież płyn Nureddina, teraz jednak nie myślałem o sobie! Jakiegoś głosu wewnętrznego wskazał mi wyraźnie drogę, po jakiej postanowiłem kroczyć w razie, gdybyśmy się już nie spotkali. Umyśliłem spełnić to, coś ty zamierzał, to jest wrócić do świata, zbudować mikroskop i oddać się obserwowaniu przyrody. Teraz jestem podwójnie szczęśliwy. Jesteśmy znowu razem i możemy wspólnie dokonać wielkiego dzieła. Doktorze! Masz we mnie od dzisiaj gorliwego ucznia i pomocnika.

— Co słyszysz? Ty, lordzie, miałbyś ochotę pobawić się zoologią?

— Więcej! Zamierzam nie bawić się, ale poważnie pracować. Otworzyłeś mi oczy na wielkie zadanie, którego się nawet nie domyślałem. Rzecz skończona, będziemy razem studiować, dopóki tylko sam zechcesz.

Spojrzałem na Anglika, czy nie żartuje, ale zapął, jaki tryskał z jego oblicza, uspokoił mnie zupełnie. Pochwyciłem go więc w objęcia i uściśnąłem długo i szczerze.

— Aniołowie chyba z nieba natchnęli cię tak pięknym zamiarem. Razem studiować! Razem jeszcze kilka dni tu pozostać, cóż to za rozkosz!

— Kilka dni tylko? Czyżby doktor Muchołapski zapomniał o swej misji?

— Nie mogę cię jeszcze, milordzie, pojąć. Więc gotów byś dłużej znosić niebezpieczeństwa, jakie są od tylu tygodni naszym udziałem?

— Jużem przywykł do nich, nie robią mi więc różnicy. Zostaniemy tutaj tydzień, miesiąc, a nawet i dłużej, jeśli zechcesz, dopóty, dopóki niepogody i zimno nie wypędzą nas z tego zaczarowanego świata. Potem sir Robert zawiezie nas do twej pracowni i pozostaniemy pod jego opieką póty, póki nie zbadamy wszystkich tajemnic świata komórki. Zajmowanie się astronomią nauczyło mnie trochę praw optyki; ręczę ci, że będziesz miał we mnie dobrego szlifierza soczewek. Zbudujemy wymarzony mikroskop, ale nie sto, lecz dwieście razy powiększający, i rzucimy światu garść wiadomości, jakich na próżno dotąd łaknie... Choćby mi przyszło rok nad tym pracować, będziesz miał narzędzie, o jakim zamarzyłeś!

³⁴⁸chrząszczy przekrasków (*Trichodes apiarius*), zwanych (...) pszczołojadami — obecnie: barciel pszczołowiec. [przypis edytorski]

Za całą odpowiedź uściśnałem dłoń dzielnego człowieka i ugoda stanęła.

— Od czegoż zaczniemy? — zapytał Puckins, gdyśmy wybudowali dostateczną ilość zamków na lodzie.

— Według mnie — odrzekłem — trzeba postępować roztropnie i nie narażać życia, które teraz zbyt drogie jest dla ludzkości całej. Zanim oddamy się studiom, obierzmy wygodne schronienie. Będzie ono naszą stacją centralną i kryjówką, z której urządzimy cykl wycieczek po okolicy. Potem wracamy pod opieką sir Biggsa do Warszawy.

W myśl tych słów obraliśmy wzniesioną i suchą miejscowość o sto kroków od ślicznego źródelka, tryskającego ze szczeliny ocienionej zaroślami mchów i wątrobowców i toczącego się z szumem po skalistym łożysku.

Południowa wystawa³⁴⁹ pagórka obiecywała więcej ożywienia, gdyż wszystkie północne zbocza posiadają i roślinność uboższą i owady nie roją się na nich tak tłumnie, jak na słonecznych obszarach.

Ponieważ lord pierwszy zauważył szczęśliwe położenie naszej skały, nazwałem ją na cześć jego Puckinstonem. Ażeby godnie zamieszkać w tak wspaniale zatytułowanej miejscowości, umyśliliśmy wybudować choćby najmniejszy, byle wygodny szałas na sposób ludzki. Dość już obaj mieliśmy niewygodnych legowisk, na podobieństwo dzikich zwierząt obieranych.

Zamiar nasz nie przedstawiał zresztą nadzwyczajnych trudności, bo materiał mieliśmy pod ręką.

Nad brzegami źródelka leżały krocie głazów, pokruszonych przez wodę i mrozy, a większa ich część miała kształt tak równych i gładkich kostek, jakby wyszła spod dłuta zdolnego kamieniarza. Wpadało tylko przenieść je na obrane miejsce i ustawić ściany, do których spojenia zbyteczne było wapno lub glina. Szpary między głazami mogliśmy łatwo pozatykać puszkami i kutnerem³⁵⁰ roślinnym. Trudniejsza na pozór rzecz była z dachem, ale i tu prędko poradziliśmy sobie. Pierwszy lepszy gładki liść, odpowiednio przykrojony, mógł nakryć nasze schronienie, a dla umocowania go dostateczne było przytłoczyć krawędzie jego kilkoma dużymi kamieniami. Chodziło tylko o to, aby taki liść znaleźć blisko, a najlepiej w górze, nad budowlą. Wtedy, po odłączeniu go od rośliny, spadnie nam prosto na budynek i uwolni od męczącego wciągania na mury. Drzwi miały być wykrojone z uschniętego innego liścia. Przy pilnej pracy zamek nasz mógł być w ciągu dwóch do trzech dni ukończony, a wtedy nie potrzebowalibyśmy lękać się sloty ani nocnych owadów.

XXVII. PEŁZAJĄCY MUR

Budując z gorliwością murarki doprowadziliśmy ściany szałas do koniecznej wysokości. Brakowało tylko dachu, a ponieważ nie wymagał wielkiego zachodu, byliśmy już pewni, że zbliżającą się noc przepędzimy w szczupłym, ale własnym i bezpiecznym domku.

Inaczej jednak rozporządziły nieba.

Krajobraz wkrótce zrobił się jasnoszary od chmur i mgły, a gęsty deszczyk przerwał robotę. Trwał blisko do północy.

Potem, choć pogoda wróciła, wicher nie dał nam spocząć do rana. Od godziny drugiej nie zmrużyliśmy oka.

Księżyc cudnie świecił, było prawie widno. Niebo czyste migotało gwiazdami pierwszej wielkości, a nad Tatrami płynęły resztki poszarpanych chmur. Niższe leciały bardzo prędko, wyższe stosunkowo wolno. Świtanie uróżnowało je od spodu, a wschodzące za górami słońce ślicznie ozłociło.

Szczyty Młynarza i Żabiego Wierchu oblały się żółtym półświatłem i ukazały jasną zielen murawy. Na czubku Wołoszyna, skąpanym w blaskach, zarysowały się ukośne cienie najeżonych turni.

Wszystkie głazy i załomy skał zarumieniły się i tylko kosodrzewina po dawnemu, niby płamy z atramentu, nie straciła swej czerności, a z nią cały las ziół drzemał w cieniu.

Noc, Świt

³⁴⁹wystawa — tu: odsłonięcie, nachylenie terenu z jakiejś strony. [przypis edytorski]

³⁵⁰kutner (bot.) — gęsty meszek z włosków pokrywający powierzchnię łodyg, liści lub owoców niektórych roślin; daw. także: miękka, kosmata flanela. [przypis edytorski]

Jeszcze kwadrans, a i tu doszłyby wesołe blaski — ale od zachodu, niosąc niepogodę, wypłynęła gęsta masa złowrogich, żółto-olowiano-fioletowych chmur.

Ostatnie plamy skryły się niebawem pod czarnym, przejrzystym całunem.

Zachmurzony i siny zachód zagroził nowym deszczem i wkrótce wesoły koloryt obłoków, błękit nieba, fioletowo-czarny płaszcz, jakim okryły się turnie, wszystko utonęło w półprzezroczystej białej mgłę.

Słońce ma dziwną władzę nad człowiekiem. Gdy nam zza gór przysłało pierwsze swoje promienie, wesele jakieś napełniło serca; teraz sposepniliśmy, jakby nam się jakie przytrafiło nieszczęście.

W sercach zrobiło się głucho jak w sercach rozbitków rzuconych w kruchej łupinie na fale bezbrzeżnego oceanu. Jakaś bojaźń niewytłumaczona ogarnęła nas.

Tym razem pierchnęła szybko. Na mdłym tle krajobrazu wybiły się dwa dolne końce tęczy i niebawem złączyły się we wspaniały i bardzo wyraźny łuk!...

Od wschodu przedarły się na nowo promienie słoneczne.

Piękne zjawisko znikło i niby na wielkiej scenie teatralnej ukazał się nam inny obraz: dalekie horyzonty, kontury gór z nieskończoną rozmaitością światel i półcieni, stada barwnych chmur, chyżo z wiatrem płynące i zieleń krajobrazu.

Była godzina piąta, gdy nie zważając na wilgoć, ruszyliśmy niecierpliwie ku szalasowi, aby co prędzej ocenić trwałość fundamentów naszej budowy.

Wyszliśmy już z zarośli i znaleźli się na drobnym żwirze gęsto usianym igłami świerkowymi. W połowie drogi, na skrócie, lord Puckins wyprzedził mnie, ale zaledwie znikł z oczu. usłyszałem jego wołanie, a po chwili ujrzałem zdążającego ku mnie w stanie niezwykłego ożywienia. Masz tobie — pomyślałem — pewno nasza robota zniweczona. Tymczasem lord Puckins wołał z daleka: »Nie ma drogi!«. Co by to znaczyło, nie mogłem na razie zrozumieć.

Dopiero gdyśmy się zeszli, dowiedziałem się, co go poruszyło.

— Śpiesz, doktorze! Ujrzyś coś nadzwyczajnego, żywy wał nieznanych stworzeń zagradza nam drogę do szalasu.

Na pytanie moje o szczegóły powtarzał tylko, że w poprzek naszego szlaku rozciąga się długi, dość wysoki mur, na którym roją się tysiące dziwnych larw.

Skupione w jeden wał, pełzają powoli ku dołowi.

Miały one wszystkie długości około półtora łokcia, były koloru żółtopopielatego, prawie przezroczyste, z czarnymi główkami. Szklista i lepka skóra sklejała je z sobą. Wał ten, wysoki na jakie trzy do czterech stóp, cały był złożony z ruszających się i czołgających larw.

Chciał go obejść i podążyć dalej, ale ani na lewo, ani na prawo nie mógł dostrzec przejścia.

Opis ten, rzucony jednym prawie tchem, od razu objaśnił mnie o wszystkim.

— Pleń! Pleń! — zawołałem rozpromieniony. — Prowadź mnie lordzie, natychmiast! Jak żyję, jeszcze go nie widziałem!

Anglik spojrział na mnie pytająco.

— Objaśnię pana później — odrzekłem na nieme jego pytanie — a teraz pokaż pan to cudo co prędzej! Dwadzieścia lat znam Tatry, szukałem go nieraz, a jeszcze go nie spotkałem!..

— Czegoś pan szukał? Bo właściwie nie rozumiem o czym pan mówisz? Czy to ów żywy wał nazywasz, doktorze, pleniem?

— Nie inaczej! Jest to rzadkie bardzo w Tatrach zjawisko, a przy tym jedna z największych osobliwości przyrody...

— Ale skądże, doktorze, możesz przypuszczać, że się nie mylisz, skoroś jeszcze tego wału nie widział? Może nie jest tym, o czym myślisz, może ci go niedokładnie opisałem.

— Owszem, opisałeś pan go tak dokładnie, że najmniejszej nie mam wątpliwości. Zresztą pełzający wał, złożony z przezroczystych larw, może być tylko pleniem i niczym innym.

Nie czekając na swego przewodnika, puściłem się szybkim krokiem naprzód i w kilka minut ujrzałem dziwne zjawisko. Przede mną rozciągał się pleń w całej okazałości.

Niebo, Słońce

— Jakże teraz przejdziemy? — odezwał się Anglik, widząc mnie nieruchomo stojącego i obserwującego żywy mur.

— Ach, lordzie! Jesteś w tej chwili zbyt prozaiczny! Troszczysz się o to, jak przejdziemy, zamiast zapomnieć o wszystkim i podziwiać raczej dziwaczne wybryki przyrody, zamiast pomyśleć o dokładnym obejrzeniu zjawiska, które ci się samo nasuwa przed oczy! Czy wiesz, że wielu naturalistów odbyłoby chętnie stumilową wycieczkę, nie szczędząc trudów i kosztu, aby tylko ujrzeć to, co mamy przed sobą?

— Zaciekawiasz mnie, doktorze! Cóż w tej gromadzie larw może być tak osobliwego?

— Samo to, że jest gromadą. Istoty te, zdaje się, nie powinny by posiadać żadnego instynktu i celu do zgromadzania się na wspólne wędrówki. Te »robaki«, które widzimy, są to larwy pewnego gatunku much, zwanego przez uczonych pleniówką (*Sciara thomae* lub *S. militaris*); spośród tysięcy najrozmaitszych gatunków much one tylko jedne zdradzają instynkt do zbierania się w długie szeregi i wędrowania z miejsca na miejsce, niby wojsko jakie... Osobliwość tego zjawiska powiększają wyjątkowe warunki, w jakich powstaje. Nie trzeba być badaczem przyrody, aby zainteresować się jak najżywiej pleniem. Chodź, lordzie, obejździemy go całego.

— Chętnie, ale powiedz mi jeszcze, doktorze, czy to, co widzimy, jest zbitą masą robaczków, czy też obsiadły one jaki leżący patyczek i po nim wędrują?

— Broń Boże! Jest to zwarty hufiec larw pełzających przez las w postaci długiego, a cienkiego węża, a tym różni się od kolumn wojskowych, że idzie nie jedną warstwą, jak ludzie po ziemi, ale na plecach pełzających po ziemi larw znajduje się druga warstwa, która po nich pełza, na tej drugiej trzecia, czwarta, piąta i niekiedy szósta! Na przedzie kolumny kroczy jedna tylko larwa, a do niej przylepione dwie lub trzy inne prowadzą całe to wojsko.

Wobec podejrzanego kształtu gromady, posuwającej się powoli w obranym przez przewodniczkę kierunku, nic dziwnego, że pleń, niby jakiś wąż popielaty, swą tajemniczością i niezwykle obyczajami zwrócił uwagę ludu, nastrożając nieświadomym umysłem przedmiotu do mnóstwa gadek, baśni i przesądów.

Głuche i otoczone aureolą tajemniczości wieści krążą od dawna w ustach ludu krain górzystych i lesistych, jako też po księgach dawnych pisarzy.

Znajomość plenia u ludu musi dawnych sięgać czasów, piśmienne zaś wzmianki sięgają początków XVII wieku.

Mimo jednak silnego zainteresowania się tym zjawiskiem, z przyczyny jego rzadkości niewielu dotąd naturalistów widziało plenia na własne oczy; znaczna część pisarzy powtarzała tylko podania obce, zaciemnione dodatkami zaczerpniętymi z fantazji ludowej.

Tajemnica, okrywająca historię naturalną plenia, dopiero niedawno została zdarta, a i to nie we wszystkich szczegółach jego życia.

Wiele się do tego przyczynił nasz znakomity zoolog doktor Maksymilian Nowicki³⁵¹, a przed nim Hohmann³⁵², Thon z Eisenachu³⁵³ i Berthold³⁵⁴.

Wielu innych naturalistów, choć niezmiernie interesowało się pleniem i pisywało o nim uczone artykuły, nie wyświetliło tego przedmiotu, poprzestając na domysłach lub powtarzaniu błędnych zdań cudzych.

³⁵¹Nowicki, Maksymilian (1826–1890) — polski zoolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, badacz fauny i flory tatrzańskiej, pionier ochrony przyrody w Polsce, współtwórca Towarzystwa Tatrzańskiego; autor monografii opisującej plenia, stworzonego przez larwy muchówki z gatunku ziemiorki pleniówki: *O pleniu kopalińskim i legnącej się z niego pleniówce, Sciara militaris* (Rocznik Towarzystwa Naukowego Krakowskiego 1868, t. 37, s. 217–325). [przypis edytorski]

³⁵²Hohmann — Hohman, *Der Heerwurm*, Tylża, 1857. [przypis autorski]

³⁵³Thon z Eisenachu — W. Erscha i Grubera *Allgemeine Encyklopaedie der Wissenschaften und Künste*, Lipsk 1828. [przypis autorski]

³⁵⁴Berthold — Berthold, *Lehrbuch der Zoologie* 1845. [przypis autorski]

Znakomity ornitolog³⁵⁵ Ludwik Bechstein³⁵⁶, jak sam przyznaje, przez długie lata na próżno oglądał się za pleniem, który interesował go bardziej niż wszystkie inne zwierzęta. Cudowność wieści o pleniu budziły w nim żądzę zbadania tego dziwu przyrody, ale lata mijały, a cud się nie pojawiał.

Dopiero 3 sierpnia 1850 roku przyjaciel jego, leśniczy Buchenröder z Oberhofu, który przez dwadzieścia lat także na próżno oglądał się za pleniem, doniósł mu, że pleń pojawił się około Lochbrunnen, że go sam widział, a nadto posłał Bechsteinowi we flaszcze trochę larw.

Bechstein, choć nie entomolog, wyhodował z nich muszki i jak mógł najdokładniej opisał, dając bodźca do dalszych poszukiwań innym naturalistom, a szczególnie Bertholdowi.

Dotąd wiadomo, że pleń pojawia się w górskich, wilgotnych lasach Szwecji, Norwegii, Turynii, Szwajcarii i wielu innych miejscowości.

W hercyńskich i turyngijskich górach lud go nazywa *Heerwurm*, *Kriegswurm* lub *Heerschlange*, w Szwecji *gardsdrag* i *bärmask*. Co do Tatr i galicyjskich Karpat, kwestia plenia niedawno została poruszona.

Pierwszym z naturalistów, który widział tu plenia, nie znając jeszcze jego polskiego nazwiska, był mój serdeczny przyjaciel, profesor Nowicki, który idąc w 1865 roku ze Szmeksu na Łomnicę, napotkał w reglach³⁵⁷ cztery małe plenie. Towarzyszył mu Wala, zwykły jego przewodnik, który — przywołany do obejrzenia rzadkiego zjawiska — zaraz miał zawołać: »Ta to pleń! Teraz, da Bóg, będą dobre urodzaje! Ludzie nasi plenia spotkanego zbierają, suszą i posypują nim izby, sądząc, że się chleb trzyma domu takiego. Wróżą też, że w Polsce będzie urodzaj, gdy pleń idzie dołu (na dół) ku północy, w Węgrzech zaś, jeśli idzie w górę, ku węgierskiej stronie«.

Następnego roku pleń nie pojawił się w Tatrach, dopiero w 1867 otrzymał Nowicki od dra Janoty list z wiadomością, że Wala z Sieczką widzieli plenia przy Gąsienicowych Stawach na halach. Napisał też natychmiast do Wali, aby plenia odszukał i zbadał przeobrażenie się gąsieniczek, ale biegły w dostrzeganiu przyrody góral nie znalazł już go nigdzie. Przedtem nieliczne osoby widziały plenia w Tatrach w roku 1861. Sieczka, Jędrzej Kubin i Tatar przyznawali mi się, że widzieli to zjawisko. Sieczka dwa razy nawet je dostrzegał. Raz, kiedy był bardzo młodym chłopcem i pasał owce, a potem w 1867 roku, Kubin zaś raz jeden tylko.

To, co wiemy o pleniu od profesora Nowickiego, opiera się przeważnie na spostrzeżeniach w lasach pod wsią Kopaliny w Beskidach pod Bochnią, gdzie pierwszy raz w roku 1865 zwrócił on uwagę mieszkańców, a następnie nadleśniczego Semscha i Nowickiego, który dowiedziawszy się o odkryciu, natychmiast przybył i zajął się ścisłym zbadaniem osobliwego owada.

W dwa lata później plenie pojawiły się w Kopalinach w tak niezwyklej obfitości, że Nowicki mógł dokonać nad nimi licznych i ścisłych obserwacji, na których podstawie napisał pierwsze dzieło rzucające jaśniejsze światło na obyczaje tego niezwyklego gatunku muchówek.

— Czymże się charakteryzują te dziwne obyczaje pleniówki? — zapytał mnie lord Puckins.

— Nade wszystko osobliwym popędem larw, żyjących w próchnicy, do tłumnego skupiania się w pewnej porze dojrzałości w jedno ciało węzowate i do wspólnego pęłzania w tak zwartym szeregu.

Z chwilą gdy larwy, poukrywane w próchnicy między butwiejącymi szczątkami roślinności, dorosną do pewnej oznaczonej wielkości i poczną popęd do wędrówek, wydobywają się one prawie równocześnie na powierzchnię ziemi i te, które najpierw wyjdą, skupiają się zaraz, tworząc małego plenia.

³⁵⁵ornitolog — ornitologia jest częścią zoologii zajmującą się ptakami. [przypis autorski]

³⁵⁶Bechstein, Ludwig (1801–1860) — niemiecki pisarz, kolekcjoner baśni ludowych; bratanek i wychowanek Johanna Matthäusa Bechsteina (1757–1822), przyrodnika, leśnika i ornitologa; w 1850 Ludwig Bechstein na podstawie ludowych podań o pleniu napisał opowiadanie *Der Heerwurm und die Wildschützen* (w zbiorze *Rheinisches Taschenbuch*, 1850), zaś po otrzymaniu larw pleniówki opublikował rozprawę *Der Heerwurm, sein Erscheinen, seine Naturgeschichte und seine Poesie* (Pleń, jego wygląd, historia naturalna i poezja; Norymberga 1851). [przypis edytorski]

³⁵⁷regiel, zwykle w lm: regle — lesiste wzniesienia w Tatrach, poniżej górnej granicy lasu. [przypis edytorski]

Ta »głowa«, uporządkowawszy się należycie, pomyka naprzód, a larwy, które później wydobywają się z próchnicy, przylepiają się po drodze do niej, powiększając coraz bardziej długość i objętość kolumny. Lepka ciecz, wydzielająca się ze skóry każdej larwy, spaja wszystkie tak silnie, że tworzą razem jakby jedno węzowate ciało, które da się na chwilę podnieść bez rozerwania. Popielaty ten wąż pełza niezmiernie powoli i wytrwale po cienistych ustroniach lasu lub po drogach leśnych, a nieświadomego może w istocie zdziwić lub nawet przestraszyć.

Widywano plenie mierzące po kilka cali, po łokciu, dwa lub trzy najwięcej. Przechowują się wszakże przesadne zapewne, bo niesprawdzone podania w Szwecji i Norwegii, jakoby spotykano tam plenie długie na kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt łokci. Największy, jakiego widział Nowicki, miał 56 cali długości, 2 linie szerokości, a 1,5 linii wysokości³⁵⁸.

— Ciekawym, ile nasz okaz mierzy? — zawołał Anglik. — Wydaje mi się niezmiernie długi.

— Zmierzymy go zaraz — odrzekłem i ruszyliśmy szybkim krokiem ku przodowi olbrzymiego cielska. Rezultat pomiarów przeszedł nasze oczekiwania. Pleń mierzył 1320 stóp długości, co dawało, podzielone przez 120, rzeczywistej długości 5,5 łokcia, czyli 132 cale!³⁵⁹

— Lordzie! Takiego olbrzyma nie znaleziono dotąd w Karpatach i Tatrach! Niech żyje! — zawołałem zachwycony i uroczyście nastrojony.

— Niech żyje jak najdłużej na pociechę naturalistów! — zawtórował Anglik, unosząc w górę czapkę. — A teraz skoro tak wspaniale zrobiliśmy odkrycie, musimy odżalować trochę czasu i poświęcić go na dokładne zbadanie naszego olbrzyma. Czy nie masz, doktorze, nic przeciw temu?

— Ależ przeciwnie, rad jestem niezmiernie, Puckinston będzie wprawdzie trochę później dokończony, ale za to po powrocie do świata opiszemy plenia w specjalnych organach zoologicznych. Samo znajdowanie się jego na tej wysokości, w dolinie Białej Wody, jest osobliwością³⁶⁰.

Podeszliśmy do »głowy« plenia, aby przypatrzeć się, jak przodowniczka wybiera drogę. Tu zauważyliśmy, że w którąkolwiek stronę zwróci się pleniówka czołgająca się na samym przodzie, tam za nią bez żadnego wahania podąża cała armia.

Właśnie, gdyśmy się zbliżyli, pleń nadszedł nad dołek, w poprzek którego leżała gałązka niby kładka. Sądziłyśmy, że przodowniczki ominą go, ale gdzie tam! Po chwili namysłu zeszły i zatrzymały się na dnie jego. Nadszły larwy tylne to samo czyniły — całe ich setki zapełniały dołek, a żadna nie pomyślała o przejściu na drugą stronę. Dopiero gdy zapełniły swymi ciałami wgłębienie, tworząc równą groblę, dalsze zastępy przeszły po niej i ruszyły w dalszą drogę. Było coś zadziwiającego i wzruszającego zarazem w tej ofierze nędznych robaków, jaką uczyniły dla wspólnego dobra. Dawna przodowniczka została tedy na dnie dołka, a na czoło kolumny dostała się pleniówka, która pierwsza przeszła po żywej grobli. Szybkość pochodu nie uległa przez to żadnej zmianie i mniej więcej wynosiła dwa łokcie na minutę (to jest dwa cale na pięć minut). Gdy już przednia część plenia wysunęła się poza dołek na jakich dziesięć łokci, a reszta ciągnęła przez grobelkę, przodowniczka trafiła na innego rodzaju przeszkodę, mianowicie na uschlą lodygę, wystającą pionowo ze zwirowatego gruntu. Zdawało się, że teraz ominie pleń łatwo przeszkodę, lecz znów nas spotkała niespodzianka. Przodowniczka, do której tylnej części przylepione były dwie inne pleniówki, zbliżyła się do lodygi, zatrzymała, podniosła czarną główkę, jak mogła najwyżej, i — po kilku poruszeniach na lewo i na prawo — ruszyła na lewo, tuż przy lodyżce. Za nią poszły dwie towarzyszki, ale następny szereg, złożony z czterech innych pleniówek, rozdzielił się i gdy dwie z nich poczołgały się za przewodniczką, dwie drugie zwróciły się na prawo. Dalszy szereg, złożony już z siedmiu larw, także rozdzielił się na lewo i na prawo. Następnie cały pleń sunął już naprzód, dzieląc się u zapory na dwie

³⁵⁸ 56 cali długości, 2 linie szerokości, a 1,5 linii wysokości — tj. ok. 140 cm długości, 4 mm szerokości i 3 mm wysokości. [przypis edytorski]

³⁵⁹ Pleń mierzył (...) rzeczywistej długości 5,5 łokcia, czyli 132 cale — 3,35 metra. [przypis edytorski]

³⁶⁰ Samo znajdowanie się jego na tej wysokości, w dolinie Białej Wody, jest osobliwością — te wszystkie szczegóły są autentyczne: autor spotkał opisanego plenia w roku, miesiącu, warunkach i miejscowości tu opisanych. [przypis autorski]

części. Gdyby teraz obie przodowniczkę zechciały obrać różne drogi, cały pleń przeciąłby się wzdłuż dobrowolnie na dwa mniejsze plenie. Sądziłyśmy nawet, że to nastąpi — bo obie przednie kolumny uszły już dwadzieścia łokci (dwa cale) obok siebie, nie zbliżając się — gdy naraz lewa kolumna skręciła na prawo i po kilku minutach połączyła się z prawą, tworząc znowu jednolite ciało, przedziurawione w tym miejscu, gdzie wyrastała łodyga.

Patrząc dłużej, zauważyliśmy inne jeszcze zjawisko. Polegało ono na niejednakowej szybkości, z jaką posuwają się dolne warstwy plenia. Będące na spodzie idą wolniej, bo im odbiera siły ciężar dźwiganych na barkach towarzyszek; te ostatnie odbywają ruch podwójny. Są niesione przez pierwsze, jak dygnitarze dźwigani w lektykach przez niewolników, a nadto suną o własnych siłach, zdążając do celu niby dyplomaci po plecach niższej warstwy.

Znajdujące się na samym wierzchu pleniówki posuwają się z tego powodu najszybciej i wyprzedzają ustawicznie dolne warstwy, dochodząc powoli do najpierwszych szeregów. Najzręczniejsze stają się wkrótce przodowniczkami.

Niedługo wszakże cieszą się buławą marszałkowską. Wkrótce podążające za nimi zastępy coraz natarczywiej nacierają na nie, wstępują im na grzbiety, wyprzedzają i ujmują berło pierwszeństwa, a cała długa kolumna przechodzi po grzbietach niedawnych dowódców, bez żadnego względu na położone przez nich zasługi i dostojęństwo. Pleń ma już nowych generałów i nie troszczy się o zdegradowane jednostki, które — zapomniane gdzieś w najniższej warstwie — dźwigają ciężar swój z rezygnacją.

Czyż los tych biednych owadów nie przypomina doli, jaka spotyka zwykle i w naszym świecie wszystkich przodowników?...

*

Przodowniczkę stają się czasem zgubą całego plenia. Chociaż bowiem zwykle omijają strone lub niemożliwe do przebycia zapory, zdarza się niekiedy, że spotkawszy rowek z wodą, wślą do niego, a za nimi cały pleń. Wtedy topi się ich znaczna ilość albo, jeśli woda głęboka, toną wszystkie.

Gdy dwa plenie spotkają się z sobą na drodze, wtedy łączą się. Jednemu z przyrodników zdarzyło się widzieć dwa plenie idące w przeciwnych kierunkach. Skoro się zetknęły z sobą, nastąpił zamęt. Jeden wpłynął na drugiego i przez długą chwilę utworzyły rojący się kłęb. Wkrótce jednak wierzchnie larwy uporządkowały się i ruszyły przed siebie, a za nimi skierowała się reszta towarzyszek, tworząc jeden duży pleń. W tym wypadku młodsze larwy, stanowiące jeden pleń, pomieszały się ze znacznie starszymi i razem z nimi powędrowały. Obserwacja ta dowiodła naocznie, że larwy stanowiące jeden pleń nie pochodzą bynajmniej od jednej matki, ale od wielu matek. Każdy nawet pleń, choćby składał się z równych sobie pod względem wieku larw, jest zbiorowiskiem dzieci licznych matek — przekonano się bowiem, że jedna samiczka złożyć może najwyżej trzysta jajeczek, gdy gdy tymczasem niewielki pleń liczy kilka lub kilkanaście tysięcy larw.

Nasz pleń — gdyśmy wzięli pod rachunek jego długość, grubość oraz przeciętną wysokość — mógł zawierać przeszło dwadzieścia osiem tysięcy larw.

Pochód plenia jest nużący i trwa zwykle całe godziny, zależnie od stanu pogody. Zwykle ma miejsce w dnie pochmurne, i to bardzo wcześnie przed wschodem słońca, a trwa kilka, a czasem kilkanaście godzin, zazwyczaj dopóty, dopóki promienie słońca lub deszcz nie padną na niego.

Wtedy bowiem przodowniczkę zatrzymują pochód, cały wąż rozrywa się i każda z larw stara się ukryć co prędzej w próchnicy. Do rozsypki i ukrycia skłaniają także pleniówki potrzeba odpoczynku i głód, który zaspokajają butwiejącymi szczątkami mchów, korzonków i próchnicą.

Z nadejściem pory pochodu larwy tłumnie wychodzą na powierzchnię jakby za danym sygnałem, skleją się znowu i pełzną w dalszą drogę.

— Skoro tak dobrze znasz, doktorze, obyczaje plenia, powiedz mi, co za cel mają te niedołężne larwy w odbywaniu długich i nużących wędrówek?

— Niestety! Tego jeszcze nie zbadano! Pomimo najrozmaitszych domysłów popęd pleniówek do gromadnych pochodów należy do niewyjaśnionych dotąd tajemnic przyrody. Usiłowali wprawdzie wytłumaczyć go niektórzy uczeni potrzebą wzajemnego chro-

nienia się od obsychania na wolnym powietrzu, ale dowcipny ten domysł upadł po bliższym zastanowieniu się innych badaczy, gdyż zauważono z jednej strony, że larwy z osobna czołgające się nie obsychają bynajmniej, jeśli pełzają po wilgotnej ziemi, jak to czynią zbiorowo, z drugiej — widziano plenia zaskoczonego przez promienie słońca na twardym gruncie, gdzie nie mógł się w cień ukryć. W tym wypadku, gdyby pomysł był trafny, pełń powinien by utrzymać się w całości, aby przeczekać w skupieniu spiekotę — a tymczasem, zaniepokojony, rozdrobnił się na kawałki, rozłączył się i większość larwy obeschnięta zginęła. Łączenie się tedy larw nie może mieć na celu utrzymania potrzebnej im do życia naturalnej wilgoci, nie może także mieć na celu gromadnego przeobrażenia się w poczwarki, bo i to nie zostało potwierdzone, pozostawał jedynie domysł że przyroda chyba na to dała im ten instynkt, aby były łatwiej tępione przez nieprzyjaciół, wiadomo bowiem, że wszelkie gromadne wędrówki zwierząt mają ten skutek. Tu podobny rezultat nie daje się dostrzegać, przed pleniem bowiem wszelkie stworzenia owadożerne trwożliwie się usuwają i nie widziano, aby go mrówki, pająki lub wije (*Myriapoda*) napastowały.

— Jak to, więc te szczęśliwe stworzenia nie mają swoich tępicielei?

— Owszem i ciężki splanają im haracz. Zacięty wróg nie opuszcza ich ani na chwilę i należy do tej samej kategorii stworzeń. Jest nim larwa pewnego pospolitego gatunku much (*Cyrtoneura pabulorum*), żyjąca w pleniu i razem z nim wędrująca. Gdy pleniówki żerują, larwa ta czeka spokojnie, gdy ruszają w pochód, i ona wsuwa się w szeregi i niesiona na barkach ofiar czyni niemiłosierne spustoszenia, wysysając jedną pleniówkę po drugiej. Niekiedy pełń nosi w swym łonie kilkadziesiąt tych strasznych pasożytów, łatwo więc sobie wyobrazić, jak dziesiątkują one biedne bezbronne larwy przez parę tygodni, w ciągu których pełń wędruje. Wracając do celu zgromadzenia się pleniówek, muszę ci, lordzie, jeszcze przytoczyć domysł Hahna. Według niego przyczyną i skutkiem skupiania się ma być wielonożność i nieruchliwość muszki pleniowej. Jest on o tyle trafny, że muszki te w istocie po wylęzieniu się z poczwarek tłumnie siedzą na próchnicy i że na kilkadziesiąt samiczek zaledwie jeden przypada samczyk.

— Wiesz, doktorze, że to ciekawe stworzenia! Nigdy bym nie przypuścił, spoglądając na ocieźale i niezgrabne robaki, że posiadają tyle stron zajmujących w swojej historii.

— Nie opowiedziałem ci jeszcze, lordzie, ani połowy rzeczy zajmujących o tych stworzeniach. Niezmiernie są ciekawe przesady przywiązane do pojawiania się plenia. Wszędzie, gdzie się zjawiał, otaczano to dziwo całą grozą bajecznej poezji ludowej i opowiadano setki najdziwniejszych i okropnych rzeczy. Dla mieszkańców Turynii, gdy idzie do góry, zapowiada wojnę, gdy na dół — spokojne czasy. Nadto rzucają mu, podobnie jak to czynią wieśniacy w Szwecji i Norwegii, w poprzek drogi suknie, kaftany lub fartuszki. Jeśli przejdzie przez przedmioty, wróżą sobie szczęście, gdy ominie, właściciel lub właścicielka pogardzonego przedmiotu umrze niedługo lub wpadnie w nieszczęście. W okolicach Babiej Góry górale twierdzą, że gdy sunie na dół, będą złe lata, gdy do góry — dobre. Kto znajdzie plenia, będzie miał szczęście i nie zabraknie mu chleba.

— Dzięki Bogu! Więc i dla nas pocieszająca to wróżba — przerwał mi Anglik, śmiejąc się — będziemy mieli obiad. Chodźmy teraz obaczyć, co się dzieje z naszym pałacem; ciekawym, czy pełń usprawiedliwi swoją sławę.

I ruszyliśmy pod górę, pozostawiając armię muszki za sobą.

XXVIII. MĄDRE NIEMOWLETA. MATKOŻERCZE POKOLENIE

Chata nasza stała nienaruszona. Snadź dobrze układaliśmy kamienie, gdy woda, zbierająca się we wnętrzu, musiała aż drzwiami szukać ujścia. W progu też powstała szeroka wyrwa, świadcząca o obfitości wody, jaka z chaty wypływała. Drobną ta szkoda nie zasługiwała nawet na to miano, bo z chwilą przykrycia dachem nie powinna powtórzyć się więcej.

Zabraliśmy się raźnie do pracy. Liść, jakiego nam było potrzeba, znalazł się łatwo na gałęzi, na wysokości drugiego piętra nad budynkiem. Pozostawało tylko wdrapać się na roślinę, odrąbać go i spuścić na ściany.

Bagatelne to dla cieśli lub członka straży ogniowej zadanie, dla nas, niewtajemniczonych w arkana sztuki inżynierskiej, przy ograniczonych środkach, wymagało nie lada mozółu.

Pożyczyliśmy sobie jedwabnego powrozu od jakiejś rogatej gąsienicy, co zabłąkana w poszukiwaniach właściwego sobie ziela wędrowała przez mchy i skały i przez całą drogę snuła z pyszczką jedwabną przędzę.

Przędza ta, przeznaczona do utrzymania ciężkiego cielska naszej sąsiadki na miejscach śliskich lub stromych, była aż nadto wystarczająca do spuszczenia liścia. Zabraliśmy się tedy żwawo do pracy i wkrótce położyliśmy bez wypadku nasz dach na murach i przytwierdzili ciężkimi kamieniami.

Z prawdziwym zadowoleniem usiedliśmy potem na kamiennym progu chaty, niby farmerzy w dziewiczej puszczy amerykańskiej.

— No, dzięki Bogu, mamy domek własny! — odezwał się Anglik, ocierając uznojone czoło. — Wcale w porę zjawiała nam się pocziwa powroźniczka. Nie wiesz, doktorze, do jakiego gatunku należy?

— Tego nie mogę powiedzieć; jest ich tyle odmian, że nawet specjalista motylarz nie o każdej może powiedzieć, jaki motyl z niej wyrośnie. To pewne jednak, że należy do motyli latających o zmierzchu. Zmierzchnice tylko (*Sphingidae*)³⁶¹ odznaczają się w młodym wieku rogiem, czyli mięsistym zakrzywionym wyrostkiem nadkuprowym, i brakiem wszelkich innych kolców, wyrostków lub włosów, jakimi bardzo często bywają okryte gąsienice motyli dziennych i nocnych. Gąsienice dziennych motyli wydzielają także mniej przędzy i delikatniejszą, a nasza dość rozrzutnie postępowała w tym względzie.

— A więc przędza jest przywilejem wszystkich bez wyjątku motyli?

— Tak jest; dopóki są gąsienicami, posiadają gruczoły przędne, wytwarzające kleistą ciecz, która ma własność natychmiastowego twardnienia w zetknięciu z powietrzem; wszystkie mogą wydzielać wielką ilość jedwabnych nitek. Nie jest to jednak ich wyłącznym przywilejem. Znaczna bardzo część innych owadów produkuje także w razie potrzeby przędzę różnej grubości, mocy i różnych kolorów.

Dar ten okazuje się szczególnie dobroczynny w czasie przeobrażania się w poczwarkę dla gatunków żyjących na wolnym powietrzu, gdy bezwładność poczwarki wymaga jakiejś ochrony. Przy jego pomocy troskliwe matki budują dla swych dzieci mieszkania bezpieczne jak fortece. Przy jego pomocy dzieci matek nieumiejących snuć przędzy (np. gąsienice), osierocone przed wykluciem się z jajeczek, radzą sobie jak umieją, aby nie cierpieć głodu i chłodu.

U nas rodzice niemowlętom sprawiać muszą kołyski, a miłe pocieszki nie umieją przez kilka lat nic więcej niż jeść, gdy im dają, a płakać, gdy głodne. Młode motyle³⁶² inaczej. Skoro tylko ujrzą światło dzienne, zaraz zabierają się do rzemiosła i w krótkim czasie budują sobie wcale przyzwoite kołyski — jedne z liści... inne, bardziej wybredne, z czystego jedwabiu. Takie, co obywają się bez kołyszek, mają w przędzy obronę.

— A jakim to sposobem? — zagadnął lord, mocno zajęty historią przędących stworzeń.

— Bardzo prostym! — odrzekłem.

Gąsienica na przykład wystawiona na silny wiatr, przyczepia się do liścia za pomocą przędzy, a nawet, zdmuchnięta z rodzinnej gałązki, spuszcza się łagodnie po swej nitce i zmniejsza przez to siłę spadku — ma zarazem po tej samej linii zapewniony powrót. Toż samo czyni rozmyślnie, gdy trzeba uniknąć ptasiego dzioba, gąsienicznika lub innego niebezpieczeństwa, i póty wisi, ukryta w gęstwinie, dopóki trwa obawa o życie. Inaczej, raz strącona, mogłaby zginąć głodową śmiercią.

To jeszcze mała częśćka pożytków, jaką owadom oddaje przędza. Musiałeś zauważyć, milordzie, gdyśmy schodzili z drzewa, liść zwinięty w trąbkę, po jakim wypadło nam przejść.

Wewnątrz tego liścia mieszka, żywi się i nigdy z niego nie wychodzi mała gąsieniczka, należąca do obfitego w gatunki działu motyli zwanych zwójkami (*Tortricidae*).

Owady te przedstawiają niezmiernie ciekawy typ budowniczych i wielce różnią się od tych, jakie poznaliśmy, a także mnogich chrząszczyków zwijających liście. Gdy pszczoły, mrówki i tym podobne owady dopiero w stanie dojrzałości oddają się sztuce budowania

³⁶¹zmierzchnice (*Sphingidae*) — obecnie: zawisakowate. [przypis edytorski]

³⁶²Młode motyle — autor ma na myśli gąsienice. [przypis edytorski]

gniazd, zwójki i ćmy właściwe (*Tineidae*)³⁶³ od chwili wyklucia się z jajeczka wykazują niezmierną zręczność i pomysłowość w budowie namiotów, domów, tuneli, fortec, a nawet miasteczek.

Gąsienice związające liście są prawdziwymi pustelnikami. Każda mieszka we własnej celce, którą sobie zaraz po narodzeniu buduje, a domek taki służy jej jednocześnie za ochronę przed chciwym wzrokiem nieprzyjaciół oraz za spiżarnię. Niektóre zadowolają się związaniem kilku listków i utworzeniem z nich nieprawidłowej³⁶⁴ wiązki, we wnętrzu której zamykają się; inne składają jeden liść na połowę; jeszcze inne gatunki urządzą sobie ze zwiniętej blaszki bardzo piękną rurkę. Rurki te bywają albo cylindryczne, albo stożkowate, przypominające kształtami tutki³⁶⁵ papierowe, w jakich kramarze sprzedają pieprz, cukier i inne towary, z tą tylko różnicą, że w tych tutkach, w cieńszym końcu, znajduje się mały otvorek, przez który zwierzątko w razie potrzeby wyjść może. Są wreszcie gatunki, dla których cały liść za wielką stanowi płaszczyznę, rozcinają więc część blaszki w poprzek i trzecią lub czwartą część liścia w ten sam sposób związają, jak jej większe siostrzyce czynią to z całymi.

Zdawać by się mogło, że zwinąć listek, aby uczynić z niego bezpieczną i trwałą celkę, nie jest trudno. I w samej rzeczy łatwym byłoby to zadaniem, gdyby gąsienica posiadała palce lub organy mogące je zastąpić. Ale nie ma prawie członków, a długość materiału kilkanaście razy przewyższa jej własną. Gdyby przynajmniej był tak podatny do utworzenia gilzy³⁶⁶ jak arkusz papieru, to jeszcze, ale liść wielu roślin przedstawia blaszkę kruchą, a przy tym grubą i sprężystą. Ma on dążność, nawet skrecony, do rozprostowania się, bo przecież posiada żyłki, które w liściu są tym, czym pręty w rozpiętym parasolu.

Jakże sobie tedy umiejętnie gąsieniczka radzić musi, skoro widzimy, że zwinięta blaszka pozostaje w nienaturalnym położeniu całe tygodnie, bez względu na zmiany temperatury, wiatr i rozrastanie się. Nic nie może zniszczyć dzieła małego lokatora, który spokojnie pędzi dni w odosobnieniu. Zgadnijże, lordzie, co czyni gąsieniczka, długa zaledwie na parę linii, gdy wyjdzie z jajeczka przyklepionego do liścia tej wielkości co bzowy i zapragnie złożyć go na pół przy pomocy jedynego narzędzia, przedzdy?

— Doprawdy, nie mogę pojąć, jak się bierze do tak przerastającego jej siły zadania. Gdyby można było przypuścić, że siły jej są dostateczne do nagięcia sprężystej blaszki, powiedziałbym, że powinna ucześcić na jednym brzegu nitkę, przylepić drugi jej koniec do przeciwległego brzegu blaszki i następnie skracać linę. Człowiek dokonałby tego przez związanie liny na jakimś kołku, ale tutaj nie może być mowy o tym sposobie. Liszce zwójki brak nie tylko siły, ale i potrzebnych kończyn do podobnego dzieła.

— Doskonale, lordzie, rozwiązałeś zadanie, ale mylisz się, posądzając zwójkę o brak narzędzi odpowiednich do tej pracy.

— Jak to? Więc biedny robak w istocie w ten mądry i zarazem prosty postępuje sposób?

— Tak jest, kochany lordzie; nie sądz, że nasz ród wziął już w monopol mądrość całego świata. Dużo wprowadzić ludzie jej pod swymi czaszkami zgromadzili, została przecież wcale niegorsza częśćka w niepoczesnych³⁶⁷ ciałkach wszelakich zwierząt, które sobie nie gorzej od człowieka radzą na tym świecie. Niekiedy zawstydzają one nasz przemądrzały ród, rozwiązując mnóstwo zadań z większą prostotą i dokładnością, niż my byśmy to uczynili. Ot widzisz: marna zwójka, połączywszy nie jednym, ale licznymi poprzecznymi nitkami dwa brzegi liścia, po kolei skracając długość każdej liny przez pociąganie jej pośrodku tak daleko, jak jej na to wątłe siły pozwalają. Gdy już dalej nie może odciągnąć, przyczepia wyteżoną linkę za pomocą przedzdy do głównego nerwu liścia i napręża drugą nitkę. W ten sposób otrzymuje niejaki podniesienie się brzegów blaszki i uwiązuje drugi szereg nici, które podnoszą krawędzie liścia znowu wyżej. Dawne liny trzymają je w osiągniętym już zagięciu, a tymczasem gąsienica przyczepia nowe, krótsze, i znowu z całej siły wypręża.

³⁶³ćmy właściwe (*Tineidae*) — obecnie *Tineidae* noszą nazwę molowate, zaś ćmy to potoczna nazwa motyli nocnych, które niegdyś klasyfikowano jako osobny podrząd *Heterocera* rzędu motyli. [przypis edytorski]

³⁶⁴nieprawidłowy (daw.) — nieregularny, nieforemny. [przypis edytorski]

³⁶⁵tutka — papier zwinięty w rożek. [przypis edytorski]

³⁶⁶gilza — rurka z bibułki do samodzielnego wyrobu papierosów. [przypis edytorski]

³⁶⁷niepoczesny (daw.) — niepozorny, niepokazny, marny. [przypis edytorski]

W ten sposób, brzeg z brzegiem w końcu się schodzi i tworzy z liścia futerał otwarty na dwóch końcach. Tak postępują jedne zwójki. Inne skręcają liść od ostrego końca wszerek; te biorą się, rzecz prosta, cokolwiek odmiennie do dzieła, ale w równie pomysłowy sposób.

Pewne gatunki towarzyskie uważają za daleko bezpieczniejsze mieszkanie w liściu odciętych od gałązki i zawieszonym jedynie na nitce. Łączą więc jeden lub dwa listki razem w jedną całość, potem przywiązują gniazdo na mocnej lince i odgryzają blaszki od gałązki. Gdy już ostatnie włókno w szypułce liściowej zostało podgryzione, gniazdo własnym ciężarem spada i zawisa swobodnie na jedwabnym sznurku. Dostęp do tych fortec jest trudny, a dla wielu napastników wprost niemożliwy.

Powiedzże mi teraz, czy budowie i bezpieczeństwo małych pustelnic byłyby możliwe bez przędzy? Chyba nie. Przędza odgrywa zbyt ważną rolę w ich całym życiu. Nie przypuszczaj jednakowoż, lordzie, by tylko w ten sposób umiały gąsienice zużytkowywać swój drogocenny dar natury. Jest dużo pustelnic, które sobie budują wygodne i dowcipne gniazda wyłącznie z samego jedwabiu.

Do nich należą liczne mole (*Tineidae*) i nocnicówki. Jedna z tych ostatnich zadziwia ciekawym zastosowaniem rozrzedzonego powietrza do powiększenia trwałości swego schronienia.

Kto lubi uważnie rozglądać się po drzewach owocowych, może z pewnością spotkać w porze wiosennej na dolnej powierzchni liści grusz mnóstwo pionowych rurek, długich najwyżej na ćwierć cala, a grubych jak zwykła szpilka. Żółte aksamitne futerały są namiotami koczujących gąsienic, nigdy niewychodzących na świat boży i żywiących się miększym liści... Namioty owe wyrobione są z czystego jedwabiu wkrótce po wyjściu z jajka, a w miarę wzrastania gąsieniczek bywają rozcinane wzdłuż i łatanie nową sztuką materii. Gąsieniczki ukryte w tych schronieniach zjadają tylko miększy liść bezpośrednio leżącego pod namiotem, nie przegryzając go na wylot. Po spożyciu całej powierzchni przesuwały się wraz z namiotem na inne, nietknięte miejsca.

Koczujące te istotki w ciekawy sposób utrzymują celki w pionowym położeniu. Niezależnie bowiem od nitek, którymi od zewnątrz umacniają mieszkania, aby nie odpadły, umieją jeszcze zapobiec niespodzianemu niebezpieczeństwu, zagrażającemu oderwaniem namiotu. Zaniepokojona gąsieniczka cofa się nagle, niby ślimak, do cieńszego końca swej wieżyczki i zatyka własnym ciałem zewnętrzny otwór bardzo szczelnie. Wytwarzająca się w sztucznym dzwonie próżnia przytwierdza wcale mocno namiot.

Są mole wycinające z naskórka liścia podobne do opisanego futerały, wiążące je od środka jedwabiem i pełzające po powierzchni liścia jak ślimaki noszące za sobą skorupę.

Liczne gatunki używają także przędzy do spajania futerałów z różnych obcych materii, na podobieństwo chrzączek. Jedne budują z listków, z mchu, inne z drobnych kamyków, inne jeszcze wyrabiają z kutneru i wełny roślinnej rodzaj damskich mufek, w których im zapewne miękko i ciepło; większość uwija pokrowce z części tych roślin, na których żyją. Niepozorne od zewnątrz pochewki są wyłożone od środka miękkim jedwabiem. Istoty takie noszą swe domki jak ślimak muszlę. Czepiają się wątlami nóżkami rośliny, na której żyją, a gdy chcą spocząć, przyczepiają swój domek do liścia za pomocą przędzy i kurcząc się, chowają wystający przód ciała do środka domku.

Wszystkie znane są pod ogólnym mianem koszówek (*Psychidae*), a zasługują i z innego względu na naszą uwagę. Stanowią mianowicie dowód, że i w świecie owadów popełniane bywają na wielką skalę tak zwane mezalianse³⁶⁸. Koszówka-małżonek tak jest podobny do swej magnifiki³⁶⁹, jak utwór poetycki do... 365 obiadów³⁷⁰!

Nie widziano jeszcze nigdy dobranej parki koszówek.

Samczyk jest bardzo żwawym i zgrabnym motylkiem. Wprawdzie nie może zaliczyć swego żywota do najrozkoszniejszych, żyje bowiem krótko, nie przyjmuje wcale żadnych pokarmów, brakuje mu nawet języka³⁷¹ wraz z głoszczkami — ale przynajmniej natura nie odmówiła mu lekkich skrzydeł i humoru. Uwija się po świecie, trzepoce wesoło

³⁶⁸mezalians — małżeństwo z osobą biedniejszą lub niższego pochodzenia. [przypis edytorski]

³⁶⁹magnifika (daw., żart., z łac. *magnifica*: dostojna) — małżonka. [przypis edytorski]

³⁷⁰365 obiadów — słynna książka kucharska napisana przez Lucynę Ćwierciakiewiczową, wydana po raz pierwszy w 1860. [przypis edytorski]

³⁷¹brakuje mu nawet języka — językiem nazywa autor zwijaną ssawkę motyli, zwaną trąbką. [przypis edytorski]

skrzydełkami i cieszy się a zachwycą, jak umie, pięknnością i wonią kwiatów. Samiczka jego o wiele jest biedniejsza!

Od chwili zbudowania nieszczęsnego swego więzienia nie wychodzi już z niego aż do śmierci.

W nim spędza dzieciństwo, w nim młodość i wiek dojrzały. Gdy rówieśnicy-samczyki wylatują z poczwarki, aby użyć sił i wolności, biedne samiczki nie wychodzą ze swych domków przenośnych nawet na gody weselne.

Pozbawione skrzydeł, z nóżkami wątlami i ociążałym ciałem, podobniejsze są do gąsienicy aniżeli do dojrzałego motyla.

— Ależ to okropne! niesprawiedliwe! — zawołał lord, żywo dotknięty niedolą biednych koszówek.

— Jest to rzeczywiście bardzo smutne, stokroć smutniejsze niż mniemane upośledzenie kobiety, nad jakim wzdychają niektóre myślicielki; ale niestety, w historii koszówek jest stokroć ciemniejsza karta. Posłuchaj, lordzie, końca ich historii. Biedne koszówki, nie zaznawszy żadnej rozrywki w życiu, zostają matkami i nie wychodząc ze swych koszyczków, umierają. Teraz następuje scena, na którą wołałbym zapuścić zasłonę, bo cała natura nasza wzdryga się w obliczu podobnej ohydy. Niewinne, tylko co wylęte z jajeczek liszki, zaledwie uczują pierwszy głód, rzucają się na zwłoki rodzicielki i tuczą się dopóty jej tłustym, martwym ciałem, dopóki nie zostawia tylko twardej łupinki. Wtedy, widząc, że nie ma po co dłużej bawić w gnieździe rodzinnym, potworne istoty rozchodzą się w świat.

I o dziwo! Niedawno posilały się niby mięsożerne zwierzęta zwłokami swej matki, teraz — zamiast szukać innej zwierzęcej strawy — nagle zmieniają swe upodobanie i przyjmują pokarm roślinny.

Gdy już dorosły, budują własne koszyczki i znowu, jeśli są samiczkami, cierpią całe życie, aby swym ciałem nakarmić własne dzieci!

XXIX. NIECO FILOZOFII. WIELKI ZNAK ZAPYTANIA. MĄSKARADA BEZ KARNAWAŁU

— Wiesz, doktorze, iż chwilami słucham z niedowierzaniem twych opowiadań. Zbyt fantastycznie brzmią, aby zaliczać je można do obrazów rzeczywistości!...

— A przecież są tylko błędem i niedokładnym jej odbiciem! — odrzekłem z goryczą. — Rozległość nauki przyrody ma w sobie coś przygniatającego znikomy nasz umysł. Położywszy rękę na sercu, przyznać się trzeba, że mimo tysięcy dzieł napisanych o owadach nie znamy ani setnej części dziwów, ukrytych przed bystrym wzrokiem zoologów.

W znacznym stopniu winien tu sam przedmiot, dostarczający zajęcia na liczne wieki dla całych armii uczonych, ale winien też i fałszywy kierunek, jakiemu większość naturalistów do niedawna hołdowała, a i dziś zbyt wielu ma on zwolenników. Dlaczego nie znamy przyczyny bytu każdej z tysiącznych form, jakie podziwiamy w muzeach i drobniaczko opisujemy?

Dlatego, że większość entomologów postawiła sobie za zadanie i ideał: poznawanie i opisywanie kształtów owadów, nie zaś zrozumienie przyczyn tych kształtów, co byłoby daleko ciekawsze.

Zamiast treści studiują formę, sądząc, że wypełniają swój obowiązek.

Wymierzamy więc kształty trupów owadów, pozatykanych szeregami na szpilkach za szkłem, wypisujemy nazwiska, jakimi podobało się uczonym pedantom te typy pomianować, ale czy to nas uczy choć czegokolwiek o naturze owadów? Kopiujemy z drobiazgowością Chińczyków te kształty w kosztownych dziełach; kolorujemy je, naśladując żywe barwy; opisujemy, siłąc się na tak ściśle definicje, aby opis fotograficznie był zgodny z oryginałem, i sądzymy, że stworzyliśmy już prawdziwą naukę!

Ale czy nam to wszystko objaśnia znaczenie rozpatrywanych kształtów, barw i właściwości, czy rozumiemy cel ich w gospodarstwie natury?... Nie! O tym nie informują nas ani najbogatsze muzea, ani opłacane na wagę złota wspaniałe atlasy, ani wielotomowe dzieła, owoc najmozolniejszych trudów uczonych pedantów.

To, co wiemy o naturze owadów, zawdzięczamy tej lepszej, ale stokroć szczuplejszej częstce badaczy, co treść nad formę przenoszą, a nie uganiając się za łatwymi wawrzynami

mi³⁷², całe lata poświęcają na podpatrywanie dobrze niby znanych wszystkim istotek, ale znanych tylko z kształtu i czczego nazwiska. Badacze ci podobni są do czytelników, gdy tamci są tylko bibliotekarzami. Ci wczytują się pilnie w dzieła, jakie im wpadną w ręce, tamci zaś ograniczają się do poznania z tytułu, zarejestrowania i postawienia na półce obok setek innych, nierozciętych³⁷³ nawet książek...

Aby pojąć cel i użyteczność kształtów owadów, charakterów ich oraz obyczaje, musi cała masa przyrodników odrzucić siatki, szpilki i wszelkie pułapki, a zaopatrzwszy się jedynie w cierpliwość, powinna śledzić wśród łąk, lasów i łąk drobne istotki na wolności. Powinni oni patrzeć, jak to stworzonka swojej broni używają, jak spędzają każdą chwilę swego życia, powinni porównywać i dochodzić, dlaczego każdy owad ma taką, a nie inną budowę ciała, takie, a nie inne instynkty, a wtedy pojmemy, jakie korzyści zapewnia im każdy poszczególny kształt, każdy wyrostek, włos, plamka lub niewidoczna na pierwszy rzut oka władza. Wtedy potwierdzi się znany już pewnik, że niczego w przyrodzie nie ma bez celu i bez przyczyny. Dowiemy się, jak najmniejsze wygięcie nóżki powoli się formowało; jaką ma obecnie lub miało niegdyś przyczynę i cel.

W postaci owada, zarówno jak w postaci człowieka, zaklęta jest historia jego gatunku, licząca dziesiątki tysięcy lat trwania.

Z postaci owada zoolog przyszłości potrafi odczytać główne koleje, jakie przodkowie tego stworzenia przechodzili, zrozumie jego współczesne obyczaje, warunki życia, rozkosze i niedole, a nawet na mocy zdobytych danych zdoła przepowiedzieć w grubych zarysach przyszłość i zmiany, jakim może podlegać w kolei wieków.

Tylko na łonie przyrody, wśród pól otwartych, możemy zdobywać takie wiadomości, możemy dostrzegać, jakie użytki robią owady z niezrozumiałych dla nas broni, narzędzi i kształtów, i tylko tam ogarnie nas prawdziwy podziw dla nieznannej potęgi, co zbudowała i w ruch puściła wspaniałą, a skomplikowaną maszynę, zwaną światem...

Tam umysł nasz pozbywa się narzuconych formulek, uważanych niemal za pewniki, korzy się przed nieznaną przyczyną wszystkiego i nabiera głębokiego przekonania, że stworzony jest nie na to tylko, aby badać — ale aby się dowiedział. Jestem też głęboko przekonany, że to, nad czym dziś próżno rozmyślam, przestanie być dla mnie kiedyś zagadką i musi się wyjaśnić. Tak, chce tego prawo rozwoju.

Zadne rozpaczliwe wołania „*ignorabimus!*”³⁷⁴ nie zachwieją mej pewnością, powziętej w chwilach rozmyślenia nad cudami przyrody!...

— Co widzę? Badacz much zamienia się nagle w filozofa-entuzjastę! Brawo! Nie spodziewałem się tego. Sądziłem, że rozpamiętywanie drobiazgu zabiło w panu ciekawość do rozwiązywania prawd ogólnych.

— O, lordzie! Chwile, w których z chłodnych przyrodników stajemy się niespodzianie zadumanymi filozofami, nie są bynajmniej rzadkie. Usiłujemy najczęściej wmówić w siebie, że rozum nasz nie buntuje się przeciw swej słabości, że wiemy dużo i właśnie tyle, ile powinniśmy wiedzieć, ale nie zawsze się nam udaje to okłamywanie siebie samych!

Dawniej wstydzilem się metafizycznych dumań w szczerym polu, zachwyty nad odkrytą łącznością zjawisk pozornie sprzecznych; dziś spostrzegam, że były to najpiękniejsze kwiaty mojej myśli, najrozkoszniejsze chwile życia. Trzymając w palcach mizernego robaczka, sięgałem myślą aż do gwiazd i usiłowałem przeniknąć tajemnice bytu. Czulem wtedy, że byłoby ograniczonością utrzymywać, iż isierki naszej myśli nie mają żadnej łączności z wszechmyślą, przenikającą świat cały, że pojawiają się po to, aby niebawem zagasnąć bez śladu i skutku, jak to utrzymuje pewna szkoła filozoficzna. Nie! Ja wierzę, że isierki te nie znikome, że będę kiedyś wiedział to, co mnie dziś próżno zaciekawia,

³⁷²wawrzyn — laur, symbol wybitnych osiągnięć; wieńcem laurowym dekorowano w staroż. Grecji zwycięzców w zawodach olimpijskich. [przypis edytorski]

³⁷³nierozcięte książki — dawniej książki wydawano w postaci zszytych razem, obustronnie zadrukowanych arkuszy papieru, kilkakrotnie poskładanych na pół w mniejszy format, a czytelnicy samodzielnie rozcinali je na kartki w miejscach zgięć, zwykle korzystając w tym celu z noża do papieru; książka nierozcięta to książka nieczytana. [przypis edytorski]

³⁷⁴*ignorabimus* (łac.) — nie będziemy wiedzieć; fragment formuły *ignoramus et ignorabimus*: nie wiemy i nie będziemy wiedzieć, użytej przez niemieckiego lekarza i zoologa Emila du Bois-Reymonda w 1872 w mowie pt. *Über die Grenzen des Naturerkennens* (O granicach poznania natury), podsumowującej jego pogląd, że człowiek ma ograniczone i nieprzekraczalne granice zdolności poznania przyrody. [przypis edytorski]

a nawet i to jeszcze, o czym teraz najsłabszego nawet nie mam przecucia! Kiedy to nastąpi, próżno dociekać, ale czuję, że prędzej czy później dojdę do wiedzy, jaką pragnę posiadać...

— Prędzej czy później... — powtórzył lord Puckins, patrząc mi w oczy. — Jakież to okres czasu przeznaczasz pan na zdobycie swojej mądrości?

— Alboż można na tak śmiało odpowiedzieć pytanie? Czyż wie nasienie, kiedy zamieni się w rozłożyste drzewo, albo orzech kokosowy, pływający po bałwanach morskich, kiedy dobije do brzegu i wyrośnie w palmę smukłą? Może zależeć to będzie od mej pilności, a może od warunków nic z nią wspólnego niemających... W każdym razie powtarzam: dziś czy za lat tysiąc nastąpi to z pewnością.

— Przemawiasz pan niby bramin osiwiwały nad *Atharwawedą*³⁷⁵! Zaczynam podejrzewać, że nie tylko mrówki i muchy pana dotąd zajmowały; te same myśli słyszałem już z ust Nureddina, syna Hakima Dżowahara Nureddina. Kwestia życia pozagrobowego zajmowała go, jak każdego bramina, silniej aniżeli wszystkie inne pytania, z zapalem dysputował w tej materii, twierdząc tak samo jak pan, że przyszłe życie odkryje mu powoli wszystkie dzisiejsze zagadki. Podziwiałem jego głęboką wiarę w doskonalenie się indywidualne człowieka i filozoficzne określenia Najwyższej Istności, Brahmy, z którą kiedyś, kiedyś ma się połączyć. Czy wiesz, doktorze, że określić tych mógłby mu pozazdrościć najgłębszy filozof Zachodu?

»To, o czym nie możesz powiedzieć, że jest tym lub owym, to jest Brahma — prawil, wznosząc kośćciwą prawicę do góry. — Rozumiesz więc Brahme, jeśli powiadasz, że go nie rozumiesz; nie pojmujesz zaś, gdy twierdzisz, że go rozumiesz. Kto go poznał, temu brak wyrazów do określenia; kto go określa, ten go nie poznał. Pojmowanie Brahmy jest niepojmowaniem, a niepojmowanie pojmowaniem. To samo jest i z duszą, która stanowi częstkę Brahmy. Choć jest ona w nas, to przecież rozumieć jej w tym życiu nie możemy dla tych samych powodów, dla jakich gąsienica nie czuje w sobie i nie rozumie motyla...«

— Być może, iż myśli moje zeszyły się z pojęciami braminów, nie będę przeczył, ale teraz porzućmy niebezpieczny i niedostępny temat, bo dostrzegłem przedmiot będący w związku z początkiem naszej rozmowy, jaki nowo kreowanego entomologa może bardziej zainteresować.

— Jak to, cofasz się pan od rozprawy nad pełnym uroku przedmiotem, choć go przed chwilą sam poruszyłeś? — zawołał lord zdziwiony.

— Tak jest, bo go uważam za niezgłębiony w tym życiu. Zamiast zatapiać się w czczych i mglistych dociekaniach rzeczy niedocieczonych, badajmy lepiej to, na co nam środki nasze pozwalają, a zyskamy trwalszą podstawę do rozwiązywania coraz wyższych i trudniejszych zagadnień. Ot właśnie jedną z najbardziej interesujących dla biologa zagadek mamy niedaleko.

O kilkadziesiąt kroków od naszego domu smagliczka górska (*Alyssum montanum*) rozpościarała swe gałązki i sąsiadowała ze wspaniałym jastrzębcem. W cieniu tych roślin, między zbutwiałymi liśćmi, wyrastał duży, bladoróżowy grzyb. Wczoraj jeszcze widzieliśmy go pięknym i świeżym, prostym i całym — dziś ledwo się trzymał w pochyłej postawie. Cały bok trzonu jego wyjedzony był przez wstrętnego jakiegoś ślimaka. Był to widok podobnie przykry, jak ujrzanie na śmiertelnym łożu znajomego, któremu zazdrościliśmy niedawno czerstwości i siły. Dostaliśmy się wkrótce na kosmate liście jastrzębca i spacerując po szpeciniastej ich powierzchni, odszukałem na gałązkach smagliczki kilka istot zupełnie podobnych do ślimaków.

— Jak pan sądzisz — zapytałem — co to za istota?

Twarz lorda Puckinsa poczerwieniała.

— Pan chyba żartujesz, biorąc mnie na tak solenny egzamin. Racz przyjąć do wiadomości: w szkołach miałem z zoologii celujące stopnie!

— Tym lepiej! Sprawdzimy, czy były zasłużone.

— Nie jestem uczniem, a pan profesorem, abyś miał prawo zadawać mi tak niedorzeczne pytania.

³⁷⁵*Atharwaweda* — jeden z czterech zbiorów hymnów wchodzących w skład *Wed*, starożytnych świętych ksiąg hinduizmu, zawierający głównie teksty magiczne oraz związane z rytuałami. [przypis edytorski]

— Drogi lordzie, nie tylko w potocznym życiu ulegamy złudzeniom! Wierzaj mi, że często i na łonie osławionej ze szczerości przyrody spotykamy się z fałszem i obłudą. Nie wszystko złoto, co błyszczy jak złoto!

Lord Puckins poglądził niecierpliwie złote swoje bokobrody i spojrzał na mnie z ukosa. Zrozumiałem, że się nie w porę wyrwał z przysłowiem.

— Choćby moje zoologiczne wiadomości były najszczuplejsze — wyrzekł, hamując się widocznie — nie powinienś wątpić, doktorze, że potrafię przecież odróżnić ślimaka od innych stworzeń.

— A motyla od ślimaka czy odróżniłby szanowny zoolog?

— Jesteś pan impertynentem! Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce zaczniesz wmawiać we mnie, że te ślimaki są motylami?

— Broń Boże! Nie myślę nic »wmawiać«, pragnąłem jedynie przekonać cię, lordzie, że mimo piątek z zoologii nie odróżniłeś ślimaka od motyla. Istoty, na które patrzysz, są rzeczywiście motylami.

Lord Puckins szeroko otworzył oczy, spoglądając kolejno to na mnie, to na ślimaczki. Zmieszanie zbyt wyraźnie odbijało się na jego obliczu.

— Z tobą, doktorze, trudno się spierać — zaczął łagodnie — jesteś tu jak u siebie, pragnę ci wierzyć, ale znowu nie do takich granic! Ciekawym, jak zdołasz dowieść mi, że to są motyle?

— Bardzo łatwo, i to bez uciekania się do szczegółów anatomicznych. Spójrz, lordzie, na budowę skorupki, a zobaczysz, że złożona jest nie z masy jednolitej, wapiennej, jak u ślimaków, ale ulepiona z drobnych ziarenek piasku. Dalej, dostrzeżesz w każdej z tych skorup oprócz otworu głównego drugi otwór, boczny, w górnej części domku, wreszcie ujrzyś ze skorupy wychylonego sześcionożnego robaka, wcale nieprzypominającego swymi kształtami mięczaka.

— A więc to jest domek jakiejś gąsienicy? Na to chętnie się już zgodzę, dlaczegoż jednak przesadzasz, doktorze, twierdząc, że w nim dojrzały mieszka motyl? — zawołał lord Puckins, niedający za wygraną. — Motyl a gąsienica — to gruba różnica!

— Jeszcze raz cię, lordzie, zapewniam, że mamy przed sobą dojrzały okaz motyla. Pozostaje przez całe życie w tej skorupie, a skrzydła nigdy mu nie wyrastają. Jest to rodzaj koszówki, nazywanej przez przyrodników ślimacznica (*Apterona helicoidella*). Ciekawy nie tylko z powodu nadzwyczajnego upośledzenia fizycznego, ale jako piękny dowód maskowania się, czyli ochronnego naśladownictwa, praktykowanego bardzo często przez owady.

Jeżeliś sądził, lordzie, że maskarady są wymysłem francuskiego półświatka, gruboś się pomylił. Figiel to bardzo stary i oklepany w świecie zwierząt, a szczególnie w światku owadów. W nim częściej jeszcze aniżeli między ludźmi lubią wilki i lisy przywdziewać skórę baranków, a osły i gęsi pozory lwów i orłów. Biednego naszego motylka nie stać na imponujący kostium, a że pragnie wziąć udział w maskaradzie, więc stosuje zamiary do wątłych sił swoich i naśladuje przynajmniej ślimaka. Darujmy zresztą biedakowi ten śmieszny wybryk przez wzgląd, że pragnienia jego są skromniejsze od aspiracji wielu aktorów świata naszego. Nie zdradza, lecz broni się; chodzi mu tylko o omylenie czujności prześladowców motylego rodu.

— Albo mu to zapewnia jaką korzyść? Wszak i ślimaki mają swoich wrogów.

— Ma ich dosyć, bez wątpienia, ale rozważ pan sam, czy ślimacznica mimo to nie robi na maskaradzie dobrego interesu. Napastnik, lubiący pieczeń ślimaka, zbliża się po cichu do naszego motylka. Już go ma połknąć lub nadgryźć, gdy nagle spostrzega fatalną omyłkę. Mniemany ślimak okazuje się jakąś inną istotą, choć więc chciwy prześladowca ostrzył zębki na znany sobie kąsek, zostawia niesmaczną potrawę w spokoju i oddala się, zgrzytając szczękami i przeklinając złudne pozory. Tak więc, przybranie kształtów mięczaka ratuje bezbronny gatunek od zagłady.

Powiedziałem ci już, lordzie, że przyroda często posiłkuje się podobnym wybiegiem. Znamy już ogromną ilość owadów i nie tylko owadów, które ten sposób ochronnego naśladownictwa doprowadziły do mistrzostwa. Słabsze lub bezbronne przyjmują powierzchowność lepiej uzbrojonych; niewinne oblekają się w suknię drapieżnych lub też dla uczynienia się niedostrzegalnymi naśladują przynajmniej formy i barwy roślin, na których przemieszkują.

Muchy na przykład są całkiem pozbawione broni odpornej, a jednak mają one, jak to już wspominałem, mnóstwo nieprzyjaciół. Do najzaciętszych należą rozbójnicze osy, które chwytają je żywcem i znoszą do gniazd na pokarm dla swych larw. Biedne muchy radzą sobie w tej nierównej walce o byt w bardzo prosty sposób.

Nie mogąc na żądła odpowiadać żądlami, przybrały wygląd tych uzbrojonych owadów, na jakie nie ośmielają się napadać rozbójnicze osy. Każdego, kto miał sposobność oglądać w muzeach zbiory owadów, musiało zastanowić nadzwyczajne podobieństwo wielu much do pszczół, trzmieli, os i szerszeni. Podobieństwo to szczególnie ludzące jest w budowie i ubarwieniu tylnej połowy ciała. Zdawałoby się na razie, że połowiczne przywdzianie kostiumu pszczół niedostateczną jest ochroną dla owych much — lecz trzeba je widzieć na wolności, aby zmienić zdanie. Wówczas dostrzeżemy, iż wspomniane dwuskrzydłe istoty, jako obdarzone rączym lotem, mogą drwić z napaści, gdy bujają w powietrzu; padają dopiero ofiarą swych prześladowców wtedy, gdy usiadłszy na kwiatku, zagłębiają węń przednią połowę ciała dla ssania nektaru. Przy tym słodkim zajęciu głowa i piersi schowane bywają szczelnie w głębi kwiatu, wystaje zaś z kwiatu jedynie tylna połowa ciała i ta właśnie zdradza je przed bacznym wzrokiem nieprzyjaciół.

Jeśli więc odwłok takiego łakomego owada przyjmie powierzchowność odwłoka trzmie-
la lub osy, podły nieprzyjaciół, przywykły do szanowania nawet pozorów siły, omija bezbronną muchę z poszanowaniem należnym osom i szerszeniom! Ścisłe badania dowiodły, że maskujące się muchy posuwają spryt swój do tego stopnia, że naśladują po większej części te gatunki trzmieli i os, jakie zamieszkują w wielkiej liczbie te same okolice.

Podobne zjawisko zauważyć się daje i wśród motyli. Rodzina przezierników (*Sesiidae*) straciła prawie zupełnie łuski na skrzydłach, aby powierzchowność ich zastosować do wyglądu wąskich skrzydeł pszczelich. Nawet bezbronne swoje miękkie ciało upodobniła do kształtów opancerzonych os, pszczół i łowików. Chrząszcze również gorliwie kopiują się nawzajem, a niekiedy podszywają się pod skórę zgoła niepokrewnych sobie owadów. Przyjmują one pozory pluskiew, a nawet os, jak to czyni *Odontocera odyneroides*³⁷⁶. Najbardziej zdumiewające, bo najpospolitsze jednak jest przybieranie przez owady kolorów, jakie mogą je uczynić najbardziej niewidzialnymi.

Jest motyl eupitecja (*Eupithecia absinthiata*), należący do owadów przebiegłych i niewybrednych. W potrzebie umie wyżywić się na bardzo różnych polach działalności owadziej. Gąsienica więc jego przyjmuje zwykle barwę rośliny, na jakiej żeruje. Na żółtych kwiatach starca jakubka (*Senecio jacobaea*) jest żółta, na czerwonych goryczki (*Gentiana*) czerwono umalowana, na białawych kwiatach rumianków bywa biała.

Niewinne zabarwienie skóry oddaje jej lepsze usługi aniżeli twardy pancerz chrząszczy lub sztuczne futerały chrzączków, zmierzchnic i tym podobnych sześcionogich lisów.

Ścisłe badania przekonały, że różnic ubarwienia nie wywołuje tutaj natura pokarmu, jakby to się na razie zdawać mogło. Powody są głębsze i przyroda w inny, tajemniczy sposób dopomaga gąsienicy w ukryciu się przed żądnym wzrokiem ptaków i jeszcze gorszych od nich gąsieniczników.

— Więc fakty te dowodzą najwyraźniej, że wszystko w naturze stworzone jest z celem — odezwał się lord Puckins.

— Bynajmniej. W tym zjawisku nie należy upatrywać jakiejś tajemniczej celowości, jakiejś opiekuńczej przezorności natury w ochranianiu dzieci swoich, bo przyczyna jego leży w granicach bardziej zrozumiałych i naturalnych.

Nie należy przypuszczać, aby przyroda ubarwiła naumyślnie owadka żyjącego w trawie na zielono w tym celu, aby go łatwiej ukryć przed wzrokiem nieprzyjaciół. Zielony owad utrzymał się dlatego w trawie, że większość jego braci inaczej ubarwionych uległa wyniszczeniu i że w szeregu licznych pokoleń te głównie osobniki zostawały przy życiu, których kolor ciała najbardziej zbliżony był do zielonego. Cecha ta, w miarę łączenia się z sobą coraz zieleniejszych potomków, drogą dziedzictwa utrwalala się i wyraźniejsza stawała, aż w końcu gatunek ten stał się zupełnie zielony.

Nie prawo więc celowości, ale prawo naturalnego doboru objaśnia fakt istnienia zielonych owadków. Podobnie rzecz się ma z białym niedźwiedziem, który nie dlatego no-

³⁷⁶*Odontocera odyneroides* — gatunek wspomniany w 2. poł. XIX w. przez A. R. Wallace'a jako przykład naśladownictwa wyglądu. [przypis edytorski]

si białe futro, aby był jak najmniej dostrzegalny na śniegu, lecz po prostu dlatego, że wszystkie niedźwiedzie, które miały ciemniejsze zabarwienie, wyginęły z powodu trudności ukrywania się na śniegu przed wzrokiem ofiar i prześladowców. Przyjęcie dopiero za fakt prawa naturalnego doboru i dziedziczności cech nabytych tłumaczy w przedziwnie jasny sposób istnienie tysiącznych dziwacznych kształtów zwierząt i roślin.

Jest mnóstwo owadów, które do złudzenia podobne są do suchych gałązek, do liści, kwiatów itp. części roślin, na których żyją. Powstały te kształty i utrzymują się właśnie dlatego, że najpożyteczniejsze się okazały dla utrzymania gatunku.

Cóż więc dziwnego, że żyją na liściach chrząszczyki, które można wziąć za odchody ptaków lub gąsienic? Cóż dziwnego, że są nawet jaskrawo ubarwione na górnej powierzchni skrzydeł motyle, które gdy siadają na gałązce, ładząco podobne są do liści? Skrzydła ich, złożone do góry, ukazują wtedy dolną powierzchnię zarysowaną w cieniu i żyłki zupełnie takie same, jakimi okrywa się więdnący liść rośliny, na której siadają. Wiele owadów dopiero wtedy można dostrzec, gdy z rośliny sfruwają. Przedtem nie odróżniały się niczym od tła, na którym spoczywały.

Kto z uwagą ogląda w muzeum pstre szeregi gąsienic, ten może dziwić się, jak te jaskrawe, pomalowane w różne kolorowe prążki, plamki i pasy stworzenia mogą uchodzić przed baczny wzrok ptaków, płazów i innych wrogów. Jakżeby taki sędzia szybko zmienił zdanie, gdyby je widział żywe na tle zwykłym i w oświetleniu właściwym!

Są one najczęściej tak do otoczenia przystosowane, że nawet wytrawny znawca nie może ich odróżnić. Wszystkie żyłki, pasy i kropki, pozornie bezcelowe, nabierają tu znaczenia i owad, sam w sobie jaskrawy, staje się na ojczystej roślinie tak samo niewidzialny, jak biały niedźwiedź na śniegu.

XXX. ŚWIAT AMAZONEK. PALES I WOJSIŁKA

— Jakże wyglądają samczyki ślimacznicy? — zapytał lord Puckins, nie na żarty zaciekawiony historią koszówek. — Zapewne niesprawiedliwa natura obdarzyła ich wspaniałymi skrzydłami? Są to znowu pawie świata owadziego?

— Ród ślimacznic wcale nie posiada samczyków³⁷⁷ — odrzekłem — dotąd przynajmniej, pomimo usilnych poszukiwań, nie udało się naturalistom poznać ani jednego. Być może, iż trafiają się, w każdym razie muszą należeć do największych rzadkości.

— Żartujesz, doktorze! Uwzięłeś się prześladować mnie historiami z *Tysiąca i jednej nocy*!

— Bynajmniej, mówię zupełnie serio. Nie otwieraj tak szeroko oczu, kochany lordzie, w świecie stawonogów obchodzenie się zupełnie bez towarzystwa samczyków nie stanowi znowu zbyt wielkiej osobliwości: krewniaki ślimacznicy: *Solenobia lichenella* i *Solenobia clathrella*, choć posiadają ród męski, niewiele go sobie cenią. Znanych jest dobrze blisko trzydzieści gatunków galasówek (*Cynips*), wśród których żadnemu naturalistcie nie udało się odszukać ani jednego samca³⁷⁸.

Pewien wytrwały badacz, podobny do ciebie, lordzie, niedowiarek (Hartig), uwziął się raz sprawdzić, czy to być istotnie może. Zwrócił więc szczególną uwagę na gatunek *Cynips divisa*, ale choć obejrzał 10 000 tych owadów, nie znalazł wśród nich ani jednego samczyka. Siedząc potem przez lat kilka przy każdej sposobności inny gatunek, *Cynips quercusfolii*³⁷⁹, doszedł do tego samego rezultatu. Brak samczyków u tych gatunków tym jest dziwniejszy, że inne galasówki posiadają przedstawicieli płci brzydkiej.

³⁷⁷ Ród ślimacznic wcale nie posiada samczyków — u ślimacznic, podobnie jak w przypadku niektórych gatunków z rodzaju *Solenobia*, występuje dzieworództwo (partenogeneza, forma rozmnażania się bez zapłodnienia), w związku z czym na pewnych obszarach Europy występują wyłącznie dzieworodne samice, a na innych pojawiają się także samce. Samce ślimacznic napotkano tylko w południowej Europie. [przypis edytorski]

³⁷⁸ galasówek (...) wśród których żadnemu naturalistcie nie udało się odszukać ani jednego samca — dawniejszym badaczom niekiedy trudno było zauważyć występowanie samców, gdyż u wielu gatunków galasówek występuje przemiana pokoleń, cykl życiowy, w którym pokolenie rozmnażające się z udziałem samców występuje na przemian z pokoleniem złożonym wyłącznie z dzieworodnych samic. [przypis edytorski]

³⁷⁹ *Cynips quercusfolii* — obecnie: galasówka dębiana, której larwy rozwijają się w galasach, naroślach na liściach dębu; nowsze badania wykazały, że ten gatunek posiada samce, ale pokolenie, w którym występują samce, rozwija się z galasów o innym kształcie i w innym czasie niż pokolenie dzieworodnych samic. [przypis edytorski]

— Ależ w takim razie żywot płci słabej, pozbawionej męskiej opieki, godzien jest pożałowania.

— Powiedz, milordzie: byłby godny pożałowania, gdyby świat owadów był urządzony na wzór ludzki. Ale te istoty, zostawione same sobie, przywykłe rachować na własne siły, nie potrzebują widać panów i opiekunów. Emancypacja zaszła tam znacznie dalej niż w Ameryce i Anglii...

— Bardzo proszę, pozostaw pan w spokoju moją ojczyznę, gdy mówisz o Ameryce — przerwał mi lord Puckins z godnością.

— Skoro pan sobie tego życzysz, wykreślę ją zupełnie z mej pamięci.

— To za wiele! Proszę tylko nie identyfikować starej Wielkiej Brytanii z młodą A-me-ry-ką!

— Zgoda! Wracam tedy do rzeczy. Przykładów tak krańcowej emancypacji dostarczają i inne rody owadów. Podobne, a nawet lepiej zbadane i bardziej postępowe zjawisko przedstawiają mszyce (*Aphis*). Od dawna już tak sumienni badacze, jak Réaumur i Bonnet³⁸⁰, zauważyli, że wśród milionów mszyc na wiosnę i w lecie nie ma wcale samców. Po długich badaniach odkryto ciekawą historię ich rozwoju. Da się ona streścić w kilku słowach.

Na jesieni tylko pojawiają się wśród bezskrzydłych mszyc (które są, jak wiadomo, samiczkami) skrzydlate samczyki. Samiczki z tej generacji (odstępując od obyczajów swych matek i babek) składają na łądach roślin jajeczka, a niedługo potem cały naród mszyc ginie od chłódów i deszczy. Na roślinach zostają tylko jajeczka, z których na wiosnę wylęgną się młode mszyce (same samiczki). Są one cokolwiek odmienne od swych matek. Rosną i rozwijają się tak szybko, że po kilkunastu dniach każda wydaje na świat po kilkadziesiąt mszyc, znowu samych córeczek i kończy żywot.

Ich córki ze swej strony nie mają ani jednego syna i tak do jesieni rodzi się i umiera kilka generacji wyłącznie żeńskich. Wśród miliardów letnich mszyc nie pojawia się ani jeden okaz męski. Nadchodzą wreszcie chłody, a z nimi chwila, w której delikatne stworzonka z braku pożywienia i ciepła muszą wyginąć. Wtedy ni stąd, ni zowąd pierwszy raz w ciągu roku przychodzą na świat prócz samiczek skrzydlate okazy. Ostatnia generacja składa jajeczka i cały ród umiera. Po kilku miesiącach zimowych, gdy nastanie wiosna, wylęgać się będą znowu wyłącznie żeńskie generacje, aż do jesieni.

W czasie tych objaśnień lord Puckins zapomniał widocznie swej urazy i słuchał mnie z najwyższym przejęciem. Na dowód, że mnie zrozumiał, pokręcił trzy razy najwyżej umieszczoną częścią swego ciała, potem zamyślił się głęboko i nareszcie otworzył usta.

— Gdyby wśród ludzi podobne zachodziły stosunki — wyrzekł — to »panowie świata« pojawiliby się zaledwie raz na dwieście lat... a w tych odstępach ziemię zaludniałaby wyłącznie płeć piękna. Nieprawdaż?

— Tak by niezawodnie było... — odrzekłem.

— Ładnie by wtedy świat wyglądał — zakonkludował³⁸¹, kiwając poważnie głową. — Adamów mogłyby ciekawe Ewy oglądać zaledwie na starych sztychach³⁸², w galeriach obrazów, obok portretów swych babek lub prababek i ubolewać, że dopiero ich wnuczki będą mogły sprawdzić, czy mężczyźni nie są wytworem bujnej wyobraźni dawnych malarzy i autorów...

— Wojny mogłyby się odbywać tylko raz na lat dwieście... — dokończyłem. — Raz na dwa wieki także spokój ziemi zakłócany byłby scenami zazdrości...

Taką to pogawędką zajęci oddaliliśmy się do lasu, aby korzystając z pogody, poczynić możliwie największą liczbę spostrzeżeń. Do wieczora zabawiliśmy na tej ekskursji. O dokonanych obserwacjach nie będę ci prawil³⁸³, bo staną się one niedługo przedmiotem rozpraw, jakie — pomieszczone w specjalnych czasopismach — wywołają niemałą wrzawę w świecie naukowym.

Wspomnę ci tylko o krwawej scenie, jakiej byliśmy mimowolnymi świadkami. Na łądce, na której obserwowaliśmy gromadkę mszyc i mrówek, usiadł tuż obok nas śliczny

³⁸⁰ Bonnet, Charles (1720–1793) — szwajcarski przyrodnik i filozof; w 1746 jako pierwszy opisał partenogenezę u mszyc. [przypis edytorski]

³⁸¹ konkludować (łac.) — kończyć, dochodzić do wniosku końcowego. [przypis edytorski]

³⁸² sztych — rycina odbita z obrazu wyrytego na metalowej płycie. [przypis edytorski]

³⁸³ prawil (daw., gw.) — mówić, opowiadać. [przypis edytorski]

motyl tatrzański, palesem zwany (*Argynnis pales*). Imiennik rzymskiego bożka³⁸⁴ złożył świeżutkie swoje skrzydła brązowe do góry i błysnął pięknymi oczkami, niby blachami z czystego srebra wykutymi i przybitymi na odwrotnej stronie skrzydeł. Jeszcze nie przyjrzelśmy się nadobnemu wychowawcowi fiołków³⁸⁵, gdy na sąsiednim liściu usiadła wojsilka (*Panorpa communis*). Był to szpetny owad dosyć dziwnej powierzchowności, bo na pierwszy rzut oka podobny do wielkiego komara. Takie same wysmukłe ciało, takie nogi, barwa żółto-brązowa i przezroczyste, szczupłe skrzydła. Podobieństwo to jednak było zwodnicze. Przekonywały o tym zupełnie stanowczo cztery skrzydła (komary mają ich zawsze po dwa). I w istocie, owad ten nie jest nawet dalekim krewniakiem komarów.

W tej zdradzieckiej postaci uderzał głównie potężny dziób³⁸⁶ oraz wielkie kleszcze na końcu odwłoka, przypominające zatruty kołec skorpiona. Z powodu tych, kleszczy otrzymał on w różnych językach nazwę niedźwiadkomucha i pospólstwo boi się go dotknąć, całkiem niesłusznie sądząc, że to owad jak pszczoła jadowity. Mimo jednak, że żądła nie miał, gorszym był napastnikiem od wielu użądlnych krewniaków. Od razu też owaładnęło mną jakieś przecucie, że sąsiedztwo źle się może skończyć dla motyla. Zwróciłem uwagę lorda na owe niebezpieczeństwo.

— Jeśli powiadasz, doktorze, że z motylem może być krucho, należy spłoszyć biedaka; niech umyka i nacieszy się życiem, i tak niedługo.

— Sądzę, że to zła rada; wojsilka poluje w locie; bezpieczniejszy jest pales tutaj, zakryty zielenią.

— Niechże więc siedzi — zawyrokował lord, obrzucając niechętnym spojrzeniem natręta.

— Miejmy się i my na bacności — dodałem — bo choć jedynym orężem wojsilki jest twardy i ostry dziób, jest ona niesłychanie zuchwałą rozbójniczką. Rzuca się nawet na znacznie większe od siebie ważki, przebija je i wysysa. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że ważki przedstawiają skończony typ siły, śmiałości i zwinności, jeśli ci wiadomo, że są one postrachem wszystkich owadów, to łatwo przyjdzie ocenić, do jak wysokiego stopnia posuwają swe zuchwalstwo wątle na pozór i niepoczesne te istoty.

— Zapewne ten owad zaprawia się już od młodości i dlatego rzemiosło rozbójnicze przychodzi mu tak łatwo.

— Bynajmniej, i w tym różni się bardzo od ważek. Młodość wojsilki spędza z dala od zgiełku świata. Mieszka w głębi ziemi, gdzie żywi się butwiejącymi szczątkami organicznymi³⁸⁷.

W czasie tej gawędy pales, ruchliwy i nieostrożny, jak każdy motyl, sfrunął z gałęzi tak niezgrabnie, że musnął skrzydłem listek, na którym wróg jego siedział. To go zgubiło. Chciwa wojsilka dojrzała zdobycz i w mgnieniu oka dosięgła ofiary. Prerażony motyl zmienił kierunek lotu i wraz z przyczepionym do siebie prześladowcą spadł w gęszcz zielony.

Choć nie widzieliśmy, co dalej zaszło, los jego był już zdecydowany.

Z przykrym uczuciem powróciliśmy wkrótce do domu.

XXXI. KWOKA WODZĄCA SZEŚCIONOGIE KURCZĘTA. BOHATERSKA PLUSKWA. TKLIWE PAJĄKI

Tego dnia lordowi Puckinsowi sądzone było spotykać same niespodzianki.

Zapomniawszy o należytej w naszym położeniu ostrożności, wszedł śmiało pod dach, ale choć prędko znikł w mroku chaty bez okien, jeszcze prędkiej wyskoczył stamtąd, nie mogąc ukryć pomieszanego.

³⁸⁴Imiennik rzymskiego bożka — w religii rzymskiej Pales był bóstwem opiekuńczym pasterzy i ich trzód. [przypis edytorski]

³⁸⁵nadobnemu wychowawcowi fiołków — aksamitnoczarna, upstrzona jego gąsienica, żywi się fiołkami. [przypis autorski]

³⁸⁶dziób — dziobem autor nazywa wydłużoną dolną część głowy tego owada, zaopatrzoną w narządy gębowe typu gryzącego. [przypis edytorski]

³⁸⁷Mieszka w głębi ziemi, gdzie żywi się butwiejącymi szczątkami organicznymi — larwa do pełnej dojrzałości potrzebuje najmniej dwóch miesięcy. Ponieważ zaś pierwszy raz dojrzały owad pojawia się w kwietniu, przeto w ciągu roku dwa tylko pokolenia dojrzewają. Drugie pokolenie żyje dłużej, bo zimuje w stanie poczwarki pod ziemią, skąd wychodzi dopiero na wiosnę. [przypis autorski]

— Mamy zapewne nieproszonych lokatorów? — odezwałem się, nie mogąc ukryć uśmiechu na widok przerażonej twarzy lorda.

— Nie inaczej! Jakaś szkaradna bestia rozsiadła się w kącie. Nie zbliżaj się, doktorze, bo źle jej z oczu patrzy.

— Jakże wygląda?

— Alboż miałem czas obserwować?...

— No, jeżeliś pan dojrzał jej oczy, to zapewne widziałeś i coś więcej.

— Paradny³⁸⁸ jesteś, doktorze! Jeśli powiadam, że źle bestii z oczu patrzy, nie idzie jeszcze za tym, abym jej oczy miał oglądać. Na to trzeba by kociego wzroku. Bez oczu zresztą nasz lokator jakiś straszny.

Nie mogąc się dopytać, zajrzałem ostrożnie do wnętrza. W kącie izby siedział nieruchomo wielki skorek (*Forficula*) z olbrzymimi na końcu odwłoka cęgami. Pod nim dostrzegłem kilkanaście młodych skorków.

— Toż to skorek z rodziną! — zawołałem. — Niepożądany to gość, bo będzie siedział przynajmniej do zupełnych ciemności. Jeśli nie masz zamiaru, lordzie, czekać pod drzwiami własnego domu do północy, aż natręt sam się wyniesie, musimy go wyprosić. Chodźmy!

— Bardzo dziękuję! Wolę nocować na dworze! Jeśli prawdziwi ludzie lękają się jego szczypców, dlaczegoż ja, miniaturka człowieka, miałbym się narażać na spotkanie z tą groźną istotą?

— Ależ to istota niewinna! Nie napada nigdy, żywi się roślinami i zgnilizną...

— I wkręca się w uszy śpiących, powodując głuchotę... — dokończył lord Puckins.

— Wstydzi się pan powtarzać przesady gminu. Jeśli się nawet kiedy zdarzyło, że śpiącemu na trawie człowiekowi skorek zablądził do ucha, to wierzaj mi, że uczynił to bez żadnej złej myśli i przez prostą pomyłkę. Jest to nocne zwierzę i w dzień ukrywa się pod kamieniami, liśćmi, w ciemnych kryjówkach. Dla wypłoszonego tedy skorka ucho ludzkie tak samo dobrym było może kiedy schronieniem, jak dziś nasz pałac. Może kiedy trafił do takiej jaskini, nie idzie jednak za tym, aby skorek miał szukać uszu ludzi śpiących, wkręcał się umyślnie w nie i przegryzał bębenki. Niewinne to stworzenie, zamiast szkodzić ludziom, może im tylko służyć za wzór miłości macierzyńskiej. Samice skorków są dzielnymi kwokami, bo nie tylko, że mają dziwny zwyczaj siedzieć na swoich jajach, dopóki się nie wylęgną, ale wylęgniętą dziatwę wodzą za sobą i zgromadzają pod siebie przy najmniejszym niebezpieczeństwie, okrywając i broniąc własnym ciałem. Młode skorki zupełnie są podobne do matki, różnią się od dorosłych rozmiarami tylko i brakiem skrzydeł, gdyż ród ten nie ulega tak zupełnym przeobrażeniom, jak inne owady. Wejdźmy do izby, a przekonasz się o tym na własne oczy.

— Idź sam, doktorze, i wyprowadź swoją kwokę z kurczętami, a ja tu poczekam na świeżym powietrzu.

Nie było rady. Podniosłem z ziemi długą i wyschlą nogę jakiegoś komara i niby Samson³⁸⁹ z osłą szczęką wszedłem śmiało do izby. Z początku obrzydliwy smok nic sobie ze mnie nie robił, ale gdym zaszedł go z tyłu i począł z całej siły okładać improwizowaną maczugą, zaniepokoił się trochę, potem poruszył i spróbował zastraszyć mnie swymi potężnymi szczypcami. Wtedy z obawy, aby skorek nie przyzwyczaił się do niedelikatnego obchodzenia się, zapaliłem mały kawałek płucnika. Spłoszona blaskiem szkarada wysłiznęła się żwawo za próg, a za nią podążyły małe skorczęta. Tak pozbyliśmy się szczęśliwie nieproszonych gości i zyskałem w dodatku pociechę, że przez cały wieczór dopiekać mogłem Anglikowi, śmiejąc się z jego odwagi.

— A toż, kochany lordzie, byle pluskwa odważniejsza jest od ciebie — prawilem, gdy mój towarzysz udawał, że nie słucha. — Gdym był jeszcze olbrzymem, spotkałem raz na gałązce brzozy rodzinę szarej pluskwy (*Elasmucha grisea*)³⁹⁰, złożoną z matki i trzydziestu drobnych pluskiewek³⁹¹. Stara pluskwa z wielką powagą kroczyła po liściu, a pluskwieta,

³⁸⁸ *paradny* (daw.) — zabawny, śmieszny. [przypis edytorski]

³⁸⁹ *Samson* — postać biblijna (Sdz 13–16), legendarny bohater wojen Izraelitów z Filistynami, obdarzony przez Boga niezwykłą siłą; walcząc jedynie osłą szczęką, zabił tysiąc przeciwników. [przypis edytorski]

³⁹⁰ *szara pluskwa* (*Elasmucha grisea*) — obecnie: knieżycza szara. [przypis edytorski]

³⁹¹ *rodzinę szarej pluskwy* (*Elasmucha grisea*), *złożoną z matki i trzydziestu drobnych pluskiewek*... — *Elasmucha grisea* troszczy się o potomstwo, strzegąc złożonych jaj, a następnie opiekując się skupiskiem larw, które opuszcza

zbite w gromadkę, naśladowały ruchy matki i nie odstępowały jej ani na krok. Pocieszny był to widok. Chciałem przekonać się, czy prawdą jest, co De Geer o niej pisał, że wodzi swe małe jak kwoka i broni ich przed napaścią. Szturchnąłem więc końcem ołówka jedno z jej dzieci, ciekawy, co z tego wyniknie. Malec musiał być beniaminkiem³⁹², a matka dzielną opiekunką, gdyż oburzona, zamiast zmieszać się wobec brutalnej napaści i ratować ucieczką (bo tak by niezawodnie zrobiła niejedna doświadczeńsza matka), nasrożona podbiegła do dzieci, zakryła je swym płaskim ciałem i wymachując pociesznie skrzydłami, usiłowała mnie odstraszyć. Biedne stworzenie nie zważało na wątłość sił swoich w porównaniu z potęgą napastnika i dałoby się raczej zabić, niżby porzuciło zagrożone dziatki. Wzruszony i zawstydzony, pogłaskałem pocziwą pluskwę i odtąd omijam ją, ilekroć zdarzy mi się ten gatunek spotkać. Nie mniej poświęcającymi się matkami są pająki...

— No, no, doktorze, nie zapędzaj się w krainę fantazji. O śmiałości tych okrutnych stworzeń nie wątpię. Dzikość jest im tak samo wrodzona, jak tygrysom i jastrzębiom. Czy czasem jednak pajęczycza nie broni swoich dzieci z tych samych pobudek, z jakich pies warczy, gdy mu kość odbierają?

— Znowu fałszywe wnioski! Przywykłeś, lordzie, z nazwiskiem pająka tak ściśle łączyć pojęcie okrucieństwa i drapieżności, że wydaje ci się rzeczą śmieszną przypisywanie im delikatniejszych uczuć. A jednak i te pożerające się nawzajem istoty, mają serca zdolne kochać aż do poświęcenia.

— To prawda! Pamiętam czułą scenę nad strumykiem, której niedawno byłem świadkiem — wycedził przez zęby Anglik, zakładając nogi na kamień, który nam stół zastępował.

— To nic nie dowodzi! — odrzekłem, przyzwyczajony zarówno do ironii Anglika, jak do jego zakładania nóg na stół w chwilach dobrego humoru. — Pajęczycze mimo okrutnych instynktów, jakie żywią dla równych sobie, są podobnie tkliwymi matkami, jak pluskwa szara albo skorek. Możesz się o tym sam przekonać. Samice bardzo wielu pająków gończych w porze składania jajek noszą przyczepione do odwłoka białe zawiniątka wielkości grochu. W tych woreczkach jedwabnych przechowują swe jajka. Otóż trzeba ci, lordzie, wiedzieć, że żaden skąpiec nie troszczy się tyle o swoje skarby, ile pajęczycza o ów tłumoczek. Nosi go wszędzie, a jeśli nawet napastnik, szarpiąc się z nieszczęśliwą matką, odbierze jej zawiniątko i zechce unieść, nie baczy na niebezpieczeństwo, goni prześladowcę, rzuca się na drogi tłumoczek, chwytając go szczękami i dopóty wyrывa, dopóki jej sił starczy albo dopóki sama nie zginie. Trzeba widzieć jej radość, gdy zdoła odzyskać skarb utracony; trzeba widzieć ponurą rozpacz po stracie bezpowrotnej. Życie zdaje się wtedy nie mieć żadnego dla niej powabu i nieuczesana, zobojętniała na wszystko, waleśa się po roślinach, nie przyjmuje pokarmu i wkrótce staje się ofiarą czyhających na nią wrogów...

— Słowo daję, że to zaczyna być romantyczne — odezwał się lord Puckins, zdejmując ze stołu swe nogi. — Gdyby pająki nie wyglądały tak strasznie, gotów bym jutro sprawdzić, doktorze, twoją powiastkę.

— Wielka szkoda, że nie będę zapewne w Tatrach świadkiem pańskiego eksperymentu. Tymczasem mogę cię zapewnić, że miłość macierzyńska nie ogranicza się do pielęgnowania drogocennego tłumoczka z jajkami. Przezorna matka, skoro pajęczki wykluły się z jajeczek i siedzą zamknięte w ciasnym, a trwałym więzieniu, przegryza mały otwór w jedwabnej powłoce i maleńkie jak mak pajęczki tłumnie wychodzą z kozy³⁹³. Zabawnym jest wtedy widok tych figlarnych i pełnych życia stworzonek, jak łażą po grzbiecie i głowie cierpliwej i dumnej ze swego potomstwa matki.

Opiekuje się nim troskliwie aż do chwili pierwszego zrzucenia skórki. Wtedy dopiero uznaje młode pajęczki za podchowane i puszcza śmiało w świat.

Dopóki dzieci są przy niej, oryginalną rządzi się taktyką. W razie niebezpieczeństwa, zamiast zwoływać je do siebie, jak to czyni pluskwa lub skorek, daje im stosowny sygnał i cała gromadka w mgnieniu oka rozbiega się na wszystkie strony.

dopiero, gdy pod koniec trzeciego stadium rozwoju młode porzucają liść lęgowy i rozpraszają się w poszukiwaniu pożywienia. [przypis edytorski]

³⁹²beniaminek — ulubione, najmłodsze dziecko; ulubieniec. [przypis edytorski]

³⁹³koza (pot.) — areszt; więzienie. [przypis edytorski]

Pająk, Matka

Skoro niebezpieczeństwo mija, pajęczęta jakby na dany znak zjawiają się znowu i posłuszne, nie odstępują matki.

XXXII. ARTYŚCI GRAJĄCY NA WŁASNYCH CZŁONKACH. ZJEDZONY DACH. POWRÓT

Już Arystoteles, największy podobno naturalista wszystkich czasów, zauważył, że owady są nie lada muzykantami, a pod względem różnorodności instrumentów przewyższają o całe niebo wszelkie ludzkie orkiestry.

Nie wiem czy wielki mąż domyślał się zjawienia w parę tysięcy lat po swej śmierci muzyki Wagnera³⁹⁴, to pewne jednak, że gdyby ją przewidzieć zdołał, jeszcze by przesadą nie zgrzeszył, gdyż muzyka sześciornogich graków przewyższa nawet »muzykę przyszłości«!

Potwory te posiadają niespodziewaną mnogość instrumentów. I tak jak Paganini³⁹⁵, o którym podanie niesie, że zachwycił grą na jednej skrzypcowej strunie, zachwycają one swój świat grą na... własnej nodze, skrzydle, głowie, karku itp.

Pod niektórymi względami instrumenty te bez wątpienia niżej stoją od skrzypiec, ale ze względu na praktyczność, przenośność, taniotę i tym podobne zalety przewyższają o całe niebo instrument Paganiniego, Sarasatego, Barcewicza³⁹⁶ *et consortium*³⁹⁷.

Do najgłośniejszych skrzypków ze świata chrząszczy należy rodzina długorogich kózek (*Cerambycidae*).

Wydała ona — oprócz wielu zagranicznych — takich krajowych artystów jak: gracza (*Tragosoma*), zgrzypika (*Lamia*), zgrzytnicę (*Agapanthia*), rzemlika (*Saperda*) (słuszniej powinien by się nazywać rzempolikiem i może tak pierwotnie był nazwany) i kozioroga (*Cerambyx*). Muzykanci owi odznaczają się tym, że grają na własnym karku. Kark ich tak jest urządzony, że pierwszy staw piersi (*prothorax*) trze się delikatnie o rowkowaną powierzchnię drugiego piersiowego stawu, zwanego śródpiersią (*mesothorax*).

Zachwycające tony, jakie wydają ci artyści, muszą mieć niezwykle donośność, jeśli nawet tępy słuch naturalistów z odległości kilku kroków doskonale je pochwytyje. Podejrzewam, że nie muszą to być najślawniejsi artyści, bo donośność dźwięku nie zawsze chodzi w parze z jego artystyczną wartością (weź za przykład trąbę i cytrę, papugę i słowika).

Z krótkiej mej wędrowki wyniosłem tę pewność, że wszystkie kózki są muzykalne, bo słyszałem głośnie i wcale melodyjne brzmienie takich gatunków, jakie dla ucha naturalistów wydają się nieme.

Powód, dla którego ludzie nie słyszą ich muzyki, bardzo jest prosty. Jest nim nadzwyczajna delikatność rowków na listewce, o które się pocierają smyczki przedpiersia.

Chrząszczom przygrywają na różny sposób zarówno motyle, jak pszczoły, muchy, pluskwiaki (cykady) i ważki. Do najgłośniejszych jednak muzykantów, urządzających olbrzymie własne koncerty na wszystkich polach i łąkach, należą koniki polne (*Tettigoniidae*)³⁹⁸, szarańcza (*Acrididae*) i świerszcze (*Gryllidae*). Każdy ich gatunek tak dalece inaczej śpiewa, a raczej przygrywa na samorodnych skrzypcach, że gdyby entomologowie zważali na ich głosy równie bacznie, jak ornitologowie na głosy ptaków, mogliby je z największą łatwością odróżniać, nawet nie widząc.

Pospolity pasikonik zielony (*Tettigonia viridissima*), lubiący wysokie bodziaki³⁹⁹ lub drzewa, siepie całymi dniami, aż do późnej nocy, cyk-cyk-cyk-cyk...

Nadobny dolczan (*Stenobothrus elegans*) ćwierka tttsss-tttsss-tttsss. Łączyn (*Decticus verrucivorus*) odzywa się słabym głosem trsssss-trsssss-trsssss. Śpiew jednego z pasikoników (*Tettigonia caudata*) bardzo donośny, szczególnie po południu, w dnie pochmurne, podobny jest do brzmienia trzech głosek razem złączonych, ttttrrrrrsss albo trstrstrstrstrs.

³⁹⁴Wagner, Richard (1813–1883) — niemiecki kompozytor światowej sławy, twórca dramatu muzycznego. [przypis edytorski]

³⁹⁵Paganini, Niccolò (1782–1840) — słynny włoski skrzypek i kompozytor, uważany za jednego z najwybitniejszych mistrzów gry na skrzypcach. [przypis edytorski]

³⁹⁶Sarasate i Barcewicz — wybitni skrzypkowie przełomu XIX i XX w.: Pablo Sarasate (1844–1908): hiszpański skrzypek i kompozytor; Stanisław Barcewicz (1858–1929): polski skrzypek i dyrygent. [przypis edytorski]

³⁹⁷*et consortes* (łac.) — i towarzysze, i współnicy. [przypis edytorski]

³⁹⁸koniki polne (*Tettigoniidae*) — obecnie: pasikoniki. [przypis edytorski]

³⁹⁹bodziak a. bodiak (reg.) — oset. [przypis edytorski]

*Stethophyma grossum*⁴⁰⁰ odzywa się przytłumionym i urywanym głosem cy-cy-cy-cy-cy-cy, z długimi przerwami.

Dźwięki owe umieją grajkowie odpowiednio do chwilowego nastroju osłabiać, wzmacniać, zwalniać i przyspieszać; *piano*, *forte*, *crescendo*, *accelerando*, *dolce*, *appassionato*⁴⁰¹ następują po sobie z godnym uznania artystem.

Dla kogo się trudzą ci grajkowie leśni? — zapytasz — i co znaczy ta muzyka?

Są to najczęściej serenady⁴⁰² wyprawiane przez samczyków na cześć niemuzycznych samiczek. Grajkowie wysadzają⁴⁰³ się na najwymowniejsze tony, a płochliwe i czule samiczki zbliżają się do tego, którego tony najmilej przemawiają do serduszka.

Sądzę, że nie ma w tym nic zdrożnego. Wszak śpiew i muzyka zarówno wśród ptaków, jak i w rodzie ludzkim jest od wieków najwymowniejszym językiem miłości.

Do niedawna jeszcze nie wiadano dokładnie, jakie mianowicie organy służą konikom do wydobywania czarownych dźwięków. Dziś rzecz to już dostatecznie rozstrzygnięta. Pocierają tylnymi biodrami, zaopatrzonymi w odpowiednie ząbienia, o brzeg skrzydeł. Powszechnie znany świerszcz (*Gryllus*) inaczej sobie radzi. Jego biodra są niemuzyczne, ćwierka więc, pocierając prawym skrzydłem o lewe. Na obu mieszczą się bardzo dowcipnie zbudowane akustyczne przyrządy.

W niektórych okolicach Afryki, a zdaje mi się, że i w Chinach, śpiew świerszcza zachwyca nie tylko płeć piękną świerszczów, ale służy za źródło rozkoszy ludzkim mieszkańcom tamtejszym.

Hodują też te owady w klateczkach, podobnie jak my więzimy kanarki. Ćwierkanie tych miłych istot ma i inne cenne własności. Usposabia mianowicie słuchaczy do snu. (Jak to dobrze, że śpiewacy naszych oper posiadają wręcz odmienne własności, bo gdyby inaczej było, wtedy wrażliwszych melomanów odnoszono by do domów, w śnie letargicznym pogrążonych).

W podaniu o usypiających własnościach muzyki owadów musi być dużo prawdy, gdyż wiadomo, ile to trudu kosztuje ekonomów budzenie dziewczek i parobków podczas letniej pracy w polu.

I my pod wpływem jednostajnych dźwięków niewidzialnego jakiegoś muzykanta, bardzo przypominającego głos świerszcza, niby ukołysani mruczeniem piastunki, zasnęliśmy tak twardo, że dopiero o dziesiątej rano wybraliśmy się w pole.

Dnia tego znowu się nam nie szczęściło. Lord Puckins o mało nie został zdeptany przez jaszczurkę, która wygrzewając się, niby bajecznej wielkości krokodyl, na słońcu, ocknęła się, gdyśmy przechodzili przed jej paszczą.

Wkrótce potem skaleczyłem się koniuszczkiem parzącego włosa jakiejś gąsienicy. Odlamany w pochodzie, przyczepił się do łodygi, o którą niebacznie się oparłem. Znałe są podróżnikom po Indiach Zachodnich parzące włoski zwilupy parzącej (*Mucuna urens*), rośliny strączkowej, pokrewnej z naszą fasolą. Palenie jej daleko jest silniejsze od oparzenia najzłośliwszą pokrzywą, a jednak wątpię, czy dorównuje bólowi, jakiego się doświadcza po ukłuciu kruchym włoskiem wielu gąsienic.

Ból ten odczuwa nawet normalny człowiek tak dotkliwie, że bywają wypadki, w których na rękach, szyi lub oczach osób spacerujących po lesie powstają złośliwe zapalenia, jakich skutki tylko pomoc lekarska może usunąć. Szalony ból zakończył się obrzęknięciem i silnym zaognieniem miejsca ukłutego.

Zaledwie uspokoiły się moje cierpienia o tyle, że mogliśmy ruszyć ku domowi — spotkała nas nowa przykra niespodzianka. Przez czas nieobecności straciliśmy dach nad głową. Zjadła go nam olbrzymia poczwara, którą wracając, zastaliśmy jeszcze opartą o ścianę naszego zamku. Dogryzała liść, stanowiący sklepienie naszego schronienia. Na schyłku tedy dnia, kładąc się na spoczynek, ujrzeliśmy się w możliwości obserwowania konstelacji niebieskich.

⁴⁰⁰*Stethophyma grossum* — obecnie: napierśnik torfowiskowy, duży owad z rodziny szarańczowatych. [przypis edytorski]

⁴⁰¹*piano*, *forte*, *crescendo*, *accelerando*, *dolce*, *appassionato* — włoskie terminy używane w muzyce: *piano*: cicho, delikatnie; *forte*: mocno, głośno; *crescendo*: wzmacniając; *accelerando*: przyspieszając; *dolce*: łagodnie, miękko; *appassionato*: porywczo, namietnie. [przypis edytorski]

⁴⁰²*serenada* — pieśń miłosna śpiewana wieczorem pod oknem ukochanej. [przypis edytorski]

⁴⁰³*wysadzać się* (pot.) — robić coś, by zaimponować innym, na pokaz. [przypis edytorski]

Z dachu naszego pozostały tylko żeberka, snadź zbyt twarde i niesmaczne dla szesnastonogiego sybaryty.

Obrzydłym żarłokiem, który targnął się na całość naszej nieruchomości, była wielka gąsienica jakiejś zmierzchnicy (*Sphinx*) z ubarwienia podobna bardzo do omacnicy wilczomleczowej (*Hyles euphorbiae*)⁴⁰⁴.

Jeśli to była ona, to doprawdy nie mogę wyjść z podziwu, jak mogła kosztować tak mdlej jak nasz dach potrawy. Wszak przysmakiem jej jest wilczomlecz, przed którym cofnąłby się najbardziej nawet rozsmakowany w narodowej papryce Węgier.

Ha! Różne bywają gusta i potrzeby. Kto wie, czy nasza gąsienica nie należała do uczonych badaczek swego rodu i czy czasem nie przeprowadzała na własnej osobie studiów nad leczniczym działaniem ziół...

Strata dachu w połączeniu z cierpieniem fizycznym, jakiego doświadczałem, odebrała mi wreszcie ochotę do szukania dalszych przygód.

— Wiesz, milordzie — rzekłem nazajutrz rano — zdaje mi się, że już czas nam wracać...

— Ja tego nie znajduję... Sposób życia, jaki tu prowadzimy, zachwyca mnie. Nawet w Indiach nie bawiłem się tak wspaniale. Toż dopiero będzie sensacja, gdy pamiętnik mój zostanie odczytany na posiedzeniu klubu!

— Właśnie też dlatego proponuję powrót...

— Mamy jeszcze dosyć czasu — przerwał mi Anglik. — Pierwsze posiedzenie nastąpi we wrześniu.

— A jeśli zginiemy? — odparłem. — Nie trzeba zbyt ufać w szczęśliwą gwiazdę. Dotąd jakoś ze wszystkich oparów wychodziliśmy cało, ale kto wie, co nas czeka, jeśli się dalej będziemy awanturowali. Coraz bardziej przekonuję się, że to świat nie dla nas stworzony. Na każdym kroku same zasadzki, niebezpieczeństwa i nie mile zdarzenia. Przyznaj się, lordzie, ileś już razy zleciał z liści lub gałęzi?

— Kto by tam takie drobnostki miał liczyć! — odrzekł Anglik, wydymając wargi z lekceważeniem. — To jest właśnie nieoceniona różnorodność, jakiej nigdy już nie zaznam, skoro raz wrócę do właściwych rozmiarów!

— Bagatela! A jednak dosyć raz wpaść w przyzwoitą szczelinę lub do wody, aby już więcej nie oglądać świata bożego. Nie, stanowczo mamy już dosyć tułaczki. I co za rezultat naszych trudów? Pod grozą ciągłych niebezpieczeństw nawet obserwacje nie postępują tak, jakby iść powinny. Wciąż trzeba się mieć na baczności, oglądać na wszystkie strony, ukrywać się i porzucać obserwowany przedmiot. A zresztą wraz z nami mogą zginąć zarówno twój pamiętnik, jak moje obserwacje.

— Pod tym względem masz rację, doktorze; musimy się szanować już nie dla siebie, ale dla wiedzy i chwały klubu. Zmizerniliśmy obaj nadzwyczajnie. Ja czuję, że mi połowa ciała ubyla, z ciebie także zostały skóra i kości... Psie życie, nie ma co mówić!

— A więc wracajmy.

— Zgoda, wracajmy!

— Czy natychmiast?

— Po cóż zwlekać! I tak dachu nie mamy nad głową; przenocujemy, gdzie Bóg da — w drodze.

W pół godziny, zabrawszy najważniejsze okazy, pożegnaliśmy kamienną chatkę naszą.

W najprostszej linii mieliśmy do chorągwi, dostrzegalnej ze wszystkich miejsc najbardziej wzniesionych, przynajmniej cztery mile, co wobec znanych przeszkód mogło nam zabrać dwa do trzech dni czasu.

Z spuchniętą dłonią podwoić musiałem ostrożność w obieraniu drogi. Uwzględniając tę okoliczność, lord Puckins ofiarował się nieść mój tornister. Przed zmierzchem uszliśmy blisko milę i w niezłych warunkach przepędziliśmy noc w rumowisku złożonym z olbrzymich głazów. Posililiśmy się przedtem soczystym miękiszem poziomki.

Następny dzień, choć pogodny i ciepły, niewiele zbliżył nas do kresu wędrówki. Musieliśmy mijać las gęsty i dwa strumyki. Mimo wszelkich usiłowań, aby wybrnąć z labiryntu, wypadło nam zanocować na liściach, gdzie ani o ognisku, ani o bezpieczeństwie

⁴⁰⁴omacnica wilczomleczowa (*Hyles euphorbiae*) — obecnie: zmrocznik wilczomleczek. [przypis edytorski]

mowy być nie mogło. Rosa, która wystąpiła tego dnia obficie, o mało nas nie przemoczyła do nitki. Czekaliśmy słońca jak zbawienia i w samej rzeczy niebo nie poskąpiło nam ciepłych promieni w takim stopniu, że gdyśmy weszli na głązy, zasychało w gardle od upału i zmęczenia.

Wystaw sobie nasze położenie bez kropli wina lub koniaku. Woda, zamiast gasić, wzmagała tylko pragnienie. Około południa zaledwie, wlokąc nogami, padliśmy jak bez życia na zielonym jakimś kosmatym kobiercu.

Spiekłe wargi i język domagały się orzeźwienia, a tu nigdzie kropli wody nie było. Odpocząwszy trochę, powlekliśmy się tedy dalej po okrągłych kamieniach, na których rozlały się żółte, kanarkowe, szare i czarne porosty. Obfitość trzmieli, białych motyli i much przelatywała nad naszymi głowami, podążając do kwiatów, gdzie czekała na nich słodycz, a my nieśliśmy zbole i ociężałe członki po rozpalonych od słońca głązach.

Nareszcie w godzinę ukazała się wysoka łądoga i żółte kwiaty dziurawca (*Hypericum perforatum*), wznoszące się zza głązów.

W kilkanaście minut stanęliśmy na szczycie skały, z której rozpościerał się widok na uroczy las ziół. W dali majaczył cień chorągwi i parę sylwetek olbrzymich góralskich kapeluszy, pod którymi niby we mgle zarysowały się głowy i ramiona stróżów naszego bezpieczeństwa.

Obraz ten dodał nam sił i wkrótce zanurzyliśmy się w wilgotnym gąszczu zieleności, tracąc z oczu bezpośredni kres naszej drogi. Tu, przy samej ziemi, natrafiiliśmy na wodę stojącą na jakimś wklęsłym liściu i ugasiliśmy pierwsze pragnienie. Dobiegało południe, gdy senność nadzwyczajna zmorzyła nas obydwoh i ułożyliśmy się w cieniu wielkich liści na spoczynek. Obudził mnie lord Puckins, wołając, że czas w drogę.

— Może się napijesz, doktorze? Tylko co ugasilem dokuczające mi pragnienie. Co prawda nieszczególna jakaś woda, gorzkawa, ale w braku innej i taka dobra. Mam ją we flaszcze podróźnej.

— Dziękuję ci, milordzie, ale pić mi się w tej chwili nie chce. Ruszajmy!

XXXIII. JEDEN BILET CZY TRZY BILETY? STRASZNA PRZYGODA

Poszliśmy. Do zachodu było jeszcze ze trzy godziny i należało z czasu korzystać. Jeszcze jedna noc i powitamy pocziwego sir Biggsa.

W drodze toczyła się urywana rozmowa o szczytnych projektach. Lord Puckins skarżył się na suchość w gardle.

— Ciekawa rzecz, jak sir Biggs przyjmie nasz plan? — odezwałem się, ubawiony myślą o zakłopotanej fizjonomii prawnika, gdy się dowie o postanowieniu.

— Skonam ze śmiechu, lokując się w jego kieszeni! — zawołał lord. — Stary Robert zdźwiga się niemało, niosąc dwóch takich wielkich jak my ludzi!

— To jeszcze nic, ale co będzie, gdy nas ludowi pokaże? Będziemy zgubieni, zgniotą nas, oglądając niewidziane dziwo, jeśli zaś zechce dobrze ukryć, podusimy się.

— Trzeba go prosić, aby zachował ściśle *incognito*⁴⁰⁵ i nikomu nie wspominał, że podróżuje samotrzeć⁴⁰⁶.

— Ale, ale, nasuwa się tu zawiła kwestia, jak ma postąpić z kupnem biletów na kolei. Jeśli weźmie jeden na nas trzech, bez wątpienia popełni nadużycie; jeśli kupi trzy, wzbudzi podejrzenie...

— Powinien opłacić przedział cały! — zawołał lord Puckins. — Co mówię! Wagonu nawet za mało dla tak wielkich ludzi! Niech weźmie ekstrapociąg prosto do Warszawy! Uf! Jak mi gorąco...

— No, no! Nie przesadzajmy w żądaniach. Pomieścimy się wygodnie w osobnym przedziale.

— Ty, doktorze, pomieścisz się, ale ze mną inna sprawa. Dla mnie trzeba wziąć osobny pociąg... Słyszysz mnie, doktorze, długi pociąg, o czterdziestu wagonach sypialnych wybitych aksamitem, abym się miał gdzie rozciągnąć...

⁴⁰⁵*incognito* (z wł.) — nieujawnianie swojej tożsamości. [przypis edytorski]

⁴⁰⁶*samotrzeć* (daw.) — sam w towarzystwie dwóch osób; we trzech. [przypis edytorski]

Spojrzałem na mówiącego, niemile zdziwiony wątpliwym sensem słów wyrzeczonych, i zauważyłem, że poczerwieniał mocno. W odpowiedzi na badawcze spojrzenie towarzysz mój zrobił uwagę, że żółkł jak cytryna. Potem zaczął się opędzać przed niewidzialnymi muchami.

— Niech cię to nie dziwi, że czerwony. Prawy syn Wielkiej Brytanii zawsze czerwony, gdy zły.

— Cóż cię gniewa, lordzie? — zapytałem wielkiego syna wielkiej ojczyzny.

— Nie widzisz? Przekłête roje komarów, myszy i szczury pod nogami, komary w powietrzu, ładne towarzystwo! Niech je diabli wezmą! — I znowu począł wymachiwać rękoma, narzekając na pragnienie.

Strach mnie zdjął wielki. Anglik wyglądał jak nieprzytomny. Wyjął flaszkę z wodą, przyłożył do ust, potem ze wstrętem splunął i z całej siły uderzył szkłem o liść. Flaszka odbiła się i spadła w przepaść.

— Nie cierpię wody, nie ma jak wino! Niech żyje wino! A przekłête szczury! A macie! A macie!

I począł zawzięcie kopać nogami.

Zanim zdołałem zebrać myśli, lord Puckins przeskoczył przepaść szerokości co najmniej na trzy łokcie.

— Tak się skraca odległości! — wołał, zatrzymując się po drugiej stronie. — No, dalej, doktorze, teraz kolej na ciebie. Cóż to, wahasz się?

Rzeczywiście było się nad czym zastanawiać, ale nie chcąc zostawić Anglika samego, wyteżyłem siły, skoczyłem i spadłem w mroczną otchłań... Uderzyłem plecami o miękki przedmiot. Chciałem się zerwać, ale jakaś potęga obezwładniła mnie do tego stopnia, że leżąc na wznak, nie byłem w stanie obrócić się. Nade mną z brzegu liścia widniała głowa pochylonego lorda, śmiejącego się na całe gardło.

Tego było za dużo. Oparłem się łokciami, potem dłońmi, ale ręce ugrzęzły w jakiejś kleistej substancji. Zaledwie zdołałem rękę oderwać od punktu oparcia, zrozumiałem, że jestem przyklejony. Nogi miałem jeszcze wolne, ale i te za najbliższym dotknięciem przylegały do dziwnego gruntu.

— Szczęśliwej podróży! Do widzenia! — wołał lord Puckins, zanosząc się od nienaturalnego śmiechu.

— Ależ, na miłość boską, ratuj, lordzie! Nie mogę się ruszyć!

— Bardzo wierzę! Zajedziesz pan niedaleko na swoim rumaku. Wolę ja na piechotę...

— Co pan wygadujesz? O jakim rumaku mówisz?

— O tym, na którym jedziesz niby rzymski sybaryta, w pozycji leżącej. Winszuję, ale nie zazdroścę... Do widzenia w Indiach!... Ja tam śpieszę...

— Co to wszystko znaczy? Nie oddalisz się, lordzie, w takiej chwili! Gdzie ja jestem?! — zawołałem zatrwożony, ale Anglik znikł mi sprzed oczu.

Ogarnęło mnie wielkie przerażenie. Nie rozumiałem dobrze, co się ze mną dzieje — co zaś do lorda, nigdy go w takim humorze nie widziałem.

Szarpnąłem się znowu raz nadaremnie, nareszcie odwróciłem głowę, aby rozejrzeć się dookoła, i osłupiałem z przerażenia. Leżałem na lepkiem grzbiecie ogromnego bezskorupego ślimaka. Olbrzymi pomrów sunął poważnie w gąszcz zbutwiałych liści i kamieni. Zrozumiałem, że szamotanie się pogorszy tylko położenie.

Jeden był sposób uwolnienia się z ruchomego więzienia. Rozpiąłem serdak⁴⁰⁷ oraz surdut i szybko wysunąłem się z ubrania na ziemię. Na razie miałem zamiar uratować jeszcze przylepioną odzież, ale obawa o lorda wzięła górę i wdrapałem się, jak mogłem najspieszniej, po łądygach. Na wielkim liściu nie zastałem już Anglika. Z dala tylko dochodził mnie głos jego.

Nawoływania były bezskuteczne i dopiero kierując się za głosem oraz przeskakując przeszkody, zbliżyłem się o tyle, że dostrzegłem wysoką postać syna Albionu. Maszerował, zataczając się jak pijany.

— Co mu się stało? — zachodziłem w głowę.

On tymczasem zatrzymał się jak wryty i zakrył twarz rękoma. Potem osunął się na kolana i zgięty we dwoje, niby modląc się, pozostał bez ruchu.

⁴⁰⁷ *serdak* — rodzaj kamizelki sięgającej nieco poza talię. [przypis edytorski]

Teraz mogłem zbliżyć się do nieszczęśliwego i zapytałem, co mu jest, ale towarzysz niedoli zerwał się na równe nogi i odpychając mnie żywo, jął czynić wyrzuty, że go zgubiłem, że wprowadziłem w haniebną zasadzkę. Plótl o współnikach zbrodni, o tłumie dwugłowych Indian, którzy wspólnie ze mną nastają na jego życie. Potem objaśnił mnie, że się rozdzielił, że ma po dwie pary rąk i nóg, że głowa jego odłącza się od ciała i ulatuje w przestrzeń.

Był zupełnie nieprzytomny.

Stało się wyraźne, że się otrul czymś... ale czym? Pochwyciłem go za ręce, były suche i gorące. Czerwona twarz pałała i oczy dziwnie błyszczące znamionowały silne zatrucie.

Nie znając dobrze objawów, nie mogłem na razie domyśleć się rodzaju trucizny, a zresztą byłem bezsilny. Nie tylko żadnego antidotum⁴⁰⁸, nie tylko choćby emetyku⁴⁰⁹, ale nawet kropli wody nie posiadałem... Woda! Wyraz ten rzucił nagle promień światła na straszną zagadkę.

Zrozumiałem, że lord Puckins musiał napić się wody zatrutej alkaloidem⁴¹⁰ jakiejś jadowitej rośliny. Jedna setna część kropli wody stojącej na liściu bieluniu (*Datura*), blekotu (*Aethusa*), tojadu (*Aconitum*), szaleju (*Cicuta*) lub pokrzyku (*Atropa*) wystarczała do wywołania w nim tych okropnych skutków, jakie u zwykłego człowieka wystąpiłyby dopiero po wypiciu kilku szklanek podobnej nalewki⁴¹¹.

Straszne skutki przypadkowego zatrucia się tymi roślinami powszechnie są znane. Bielun na przykład w najwyższym stopniu rozdrażnia mózg. Zwykle człowiek po zatruciu się tą rośliną dostaje gwałtownego obłądzenia, potem utraci na długo pamięć, a często ulega pomieszaniu zmysłów. Blekot wywołuje również gwałtowne szaleństwo lub straszne halucynacje, później paraliż.

Pokrzyk, zwany inaczej wilczą jagodą lub belladonną, jest ze wszystkich trucizn najgwałtowniejszą, a skutki sprawia podobne do wyżej opisanych z pewnymi charakterystycznymi zmianami, wielce przypominającymi objawy wścieklizny.

Nieco podobne, choć ujawniające się głównie wymiotami i bólami, są objawy otrucia się niektórymi grzybami.

Co tu zrobić? Jak ratować biednego lorda? Nie wiedziałem, bom nie miał pod ręką nic kwaśnego, co najskuteczniejszą bywa na razie przeciwtrutką.

Usiłowałem go uspokoić, ale rozjątrzyłem tylko; nie poznawał mnie nawet. Wzrok błyskawiczny, ruchy gwałtowne były dowodem halucynacji, jakim podlegał. Belkotał przy tym niezrozumiale, kiedy niekiedy wyrzucając przekleństwa lub bezsensowne zdania. Nagle rzucił się naprzód, wołając: »Mam cię nareszcie!«. Biegł bez opamiętania, po samych krawędziach blaszek liściowych, czepiał się łodyg, a ja za nim w trwodze podążałem. Tak dobiegliśmy po wąskim jakimś, a długim liściu do łodygi, za którą nic już nie było, tylko przepaść.

Z dołu dochodziło szemranie wody wartko toczącej się po kamieniach.

Na łodydze od strony przepaści siedziała wielka ważka, mieniąca się od szmaragdów i szafirów, jakimi połyskiwało w zachodzącym słońcu jej wysmukłe ciało. Zdawała się nie zwracać uwagi na niespodziewanych przybyszów.

Lord Puckins, wskazując ręką na wspaniałego owada, zadyszany głosem zawołał:

— Nareszcie mam go! — i posunął się gorączkowo naprzód.

Uchwyciłem go jednak w porę za rękę.

— Ani kroku dalej! Spadniesz, lordzie, w nurty strumienia!

— Puść mnie! — szarpnął się Anglik i jednym skokiem znalazł się obok ważki.

Skamieniałem z przerażenia. Lord tymczasem, jakby odzyskując zmysły, z miną rozpodgonzoną dał mi do zrozumienia, że za chwilę dzielny rumak uniesie go do mglistej ojczyzny. Jak to? Czyżby wziął ważkę za konia?

Niezawodnie tak się stało, bo oto podnosi nogę, aby wstąpić na ogromne cielsko. Chciałem zapobiec temu i podbiegłem do szaleńca, aż tu nagle lord Puckins, któremu

⁴⁰⁸ *antidotum* — środek przeciw truciźnie, odtrutka. [przypis edytorski]

⁴⁰⁹ *emetyk* — środek prowokujący wymioty. [przypis edytorski]

⁴¹⁰ *alkaloid* — azotowy związek organiczny występujący w roślinach, działający trująco na układ nerwowy człowieka. [przypis edytorski]

⁴¹¹ *Jedna setna część kropli wody stojącej na liściu bieluniu...* — pomimo słabej rozpuszczalności niektórych alkaloidów w wodzie jeszcze taka ilość mogłaby zawierać około 1 grama trucizny. [przypis autorski]

wystąpiły już na twarzy ciemnoczerwone plamy, pochwycił mnie w żylaste ręce, podniósł w górę niby piórko i posadził, jak na koniu, na odwłoku drapieżnego potwora.

Ważka, poczuwszy nieznaną sobie ciężar, drgnęła, poruszyła skrzydłami i uleciała w powietrze.

Nie wiem już dokładnie, jak się to wszystko stało, dosyć że w sekundę potem konwulsyjnie zaciśnięte ręce lorda spłoty się na mojej piersi i obaj poszybowaaliśmy z piekielną szybkością ponad doliną...

XXXIV. TRZYDZIEŚCI MIL NA MINUTĘ. W KRAINIE ŚNIEGÓW

Wątpię, czyś kiedy zastanawiał się nad zdumiewającą szybkością lotu niektórych ptaków.

Gołębie na przykład pocztowe ścigać się mogą z pociągami pośpiesznymi, a jaskółki przelatują po sto pięćdziesiąt kilometrów w jednej godzinie.

Co teraz powiesz, gdy usłyszysz, że z istotami chodzącymi z wiatrem w zawody zwycięsko rywalizują nie tylko muchy, ale nawet ciężkie i niezgrabne chrząszcze.

Wyglądając raz okienkiem kurierskiego pociągu, zdumiałem się na widok trzmieła, który przez pół minuty towarzyszył nam, uwijając się w bliskości. To samo zdarzyło mi się zauważyć o muchach. Jeśli weźmiemy pod uwagę mocno zygzakowatą linię lotu obserwowanych owadów, musimy dojść do przekonania, że bezwzględna szybkością przewyższały znacznie prędkość lokomotywy.

Co się tyczy ważek, słynny Leeuwenhoek⁴¹² był raz świadkiem wyścigów ważki z jaskółką w zamkniętym, obszernym budynku. Przez całą godzinę trwała zawzięta gonitwa, obie istoty bez odpoczynku w gwałtownych a zręcznych zwrotach pruły powietrze i chyżej jaskółce nie udało się pochwycić zdobyczy.

Po tym, co tu powiedziałem zrozumiesz, że czteroskrzydły pegaz⁴¹³ unosił nas faktycznie z szybkością znacznie przewyższającą bieg najpośpieszniejszych pociągów kolei żelaznej⁴¹⁴, ale nie będziesz miał jeszcze właściwego wyobrażenia o względnej szybkości tej podróży. Dopiero gdy porównasz drobność ciał owadów z wielkością ptaków, zrozumiesz, że lot naszej ważki wielokrotnie przewyższał lot ptaków. Łatwo nawet obrachować ten stosunek.

Jeśli na przykład koń zwyczajny przebiega w pewnym czasie sto łokci, to koń dziesięć razy mniejszy, przy tejże samej ilości kroków, przebiegłby tylko dziesięć łokci, zaś sto razy mniejszy konik zaledwie jeden łokieć. Jeśliby się tedy zdarzyło, że taki sto razy mniejszy koń biegłby razem z dużym, dowodziłoby to, że posiada sto razy większą chyżość.

Stosując tę zasadę do owadów, rozumiemy, że trzmieć ścigający się z jaskółką faktycznie jest od niej bystrzejszy⁴¹⁵ o tyle, o ile mniejszy.

Stosując tę samą zasadę do naszej ważki, a raczej do jej przypadkowych jeźdźców, nie minę się z prawdą, twierdząc, że szybkość, z jaką pruliśmy powietrze, przenosić musiała piętnaście mil naszych na minutę!!! Dziw doprawdy, że pęd powietrza nie udusił nas w tak szalonym biegu. Zdaje mi się, że nawet w XXI wieku nasi praprawnukowie nie będą prędzej szybować na swoich udoskonalonych »błyskawicznych balonach«⁴¹⁶.

*

Fakt powyższy, o ile daje świetne świadectwo o sile owadów w ogólności, o tyle dowodzi, że ich organizm przewyższa najdoskonalsze maszyny, jakie człowiek dotąd wynalazł. Może nigdy geniusz ludzki nie zdobędzie się na obmyślenie tak lekkich i zarazem

⁴¹²Leeuwenhoek, Antoni van (1632–1632) — holenderski przyrodnik, konstruktor mikroskopów, odkrywca mikroorganizmów. [przypis edytorski]

⁴¹³Pegaz (mit. gr.) — skrzydlaty koń, symbol natchnienia poetyckiego i malarskiego. [przypis edytorski]

⁴¹⁴Zz szybkością znacznie przewyższającą bieg najpośpieszniejszych pociągów kolei żelaznej — dziś możemy dodać, że równał się może chyżością aeroplanom [samolotom; red. WL], które zostały skonstruowane w 20 lat po opisywanych tu przygodach [przyp. z wyd. II, 1921]. [przypis autorski]

⁴¹⁵bystrzejszy — tu: szybszy. [przypis edytorski]

⁴¹⁶Zdaje mi się, że nawet w XXI wieku nasi praprawnukowie nie będą prędzej szybować na swoich udoskonalonych »błyskawicznych balonach« — fantastyczne przypuszczenie autora uległo dziś realizacji [przyp. z wyd. II, 1921]. [przypis autorski]

potężnych motorów, jakich wyrazem są mięśnie i skrzydła owadów. Jeżeli zaś kiedy ma być pomyślnie rozwiązana kwestia latania po powietrzu, to pytanie, czy motory nadające ruch balonom będą budowane z używanych dotąd ciężkich kruszców. Być może, iż wejdą w ich skład materiały wytrzymalsze od żelaza, a bez porównania lżejsze od powszechnie używanych metali.

Niesłychana i nieporównana szybkość lotu owadów nie ilustruje jeszcze dostatecznie siły tych istot zadziwiających. Ścisłe obrachowania przekonały, że owady w ogóle wykazują w locie znacznie mniej siły aniżeli w chodzeniu i ciągnięciu.

Na tym punkcie wszystkie kręgowce stworzenia najlżejszego nawet porównania z nimi nie wytrzymują. Koń na przykład ważący 600 kilogramów wyciąga ciężar 400 kilogramów na dynamometrze. Porównawszy z nim chrabąszcza majowego (*Melolontha melolontha*) przekonamy się, że w tych samych warunkach uciągnąłby on 8400 kilogramów, to jest 14 razy tyle, ile sam waży. Szczypawka (*Carabus auratus*)⁴¹⁷ pociągnie ciężar 17 razy większy od własnej wagi, chrząszczyk lesz (*Nebria brevicollis*) — 20 razy! Orszoł (*Trichius fasciatus*) 41 razy, rzęsielnica (*Donacia*) 42 razy. Gdyby ostatnia była wielkości konia, mogłaby uciągnąć 25 000 kilogramów, to jest 62 000 funtów.

W ogóle zaważono, że mniejsze owady są stosunkowo silniejsze od dużych, a nawet w jednej i tej samej rodzinie te gatunki są silniejsze, które są mniejsze i lżejsze. Nadzwyczajna ta siła owadów nie polega na większej obfitości mięśni w porównaniu ze zwierzętami kręgowymi, ale głównie na większej ich kurczliwości.

*

Trudno określić, jak długo pruliśmy powietrze. Było tego może trzy lub cztery minuty, a mnie się zdawało, że chyba na kraj świata zalecimy. Sekundowe przystanki, jakie robił nasz pegaz, pozwoliły mi przekonać się, że jesteśmy bardzo wysoko — i daleko od doliny Białej Wody!

Pod nami piętrzyły się nagie tatrzańskie turnie, dzikie przełęcze i doliny zasypane głazami. Tu i ówdzie czerniło się lustro jeziora i błyszczały szmaty nigdy nietopniejącego śniegu.

Przy nagłych zwrotach wazki szalona jazda groziła lada chwila upadkiem. Jeszcze chwila, a zmęczone ręce nie utrzymają podwójnego ciężaru. Skóra cierpła na samo przypuszczenie upadku z tej wysokości.

Nagle żywa lokomotywa⁴¹⁸ poczęła się opuszczać i po chwili znaleźliśmy się blisko ziemi. Rozróżniałem każdy odłam skały, każdą plamę porostu. Otucha napęliła me serce. Wazka zapewne usiadzie i osuniemy się bez szwanku na ziemię. Ale nagle rabuś tatrzański ujrzał zdobycz i rzucił się jak strzała. Zaświszczało w powietrzu, ręce moje puściły i spałem. Plecami uderzyłem o szlachetną postać lorda Puckinsa. W okamgnieniu zerwałem się na równe nogi i powiodłem wzrokiem dookoła. Było białe.

Odosobnieni od świata niebotycznymi grzbietami granitów, znajdowaliśmy się na polu śniegowym...

Co za dziwna przemiana! Z krainy lata, bujnej roślinności i wonnego kwiecia w parę minut losy przeniosły nas niby do strefy podbiegunowej, do krainy wiecznej zimy.

*

»No, teraz przynajmniej uwolnisz mnie, wuju, od słuchania ciągle o owadach« — szepnąłeś sobie, rozumiejąc, że śniegi wolne są od tej plagi. Ale niestety, jeśliś żywił takie nadzieje, żałuję cię, boś się zawiodł. Zimowy świat owadów mógłby cię więcej zaciekawić aniżeli letni. Muszę ci choć ogólnikowo powiedzieć, co w ogóle owady robią podczas czterech lub pięciu zimowych miesięcy. Wszak w lecie sześcionogi są liczne jak piasek w morzu — w zimie ich nie widać, a jednak na drugi rok znowu aż się roi od wszelakiego robactwa. Co się z nimi w zimie dzieje? Historia bardzo prosta. Owady dojrzałe, podobnie

⁴¹⁷szczypawka (*Carabus auratus*) — obecnie: biegacz złocisty. [przypis edytorski]

⁴¹⁸żywa lokomotywa — dziś możemy poprawić tekst napisany przed 30 laty, „żywą lokomotywę” zastępując „żywym aeroplanem” [przyp. z wyd. II, 1921]. [przypis autorski]

jak większość roślin, są jednoroczne, więc też prawie wszystkie z nastaniem mrozów giną bez ratunku.

Za to owady zaskoczone przez zimę w młodym wieku umieją sobie radzić. Największa ich część zimuje w stanie jajeczka, mnóstwo wszakże chrząszczy, much, pszczoł itp. oczekuje wiosny w randze poczwarki, poukrywane w szparach skał, w pniach drzew, pod kamieniami, we mchu albo głęboko w ziemi.

Nie tylko poczwarki, ale nawet larwy urągają niekiedy mrozom, co jest naprawdę dziwne, bo przecież potrzebują one jeść, jeść i jeść bezustannie⁴¹⁹.

Nareszcie jest więcej, niż powszechnie mniemają, zuchów, które w dojrzałym wieku umieją przetrzymać zabójczy okres. Spomiędzy samych motyli znamy więcej niż setkę gatunków umiejących zimować w odrętwieniu. Rzecz prosta, że większość śmiałków pada ofiarą mrozów, ale wytrwalsze budzą się na wiosnę, ciągną dalej pasmo dni życia, przerwane długim snem letargicznym.

To odnosi się do owadów, dla których zima jest wrogiem. Jest jednak wcale pokaźna ilość sześcionogów, czujących się w swoim żywiole dopiero w zimie, na śniegu.

Do takich należy dosyć pospolity zimień (*Trichocera*). Piękny ten komar pojawia się w późnej jesieni lub w zimie i żyje tylko do wiosny. W naszym kraju przebywa kilka jego gatunków. Do podobnych amatorów należy inny nadzwyczaj ciekawy komar *chionea* (*Chionea araneoides*). Kosmaty ten owad o długich i cienkich nogach, żyjący na zmarzłym śniegu, odznacza się brakiem skrzydeł i na pierwszy rzut oka niezmiernie podobny jest do pająka.

Skoczogony (*Entomobrya nivalis*)⁴²⁰ również masami całymi można spotykać pod koniec zimy, skaczące niby pchły po śniegu. Szczególniej lubią się zbierać w tropach, jakie na śniegu zostawiają zwierzęta i ludzie.

Pośnieżek, czyli zimotka (*Boreus hyemalis*), owad żyłkoskrzydły blisko pokrewny woj-silce, uwija się tylko w zimie, zaś na lato szczelnie zasklepiiony oczekuje, rychło mrozy i śniegi pozwolą mu użyć rozkoszy życia.

Tak to różnymi drogami prowadzi natura do tych samych celów!

XXXV. NIC Z WIELKICH PROJEKTÓW

Położenie stało się rozpaczliwe. Niedawno temu byliśmy tak szczęśliwi — awantury nasze miały się skończyć — a teraz... czeka nas śmierć w lodowej pustyni. Albo obaj zginiemy, albo muszę o zachodzie słońca poświęcić lorda, który cierpiał rozciągnięty na zlodowaciałym śniegu, i wrócić na łono świata ludzkiego sam jeden. Płyn Nureddina był już teraz jedynym zbawieniem moim?... Zrozumiałem nagle, że i Anglika mógł wyrwać z objęć śmierci. Wszak lord Puckins otrul się jakąś kilkunastotysięczną cząstką grama alkaloidu. Jeśli go przywrócę do naturalnej wielkości, to wtedy drobna cząsteczka jadu, jaka dobija organizm Puckinsa małego, stanie się nic nieznacząca dla Puckinsa dużego i umierający może ozdrowieć. Ale co wtedy będzie ze mną? Zamyśliłem się ze smutkiem nad ponurą perspektywą, ale wnet otrząsałem się z niskiego egoizmu. Odezwało się sumienie: Jak to, ty myślisz o sobie i o ambitnych celach własnych w chwili, gdy przyjaciel kona?

Słońce właśnie zachodziło. Odpiąłem bez namysłu trzos, usadowiłem Anglika na śniegu i wlałem przemocą drogocenny płyn przez zaciśnięte zęby. Potem ukląknąłem na śniegu, podtrzymując omdlałą jego postać.

Stało się. Jeśli ten heroiczny krok nie pomoże — zginiemy obydwaj...

*

Trzymając przyjaciela w objęciach, wpadłem sam w odrętwienie i anim spostrzegł, jak stracił chorobliwą cerę i przyszedł do normalnego stanu. Ocknąłem się dopiero na głos Puckinsa. Było już mocno szaro i pierwsze gwiazdy migotały na ciemnym niebie sklepieniu.

⁴¹⁹nawet są larwy urągające mrozom, co jest naprawdę dziwne, bo przecież potrzebują one jeść, jeść i jeść bezustannie — do takich należą larwy chrząszczy, żywiące się drewnem i korą. [przypis autorski]

⁴²⁰skoczogon wczesny (*Entomobrya nivalis*) — obecnie częściej: widłogonka śniegowa lub pchlica śniegulik. [przypis edytorski]

— Gdzie jesteście? — zapytał, zataczając wzrokiem dookoła. — Cóż znaczy ten cukier lodowaty?

— Ot, śnieg! Nic osobliwego, ale powiedzże, milordzie, jak się czujesz?

— Doskonale! Przespałem się po królewsku, zimno mi tylko cokolwiek. Nie pamiętam, skąd się tu wzięliśmy?

— Opowiem ci wszystko, ale niech wpierw zbiorę myśli — odrzekłem, nie mogąc jeszcze sam zrozumieć, co się z nami stało.

Lord Puckins zerwał się lekko na nogi i żwawym krokiem podążyliśmy po zlodowaciałej skorupie. Uderzyła mnie teraz ta okoliczność, że byliśmy jednego wzrostu. Czyżby płyn Nureddina nie poskutkował? Rozejrzałem się bacznie dookoła i poznałem, że obaj wróciliśmy do normalnych rozmiarów. Teraz zrozumiałem, że uratowało mnie trzymanie lorda w objęciach, w czasie gdy rósł pod wpływem indyjskiego eliksiru. Anglik z powodu ciemności nie spostrzegł jeszcze swej przemiany. Dopiero gdyśmy zeszli na granity, poczuł, że jest już normalnym człowiekiem. Nie wyobrazisz sobie, jak go to odkrycie rozniewało i zmartwiło, szczególnie zaś, gdy mu opowiedział ostatnią przygodę.

— Przeze mnie twoje szczytne plany zniweczone. Doprawdy, okupiłeś zbyt drogo, doktorze, moje nędzne życie!

— Ha, trudno! Nie było innego wyjścia — zginęlibyśmy obaj. Czy widzisz, lordzie, światło w dolinie? Tam sir Robert czeka na nas. Śpieszmy powitać druha i rozgrzać skostniałe członki w ciepłe ogniska.

W godzinę znaleźliśmy się w dolinie i zaszliśmy strażę od tyłu.

Sir Biggs zabierał się do spoczynku, gdy stanęliśmy jak widma w progu szalasu.

Tak się zakończyły nasze przygody.

*

Post scriptum

Na zakończenie winienem ci jeszcze małe objaśnienie. Pamiętasz, jak się srożyłeś na entomologię, twierdząc, że wdzięki marnego świata owadziego niezdolne są zająć twej wyobraźni? Założyłem się wtedy z tobą, że jesteś w błędzie. Obecnie w nadziei, że przeczytałeś z zajęciem moje opowiadanie, czas mi już wyznaczyć, że cię podszedł.

Tajemnicza kruszynka natchnęła mnie nagle myślą zmistyfikowania przyszłego ministra i upozorowawszy odpowiednio zwykły swój wyjazd do Zakopanego, napisałem niniejszą opowieść w wolnych od wycieczek chwilach. Wszystko w niej prawdziwe — z wyjątkiem lorda Puckinsa i eliksiru Nureddina. Na owadzie przygody patrzyłem własnymi oczyma i opisałem, jak mogłem najdokładniej. Zamiast tylko zwykłego punktu widzenia obrałem inny, właściwszy do oceniania natury drobnych istot skrzydlatych, a przewodnikiem moim było pragnienie, aby cię nie znudzić. Obecnie proszę ze skrucą o przebaczenie i odpowiedź, czy zamiar mój choć w małej udał się części. Jeśli tak, trud mój sownie jest wynagrodzony.

W nadziei, że wkrótce się zobaczymy, ściskam cię serdecznie”.

Jan Muchołapski

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/majewski-doktor-mucholapski/>

Tekst opracowany na podstawie: Erazm Majewski, Doktor Mucholapski: fantastyczne przygody w świecie owadów, wyd. 2, Warszawa 1921

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja wydana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica, Wojciech Mrozek.

ISBN 978-83-288-8137-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).